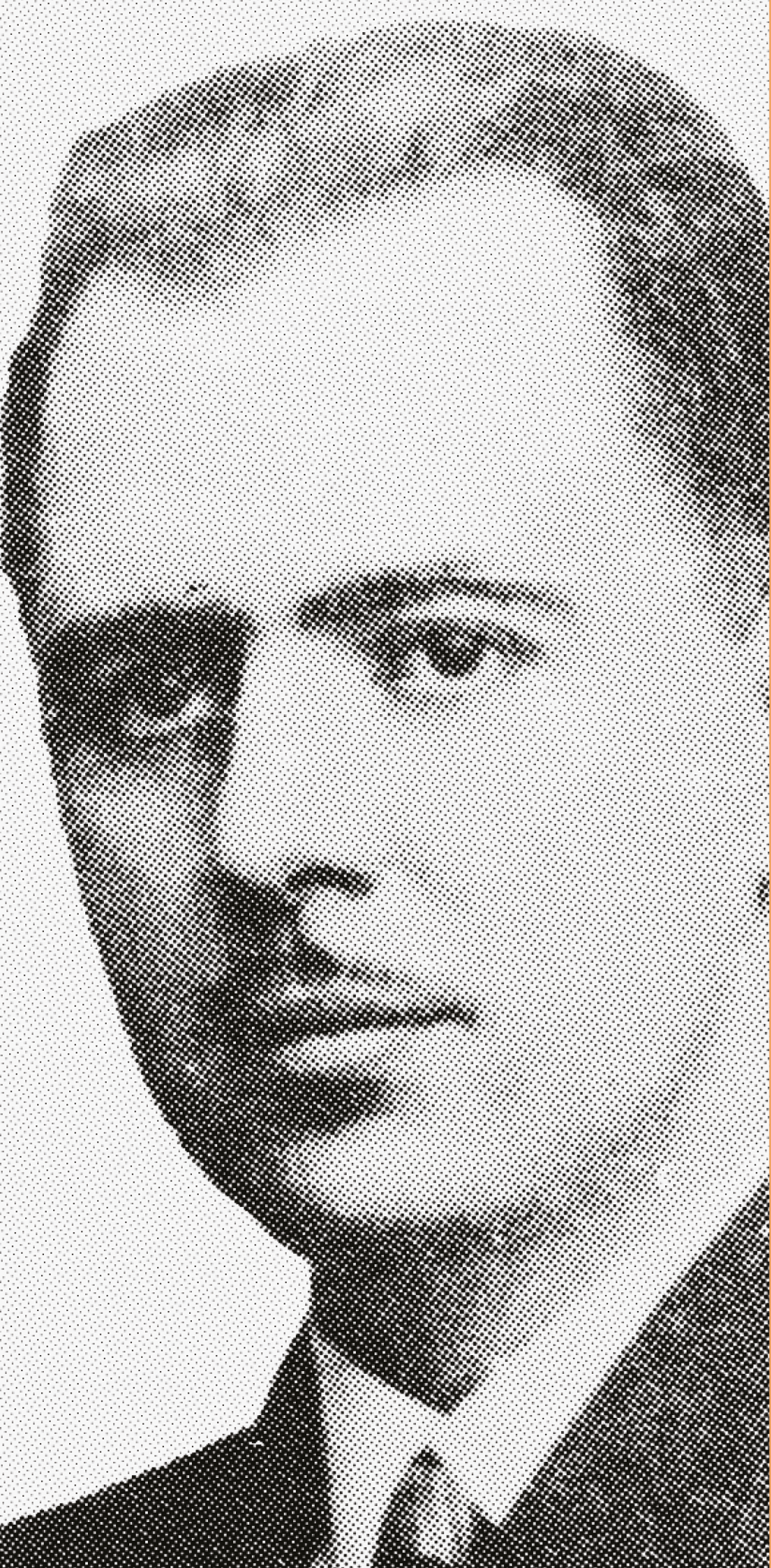


# Wczoraj i jutro

Jan Mosdorf



Cyfrowa Biblioteka  
Myśli Narodowej



Tekst zdigitalizowany i opublikowany został w ramach projektu "**Cyfrowa Biblioteka Myśli Narodowej**". Więcej o samym projekcie oraz innych naszych publikacjach możesz przeczytać na stronie [cbmn.pl](http://cbmn.pl)

Tekst opracowany na podstawie: Jan Mosdorf, *Wczoraj i Jutro*, Prosto z Mostu, Warszawa 1938

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Tekst znajduje się w Domenie Publicznej i może być dowolnie rozpowszechniany i powielany. Autorzy publikacji cyfrowej zrzekają się wszelkich praw autorskich związanych z digitalizacją i obróbką tekstu na zasadzie licencji [Creative Commons Zero](https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/)



## **SPIS TREŚCI**

<b>Od autora.....</b>	<b>4</b>
<b>Zmierzch epoki .....</b>	<b>6</b>
<b>Dziedzictwo pokoleń.....</b>	<b>40</b>
<b>Między niewolą a wolnością.....</b>	<b>80</b>
<b>U źródeł.....</b>	<b>106</b>
<b>Chleb i twórczość.....</b>	<b>137</b>
<b>Chleb i żelazo .....</b>	<b>159</b>
<b>Jedność w wielości.....</b>	<b>199</b>
<b>Zakończenie.....</b>	<b>224</b>



## Od autora

Książka, którą oddaję do rąk czytelnika ma charakter polityczny. Nie jest jednak ani programem, ani deklaracją. Programem nie jest, gdyż nie traktuje problemów szczegółowo i wyczerpująco. Co więcej, pozostawia poza swym obrębem szereg zagadnień istotnych dla każdego programu. Pomijam w mych rozważaniach rozległe dziedziny nie dla tego, bynajmniej, abym uważał je za mało ważne; sądzę jednak, że książka zyska na zwartości i przejrzystości, jeśli ograniczy się do tematów wybranych, związanych najbliższej z jej główną myślą.

Książka moja nie jest również deklaracją czynnego działacza. Od dwóch i pół lat nie jestem związany z żadną grupą i stoję na uboczu od politycznych sporów. Nie obciążając nikogo odpowiedzialnością za me poglądy, mogę sobie pozwolić na luksus pisanego tego, co myślę, bez obawy o względy taktyczne. Unikałem jedynie omawiania wydarzeń, w których sam brałem udział, w obawie, że nie zdołam w tym wypadku zdobyć się na dostateczny obiektywizm.

Poruszam w tym studium szereg tematów, powiązanych wspólną myślą. Rozległość ich jest tak duża, że mimo sporego nakładu pracy nie mogłem kusić się o ich fachowe opracowanie i nie dążyłem do tego. Tam nawet, gdzie dotykam zagadnień filozoficznych, a więc związanych z moim wykształceniem, nie próbowałem posługiwać się metodą naukową, lecz po-przestawiałem na publicystyce. Tym bardziej dotyczy to innych dziedzin. Myślę, że ważniejszą dziś rzeczą od precyzyjnego szlifowania terminów naukowych, które nie zapewnia zresztą bezbłędności, jest rzucenie garści myśli, wzbudzenie dyskusji, która w dzisiejszej dobie pomieszenia pojęć jest szczególnie pożyteczna i niejedno może wyjaśnić.

Zgodnie z publicystycznym charakterem książki, nie przerywam tekstu odnośnikami dotyczącymi źródeł i nawet w wypadkach cytowania zdań innych autorów ograniczam się do wymienienia ich nazwisk. Natomiast na końcu studium umieszczam spis książek, które, choćby w najmniejszej mierze były mi pomocne przy pisaniu mojej. Wobec panującej dziś bezceremonialności w korzystaniu ze źródeł ten akt pedantycznej może skrupulatności nie wydaje mi się zbyteczny.

Zgodnie ze swym tytułem pierwsza część mojej książki posiada charakter historyczny, druga - dotyczy przyszłości. Nie znaczy to jednak, abym wygłaszał przepowiednie. Pisząc o jutrze staram się jedynie ustalić zasady na jakich można - i, zdaniem moim, należy - opierać tworzenie przyszłej historii, nie przesądzając, czy znajdą one zastosowanie.

Świadom jestem tego, iż wiele spośród omawianych przeze mnie zagadnień znajduje się dopiero w fazie krystalizacji. Rok każdy przynosi nowe fakty, zmuszające do rewizji pojęć, nowe objawy zachodzących wciąż przemian. Gdy zaczynałem pisać tę książkę, patrzyłem na szereg



zagadnień inaczej niż dzisiaj, a z pewnością za lat kilka znajdę w niej niejedno do poprawienia. Życie idzie naprzód, a jak zauważył już stary Konfucjusz „tylko najwięksi mędracy i najwięksi głupcy nie zmieniają się nigdy”.

*J. M.*

18 października 1937 roku.



# Zmierzch epoki

*Nie będziesz Bogu służył i mamonie.*

Łukasz 16, 13

*Prawa handlu są prawami  
natury, a przeto i prawami Boga.*

Edmund Burke

Pewnego zimowego dnia 1935 roku znalazłem się w starym dworze. Śnieg był kopny, chodzenie uciążliwe, zaprzestałem polowania, zanim jeszcze zmrok skończył zapadać. Wróciłem do dworu, aby strzelbę zmienić na książkę. W bibliotece kominiek rzucał różowe blaski na ściany, rozniecał błyski na złoconych grzbietach książek. Na dolnych półkach mieściły się ubogie krewne luksusowych tomów: szara brać biblioteczna, broszury i broszurki, dodatki do starych periodyków przedwojennych. Wyjąłem ich garść pełną i zaraz w pierwszej z nich przy migotliwym blasku świecy przeczytałem na chybi trafi następujące zdanie:

„Rozwój ekonomiczny nowej Japonii nie wzbudza uczucia ani strachu, ani żalu, ale podziwu i nadziei. Bo i jakże nie podziwiać tego nagłego a przecież płodnego przeszczepienia wyższej cywilizacji na grunt, gdzie wegetowały już tylko przeżyte tradycje. Dla świata cywilizowanego rozkwit ekonomiczny Japonii może być tylko zjawiskiem pożądanym. Tylko ludzie tępi wyobrażają sobie przyszłe narody jako zażartych konkurentów, usiłujących doprowadzić się wzajemnie do ruiny”.

Spojrzałem na okładkę, na datę wydania książki. Był to rok mego urodzenia: 1904. Pan G. Weulersse popisywał się swą znajomością „Współczesnej Japonii”, no i przyszłego gospodarstwa światowego, a polscy wydawcy pośpieszyli uprzystępnąć to dzieło rodakom, wsłuchanym w odgłosy Lajolanu i Mukdenu.

Nie, stanowczo nie miałem ochoty czytać owej broszury. Ale myśl, pobudzona głosem przeszłości pomknęła na wschód Eurazji i gdy po przerzuceniu kilku jeszcze bezwartościowych tomików trafiłem na szarą okładkę z nadrukiem: Okakuro Kakuzo: „Przebudzenie się Japonii”, Warszawa 1905 r. - postanowiłem zapoznać się z jej treścią. Cóż mówi przebudzony Japończyk? Mówił sporo rzeczy ciekawych i mądrych, lecz najbardziej uderzył mnie ustęp następujący:



„Stary, zacofany Wschód dotychczas jeszcze robi różnicę między środkiem a celem. Zachód dąży do postępu, ale postępu w czym? Ku czemu? Gdy osiągniemy materialny dobrobyt, jaki cel, pyta Azja, zdobędziemy wtedy? Kiedy namiętne dążenie do braterstwa ludów zakończy się powszechną kooperacją, do czego będzie ono służyć wtedy? A jeżeli zwycięży tylko interes osobisty, gdzie słuchać tego sławnego postępu?

„...Jednostki, które przyczyniają się do budowy swej wielkiej maszyny, zwanej nowoczesną cywilizacją, stają się niewolnikami mechanicznej rutyny, a potwór, którego sami stworzyli bezlitośnie ich druzgoce. Pomimo osławionej wolności prawdziwa indywidualność zniszczona jest na Zachodzie przez walkę o byt, a szczęście i zadowolenie - poświęcone ciągłemu pragnieniu czegoś więcej. Zachód chlubi się wyzwoleniem ze średniowiecznych przesądów, lecz cóż postawił na ich miejsce? - bałwochwalczą cześć dla kapitału! Jakież cierpienia i niezadowolenia kry ją się poza świetną maską terażniejszości! Głos socjalizmu jest językiem konania zachodniej cywilizacji - tragedią kapitału i pracy”.

Sucha sośnina strzelała w kominie, po ścianach tańczyły fantastyczne cienie. Nigdy nie czułem tak silnie jak wówczas, że pokolenie, którego częścią jestem zrodziło się na przełomie epoki, że wojna światowa, której widome ślady oglądać mogłem o sto kroków za oknem w mrocznych zarysach ruin budynków gospodarskich, zamknęła wielki rozdział historii. Ale jakież to rozdział? Jak daleko wstecz sięga? Czy po wielką rewolucję francuską? Tak sądzono dziesięć lat temu. Ale dziś widać, że rozdział to znacznie obszerniejszy, że czasy obecne to koniec okresu kapitalistycznego w dziejach Europy, okresu, którego początki przypadają na czasy Renesansu.

Dziś, kiedy optymizm i zarozumiałość europejskich pisarzy z 1904 r. wydają się nam echem czasów fantastycznie odległych, zaś groźne zapytania Okakuro Kakuzy straciły swój egzotyzm i brzmią tuż koło nas, wciąż natarczywiej - musimy sięgnąć myślą wstecz, zbadać genezę dnia dzisiejszego, wczytać się w bieg historii, aby uchwycić w niej i to, co doprowadziło do tragedii i to, co pozwala, mimo wszystko, patrzeć bez lęku w przyszłość aby wiedzieć, co zniszczyć z korzeniem, na czym zaś w walce się oprzeć.

Niełatwe to jednak zadanie. Nie znamy elementów historii. Potężna sugestia Marxa doradza, aby zarzucić trud poszukiwania wartości, aby patrzeć beznamiętnie na dzieje jako na konieczne fazy wyznaczonego z góry procesu, których żaden element nie jest ani zły, ani dobry, lecz po prostu dany jako składnik rzeczywistości, jako mająca swą rację teza i antyteza, łączące się w syntezę, aby znów wywołać zaprzeczenie i tak wciąż w koło. A jednak może mimo całej swej „nędzy” filozofia dobrego i złego, filozofia oceny moralnej da nam lepsze narzędzie do ręki, niż bezduszna dialektyka. Może jednak bardziej oderwiemy się myślą od kłębowiska współczesnego chaosu i lepszą zdobędziemy perspektywę, skoro spojrzymy na nie, nie przez pół stulecia liczące księgi potomka lwowskich rabinów, lecz przez te, które dwa tysiące lat temu natchnął inny Rabbi - z Nazaretu?

Ale czyż nie stajemy na gruncie marksizmu, skoro wielki czterechsetny okres dziejów chrzcimy nazwą, zaczerpniętą z jednej tylko dziedziny - produkcji materialnej, skoro epokę Kartezjusza i Kanta, Newtona i Darwina, Rafaela i Rodina, Cervantesa i Balzaca określamy jako okres kapitalistyczny? Każda nazwa jest nietrafna, każde określenie - jednostronne, ale czy nazwiemy tę epokę epoką Naturalizmu, czy - jak chce Bierdiajew - Renesansu, czy jakkolwiek, zawsze chwytamy ten sam pierwiastek, który dziś właśnie najdobitniej przemawia do nas swą stroną gospodarczą.

Cóż więc tworzy bieg dziejów? Współdziałanie wzajemne czynników ideowych i materialnych, czynników, które sprowadzić się do siebie nie dadzą. Żaden z nich nie jest pierwotny, żaden nie jest „nadbudową”, przynajmniej dokąd mówimy o faktach, nie zaś o wartości faktów. Ich walka o prymat rozgrywa się w innej dziedzinie, bynajmniej nie w tak zwanej socjologii. Czynniki materialne: przyroda, stopień i rodzaj jej opanowania, produkowanie i konsumowanie - wpływają silnie, często decydująco na bieg dziejów. Ale niemniej silnie działają idee, wartości moralne, nakazy religijne. Oba czynniki te wyrażają się w woli ludzkiej i to w dwojakiej postaci. Jedną z nich jest działalność szerokich skupisk ludzkich, działalność codzienna, nieświadoma swej historyczności, skierowana ku zapewnieniu sobie życia, postępowanie wielkiej ilości ludzi, przede wszystkim gospodarcze, ale i ideowe, a nawet religijne, tworzące obyczaj i szablon, drobne nawyki i przyzwyczajenia, postępowanie samo przez się nieciekawe i niedostrzegalne na przestrzeni dziejów, o ile rozpatrywać je u poszczególnych ludzi, ale łączące się w przestrzeni i czasie w olbrzymi strumień, płynący przez historię w tym lub innym kierunku. Wreszcie dołącza się trzeci element: świadoma wola ludzka, celowo kształtująca dzieje. Czy to już wszystko? Nie. Pozostaje jeszcze jeden wielki mocarz świata: przypadek.

Nie trzeba zresztą brać zbyt literalnie analogii ze strumieniem. Stary to, tainowski obraz postępu, płynącego równo jak rzeka, przy czym przodujące indywidualności ludzkie są tylko górującym nad powierzchnią grzbietem fali. O ileż trafniej ujmuje ten problem Stanisław Brzozowski: „Mit nieustannego, automatycznego postępu - mówi - przesłania nam tę prawdę, że wszystko, co kiedykolwiek było i jest wartością kulturalną, zostało stworzone przez wysiłek, że aby świat kultury powstał, musi on stać się przedmiotem dążeń, celem, ku któremu zmierza i wyteża się wola pokoleń”. Przemiany dziejowe są wynikiem ciągłych walk i zmagania, idee zaś często ziarnem rzucanym na wiatr, które wydaje nieoczekiwane i różne plony, zależnie od tego w jakie dusze padnie, jakie namiętności poruszy. Glebą jest człowiek, tak bogaty indywidualnie, że niepowtarzalny. W człowieku żyją tajemnicze, dotąd niezanalizowane elementy: dyspozycje umysłowe, temperament, sposób reagowania na bodźce zewnętrzne i wewnętrzne. Poważną, niedocenianą rolę grają tu czysto biologiczne różnice rasowe, ale znajomość tej dziedziny jest tak mało posunięta naprzód, że wszelkie sądy jej dotyczące muszą być wypowiedane z największą ostrożnością, aby, za przykładem Niemców, nie wpaść w zarozumiałe a płytkie sekciarstwo. Równie silną rolę gra tu dziedzictwo pokoleń,



prastarych wierzeń i obyczajów, przesądów, a także czysto zewnętrzne działanie klimatu, sposobu odżywiania i t. d. Kiedy się zważy te wszystkie czynniki, trudno się dziwić, że człowiek mieni się jak kameleon, że deterministyczna nauka „socjologii” z jej pretensjami do wykrycia w społeczeństwie „praw” opartych o zasadę przyczynowości - zawiodła na całej linii. Prawdliwość, o ile zachodzi w zjawiskach społecznych i historycznych nie jest odbiciem prawa: „podobne przyczyny wywołują podobne skutki”, lecz wyrazem psychologicznej prawdy, że „podobne impulsy wywołują na ogół u ludzi dość podobne reakcje, choć nigdy nie mamy pewności, że nie wywołają wręcz odwrotnych”.

Że tak bywa, o tym świadczą myśliciele, niezrozumiani przez epokę, których ocenia dopiero potomność, świadczą owe garstki idealistów, podejmujących walkę z ogółem swych współczesnych. Bez ludzi, mających odwagę przeciwstawienia się powszechnie uznanym opiniom, idee pozostałyby rzeczą martwą. Geniusz ludzki, to nie tylko zwierciadło, skupiające promienie, lecz i motor promienie te wytwarzający. Dlatego wiele zależy od doboru ludzi, od zjawienia się jednostek wybitnych i od ich struktury duchowej. Ich obecność na przestrzeni dziejów świadczy, że społeczeństwo, które ich wyduje, posiada jeszcze zapas sił żywotnych.

Kto z badaczy chciałby zagłębić się w tę różnorodność czynników historii, ten dokonałby ciekawej analizy, ale nie stworzyłby syntezy. Synteza jest zawsze upraszczaniem, a przez to i ubożeniem rzeczywistości. Zawsze ryzykuje się pominięcie szeregu zjawisk charakterystycznych, których uwzględnienie zmieniłoby przedstawiony obraz. Ale musimy ryzykować, gdyż zdanie sobie sprawy z przeszłości jest ważne dla oceny obecnego końca epoki.

Żyjemy w Europie i, co na to samo wychodzi, w świecie cywilizacji chrześcijańskiej. Cywilizacja ta wydała swe najpiękniejsze, jak dotąd, owoce w XIII wieku naszej ery, po czym rozpoczyna się jej cofanie, które współcześnie doprowadziło do odpadnięcia od chrześcijaństwa Rosji a w dużym stopniu grozi tym samym w Niemczech. Wypadki takie zdarzały się na przestrzeni dziejów, wystarczy wspomnieć całą północną Afrykę z Egiptem oraz Azję Mniejszą. Istnieje jednak poważna różnica: kraje owe odpadły na skutek podboju zewnętrznego, podczas gdy współcześnie widzimy siły antychrześcijańskie wychodzące z wewnątrz, z łona społeczeństw chrześcijańskich. Siły te grożą zniszczeniem cywilizacji chrześcijańskiej. Chrystianizm nie zginie wprawdzie: jest wieczny i do niego należy ostateczny triumf, ale nim to się stanie, cywilizacja chrześcijańska może zginąć, gdyż jest, jak każda cywilizacja, tworem ludzkim, nie Boskim.

Cywilizacja chrześcijańska rozwinęła się na glebie nie dziewiczej, lecz z dawna uprawianej przez ludy antyczne. Wchłonęła w siebie wszystko z puścizny helleńskiej i rzymskiej, co nie sprzeciwiało się zasadom religijnym i moralnym nauki objawionej. Święty Piotr i jego następcy osiadają w ówczesnej stolicy świata i pozostają jej wierni mimo niesprzyjających warunków politycznych, które zmuszają cesarów - pierwszych cesarów chrześcijańskich do przeniesienia siedziby swej na ziemi helleńskie. I gdy zachód Europy staje się ziemią kresową, zalewaną falami

ludów barbarzyńskich, stolica Piotrowa w coraz większym stopniu staje się latarnią, oświecającą mroki.

My, wykarmieni zachwytem nad Renesansem, lubimy rozciągać „mroczność średniowiecza” na całą epokę aż do „ery nowożytniej”. Jest to fałsz. Wszystkie podziały dziejów posiadają, oczywiście, cechę konwencjonalną, ale konwencja, w której nas wychowano, wywiera wielki wpływ sugestywny. W istocie trudno powiedzieć kiedy skończyły się czasy starożytne. Można, wraz z Comtem, za chwilę przełomową uznać akty Konstantyna Wielkiego: edykt mediolański i obranie Bizancjum za stolicę, ale pamiętać trzeba, że w świadomości współczesnych nie był to przewrót większy niż np. reformy Piotra W. w Rosji. W żadnym zaś wypadku nie można słupa granicznego dwóch epok ustawiać w momencie detronizacji Romulusa Augustulusa w r. 476. Wypadki te i cały ów okres nie mają większego znaczenia, niż np. w dziejach Chin okres lat 220 - 317, kiedy to Państwo Smoka dzieli się a później znów jednoczy, kiedy barbarzyńcy mongolscy i tureccy osiedlają się w granicach imperium a stolicą zamiast kresowego już Pekinu staje się lepiej położony Nankin. Rok 476 w Europie świadczył tylko o tym, że władza plemion germańskich w Italii utrwaliła się, godność zaś cesarska odzyskała swój blask przez zniesienie karykatury władzy z Rawenny i skupienie obu diademów na głowie cesarzy wschodnich.

Imperium antyczne trwa nadal na ziemiach zhellenizowanych, jeszcze nawet (aż do represji justyniańskich) trwają igrzyska olimpijskie, kwitnie akademia platońska. I w czasie gdy zachód Europy pogrąża się coraz bardziej w barbarzyństwie, na wschodzie schryścianizowana cywilizacja starożytna wydaje imponujące dzieła zarówno na polu prawodawczym jak gospodarczym, jak wreszcie militarnym. Imperium jest bastionem chrześcijaństwa w ustawicznych bojach krzyżowych z napierającymi poganami zarówno barbarzyńskimi jak i cywilizowanymi (Persja). Przełomem, stanowiącym na Wschodzie prawdziwy słup graniczny między uniwersalnym cesarstwem starożytności a lokalnym imperium bizantyjskim jest dopiero dojście do rządów dynastii syryjskiej (dawniej uważanej za izauryjską) i przewrót kulturalny znany pod nazwą obrazoburstwa. Były to już wpływy islamu, który właśnie kończył asymilację kulturalną starożytnej Persji. Przez pierwszą dynastię cesarską pochodzenia wschodniego, azjatyckiego, duch islamu, wycisnął piętno na społeczeństwie swych największych wrogów. Fakt ten rozluźnił więzy między Bizancjum a zachodem Europy, który po raz pierwszy poczuł się czymś więcej, niż ubogim krewnym. A gdy w siedemdziesiąt lat później tron cesarski po raz pierwszy w dziejach Imperium Rzymskiego zajęła kobieta, Zachód posiadał już tyle mocy i kultury, odczuwał tak silnie zasady legitymizmu rzymskiego, biskup zaś rzymski posiadał tyle mocy duchowej, że nieistniejącego cesarza wschodniego zastąpił w r. 800 cesarz zachodni, który, początkowo nie dorównywający mu ani bogactwem, ani kulturą, równa się z nim już potęgą wojskową. W trzysta lat później prymat należy już zdecydowanie do świata zachodniego, reforma kluniacka zamyka właściwie okres średnich, przejściowych wieków i gdy na ziemiach o kulturze helleńskiej zaczyna się schyłek przypieczętowany

najazdami Mongołów i Turków, ziemie zachodnie wydają wielką cywilizację, która po dziś dzień trwa jeszcze w duszach naszych, mimo wszystkich przemian, jakie przyniosły czasy nowożytne.

Oczywiście nie można zamykać oczu na liczne cechy ujemne, wspólne zarówno wczesnemu średniowieczu, jak i owej wspaniałej epoce stuleci od XII do XIV. „Doskonale znamy - mówi Bierdiajew - negatywne i naprawdę ciemne strony średniowiecza: barbarzyństwo, gruboskórność, okrucieństwo, przemoc, niewolnictwo, nieuctwo w dziedzinie nauk pozytywnych z zakresu przyrodoznawstwa i historii, religijny terror, połączony z obłądnym strachem przed mękami piekła. Lecz wiemy także, że czasy średniowieczne odznaczały się niesłychaną religijnością, cechowała je tęsknota za niebem, która czyniła narody narzędziem świętego szaleństwa; wiemy, że cała kultura średniowieczna skierowana była ku transcendentnemu, ku „tamtej stronie”, że wieki te były okresem wielkiego natężenia myśli w scholastyce i mistyce, natężenia, które miało dać odpowiedź na ostateczne zagadnienia bytu, natężenia, któremu równego nie ma epoka nowożytna”.

Bierdiajew trafia tą oceną w sedno, ale i on jeszcze popełnia błąd podciągania pod jeden strychulec całego tysiąclecia. Inny autor, piszący w kilka lat później, aczkolwiek z racji swych przekonań politycznych predysponowany do pogardliwego traktowania średniowiecza, mniej już ulega sugestii terminów. Myślę o Henryku de Manie, który w swej „Idei socjalistycznej” z wielką przenikliwością odróżnia epokę po r. 1000 od poprzedniej, stwierdzając zachodzenie w tych czasach wielkich przemian duchowych i cywilizacyjnych.

Najważniejszą jest przemiana religijna. Przebrzmiały ostatnie echa wielkich herezji, zrodzonych na Wschodzie (arianizm), ogólny poziom kultury, a więc i kultury religijnej, wzrasta, a jednocześnie znikają z niej pierwiastki grozy i oczekiwań na rychły koniec świata (rok 1000 jest tu przełomowy). Miejsce prostracji duchowej i lęku przed szatanem zajmuje postawa czynna i poczucie, że z pomocą łaski Bożej każdy człowiek pokonać może zło.

Ewolucja ta tkwi korzeniami w odrębnościach cywilizacyjnych Wschodu i Zachodu, sięgających antyku, decydujący zaś impuls otrzymała w początkach V i VI wieku w dziełach życia dwóch wielkich umysłów i charakterów: Św. Augustyna i Św. Benedykta. Obaj rzucili ziarna pod odrębne niż na Wschodzie pojmowanie chrześcijaństwa, z posiewu tego wyrosła w pół tysiąca lat później imponująca cywilizacja.

Chrześcijaństwo wschodnie mimo zwyciężenia gnostycyzmu i potępienia Orygenesusa, zachowało na stałe skłonność do uważania ciała za więzienie duszy i odwracało wzrok człowieka od spraw ziemskich, a zwłaszcza od stykania się z siedliskiem zła: materią; dlatego również samo istnienie świata uważało za okoliczność nieszczęśliwą a jego koniec - za wyzwolenie. Święty Augustyn pchnął myśl chrześcijańską w innym kierunku. Gdy pod wpływem nieszczęść trapiących świat cywilizowany Hesychius, biskup Salony poczyną głosić naukę o bliskim końcu świata,



Augustyn zbija jego argumenty, zbija je z energią świadczącą o dużym zaniepokojeniu, gdyż tego rodzaju spekulacje eschatologiczne odwracają umysły od spraw ziemskich, rozhartowują charaktery, odwodzą od spełniania obowiązków narodowych i obywatelskich. Wierni, przepojeni wiarą, że bliskie jest królestwo niebieskie, królestwo powstające przez zniszczenie świata ziemskiego - wpaść mogą w zobojętnienie, w prostrację, pogardzą zarówno pracą w dniach pokoju jak walką w czasie wojny. Staną się nieczuli i dalecy wobec ojczyzny ziemskiej, żyjąc wciąż tylko nadzieją ojczyzny niebieskiej. A to jest rzeczą błędną, gdyż właśnie na ziemi wcielać trzeba w życie Civitatem Dei. Dla tego, gdy przyjaciel św. Augustyna, Bonifacius, namiestnik Afryki myśli po śmierci żony o habicie mniszym, święty biskup Hippony przywołuje go do rzeczywistości: najpiękniejszą ofiarą, złożoną Bogu będzie pozostanie w służbie swego kraju, chronienie go zbrojnym ramieniem przed najazdem Wandalów.

Te ziemskie, trzeźwe pierwiastki myśli wielkiego świętego nie od razu wybiły się w natłoku innych. A jednak niewątpliwie odegrały rolę w charakterze wielkiego dzieła św. Benedykta. W r. 529 na Monte Cassino powstaje zakon, który dyscyplinę pracy podnosi do cnoty równej modlitwie i kontemplacji. Benedyktyni wraz z pochodnymi od nich zakonami wpajali poprzez stulecia ludom zachodnim przekonanie, że Bogu i zbawieniu służy się przez pracę, że nie pogarda materii, lecz jej przetwarzanie uszlachetnia naturę człowieka i wyzwala z grzechu. I gdy minął ostatni wielki paroksyzm strachu przed końcem świata, społeczeństwa zachodniej Europy wydają z siebie cywilizację świeżą i radosną o wierze pewnej i śmiałej a groźny, apokaliptyczny Chrystus z mozaik bizantyjskich, Chrystus wyroku i Sądu Ostatecznego ustępuje na Zachodzie ewangelicznemu Jezusowi, odkupiającemu świat i dusze ludzkie, Bogu, który stał się człowiekiem, cieślą i nauczycielem, który miłością spoił wszystkich swych synów duchowych i wytworzył harmonię dusz ludzkich.

De Man zwraca uwagę na niedocenianą, ba, wręcz negowaną cechę tych czasów: stosunkowo dużą swobodę myślenia. Prawda, zaczynała się już inkwizycja, ale działała ona przeważnie tam, gdzie pojawiały się dążności wywrotowe, grożące całej cywilizacji, poza tym karano za bluźnierstwa tak, jak dziś karze się za zniewagę narodu i państwa; stosowano zresztą tylko antyczne prawo „de lesae maiestatis”, rozumując, że nie można karać słabiej zniewagi Króla Niebieskiego, niż świeckich monarchów. Ale jednocześnie w łonie chrześcijaństwa ścierały się szkoły bardzo rozbieżne. Wyraźnie kacerski Siger z Brabantu rozwijał na uniwersytecie paryskim żywą działalność; potępienie w 1270 r. przyniosło mu tylko zwiększenie sławy i powodzenia; dopiero w 7 lat później utracił katedrę. Nie słyhać o ateistach nie dla tego, że terror zmuszał do milczenia, lecz dla tego, że ich po prostu nie było. „Ówczesnemu człowiekowi - mówi de Man - równie nie przychodziło na myśl przeczyć istnieniu Boga jak człowiekowi z naszych czasów przeczyć istnieniu świata naturalnego”. „Walki duchowe między scholastykami nie były inne, niż dzisiejsze walki na terenie nauki, gdyż to, co my dziś nazywamy nauką, to była podówczas właśnie scholastyka”.

To głębokie przekonanie o rządach Boga nad światem i o ustanowionym przez Niego porządku moralnym kładzie szczególne piętno etyczne na społeczeństwo owych czasów. Nie znaczy to, aby ludzie nie popełniali przestępstw i zbrodni, ale świadczy o wysokości ideału moralnego. Podczas gdy w wysoko cywilizowanej Romie pogańskiej zbrodnie władców uchodziły bezkarnie, podczas gdy wielki moralista, Seneka, płaszczy się przed Neronem i usprawiedliwia matkobójstwo, w „ciemnym” średniowieczu widzimy mnichów i biskupów, karcących z narażeniem życia możnych tego świata, zatraskujących przed nimi wrota świątyń, rzucających klątwę na nieprawnych. Pamięć występnych piętnowały kroniki, piętnowały przezwiska jak Parrycydy i Okrutnika, mordercy kajali się i pokutowali. Renesans antycznych wzorów i pod tym względem wrócił do starożytnej tradycji: Machiavelli, człowiek świadomy różnicy między dobrem i złem, patriota, dostępny wyższym uczuciom, nie waha się przedstawiać cezara Borgii jako wzoru politycznego.

Jeszcze wyraźniej występuje różnica epok w dziedzinie gospodarczej. W wieku XIII nie brakło, jak i dzisiaj niesumiennych kupców, lichwiarzy oraz przedsiębiorców, bogacących się na krzywdzie współzawodników. Od czasu do czasu niektórzy z grzeszników i wyzyskiwaczy wpadali w rozpacz z powodu obrazy praw Boskich lub z lęku przed ogniem piekielnym i żal swój wyrażali w dziełach miłosierdzia oraz fundacjach pobożnych. Współczesne im społeczeństwo budowało się skrucą grzeszników i modliło się o odpuszczenie im grzechów. Trzeba było pół tysiąca z górą lat „postępu”, aby ten sam typ drapieżnego, bezlitosnego sępa doczekał się wysokiego szacunku dla tego tylko, że zdobył miliony. A gdy jakiś Rockefeller, stojąc nad grobem przeznaczony część skradzionego, krwawego majątku na cele oświaty lub miłosierdzia, to uważa się w swym sumieniu za bohatera, nie za pokutnika, a co więcej, oklaskuje go i wielbi pół świata. Tak samo oklaskiwano by do dziś Kreugera gdyby nie wysoce naganny fakt, że przegrał swoją stawkę.

Dla tego mimo naszej niezaprzeczonej zalety, że nie topimy czarownic, nie uprawiamy guseł i nie używamy w zwykłej procedurze karnej tortur fizycznych, zostawiających ślady, powinniśmy z większą pokorą spoglądać na cywilizację XII i XIII wieku. Nasz humanitaryzm – bądźmy szczerzy – wypływa bardziej ze słabości nerwów, niż z dobroci. Ludzie średniowiecza byli okrutni i krwawi, ale umieli również umierać i znosić męczarnie...

Wiek XIII wydał postać, która symbolizuje ideał etyczny w życiu politycznym: św. Ludwika. Ów król, który nie uchybił nigdy sprawiedliwości, monarcha zubożający się o całe terytoria, skoro ich posiadanie uznał za bezprawne, władca, pleniący surowo nadużycia a zarazem spełniający dzieła miłosierdzia, wojownik mężny i natchniony, wielki w szczęściu i nieszczęściu, oddający swe życie za wiarę – on sam już zadaje fałsz twierdzeniom o barbarzyństwie swych czasów.

To samo stulecie wydało świętego Tomasza z Akwinu. Henryk de Man, który jako wybitny członek drugiej międzynarodówki nie może być podejrzany o klerykalizm tak ocenia jego dzieło

filozoficzne: „Nie na- próżno główna praca Tomasza z Akwinu nosi tytuł Summy. Jest to istotnie bilans całej myśli średniowiecznej, a więc w pewnym sensie - całej myśli ludzkiej aż do późnego średniowiecza. A ponieważ równowaga tego bilansu posiada zadziwiające proporcje, przedstawia ona prawdziwy system. Mało jest dzieł duchowych, którym by to określenie bardziej odpowiadało. Między poprzednikami może mogłoby ubiegać się o nie dzieło Arystotelesa. W porównaniu z nim i ze świętym Tomaszem, wszystkie próby systematycznego tłumaczenia świata, podejmowane później przez Spinozę, Kartezjusza, Leibniza aż do Hegla okazują się fragmentaryczne... Od świętego Tomasza nikt już - oczywiście, ponieważ środowisko społeczne na to nie pozwoliło - nie urzeczywistnił tego, do czego on doszedł: do połączenia w prawdziwej syntezie idei jednostki i zbiorowości, egoizmu i altruizmu, autorytetu i wolności, zjawiska i jego wyobrażenia, rzeczywistości i normy, tworzenia i ewolucji, poznania i intuicji, szczęścia i zbawienia.

Ale oczywiście, o wartości cywilizacji świadczą nie tylko szczytowi jej przedstawiciele, ale również przeciętne zapatrywania przeciętnych ludzi i wspierający się na nich ustroj gospodarczy i polityczny.

Średniowiecze w swym rozwoju historycznym wytworzyło dwa samodzielne style cywilizacyjne: feudalny i mieszczański. Rozwój ten nie był oczywiście łagodną ewolucją: początkowy absolutyzm Karolingów rozluźnia się wśród walk i zamieszek aż wreszcie - w niektórych przynajmniej krajach - przetwarza w anarchię. Dopiero w wieku XIII ustala się równowaga, daleka, jak zawsze, od doskonałości, ale ciekawa, pozwalająca na bujny rozwój indywidualności przy zachowaniu zwierzchniego autorytetu. Całe piękno zasady feudalnej, zasady rzadko zresztą, jak wszelkie zasady, całkowicie urzeczywistnianej, ale rozumianej i odczuwanej powszechnie, polega na wzajemności praw i obowiązków, pozwalających na harmonijne współżycie wewnątrz społeczeństw. Ówczesna hierarchia trzymała się nie tylko siłą, ale również poczuciem prawa.

W łonie ustroju feudalnego rozwinęło się wolne mieszczaństwo. Oczywiście, wolności swych nie osiągnęło bez walki. Styl cywilizacyjny miejski polegał, podobnie jak feudalny, na zasadzie hierarchii, ale był bardziej demokratyczny i dynamiczny, opierając się o awanse cechowe. Podczas gdy stan rycerski rację istnienia swego czerpał z zasady ofiary życia w obronie wspólnego dobra i wszelką pracę zarobkową uważał za niższy rodzaj zajęcia, osłabiający gotowość bojową - miasta, wolne zasadniczo od troski wojennej wytworzyły typ człowieka pracującego na swe utrzymanie, a mimo to (w przeciwieństwie do chłopów) wolnego i niezależnego. Wyzwalanie się gmin miejskich spod władzy panów feudalnych odegrało w ten sposób wielką rolę cywilizacyjną, a choć dalszy rozwój tego procesu przyczynił się do powstania kapitalizmu, niepodobna za jego grzechy winić mieszczaństwa średniowiecznego. Praca nie jest podówczas, jak w okresie kapitalizmu, celem sama w sobie, lecz współuczestnictwem w planach Bożych, hołdem Bogu oddawanym, jest na równi z

modlitwą przewyciężeniem grzechu w duszach ludzkich w myśl nakazu Benedyktynów „Ora et labora” oraz ich głębokiego i pięknego aforyzmu: „Qui laborat, orat” - kto pracuje, ten się modli.

A jednak cywilizacja średniowieczna, tak wspaniała i etycznie wysoka, tak bujna i tak zharmonizowana - nie przetrwała długo. Osiągnęła swój szczyt w XIII stuleciu, a już następnie wykazuje swe cechy dekadencji. Jeszcze niecałe dwa wieki i z dumnej budowy pozostaną gruzy, na których wyrasta nowy świat, nowi ludzie, nowy okres dziejów. Elita duchowa Europy staje w ostrym przeciwieństwie do swych wielkich poprzedników, łamie się linia rozwojowa w sztuce, w filozofii, w gospodarstwie, w polityce. Co spowodowało ten kryzys?

Jak zawsze w skomplikowanych zjawiskach dziejowych, działa tu nie jedna przyczyna, lecz cały, ogromny ich zespół. Dążenie do przedstawienia ich w całości prowadzi do zagubienia się w powodzi faktów, próby syntezy są zawsze uproszczeniem, któremu można zarzucić jednostronność. Trudności są zresztą większe przy badaniu średniowiecza niż jakiegokolwiek innego okresu dziejów.

Myślę, że wiele wyjaśni przypomnienie owych dwóch filarów, na których wspierała się cywilizacja szczytu średniowiecza: feudalizmu i ustroju miejskiego. Pełne wykształcenie się społeczeństwa europejskiego, jego rozkwit kulturalny był w znacznej mierze wynikiem wojen krzyżowych. Znaczenie ich, niedoceniane powszechnie, przypomniał Chesterton. Wojny krzyżowe nie były podobne do innych wojen średniowiecza, ani do żadnej późniejszej (aż do 1791 roku) wojny, kiedy to walczyły z sobą hufce rycerzy lub pułki najemników. Wyprawy krzyżowe, przeciwnie, porywały z sobą ogromne masy ludności. Szło rycerstwo, ale szły i miasta, szli chłopci poddani, których panowie wstrzymywać nie chcieli, a i nie mogli pod grozą klątwy, szły masy (jak byśmy dzisiaj powiedzieli) bezrobotnych. A ci, którzy pozostali we Francji, Anglii, Niemczech, Włoszech, żyli oczekiwaniem nowin z fantastycznie odległych, a jednak bliskich sercu krajów. Wieśniak z Kornwalii nie słyszał zapewne o istnieniu Mediolanu a pastuch z Owernii nie domyślał się, że na świecie jest miasto, co się zowie Londyn, ale jeden i drugi znali dobrze nazwy takie jak Betlejem, Nazaret, Jordan, Morze Martwe. I gdy w lat kilka po wyprawach wracały do kraju niedobitki, wówczas nie tylko panowie feudalni, lecz i lud najuboższy oplotkiwał swoich bliskich, radośnie słuchał o zdobyciu Jeruzalem a z grozą przyjmował wieść o rzezi nad jeziorem Genezaret.

Wojny krzyżowe (wraz z walkami w Hiszpanii) wywołały renesans kulturalny o znaczeniu większym niż pseudorenesans XVI wieku. Poziom bogactwa, poziom oświaty, poziom kultury podniósł się wysoko. Odkryto na nowo szereg pism starożytnych, zakwitły uniwersytety, bujnie rozkrzewiła się literatura (Wolfram von Eschenbach, poezja prowansalska). Ale ten żywy rozkwit zawierał w sobie - jak zwykle - pierwiastki rozkładu. Fantastyczny Wschód ze swym blaskiem i występkiem wywoływał szybką degenerację tych, co pozostali w Palestynie i Syrii. Miejsce żarliwości religijnej zajmować poczęła chęć wyrafinowanego używania życia, oraz zamiłowanie w tajemnicach magicznych, tak typowych dla Wschodu. Znane są oskarżenia templariuszy - jeszcze na terytorium



Ziemi Świętej - o podejrzane związki z sektą assasinów, których tajemne obrządki przeszły w Syrii do dzisiejszych Druzów, w Europie zaś po bujnym rozkrzewieniu się w paryskim Temple' u i krzyżackim Malborku przetrwały, spłycone i groteskowe, w symbolice wolnomularstwa. Zarazem - rzecz charakterystyczna - templariusze i krzyżacy stali się pierwszymi w średniowieczu chrześcijańskimi kapitalistami finansowymi na dużą skalę, dzieląc się swymi wpływami z drugą potęgą finansową - żydostwem. Od Żydów lombardzkich i zakonów krzyżowych pochodzi kapitalizm bankowy, tak jak kapitalizm produkcyjny wywodzi się od tkaczy flandryjskich.

Te wszystkie ciemne strony wypraw krzyżowych nie mogły podważyć podstaw cywilizacyjnych epoki, póki przeważającą nutą był jeszcze zapal religijny. Upadek Jerozolimy i dalszy rozwój wypraw krzyżowych musiały jednak wstrząsać zasadami moralnymi ludzi. Prawdopodobnie rację ma Chesterton, mówiąc, iż średniowiecze umarło z rozczarowania. Już trzecia krucjata mogła odebrać ducha, ale późniejsze wręcz rodziły zwątpienia. Zdobycie Bizancjum było spaceniem wyprawy, a piąta wyprawa mogła budzić tylko zgorszenie. Było już rzeczą oczywistą, że Ziemia Święta stała się jedynie argumentem w walce papieżstwa z cesarstwem. Fryderyk II, religijnie obojętny, zaciągający do swej armii muzułmanów, aby nie obawiać się klątwy, był dostatecznie wielką postacią, żeby odegrać rolę fatalną dla ducha średniowiecza. Ale i strona przeciwna nie stała na wysokości swych zadań. Musiało budzić zgorszenie wiernych, gdy widzieli jak Fryderyk używa wybiegów dla uchylecia się od ślubowanej krucjaty i jak obarczony za to klątwą nagle zmienia postępowanie i ciągnie do Palestyny, zaś papież Grzegorz IX zabrania mu tej wyprawy; jak cesarz przez dyplomatyczne układy z niewiernymi wytargowuje od nich Jerozolimę a patriarcha świętego miasta okłada interdyktem miejsca Męki Pańskiej, skalane pobytom wyklętego. I późniejsze wypadki nie przyczyniły się do zbudowania ludzi pobożnych. Bezwzględne niszczenie całego rodu Hohenstaufów, zgubienie Manfreda i Konradyna, w równym stopniu zmniejszało urok Stolicy Apostolskiej, w jakim zwiększało jej potęgę polityczną. Rozumiał to święty Ludwik, który był sumieniem stulecia.

Bodaj że te wypadki, rozgrywające się w okresie największej świetności cywilizacji średniowiecznej były śmiertelnym ciosem w tę cywilizację. Skutki nie ujawniły się rychło, wręcz przeciwnie, druga połowa XIII stulecia była areną pracy i twórczości św. Tomasza z Akwinu i św. Bonawentury najbardziej franciszkańskiego ze wszystkich uczniów św. Franciszka. Ale już pękały i łamały się wewnętrzne wiązania moralne. Dojrzewały umysły, lecz wyziębiały się serca. Koniec stulecia oglądał utratę przez chrześcijan ostatniej piędzi Ziemi Świętej, ale nikt już nie wyruszył na krucjatę.

Oslabienie więzów moralnych ujawniło zmiany jakie zaszły w życiu gospodarczym, podobnie jak zaniedbanie brzegów rzeki ujawnia przez wylewy zmianę jej nurtu. Dopływ kruszców i rozwój handlu wschodniego usuwa ostatnie ślady gospodarki naturalnej, powoduje ubożenie

rycerstwa i wzrost znaczenia miast. Mimo to nie można jeszcze mówić o kapitalizmie. Okres ten, jak się słusznie wyraził de Man, nie tylko nie jest kapitalistyczny, ale jest wręcz antykapitalistyczny. Jeszcze reguły moralne rządzą życiem gospodarczym, jeszcze nie ma mowy o produkcji kapitalistycznej, jedynie w XIV stuleciu zaczyna się a w XV rozwija się potężnie akumulacja kapitałów finansowych. Od niej krok tylko do chałupnictwa, a proces ten rozwija się raczej poza murami miast; w ich obrębie korporacje, cechy i gildie utrzymują dawne pojęcia. Wiek XIV jest widownią (zwłaszcza we Flandrii) walki ducha korporacyjnego, reprezentowanego przez warstwy uboższe z kapitalistycznymi zapędami plutokracji, walki w której plutokracja jeszcze nie osiąga zwycięstwa.

Ani bogacenie się poszczególnych mieszczan, ani zachwianie się feudalnych pojęć własności, opartej o stosunki rolne i będącej materialnym umożliwieniem spełniania pozagospodarczych powinności - nie wystarczało do powstania zjawiska kapitalizmu. Czynnikiem decydującym stało się rozerwanie średniowiecznego związku między kapitałem, pracą i produktem.

Proces ten rozpoczyna się upadkiem zakazów pobierania procentu. Kształtowanie się państw narodowych na gruzach feudalizmu zwiększało funkcje, a tym samym i potrzeby pieniężne monarchów. Prawda, zaciągali oni lichwiarskie długi i dawniej, ale wierzycielami byli Żydzi, których od czasu do czasu wypędzało się, skreślając długi. System ten redukował nadmierne ciężary stopy procentowej. Wiek XV wytworzył już centra kapitalizmu międzynarodowego, chronione przez sojusz ze swymi panującymi a bezlitośnie łupiące ościennych monarchów. System zastawu zabezpieczał pewność sum inwestowanych, a trudność spłat gotówkowych przez dłużników sprawiała, że zastępowano je zyskownymi koncesjami. Fuggerowie w karierze swej przeszli przez etap produkcji górniczej (miedź i srebro). Zjawia się już powszechne pojęcie kapitału nie związanego z określonym zawodem, przynoszącego zyski nie dzięki pracy, lecz dzięki kombinacjom finansowym.

Przemiany w handlu przyspieszają tę ewolucję. Wraz z poprawą dróg i obfitością pieniądza tracą na znaczeniu dawne jarmarki krajowe i międzynarodowe, transakcje z periodycznych przemieniają się w stałe, pojawiają się giełdy (początkowo w Antwerpii i Lyonie). Jest to zmiana o wielkim znaczeniu. Na jarmarkach wymieniano konkretne towary, sprawdzane na miejscu w swej jakości i wadze dla ustalenia ceny. Giełda natomiast jest miejscem wymiany abstrakcyjnych walorów i zobowiązań. Handluje się na nich zarówno zbożem i suknom jak walutą i pożyczkami państwowymi, a zagadnienie konkretnej ceny ustępuje miejsca zagadnieniu abstrakcyjnego kursu.

Giełda staje się ziemią obiecaną Żydów. W średniowieczu potęgą ich opierała się, od czasu ustania handlu niewolnikami wyłącznie niemal na lichwie, zawódzie lukratywnym, lecz nader ryzykownym, wobec zasady, iż Żydzi są własnością panującego. Obecnie przemiana życia gospodarczego daje im możliwość wyzyskania wiekowych doświadczeń i wynalazków, dokonanych w szkole lichwiarstwa. Sombart genialnie wykazał związek między duchem talmudycznego mozaizmu i formami gospodarczymi, jakie Żydzi prowadzili w zaraniu wieków nowoczesnych.

Zwyczajem kroczy weksel, zjawia się warrant, ubezpieczenia morskie, a potem i lądowe, w końcu akcja i obligacja. Duch spekulacji ożywia świat, rodzi się loteria, mania zakładów dorównywa współczesnemu jej nasileniu w Ameryce; w braku zawodów bokserskich antwerpczycy zakładają się o płeć mających się narodzić dzieci, o daty wypadków historycznych itd.

Wyniki podróży odkrywczych, rozszerzające obszar świata dodały nowej energii czynnikom kapitalistycznym. Handel międzynarodowy, niekępowany w tym stopniu co dawniej prawami składu, teraz, korzystając ze szlaków morskich, rozwija się wspaniale; wielki napływ kruszców z Ameryki hiszpańskiej wywołuje, jak każda inflacja dalsze ożywienie gospodarcze i dalszy wzrost ducha spekulacji.

Równoległe z tymi przemianami na polu ekonomicznym następował przewrót w pojęciach i ideach ludzkich.

Kościół tracił coraz bardziej autorytet. Awinion zadał cios jego potędze, ograniczył horyzonty. Wielka schizma wykazała naocznie ogrom upadku, z którego zaledwie częściowo dźwigają Kościół sobory; rewolucja husycka groźna jako ostrzeżenie przed skutkami nadużyć, nie wywołała wstrząsu opinii dostatecznie wielkiego, aby spowodować odrodzenie. A tymczasem stan moralny kleru był rozpaczliwy... Już na siedemdziesiąt lat przed wystąpieniem Lutra stwierdzało papieństwo, że nadużycia księży „wywołują nienawiść ludu przeciw całemu stanowi duchownemu”, i w razie braku poprawy na miejsce herezji husyckiej „wybuchnie niebawem nowa, jeszcze groźniejsza, gdyż każdy powie, że kler jest niezdolny do poprawy; reszta szacunku wobec stanu duchownego wygaśnie, winę przierzucą wszyscy na Dwór Rzymski i rozpoczną prześladowanie księży jako rzecz miłą Bogu”.

Naprawa nie nastąpiła. Przywrócona została wprawdzie jedność, papież wrócili na stałe do Rzymu, ale w trosce, bardzo zrozumiałej na tle stuletnich z górą doświadczeń natychmiast po uporaniu się z opozycją soborową, uwagę swą skierowali na umocnienie swej władzy świeckiej we Włoszech i rychło przestali różnić się pod względem politycznym od innych książąt włoskich. To zeświecczenie Stolicy Apostolskiej wyszło na dobre artystom renesansowym, ale palące zagadnienia nadal nie były rozwiązane, a tragedia Savonaroli stanowiła niepokojące memento. Najbliższego z kolei buntu religijnego nie zdołano już opanować. Ponieważ nie zdobyto się na reformę, która byłaby szczęściem dla cywilizacji chrześcijańskiej w Europie, doczekano się Reformacji, która stała się nieszczęściem.

Jedność europejska została rozbita, cała niemal północ stracona. Szereg wielkich umysłów i charakterów oddał się walce z Kościołem, zamiast być jego oparciem, prymat pozostałych w wierności ludów śródziemnomorskich wycisnął na katolicyzmie swe piętno duchowe, ze swymi jednostronnymi zaletami i wadami. Pod sztandarem reformacji zaczął kształtować się odmienny

typ duchowy i wpływać potężnie na przemianę kultury europejskiej. Kontrreformacja ocaliła wiele i nawet odzyskała sporo, ale przeciwstawne bieguny pozostały przeciwstawnymi biegunami. Protestantyzm, tam gdzie się utrzymał, zapuścił głębokie korzenie. Przestał być sektą, stał się wyznaniem.

Znaczenie luteranizmu i kalwinizmu polegało nie tylko na rozbiciu jedności religijnej katolickiej Europy, na swobodzie komentowania Pisma Św. i na zastąpieniu namaszczonych, uprawnionych do odpuszczania grzechów kapłanów - urzędnikami do spraw religijnych, budzącymi pobożność przez mowy i obrządki, ale nie różniącymi się w istocie swych funkcji od burmistrzów lub wójtów. Najgłębsza różnica z wiarą średniowiecza leżała w odmiennym poglądzie na wyzwalanie się z grzechów i jego skutków.

Od przełomu roku 1000 myśl europejska odbywała ewolucję, polegającą na oddalaniu się od problemu Sądu Ostatecznego i coraz silniejszym zainteresowaniu sądem Boskim bezpośrednio po zgonie. Coraz silniejsza była wiara w miłosierdzie Boże, coraz większa ufność, że moralne, codzienne, byle bogobojne życie nie jest przeszkodą do zbawienia. Nastrój dusz był coraz mniej ponury, miejsce barbarzyńców dalekich od zgłębienia nauki Chrystusa oraz mnichów, trwożących ich piekłem zajmuje synteza pobożnej światowości. Kluniacy walczą i przeprowadzają reformę stosunków ziemskich, a przez to wzmacniają optymizm chrześcijański. Kwitnie już sztuka, muzyka, późne średniowiecze jest bardzo wesołe, wręcz żywiołowo wesołe. Nie brak, oczywiście wyskoków i wypaczeń, nie brak i reakcji, ale w jej wyniku duch ludzki wzbija się coraz wyżej. Takim potężnym ruchem przeciw zbyt niemu zeświecczeniu była reforma cysterska, współczesna pierwszej krucjacie. Nam z odległości ośmiu stuleci wydają się owe przemiany czysto kościelnymi, administracyjnymi posunięciami w „mrokach średniowiecza\*”, a wszystkie zakony niemal równie antyczne. Błąd to ogromny. Cała kultura nasza wyszła ze średniowiecza i w nim się ukształtowała, a klasztory zawierały w sobie tę kulturę pra wie bez reszty. Ruch cysterski, którym dziś, prócz pisarzy kościelnych zajmują się przeważnie historycy architektury, był o wiele potężniejszym zjawiskiem niż np. przewrót romantyczny sprzed stulecia, który wbijają nam w głowy historycy literatury. Cystersi byli purytanami XII wieku, tylko bez podkładu herezji; Savonarola czułby się ich bratem i współbojownikiem. Oczywiście, jak zawsze, organizacja zakonna przetrwała dłużej niż ruch, który zamarł już po upływie, stulecia. Ale pozostawił on po sobie ślady materialne: uprawne wyższą kulturą pola i stawiane wyższym systemem budowle; pozostawił apoteozę ciężkiej pracy fizycznej i zbliżenie z ludnością przed którą nie chroniły się już klasztory na wierzchołki wzgórz, lecz, przeciwnie, do której zbliżała ich wspólna dolina, rzeka, pola i pastwiska. A z zamarciem reformy cysterskiej pochodnia wiecznego płomiennego ducha przechodzi w nowe ręce.

Zjawia się św. Franciszek i zakony żebrzące, tak różne od poprzednich jak różna była epoka XIII w. od poprzedzających. Klasztory ich - to nie bogate opactwa na wzgórzach, to nie wzory pracy

rolniczej w dolinach - życie gospodarcze rozkwitło już dostatecznie - lecz budynki miejskie, raczej przytułki niż mieszkania, w których znajdowali dach, jadło i strawę duchową bracia żebrzący i kazący, przenoszący się z miejsca na miejsce, tam gdzie wołała potrzeba. Stojem równali się z najuboższymi między proletariatem, a i sami pochodzili przeważnie z proletariatu. Toteż żyli oni jego życiem, stykali z nim się codziennie, rozumieli jego dążenia, bołączki, nadzieje.

Nigdy żadne gminy kalwińskie nie doszły do tego stopnia demokratyczności co zakon franciszkański. Odbijało się to nawet w ich ustroju, tak zbliżonym do miejskiego z kapitułami wybierającymi prowincjałów. Oni to w stuleciu wzrastającego dobrobytu i nierówności podziału bogactw przeprowadzili głęboką reformę socjalną, tę samą o którą próbowały walczyć skrajne sekty komunizujące-ale przeprowadzili ją w obrębie cywilizacji chrześcijańskiej, nie wbrew niej.

Ale te erupcje duchowe nie powtarzają się w wieku XIV i XV, powstają wprawdzie nowe odgałęzienia starych zakonów, są to jednak tylko poprawki nie rewolucje. Te wynoszą się poza obręb Kościoła. Husytyzm był objawem ciężkich niedomagań chrześcijaństwa tych czasów zarówno pod względem moralnym jak i społecznym.

Hus wznowił żądanie, które od starożytnych montanistów poczynając przewija się przez wszystkie prawie herezje średniowieczne: żądał on uznania, że każdy dostojnik duchowny, a również i monarcha, traci automatycznie swe pomazanie z chwilą popełnienia grzechu śmiertelnego. Prowadziło to, rzecz prosta, do całkowitej anarchii i żaden sobór, nie tylko konstancjeński nie mógł tolerować takiego dynamitu pod całą ustrój społeczny. Trudno jednak zaprzeczyć, iż husytyzm był pod tym względem skrajną reakcją na zło, toczące Kościół: na niefrasobliwy optymizm w miłosierdzie Boże. Śluby pobożnej pielgrzymki do Rzymu, która dla ruchliwych, żądnych wrażeń ludzi była przyjemnością, nie pokutą, odmawianie niezmiernej ilości odpustowych modlitw, rozgrzeszało wielu świeckich i duchownych (w ich własnym umieniu) z folgowania dzikiej naturze, odbierało sumieniom pion moralny. Sprawa odpustów, łącząca się z obniżeniem poziomu Kościoła dodała moralnego przekonania o słuszności swych wystąpień Husowi w 1412 w Pradze, Lutrowi w 1527 w Wittenberdze. Owo spłylenie modłów do odpustowych modlitw, a dobrych uczynków do byle jakiej jałmużny, owe obłudne praktyki niewierzących prałatów wywołały, siłą reakcji twierdzenie Lutra, tak doniosłe w skutkach: tezę, że wiara i tylko wiara zbawia.

Pesymizm reformatora, który wyszedł ze środowiska augustiańskiego, przechowującego manichejskie pierwiastki myśli św. Augustyna - widzi człowieka zanurzonego w grzechu jak w błocie, bezradnego i bezbronnego wobec grzechu. Ten ton powtarza się u Kalwina, odzywa echem u jansenistów, a cicho, cichutko dźwięczy dziś jeszcze w powieściach Mauriaca. Temu przegniłemu w swym rdzeniu człowiekowi tłumaczy Luter beznadziejność walki z grzechem, doskonalenia się, ustawicznego pięcia w górę. Pozostawiałoby zwątpienie i rozpacz. Ale Bóg nie opuści nędznika. „Chrystus zgina się i pozwala grzesznikowi wskoczyć sobie na plecy”, w ten sposób wydobywa się z



blota. „Miej ufność i wierz, a odtąd wszystkie grzechy zostaną ci odpuszczone”. Nie potrzebujesz odpustów i jałmużn, którymi uspakajają się na wszelki wypadek niewierzący prałaci. „Bądź grzesznikiem i grzesz mocno, lecz mocniej wierz w Chrystusa, który jest zwycięzcą nad grzechem, śmiercią i światem. Peccandum est quamdiu hic sumus... trzeba grzeszyć jak długo tu jesteśmy; to nasze życie nie jest przybytkiem sprawiedliwości, lecz oczekujemy, mówi Piotr, nowych niebios i nowej ziemi, w której zamieszkuje sprawiedliwość”. Spłycona pobożność przed Lutrem przekupywała Pana Boga miedziakami odpustu i jałmużny, Luter chce Go hipnotyzować swą wiarą. Pierwsi mieszały lekkomyślność z pokorą, on mieszał powagę z pychą.

Jakże daleko odbieśliśmy od świętego pesymizmu cystersów, od świętego optymizmu Franciszka! Konsekwencje nowej nauki są ogromne. Zbutwiałe rusztowanie moralne społeczeństw zwalone, nagie ujawniają się namiętności ludzkie. Rozpustny opat XV wieku grzeszy w ciemnościach nocnych z upadłą mniszka - Luter oficjalnie żeni się ze zbiegłą zakonnica. Pracodawca mieszczański lub wiejski, porastający w bogactwa przez wyzysk ubogich odczuwał zaniepokojenie wewnętrzne skoro pomyślał o Franciszku Serafickim - Luter uspakaja go, mówiąc: „Ten, który jest biedny z racji swego stanu musi to znosić; ale jeśli uczyni ślub pozostania biednym, to tak jakby ślubował być zawsze chory lub zawsze mieć złą reputację”. Protestantyzm otworzył erę demokracji ustrojowej w Europie, ale definitywnie, zamknął epokę głębokiego demokratyzmu społecznego, jaki cechował średniowiecze. Posiadaczom ziemskim i miejskim prawi Luter o „powołaniu” i „służbie Bożej” jaką przez swą pracę wykonywają, chłopom zrozpaczonym, że ucisk panów nie zelżał mimo przewrotu religijnego, ciska twarde słowa: „Poddajcie się ładowi ludzkiemu; chrzest wyzwala dusze, a nie ciała i majątki!”

Luter daleki był od skrajności tam zwłaszcza, gdzie od krytyki przechodził do twórczej pracy. Ale przez to właśnie nie uchronił się od sprzeczności doktrynalnych. Konsekwentniejszy od niego Kalwin poprowadził dalej myśl protestancką, a wpływ jego nauki, nie tak głośny, ale głęboki, ukształtował umysłowość trzech z kolei krajów: Holandii, Anglii i Stanów Zjednoczonych Am. Północnej.

Kalwin doprowadził naukę o jałowości dobrych uczynków do jej logicznego końca. Doktryna o predestynacji, w założeniu swoim skrajnie pesymistyczna, prowadzi, podobnie jak u Lutera do konsekwencji optymistycznych. Katolik sądzi, że łaska Boża poprzedza, towarzyszy i następuje po dobrych uczynkach, t. j. po wszelkich aktach moralnych, wynikających z prawej woli i miłości, kierowanej wiarą; człowiek taki zasługuje na żywot wieczny, byleby tylko w łasce zeszedł z tego świata. Ortodoksyjny kalwinista uważa, że łaska Boska jest łaską za darmo, natura ludzka jest bowiem tak zepsuta, że każdy czyn ludzki bez wyjątku godzien jest potępienia. Toteż z góry już Bóg pozostawia jednych ludzi potępieniu, innych zaś, bez żadnej z ich strony zasługi wybiera do życia wiecznego, zawiera z nimi przymierze, które przypieczętowanie chrztem. Łaski tej nie traci się nigdy,

nawet przez największy występki, bo gdyby jakikolwiek czyn powodował jej utratę, wówczas nikt nigdy nie mógłby być zbawiony, a przecież już Abrahamowi rzekł Bóg: będę Bogiem twoim i twego potomstwa.

Kalwińskie wyznanie wiary elektora Fryderyka III z Palatynatu Reńskiego głosi: „Wierzę, że Bóg chce mi za darmo udzielić sprawiedliwości Jezusa Chrystusa, w ten sposób, że nie potrzebuję się wcale obawiać sądu Boskiego. Wiem doskonale, że będę zbawiony i że stanę z wesołym obliczem przed trybunałem Jezusa Chrystusa<sup>11</sup>. Prawnicze wykształcenie Kalwina i rozczytywanie się w Starym Testamencie zrodziło tę naukę, zastępującą etyczny i mistyczny związek z Bogiem zawiązany przez chrzest i wciąż odnawiany przez dobre uczynki oraz sakrament pokuty i Eucharystii - związkiem prawnym, opartym o niezachwianą pewność, zobowiązaniem dwustronnym, polegającym ze strony Boga na gwarancji zbawienia bez względu na postępkę człowieka, z jego zaś strony - na lojalnym wypełnianiu przepisów Zakonu. Ten rys prawniczy łączy najsilniej Kalwina z judaizmem. Chrzest jest dla niego takim samym (tylko doskonalszym) znakiem przymierza z Bogiem, jak obrzezanie u Izraelitów, a każdy wierny jest tak samo przez przymierze wybrany, jak ongiś lud izraelski.

Skutki praktyczne tych oderwanych, jak się dziś wielu ludziom zdaje, rozważań i jałowych sporów teologicznych - były olbrzymie. Podczas gdy dla katolika, wierzącego, iż dusza jest z natury chrześcijańska (anima naturaliter Christiana), poganin, heretyk, lub zbrodniarz, to dusze błędzące, które Bóg może zawsze łaską swą dotknąć i przez pokutę do zbawienia doprowadzić, dla kalwinisty - niewierny jest tym, czym dla żydów „goyim” lub dla muzułmanów „giaur”: potępieniem o duszy chorej śmiertelnie i nieuleczalnie. Gdy katolik, piętując grzech, gromiąc upadek, musi pamiętać, że i on sam może w takiej lub innej okoliczności upaść w taki sam sposób o ile zaniedba ustawicznego naprawiania swej natury, kalwinista potępia „niewiernych” bez drżenia wewnętrznego z wyżyny swego przymierza z Bogiem, a w stosunku do siebie kieruje się raczej przestrzeganiem zakazów, niż nakazów: nie tyle dba o ustawiczną poprawę wewnętrzną, ile o nieprzekraczanie kanonów. Stąd ascetyzm purytanów, tak różny od ascetyzmu zakonów średniowiecznych, stąd siła fanatyczna takiego Cromwella, niezachwianie wierzącego w zwycięstwo i układającego plany swych bitew według wzorów batalistycznych Starego Testamentu. Katolik, spełniający przykazania kościelne nie traci przez to niepokoju sumienia: wie, że czyny jego są niedoskonałe, a mogłyby być tak po ludzku doskonałe jak u świętych. Kalwinista spełniający nakazy i przestrzegający zakazów swego kultu jest zupełnie spokojny: wie, że jest niedoskonały, nawet godny potępienia, ale wie, że doskonały być nie może, a zarazem wierzy, że i bez tego osiągnie zbawienie. Stąd owo zadziwiające łączenie pokory z pewnością siebie, stąd również owe zatarcie granicy między tym co moralne i tym co legalne. Bóg stworzył świat i ludzi, a gdy skazili się przez grzech pierworodny, pozwolił części ich powrócić do łaski, nie wymagając nic w zamian. Wszelkie przeto postępowanie wiernych, które nie sprzeciwia się planom Bożym jest usprawiedliwione w oczach Boskich, choć zasadniczo zasługuje na potępienie. Jest to niejako wydanie koncesji na postępowanie zgodne ze skażoną naturą. Skuteczność przeto i

owocność tego działania, przynosząca sukces życiowy jest jakby uwidocznionym znakiem wybrania przez Boga. Każdy oczywiście rozumiał to po swojemu. Wilhelm I Orański i Olivier Cromwell znajdowali znak ten w sukcesie wojennym i politycznym (w Cromwellu tak „wezbrał duch Boży”, że zmusił go do rozpędzenia parlamentu i do dyktatury), mieszczanin holenderski i angielski szukał potwierdzenia przymierza w powodzeniu finansowym. Pilne rozczytywanie się w Starym Testamencie umacniało w tego rodzaju wierze: „Bójcie się Pana wszyscy święci Jego, bo nie masz niedostatku bojącym się Go. Będziesz pożyczal wielu narodom a sam u żadnego pożyczać nie będziesz. - Błogosławiony mąż, który boi się Pana... sława i bogactwo w domu jego. - Korona mądrych bogactwo ich”. Oto duchowe rusztowanie kapitalizmu.

Wznowiony w ten sposób od strony ideowej począł kapitalizm rozwijać się tym energiczniej w tych społeczeństwach, które już w okresie poprzedzającym reformację wybijały się na czoło życia gospodarczego. Niderlandy, zrzuciwszy jarzmo hiszpańskie wchodzą w okres hegemonii handlowej świata. Wyparcie Hanzy z Bałtyku oddało w ich władanie zyskowne pośrednictwo handlu zbożem polskim a od połowy XVII w. i rosyjskim; imperium kolonialne Oceanu Indyjskiego skupiło w ich rękach złotodajny handel bogactwami krajów tropikalnych. Głębokie przemiany ideowe pozwoliły im na złączenie surowej planowości i skrupulatności w gospodarce z zupełnym brakiem skrupułów i okrucieństwem, prześcigającym hiszpańskie. Myśl o apostołstwie chrześcijańskim obca była tym zimnym kapitalistom. Oni to w 1638 r złamali armatami chrześcijaństwo w Japonii w zamian za zyski w handlu miedzią. Fakt ten wyrasta do miary symbolu.

W krótkim stosunkowo przeciągu czasu Holandia stała się największą potęgą gospodarczą nie tylko w dziedzinie handlu, lecz i finansów. Giełda amsterdamska wykazuje już większość cech, uważanych w XIX w. za klasyczne, poczynając od spekulacji opartych na wzbudzaniu fałszywych panik. W tych warunkach kalwińskie Niderlandy były prawdziwą ziemią obiecaną dla Żydów, tych zwłaszcza, których pokolenia wyszkoliły się już przedtem w kwitnącej gospodarczo Hiszpanii. Ścisły związek między kapitalizmem i judaizmem nigdzie wyraźniej nie rzuca się w oczy, niż w owym małym kraiku między Brabancją a Fryzją. Odbywa się tam proces, który niebawem rozszerzy się do skali światowej: Żyd tworzy potęgę kapitalizmu, kapitalizm tworzy potęgę Żyda.

Gdy z biegiem czasu kalwini angielscy wyprzedzać poczynają niderlandzkich w wyścigu kapitalistycznym, Żydzi z Holandii (i Portugalii) poczynają napływać obficie na wyspy brytyjskie. Dotyczy to oczywiście nie mas żydowskich, lecz finansistów dążących do pomnożenia swych kapitałów przez spekulacje finansowe, oparte głównie na handlu murzynami i towarami kolonialnymi. Duch spekulacji, zaszczerpiony Anglikom doprowadza do obniżenia się poziomu moralnego społeczeństwa, do oszustw i krachów, ale za tę wysoką cenę podnieca rozwój gospodarczy: znajduje rynki zbytu dla dawnej produkcji angielskiej, przede wszystkim wełnianej i żelaznej oraz stwarza nowe jej gałęzie: bawełnianą i jedwabną. Epokę tę, epokę dobijania się o hegemonię gospo-

darczą świata, zamyka zwycięska wojna siedmioletnia, opanowania całej Ameryki Północnej i usadowienie się Anglików w Indiach.

Jednocześnie w całym okresie od restauracji Stuartów poczynając odbywa się emigracja za ocean purytańskich chłopów, których wypędzaly z ojczyzny warunki ekonomiczne, szykany kościoła episkopalnego i gorszący tych surowych sekciarzy upadek poziomu moralnego warstw wyższych. Dalecy od potępienia chęci zysku, dążyli do niego nie przez spekulacje i szalbierstwa, lecz przez ciężką, wytrwałą pracę pionierską na roli, podobnie jak w 20 lat później polscy chłopci w Brazylii. Benedyktyńska lub raczej cysterska pracowitość i niecysterska skłonność do kapitalistycznego sposobu myślenia stworzyła pierwszą epokę heroiczną Stanów Zjednoczonych. Wraz z owymi chłopskimi osadnikami ciągnęła, jak udowadnia Sombart, biedota żydowska, organizując handel wędrowny, system kredytowy i tą drogą, dzięki współdziałaniu bogatszych współplemieńców z kompani okrętowych, wciągając prymitywne społeczeństwo od jego początków w orbitę kapitalizmu światowego. „Niewiele - pisał prezydent Cleveland - a może żadna z narodowości, stanowiących ludność amerykańską, nie wywarła wprost lub ubocznie większego wpływu na wytworzenie współczesnego amerykańizmu, niż narodowość żydowska”.

Jest rzeczą zupełnie jasną, że owo wejście w głąb społeczeństw umożliwił Żydom protestantyzm, w szczególności kalwinizm. Podobieństwo myślenia, wspólna walka z katolicyzmem wytworzyły kolejno w trzech krajach kalwińskich ów szczególny amalgamat, który w dziedzinie gospodarczej stworzył ustrój kapitalistyczny, a w dziedzinie myśli politycznej wydał dwie sławne deklaracje praw człowieka: amerykańską z 1776 i francuską z 1789 r.

Jest rzeczą ciekawą i pasjonującą obserwowanie równoległości przemian w praktyce gospodarczej i w myśli teoretycznej, ich związku wzajemnego, wzajemnych wpływów i oddziaływań. Najistotniejszą zmianą ekonomiczną było, mówiąc stylem Sombarta „urzeczowienie” gospodarstwa, w szczególności kredytu, zastąpienie osobistej umowy, zawieranej między znanymi sobie osobami przez system urzędzeń między osobami nawzajem nic o sobie nie wiedzącymi. Weksel żyrowany oraz in blanco „nadają prawo wierzytelności którejkolwiek osobie trzeciej, zgoła nieznanego tak dłużnikowi (wystawcy) jak i pierwotnemu wierzycielowi (trasantowi), z którą ani jeden interes materialny nigdy nie łączył dłużnika. Akcja daje jakiemukolwiek posiadaczowi prawo do udziału w kapitale i zysku z nieznanego mu osobiście przedsiębiorstwa. Stosunek uprzedmiotawia się w abstrakcyjnej sumie pieniężnej. Papier na okaziciela zawiera w sobie specjalną moc dowodu; jest to samodzielne prawo, które nie może być obalone przez zarzuty przeciw okazicielowi, ani żadnemu z jego poprzedników”. Giełda jest racjonalizowaniem rynku. Racjonalizm jest naturalną postawą finansisty, żyjącego w świecie cyfr i obliczeń, w przeciwieństwie do mistycznej postawy rolnika, stykającego się z żywą przyrodą, w której jaśniej uderzają różnice, niż podobieństwa i łatwiej uchwycić jakość zjawisk, niż ich ilość. Tajemniczość przyrody usposabia do naturalnej ciekawości o

„istotę” rzeczy, skomplikowanie stosunków finansowych pobudza do liczenia coraz bardziej precyzyjnego. Nie trzeba być materialistą dziejowym, aby w tej różnicy gospodarczej upatrywać jednej z przyczyn odrębności średniowiecza i czasów nowszych, przejście od badań „istoty” rzeczy do wykrywania „praw” naturalnych pojmowanych rachunkowo, algebraicznie i mechanicznie - z wszystkimi zaletami i wadami tego sposobu myślenia. Oczywiście nie należy naiwnie i wulgarnie sądzić o bezpośredniej współzależności tych zjawisk: ani Arystoteles i Tomasz z Akwinu nie byli rolnikami, ani Kopernik z Galileuszem i Kartezjuszem nie praktykowali w kantorze wymiany walut. Chodzi jedynie o to, co przywykliśmy, trochę mętnie nazywać „duchem czasu”.

Luter był pod tym względem jeszcze człowiekiem średniowiecza, znaczenie jego polega tylko na tym, że przez odrzucenie tradycji odkorkował niejako zamknięty, wykończony świat pojęć, ułatwił swobodę ruchów następcom takich myślicieli jak Ockham, Buridan, Mikołaj z Oresme. Ale racjonalistyczny pogląd na świat nie ograniczył się do studiów nad przyrodą, sięgnął on wkrótce i w dziedzinę religijną, czego początki widzimy już u Melanchtona, Kalwina, arian polskich. Krok za krokiem objawienie ustępuje poznawaniu przez rozum, który, byle oczyszczony z przesądów, stosunkowo łatwo przeniknąć może wszelkie zagadki bytu, bo świat zbudowany jest logicznie, a pojęcia rozumowe są wrodzone, naturalne i wspólne wszystkim ludziom. Należy więc pomijać to, co w sądach ludzkich jest przypadkowe, nabyte lub czysto osobiste, wywołane namiętnością i temperamentem, wówczas tkwiący w każdym człowieku rozum naturalny dojdzie do powszechnej prawdy religijnej wyższej - jak twierdzi Herbert of Cherbury - od wszelkich religii historycznych, w których prawdziwe jest tylko to, co wszystkim im wspólne. Analogicznie poznaje rozum naturalne normy prawne, niezależne od nakazów tej czy innej religii, ale niezależne też od postanowień tej czy innej władzy państwowej, bo powszechne i jednakowe we wszystkich czasach i we wszelkich krajach. To prawo naturalne jest podstawą istnienia społeczeństw, które - jak uczył Grocjusz - powstają na drodze umowy społecznej dla zaspokojenia ludzkich skłonności i interesów. Mechanizm, racjonalizm i naturalizm występują tu już w sposób decydujący. Wkrótce też Spinoza wystąpi z tezą, że wszelkie afekty i czyny ludzkie są wytworem konieczności, tkwiącej w naturze człowieka, tak jak w naturze pająka tkwi rzucanie się na złowione muchy, a Hobbes za stan naturalny człowieka uzna dyktowany instynktem egoizm, który przez zwierzęcą walkę uniemożliwiłby życie ludzkie, gdyby interes nie kazał egoistom ubezpieczyć się umową społeczną, wzajemnie ograniczającą pretensje. Tu naturalizm zatopił resztę śladów moralizmu: według Hobbesa miara dla dobra i zła powstaje dopiero w wyniku umowy społecznej poprzez dekrety władzy państwowej. Idea ta, niemożliwa w średniowieczu, niemożliwa do pogodzenia z katolickim sposobem myślenia rozpoczęła triumfalny swój pochód przez świat protestancki, aby utraciwszy z czasem swą cechę utylitarną i rozdzieliwszy się po Heglu na dwie odnogi, dojść poprzez Nietzschego do Spenglera i Rosenberga a poprzez Marxa osiągnąć swój triumf w bolszewizmie.



Ale na przełomie XVII i XVIII wieku inny typ filozofii nowożytnej uzyskał zdecydowaną przewagę. Upadek Stuartów i zwycięstwo parlamentu brytyjskiego pod rządami Orańczyka było silnym impulsem zarówno do postępów kapitalizmu jak i liberalizmu. Locke nawraca do koncepcji Grocjusza: do stoickiej tezy, że co rozumne to naturalne, a co naturalne to rozumne. Zresztą i Spinoza nie twierdził inaczej. Życie ludzkie powinno być zgodne z naturą ludzką, a więc i z naturą w ogóle, a tym samym z rozumem. Stan natury, stan przedspołeczny, to nie stan dzikości zwierzęcej, lecz życie zgodne z rozumem bez żadnego zwierzchnika i praw stanowionych, jak w *Metamorfozach* Owidiusza, oparte jedynie o prawa natury. Jakież są one? Przede wszystkim prawo własności - odpowiada herold triumfującego mieszczaństwa - oparte o pracę. „Wszystko co człowiek zdołał uzyskać od natury przez swój trud i swą pilność należy wyłącznie do niego; jeśli bowiem ten trud i pilność są jego własnym trudem i pilnością, nikt nie może mieć prawa do tego, co zdobył on przez nie, zwłaszcza jeśli dla innych zostaje jeszcze dość podobnych i równie dobrych rzeczy wspólnych”. Oto zasada, której kapitalistyczna prawowierność nie podlegała podejrzeniom póki nie istniał proletariats fabryczny a zapas ziemi za oceanem był w praktyce nieograniczony.

W stanie natury wszyscy są wolni i równi - parafrazuje Locke w duchu naturalistycznym naukę chrześcijańską, lecz doda je: żaden z nich nie ma nad drugim naturalnego zwierzchnictwa z wyjątkiem władzy rodziców nad dzieckiem. Ale i to jest bardziej obowiązkiem niż władzą. Stan natury nie utrzymał się wobec braku ochrony przed występkiem; jednostki zawiązują więc drogą umowy społecznej, związek, do tych i tylko do tych zadań powołany. Podstawą związku społecznego jest zgoda powszechna, celem- zachowanie życia, wolności i mienia. Jeśli władza państwowa przekracza wynikające stąd uprawnienia, umowa przestaje istnieć, powraca stan natury. Oto filozoficzne sformułowanie tendencji, które nurtowały od dwustu i więcej lat myśl polityczną, szczególnie w Polsce i w Anglii, a miały niebawem przynieść obu państwom gorzkie owoce: rewolucję amerykańską i konfederację targowicką.

Idee Locka, jego deizm i liberalizm, rozchodziły się szeroko zarówno w pracach publicystów jak i w książkach literatów typu Defoe. Loże masońskie przejmują się tym duchem, odradzają się pod jego tchnieniem do wzmoczonego czynu: stara ta organizacja zawsze chłonęła chętnie teorie, które umacniały jej stanowisko antykatolickie, antyfeudalne, a filożydowskie i filokapitalistyczne. Voltaire i Montesquieu przenoszą nową wiarę do Francji, nie przeczuwając nawet, że wiozą młodej latorośli burbońskiej to samo żelazo, pod którym padła już kiedyś głowa Stuarta. W Anglii, sytej wolności i przywilejów mieszczańskich, myśl naturalistyczna odbiega od zagadnień prawa konstytucyjnego; inne czekają ją triumfy. Optymizm Locka zaraził i innych; jakże łatwe wydają się zagadnienia! Natura jest harmonijna - opiewał Shaftesbury - natura jest piękna i dobra; dobry jest człowiek, który postępuje według skłonności naturalnych. Popędy egoistyczne i skłonności społeczne są równie dobre, bo równie naturalne. Bernard de Mandeville, Anglik o francuskim nazwisku poszedł o krok dalej: w r. 1704, roku śmierci Locka ogłosił swą „Bajkę o pszczołach”, gdzie

twierdzi, że człowiek rządzi się egoizmem, ale ten właśnie egoizm jest najlepszym czynnikiem dobra społecznego („private vices public benefits”). Zgodność jego interesu z interesem powszechnym zachodzi spontanicznie; rzecz zrozumiała, skoro społeczeństwo jest swobodnym zespołem ludzi zrzeszonych dla korzyści każdego z ludzi, skoro, jak uczył Bentham „miarą słuszności i niesłuszności jest największe szczęście największej ilości ludzi”.

Na tych podstawach wznosił Adam Smith gmach swojej doktryny, która stała się ewangelią dziewiętnastowiecznego kapitalizmu. Sądził on, że analiza motywów, którymi kierują się ludzie w stosunkach gospodarczych wykryła niewzruszone podstawy porządku ekonomicznego, głębokie prawa, rządzące życiem gospodarczym, prawa natury, których wola ludzka zmienić nie może pod grozą rozstroju. I on w gruncie rzeczy zakłada u początku dziejów fikcyjny stan pierwotny, w którym nie istnieją żadne zasoby bogactwa i wykazuje jak poprzez podział pracy ludzie dochodzą do coraz większej wydajności wysiłków. Motorem (i to jedynym motorem) tych przemian jest jego zdaniem chęć zysku, a ich konsekwencją – samorzutne, nie uniknione i nie powstrzymane różnicowanie się klas społecznych i coraz większe skupianie się kapitału w rękach ludzi zapobiegliwych. Trzeba zaufać tej chęci zysku jako sile prawdziwie twórczej i akceptować zachodzące przemiany jako możliwie najlepsze rezultaty, do których możemy dojść na tym niedoskonałym świecie. „Chęć zysku indywidualnego jest czymś silniejszym od władzy państwowej i – w dziedzinie gospodarczej – wszelkich innych pobudek działania. Skłonności natury ludzkiej same niejako budują porządek gospodarczy; trzeba zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi. Wysokość płacy roboczej, wartość pieniądza, zysk kapitalisty, nie są to rzeczy, które by mogły być uregulowane przez państwo, lecz zależą od szeregu okoliczności, wobec których władza państwowa jest bezsilna. Idea wolności gospodarczej nie jest zmiennym, dowolnym programem, lecz wynika z naturalnego porządku rzeczy, jest urzeczywistnieniem praw, stwierdzonych przez naukę, które zawsze i wszędzie mają swą siłę”<sup>1</sup>.

Widać tu wyraźnie drogę myśli Smitha. Procesy, które swym bystrym okiem obserwował w rzeczywistości współczesnej, w erze poczynającego triumfować kapitalizmu – podnosi on do godności praw, rządzących wyłącznie, niezmiennie i nieubłagane życiem społeczeństw cywilizowanych we wszystkich epokach i pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Błąd to typowy dla całego wieku osiemnastego i dla całej szkoły prawa naturalnego. Już Herbert of Cherbury w poszukiwaniu religii naturalnej mniemał, że wszyscy ludzie na całym świecie mają – pod nalotem przesądów wyznaniowych – jedne i te same pojęcia wspólne, takie mianowicie jakie posiadała elita deistów angielskich z samym autorem na czele. Podobnie Rousseau rzutował w dziedzinę praw na-

---

<sup>1</sup> Cytuję za R. Rybarskim: „System ekonomii politycznej”, tom I.

turalnych sentymentalność swoją i pani de Warren wraz z aparatem pojęć kalwinistów genewskich. „Jednostka”, o której „prawach naturalnych” mówili - nie był to człowiek z krwi i kości, indywidualnie różny całym nieskończonym bogactwem odmian, lecz fikcja rozumowa, szablonowy egzemplarz „natury” ludzkiej. Na takiej wierze w idyntityczność „osoby” ludzkiej jako egzemplarza „ludzkości” oparł Kant swe wzniosłe i całkowicie bezużyteczne maksymy moralne. „Postępuj według takiej tylko zasady, co do której mógłbyś jednocześnie chcieć, aby stała się prawem powszechnym – Postępuj tak, aby traktował ludzkość bądź w twej własnej osobie, bądź jako cel, a nigdy jako środek tylko – postępuj tak, ażeby wola twoja mogła uważać siebie samą za wydającą prawa powszechne na podstawie twych zasad”. To samo przekonanie o idyntityczności natury u wszystkich ludzi stworzyło Deklarację praw człowieka i obywatela, frazeologię Robespierre’a i Kodeks Napoleoński.

Tezy Kanta są całkowitym przeciwstawieniem tych zasad, na których oparła się cywilizacja pełnego średniowiecza. Feudalizm polegał na osobistym wiązaniu człowieka z człowiekiem: kmiecia z rycerzem, rycerza z baronem, barona z monarchą. Ale porządek feudalny już dawno stracił swą siłę żywotną, utrwalanie się monarchii narodowych, upadek rycerstwa, zarówno polityczny jak i gospodarczy, wreszcie wzrost mieszczaństwa i jego przeobrażenie w burżuazję kapitalistyczną wypłoszyły z serc i umysłów ludzkich ducha feudalizmu; skromne jego pozostałości przejawiały się w osobistej waleczności szlachty, objawianej częściej na polu zatargów honorowych, niż na polu walki oraz w wierności dla panującego, pozbawionej zresztą głębszego podłoża. Znikła jedyna racja istnienia szlachty: jej funkcje obrony społeczeństwa, pozostały natomiast ciężary i ofiary, które na jej rzecz ponosiły warstwy produkujące. Nie należy sobie wyobrażać tej sytuacji w sposób naiwnie materialny: ani szlachta nie opływała tak w dostatki i władzę, ani chłop nie był tak biedny, ani mieszczańin tak upośledzony jak to sądzą entuzjaści rewolucji francuskiej.

Tak przygniatająca przewaga jednego stanu prowadziła by inne do rezygnacji, nie do rewolucji. Ale chłop sarkał właśnie dlatego, że miał poczucie swojej niepogrzebionej wartości, a godność jego drażniły nie tyle opłaty feudalne, ile sądownictwo patrymonialne, prawo łowieckie, samowola poborców podatkowych. Mieszczan ubogich drażniła bezmyślność przepisów administracyjnych i cechowych; mieszczańin bogaty przerastał potęgą szlacheć, skupiał w swych rękach główne bogactwa Francji, czuł swoją zdolność do rządzenia krajem i z pogardą a zarazem zawiścią patrzył na uprzywilejowanie szlachty, na jej próżniactwo i rozrzutność. Szlachta, rujnowana wymaganiami dobrego tonu, żyła w rozpaczliwej walce z deklasacją i wzdychała do dawnej roli politycznej, nie podkopanej jeszcze absolutyzmem królewskim, wreszcie król był niewolnikiem przywilejów stanowych, etykiety, zmuszającej do bezcelowego marnotrawstwa i ustawicznego braku pieniędzy. Ancien regime podobny był do organizmu, dotkniętego sklerozą.

W tę budowę społeczną uderzyła fala nowej myśli. Pierwsze jej poddmuchy przyniósł oświecony absolutyzm, myślący już kategoriami mechanistycznymi, czerpiący swą doktrynę z filozofii Hobbesa, wspierający się o łoże masońskie. Ale reformy jego nie sięgały dostatecznie głęboko, a przynajmniej nie zdążyły sięgnąć, gdy splót wypadków i świadoma wola lewego skrzydła masonerii wtrąciły w wir rewolucji Francję monarchii burbońskiej. W tej wielkiej i krwawej komedii omyłek idee osiemnastego stulecia wykazały całą swą pustkę wewnętrzną. Zarówno koncepcje oświeconego absolutyzmu, jak angielskiego konstytucjonizmu nie zbudowały nowego ładu. Monarchia, tak zasłużona, tak dobroczynna skądinąd dla Francji upadła, ponieważ nie potrafiła stanąć ponad stanami i nie zdołała sama usunąć przeżytych form feudalnych, mieszczaństwo, zapatrzone we wzory angielskie nie umiało utrzymać władzy. Jednocześnie zaś rozbudzona przez Locka i Rousseau wiara, że jedyną przeszkodą do szczęścia na ziemi jest zły ustrój społeczny, popychała wyznawców naturalnej dobroci człowieka do ciągłej przebudowy konstytucji i do upatrywania jedynych przyczyn rosnącego rozstroju w intrygach i spiskach obrońców starego porządku z równą naiwnością jak i w czasie współczesnych nam inflacji szukano jedynej przyczyny wzrostu drożyzny w spekulacjach „paskarzy”. Ostatecznie jednak kosztem potoków krwi Europa zrzuciła z siebie skorupę feudalną i ukazała w całej prawie nagości swą strukturę kapitalistyczną.

Wraz z nią, a raczej w niej zwyciężył ostatecznie duch naturalistycznego racjonalizmu. Ilościowy, mechaniczny sposób myślenia opanował wszystkie przejawy życia. Giełda wyrosła ponad trony; z pobojuwiska Waterloo wykwitła potęga Rothschilda, Karol X abdykował na rzecz Adama Smitha. Zrazu niepewna, próbowała plutokracja obwarowywać swą władzę wyborczymi cenzusami majątkowymi, ale rozwój wypadków upewnił ją, że otwarcie kłapy bezpieczeństwa w postaci pełnej demokracji lepiej zabezpiecza jej interesy. Ustrój państw europejskich upodobił się do ustroju spółki akcyjnej; bezmiennność zapewniała i tu i tam pełnię władzy bez odpowiedzialności. Bezmienna hierarchia masońska stała na straży regime'u, a wyzwolone spod ucisku dokuczliwości feudalnych masy uzyskały prawo upajania się fikcją władzy.

Ale w masach tych zaszły tymczasem głębokie przeobrażenia, które doprowadziły społeczeństwo kapitalistyczne do pełni swego wyrazu.

Ta sama mechaniczno-matematyczna metoda myślenia, która współdziałała w przemianach gospodarczych i umysłowych Europy nowożytnej doprowadziła do płodnych w swej konsekwencji wyników w dziedzinie nauk ścisłych i stosowanych. Fizyka, chemia, mechanika podają sobie ręce, aby kapitalizmowi umożliwić zwiększenie zysków, ludzkości zaś - zwiększenie dóbr do spożycia. Adam Smith miał lat dziesięć, a Jerzy Washington rok jeden gdy w Anglii biegać poczęło czółenko tkackie, które liberalizmowi i Ameryce zapewniło karierę światową. Dalszy rozwój techniczny systemu produkcji jest zbyt znany, aby długo się nad nim rozwodzić. Rozwój ten dał rasie białej pozycję, którą poderwała dopiero wojna rosyjsko - japońska, zapewnił jej nie tylko potęgę

gospodarczą i militarną, ale i niebywały rozwój liczebny. W ciągu 150 lat Europa potraja swą liczbę ludności, a jednocześnie zasila obce kontynenty: Stany Zjednoczone od 1800 do 1920 roku wzrastają z 5.308.483 głów do olbrzymiej cyfry 105.708.381 głów. Fakt ten oznacza przede wszystkim jedno: ogromne rzesze ludzi przestają umierać w niemowlęctwie z braku środków do życia<sup>2</sup>. Już przez to samo trudno bez zastrzeżeń zgodzić się ze stanowiskiem tych wszystkich, którzy tęsknym wzrokiem spoglądają na „szczęśliwe czasy” przedprzemysłowe.

Rzeczą szczególnej wagi jest jednak podkreślenie, że rozwój techniczny przyszedł po trzech prawie stuleciach tworzenia się kapitalizmu, że kapitalizm w swej najgłębszej istocie wykształcił się i dojrzał przed przewrotem technicznym, a tym samym niezależnie od niego, że natomiast wpłynął w sposób decydujący na takie a nie inne ukształtowanie się typu produkcji przemysłowej. Można by snuć niezmiernie ciekawe fantazje na temat skutków rewolucji technicznej, wybuchłej np. w X lub XI wieku naszej ery, gdybyśmy mieli prawo sądzić, że człowiek średniowieczny ze swą psychiką tak inną od naszej byłby zdolny do myślenia i działania technicznego, wymagającego ilościowej a nie jakościowej interpretacji zjawisk. Ale w produkcji przemysłowej, takiej jaką znamy w rzeczywistości można i wolno rozróżnić dwa pierwiastki: cysterskiego ducha przemiany świata materialnego przez wysiłek psychofizyczny i kapitalistycznego ducha zysku o podkładzie materialnym. Marx i kolektywizm marksowski wystąpił do walki z duchem zysku, ale jego materialistyczny podkład zachował, co więcej, oparł na nim cały swój światopogląd metafizyczny. Podłożem tego ciekawego zjawiska były społeczne konsekwencje ewolucji gospodarczej dziewiętnastego stulecia.

Wytwórca średniowieczny skupiał w swym ręku zarówno narzędzia produkcji jak i kapitał obrotowy i osobistą swą pracą przetwarzał surowiec w gotowy produkt. Kapitalizm Renesansu rozbijał powoli tę jedność, oddzielając od niej stronę czysto finansową; wytworzył się typ producenta, któremu kapitału obrotowego dostarczał kredytodawca. Rewolucja techniczna rozbiła tę jedność powtórnie: obok klasy finansowej powstała klasa właścicieli narzędzi produkcji i wreszcie - klasa właścicieli swej własnej siły roboczej, czyli proletariatu. Jej funkcja społeczna oparta była nadal, jak dawniej, na motywie zdobycia środków do życia, odpadł jedynie pod obuchem zmiany pozycji socjalnej motyw twórczości artystycznej, tak wydatnie występujący w średniowieczu. Klasa finansistów kierowała się nadal zyskiem jako motywem działania. Wreszcie klasa właścicieli narzędzi produkcji stanowiła ogniwo pośrednie: obok (coraz głębszego) motywu twórczości działał motyw zdobywania środków do życia i do utrzymania swej pozycji socjalnej, ale motyw zysku zyskiwał

---

<sup>2</sup> Oczywiście rozwój higieny i wprowadzenie uprawy ziemniaków mają tu swój udział obok rozwoju przemysłu i komunikacji.

wpływ coraz silniejszy, zatapiając wprost pozostałe, co wyraziło się zarówno w wyzysku pracy najemnej, jak w coraz obfitszym produkowaniu tandety przemysłowej.

Wyzysk pracy robotczej nie był, oczywiście, wynalazkiem kapitalizmu. Ustrój pańszczyźniany jest tego najlepszym dowodem. Ale inne były argumenty, uzasadniające słuszność wyzysku w oczach klasy uprzywilejowanej. Szlachta posiadała poczucie odrębności stanowej, odrębności krwi i zasługi; odróżniała ona starannie własność od pracy. Własność związana była w psychice barbarzyńców ze zdobyczą wojenną, łup bojowy był jedynym jej prawnym tytułem. Germańscy najeźdźcy imperium rzymskiego otrzymywali od swoich królów prawa do eksploatacji ziemi rękami podbitej ludności; praca była więc synonimem poddaństwa, była powinnością stanu niższego wobec wyższego. Zespolenie się odrębności szczepowych w całość narodową zatarło pierwotną psychikę najazdu, uzasadnieniem praw szlacheckich stało się nadanie monarsze, starodawność instytucji, wreszcie - poczucie roli rycerstwa w obronie społeczeństwa. Mieszczaństwo nie знаło tego rozróżnienia pracy i własności, nie miało więc żadnego uzasadnienia wyzysku pracy robotczej. Była to niewątpliwie jedna z przyczyn, dla której w średniowieczu tendencje kapitalistyczne bogatego mieszczaństwa nie mogły przebić się przez wrogi mur chrześcijańskich zasad antykapitalistycznych.

Wyłom uczynił tu jak i gdzie indziej kalwinizm przez doktrynę predestynacji. Mieszczanin kalwiński zyskiwał potwierdzenie łaski Bożej w swych powodzeniach finansowych, purytański kolonista - we wzroście swej zamożności. Ale przez to samo ludzie nie umiejący wydobyć się ze stanu ubóstwa popadali w pewnego rodzaju podejrzenie co do swego wybrania przez Boga. Było to bardziej niepokojące niż niepowodzenia w spekulacjach, z których można się było zawsze wydobyć. Bogobojny kalwiński kapitalista wczytywał się w księgę Hioba, głęboko odczuwał tragedię człowieka tak ciężko doświadczonego przez Boga, podziwiał niezachwianą wiarę nieszczęśliwego i radował się, gdy dochodził do oczywistego dowodu, że wiara, zbawienie wieczne i widome oznaki błogosławieństwa Bożego na ziemi są z sobą nierozzerwalnie związane: „I Pan pobłogosławił poślednim Hiobowym więcej niż początkowi jego. I miał 14.000 owiec, 6000 wielbłądów, 1000 jarzm wołów, 1000 oślic”.

Kiedy zaś pobożny kupiec lub osadnik kolonialny podnosił oczy znad książki, wzrok jego padał na skutych w dybach niewolników murzyńskich, na krajowców malajskich, oddających bezcenne perły za europejską tandetę, na tubylców amerykańskich przepijających w faktorii cały zarobek uzyskany przed chwilą ze sprzedaży skór - i jasno widział różnicę między wybranym a potępionym. Metafizyczny szkielet budowy klasowej był gotów. Przyczyna rozdziału klasowego tkwiła w naturze, w upadłej naturze ludzkiej, od której Bóg łaską swoją wyzwala nielicznych, wyróżniając ich za życia - powodzeniem w businessie, po śmierci zaś - żywotem wiecznym. Oczywiście przeciw wyrokowi Boskiemu wola ludzka była bezradna, nędza chałupników i robotników



manufakturowych - piętnem ich niższości, prawa zysku były prawami natury, a przeto i prawami Boga.

Smith rozszerzył koncepcję, odejmując jej zbyt wąskie uzasadnienie teologiczne i opierając na solidnej bazie niezmiennych praw ekonomicznych. „Bez wciągnięcia w rachubę tych momentów - pisze Rybarski - trudniej jest zrozumieć np. tę zakamieniałość, jaką bardzo wielu przedsiębiorców angielskich w pierwszej połowie XIX wieku objawiało w stosunku do straszego wyzysku sił roboczych, rujnującego zdrowie i życie kilkuletnich dzieci. Przecież odpowiadali oni nieraz zupełnie wyraźnie: „to wszystko co się dzieje jest nieuchronne, odbywa się zgodnie z prawami naturalnymi, a żadne sztuczne sposoby nie zmieniają porządku rzeczy”. Czternastogodzinny dzień pracy pięcioletnich dzieci był normą powszechną; w okresie koniunktury przedłużał się do szesnastu godzin. Praca odbywała się z reguły „na stojąco”, dozorczy bili za każdą nieuwagę, a nędzny zarobek był znakomitym środkiem do zamiany śmierci głodowej na śmierć z wyczerpania. Płace ojców rodzin nie tylko uniemożliwiały pomaganie dzieciom, ale nie wystarczały na życie dla rodziców i jedło dla niemowląt. W Anglii istniało od 1795 r. ciekawe „prawo ubogich”, które nakładało na parafie obowiązek uzupełniania zarobków do wysokości, umożliwiającej życie. W 1831 r. na mocy owej ustawy rodzina robotnicza otrzymywała co tydzień po czterofuntowym bochenku chleba na głowę oraz bochenek dodatkowy dla całej rodziny, „Tym - pisze Russel - co skłaniało biedaków w Anglii do cierpliwego znoszenia nędzy była pewność, że parafie nie pozwolą im umrzeć z głodu”. Oczywiście robotnik, który nie chciał dziecka zaprząć do pracy fabrycznej tracił prawo do wszelkich zapomóg.

Stosunki społeczne pierwszej połowy XIX wieku nie mogły skłaniać do optymizmu, tak charakterystycznego dla poprzedzającego stulecia. Zresztą sama już rewolucja francuska wystarczyła współczesnemu pokoleniu do zgaszenia wiary w naturalną harmonijność świata. Pojawiły się pierwsze głosy socjalistyczne. Ale rozwój kapitalizmu nie doznał przez to uszczerbku. Od r. 1803 podbiła świat książka będąca uzupełnieniem dzieła Smitha jak noc jest uzupełnieniem dnia. Łzy dwóch co najmniej pokoleń nędzarzy, mogiłki dzieci zamordowanych przez pracę w przemyśle są niemyym oskarżeniem tej książki. A przecież autor jej nie był ani kapitalistą, ani człowiekiem zaprzędanym kapitalistom; był to duchowny protestancki, któremu nikt nie mógł zarzucić głupoty, a już tym bardziej złej woli.

Główną winą Malthusa - cokolwiek o tym wypisywali późniejsi ekonomiści - jest to, iż jego teoria jest w pewnym sensie prawdziwa. Społeczeństwo nie powiększające swej produkcji nie powiększa swej liczby ludności; poniżej pewnego poziomu życia wszelki przyrost usuwany jest przez śmierć od powietrza, głodu, ognia i wojny - śmierć niemowląt przede wszystkim. Ludność Polski była w końcu XVIII wieku ta sama co w początkach XVI. W zakresie rolnictwa powiększanie produkcji ma swoje granice; gdy zostaną nie osiągnięte, wówczas - w razie niemożliwości importu -

prawo Malthusa znacznie działać z całą swą złowrogą siłą. Ale prawo to wymaga jak widać szeregu warunków, bez których wcale nie musi występować i z których zmianą przestaje automatycznie działać. Tego nie wiedział pesymistyczny pisarz, którego argumenty rozgrzeszyły do reszty kapitalistów XIX w.

Malthus akcentował silnie nędzę jako podstawowy czynnik regulacyjny ludności. Śmierć głodowa „zbędnej” nadwyżki powoduje równowagę społeczną. Warstwy najbiedniejsze muszą żyć w takiej nędzy, żeby liczebność ich nie wzrosła, gdyż wówczas praca ich nie wyprodukuje potrzebnej dla nich liczby żywności. Dobrobyt zapanować może tylko chwilowo np. po „czarnej śmierci” w XIV w., ale dobrobyt zmniejsza śmiertelność i wkrótce „bochenek chleba” zostaje znów zjedzony. Malthus jest ojcem duchowym wszystkich deflacionistów aż do współczesnych nam „trzeźwych” działaczy gospodarczych. Deflacionizm bowiem, to nie system walutowy: to metafizyczny pogląd na świat.

Z teorii Malthusa wynikało, że żadne reformy społeczne nie zapobiegą nędzy. „Jest rzeczą absolutnie pewną - pisał on - że jedynym sposobem, zgodnym z prawami moralności i religii polepszenia sytuacji biedaków kosztem ludzi bogatych - jeśli cała społeczność nie ma być pogrążona w nędzy - jest rozważa w zawieraniu małżeństw przez ludzi ubogich oraz oszczędzanie”. Dziś uczniowie duchowi Malthusa rozbili się na dwie grupy: jedni zakładają poradnie świadomego macierzyństwa, aby utrzymać dobrobyt kosztem przyrostu naturalnego, inni - głoszą nadejście okresu ubóstwa, aby utrzymać przyrost naturalny kosztem dobrobytu. Kapitalizm współczesny Malthusowi nie odczuwał jeszcze tych kłopotów, zrozumiał tylko z książki zacnego pastora, że wszelka filantropia, wszelkie wprowadzanie do życia gospodarczego zasad etycznych, wszelkie litowanie się nad nędzą i próby jej złagodzenia mogą jedynie pogorszyć sytuację. Bertrand Russel przytacza ciekawy artykuł pisma *The Economist* z roku 1848. Czytamy w nim: „Cierpienie i zło są przestrożą ze strony natury; usunąć je jest niemożliwością; niecierpliwe usiłowania dobroczynności, aby wygnać je z tego świata przy pomocy ustawodawstwa przynosiły zawsze więcej szkody niż pożytku”. Artykuł ten wymierzony był przeciw wprowadzeniu kanalizacji w Londynie. Jedynym w ogóle sposobem poprawy sytuacji miał być nieograniczony handel międzynarodowy, obalenie wszelkich granic celnych.

Zatrute owoce jakie przynosił kapitalizm warstwie robotniczej musiały wywołać reakcję. Przenikliwą krytykę liberalizmu przeprowadził Sismondi. Fourier i Owen, każdy na swój sposób, rzucili podwaliny pod przyszły rozwój kooperatywizmu. Mimo wielu dziwactw, socjaliści „utopijni” położyli ogromne zasługi i dziś dopiero świat poczyna wydawać o nich sprawiedliwy sąd. Ale nie oni poprowadzili klasę robotniczą. Uczynił to Marx na jej szczęście i nieszczęście zarazem.

Marx jest olbrzymem. Pisząc o nim zupełnie świadomie uchylam się od dyskusji nad jego doktryną ekonomiczną i zupełnie celowo ograniczam do „Manifestu Komunistycznego”. Twórca

jego interesuje mnie o tyle, o ile jest wyrazicielem pewnych prądów historycznych. Jest to tym konieczniejsze, że w literaturze, docierającej do społeczeństwa, Marx przemienia się z człowieka w symbol. Dla jednych jest on sui generis odkrywcą absolutu, jak dla innych Hoene Wroński lub August Comte. Zdaniem ich Marx nie mylił się w niczym, wszystko przewidział, następnie pozostawił tylko trud egzegezy i zastosowania jego metody (która jest jedyną metodą naukową) do tych dziedzin, których mistrz nie zdążył przeorać umysłem. Dla innych nazwisko Marxa jest synonimem zła: to Żyd, który dla rozbicia społeczeństw aryjskich ukuł swą przewrotną teorię, idąc zresztą wzorem swego mistrza i współwyznawcy, Ricarda; to człowiek, który rozpętał nieznaną nigdy przed nim walkę klas, uwodząc wywrotowymi hasłami rzesze robotnicze.

Zarówno jeden jak i drugi pogląd dowodzi płycizny umysłowej. Chcąc uchwycić dobrze rolę Marxa w przemianach europejskich, należy, odrzucając skrajności, dyktowane namiętnością polityczną brać pod uwagę zarówno wielkość autora „Kapitału” jak i jego żydowskie pochodzenie.

Marx był potomkiem wielu pokoleń rabinów, zamieszkałych we Lwowie i noszących nazwisko Mordechaj. Rys to znamienny: żadnych tradycji proletariackich w rodzinie, a zapewne niewiele też kupieckich; byli to intelektualiści, studiujący Talmud, a pobocznie zajmujący się zapewne, lichwą i spekulacjami walutowymi, jak większość rabinów. Pochodzili prawdopodobnie z arystokracji żydowskiej, owej najstarszej (obok japońskiej) arystokracji świata, która zachowuje dumę swoją i szacunek współbraci, nawet, jeżeli pokoleniami trwa w nędzy. Zapewne również (brak dokumentów nie pozwala mi na nic więcej poza luźnymi przypuszczeniami) byli oni jak większość rabinów ziem polskich, wyznawcami kabalistycznego mesjanizmu Izaaka Lurii, który głosił ideę czynnego przyspieszenia przez ogół żydowski nadejścia Mesjasza i realizacji jego królestwa na ziemi, słowem przejścia od komentowania świata (Talmud) do jego przetwarzania (Kabała).

Jeżeli prawdziwe są przypuszczenia co do takiej a nie innej cechy charakterystycznej przodków Marxa, to również prawdopodobną jest rzeczą, że do świadomości twórcy socjalizmu przeszły zaledwie jej okruchy. Ojciec jego nie był już rabinem; był adwokatem, mieszkał w Niemczech, gdzie oświecone żydostwo od dwóch pokoleń żyło ideami Mojżesza Mendelsohna, a idąc dalej od niego asymilowało się kulturalnie (choć nie narodowo) i uważało za pełnoprawnych członków społeczeństwa. W przekonaniu tym utrzymywali ich intelektualiści epoki Oświecenia z Lessingiem, a później Schleiermacherem, Schleglem i innymi wolnomularzami na czele. Jednocześnie rewolucja francuska przeprowadziła całkowite równouprawnienie Żydów, wpajając zarazem w swych wyznawców przekonanie, że skasowanie odrębności prawnej Żydów jest tym samym skasowaniem ich odrębności narodowej.

Idea równości obywatelskiej i zniesienie wszelkich rozróżnień prawnych między ludźmi była klasycznym przejawem ewolucji duchowej, którą przeżyła cywilizacja europejska w epoce wczesnego kapitalizmu: przemiany jakościowego poglądu na świat, na ilościowy, a tym samym

organicznego na mechaniczny. Judofilskie sympatie kalwinistów, szczególnie angielskich i szkockich (legenda o pochodzeniu Brytyjczyków od zaginionych dziesięciu pokoleń Izraela, żydowskie imiona anglikanów i purytanów) ułatwiały emancypację Żydów wszędzie tam, gdzie kapitalizm gruntował swe wpływy. Ale wzrost wpływów żydowskich i nawet ich upelnoprawnienie nie mogły zwyciężyć w ciągu krótkiego czasu zakorzenionych uczuć i poglądów. Herzl, twórca syjonizmu wyraził się bardzo trafnie: „Narody, które wyemancypowały Żydów poddały się złudzeniom co do własnych uczuć. Aby wywarły został całkowity skutek, powinna była odbyć się emancypacja w uczuciu zanim wyrażona została w prawie. Tak się nie stało... Z deklaracji praw człowieka stężała logika ludzi przewrotu wyprowadzała emancypację Żydów. Stawiała ona prawidłowy sylogizm: każdy człowiek ma od natury pewne prawa; Żydzi są ludźmi, przeto Żydzi mają prawa człowieka. Uczucie ludowe powstawało nawet przeciwko temu, lecz filozofia przewrotu kazała stawiać zasady ponad uczucia”. Ten konflikt zasad i uczuć w narodach europejskich stał się tragedią Bornego, Hessa, Heinego, Lassalle'a, Marxa i Herzla; on to w dużym stopniu wyznaczył im drogę życia.

Rodzina Marxa ochrzciła się w r. 1824 kiedy Karol miał lat sześć. Kto wie, czy rozruchy żydowskie w Niemczech zachodnich w r. 1819 nie wpłynęły na tę decyzję; czekano tylko na śmierć staruszki babki, która przywiązana była do religii przodków. Czasy były wówczas osobliwe. Rotszyldowie byli już potęgą, trzymali w rękę Metternicha, pysznili się wielką wstęgą i gwiazdą orderową, nadaną przez papieża Grzegorza XVI w zamian za pożyczkę - ale w Wiedniu, gdzie było centrum ich wpływów nie mogli posiadać nieruchomości i musieli obchodzić ten przepis prawny przez wynajmowanie luksusowych apartamentów w hotelu. Młody Borne (Lejb Baruch), późniejszy literat, otrzymując w policji frankfurckiej paszport zagraniczny, ujrzał w nim swe nazwisko i słowa: „Żyd z Frankfurtu”. Wówczas, jak mówi, przysiągł w sercu: „Poczekajcie, wypiszę wam także kiedyś paszport, wam wszystkim”. Scena stanie się zrozumiała, skoro przypomnimy sobie, że właśnie Frankfurt cofnął Żydom w 1814 r. nabyte za Napoleona równouprawnienie. Pierwszym krokiem Bornego ku wywalczeniu sobie prawa „pisania paszportów” był chrzest w 1818 r. - roku urodzin Marxa. W 1825 ochrzcił się Heine - w rok po Marxie. Pisał on: „Nie mamy już siły nosić brody, pościć, nienawidzić i przez nienawiść cierpieć. Oto motyw naszej reformacji. I ja nie mam siły nosić brody i pozwolić, by mi wymyślano od Żydów”. A gdzie indziej (wszystko to wynurzenia poufne w prywatnych listach): „Jednocześnie prześladują mnie i chrześcijanie i żydzi, ci ostatni źli są na mnie, że nie idę do walki o ich równouprawnienie w Badenie, Nassau i innych dziurach. O, krótkowidze! Tylko u wrót Rzymu można bronić Kartaginy!”

Marxowi oszczędzone były, prawdopodobnie te burze duchowe: wyrastał jako chrześcijanin, jako chrześcijanin wstąpił na wyższą uczelnię, ożenił się z Niemką z rodziny arystokratycznej. Niemniej musiał odczuwać w sposób przykry, że nie jest takim samym jak inni. Jego żydowskość przebija przez powłokę luteranizmu w sposobie myślenia, w odruchach, w ustosunkowaniu się do

rzeczywistości. „Mógł - pisze Russell - odczuć pogardliwe traktowanie przez kolegów szkolnych, nie mając przy tym oparcia w wewnętrznej pewności siebie, jaką mógłby odczuwać, gdyby był żydem z religii”. Toteż „poprzez całe życie miał instynkt dominowania, połączony z pewnym poczuciem niższości”.

Tego rodzaju połączenie zazwyczaj wydaje znane rezultaty: najpierw uczucie pogardy i nienawiści wobec swego macierzystego środowiska, które wycisnęło na czole człowieka wstydlive piętno, potem uczucie zazdrości i nienawiści wobec środowiska, którego wyższość czuje się w głębi duszy. A im silniejsze jest to uczucie wewnętrzne, tym większa pasja na zewnątrz, aby tę wyższość obalić. To, jak sądzę, doprowadziło Marxa do rewolucjonizmu. Usiłował sam sobie dowieść, że problem żydowski nie istnieje, ponieważ nie istnieje w ogóle problem narodów. Oto geneza kosmopolityzmu Marxa, oto również geneza jego zainteresowań proletariatem.

Teorie panujące w ekonomii współczesnej mogły go tylko ugruntować w poglądach. Liberalizm był prądem na wskroś kosmopolitycznym, ujmował świat jako całość gospodarczą, a poszczególne narody - jako jego człony, potrzebne dla międzynarodowego podziału pracy. Jednocześnie twórca kierunku narodowego, List podkreślał, że w stosunkach międzynarodowych panuje współzawodnictwo, imperializm gospodarczy, chęć podbicia słabszych przez silniejszych, co zmniejsza sumę bogactwa, narastającego w świecie. List, patriota niemiecki wyciągnął stąd wniosek: nie niszczyć sił produktywnych narodu przez przyjęcie ustroju liberalnego, który wychodzi jedynie na korzyść potęg gospodarczych. Ale jaki wniosek mógł wyciągnąć stąd Marx, który ani w Niemczech, ani w Anglii, ani w żadnym kraju nie czuł się naprawdę u siebie, którego z żadnym narodem nie łączyło wewnętrzne uczucie? Wniosek był prosty: „Burżuazja każdego kraju ma swoje interesy specjalne, a ponieważ nie istnieje dla niej nic wyższego nad interesy, nie może też nigdzie wznieść się ponad narodowość... Proletariat natomiast ma we wszystkich krajach jedne i te same interesy, jednego i tego samego wroga, jedną i tę samą walkę w perspektywie; proletariusze jako masa pozbawieni są z natury przesądów narodowościowych - cały ich ruch ma z istoty swej charakter wszechludzki, antynarodowy”. Proletariusz nie ma ojczyzny? Nie, to tylko Marx nie miał ojczyzny.

Marx był genialnym analitykiem, zdumiewająco bystro wykrywał procesy, zachodzące w ustroju kapitalistycznym. Stworzył potężny system, przewidział, w większości wypadków niezwykle trafnie przyszły rozwój kapitalizmu. Umiał on uchwycić i obnażyć lepiej niż ktokolwiek inny wewnętrzne sprężyny ustroju kapitalistycznego. I znów - jak sądzę - przyczyną było żydostwo Marxa. Znał on swych Pappenheimerów, wszak pisał- „W obecnym ustroju Żyd już się po swojemu wyemancypował przy pomocy pieniądza, który rządzi światem; praktyczny duch żydostwa stał się praktycznym duchem narodów chrześcijańskich”.

Marxa cechowało to samo ilościowe traktowanie zjawisk, co wielkich kapitalistów. Proces, o czym pisa- pisałem wyżej, przechodzenia od jakości do ilości, czego przejawem jest Wechsel i giełda,

był odbiciem w sferze materialnej kontrastu umysłowego między psychiką rolnika i waluciarza, wyszkolonego przez pokolenia w szkole Talmudu. Z tej szkoły wyszedł ród Marxa; może dla tego rozumiał on do głębi zjawisko kapitalizmu, wobec którego taki np. Arystoteles stanąłby zupełnie bezradny.

„Marx - pisze Lenin - przedłużył i zrealizował genialnie dzieło trzech prądów duchowych, najważniejszych w dziewiętnastym wieku: filozofii klasycznej niemieckiej, ekonomii politycznej angielskiej i socjalizmu francuskiego”. Otóż ta filozofia niemiecka, to filozofia Hegla, który przetwarzał kantyzm pod wpływem Spinozy, Żyda, zamieszkałego pomiędzy kalwinistami. Ekonomia angielska to Smith i Ricardo, kalwinista szkocki i Żyd. Wreszcie socjalizm francuski wypływa jak ze źródła z kalwińskiej psychiki Rousseau. Mimo oczywistych całkiem odrębności tych systemów, mają one wspólny podkład metafizyczny. Ten sam podkład metafizyczny przedłuża się aż do Marxa. Komu ten wywód wyda się naciągany, niechaj porówna ową wielką czwórkę z postaciami takimi jak św. Franciszek, Tomasz z Akwinu lub Morus. Zapewne, dużo tłumaczy różnica epok, ale czy właśnie ta różnica epok nie jest najbardziej charakterystyczna?

Cała teoria nadwartości Marxa nie jest niczym innym, jak zastosowaniem do zjawiska pracy, zjawiska duchowego, kapitalistycznej zasady kupna-sprzedaży. Oczywiście zasadę tę zastosowali kapitaliści na długo przed zjawieniem się Marxa, ale on idąc śladami Ricarda, wykrył istotę tego stosunku, co więcej, nie zastanawiał się nawet nad innym rodzajem pracy, niż ta właśnie, nie wyszedł myślowo poza stosunki kapitalistyczne. Tomasz z Akwinu zbudował swój system z elementów ustroju katolickiego mieszczaństwa; Marx - z elementów ustroju kalwińsko - żydowskiego kapitalizmu. W tym leży cała ich różnica. Pierwszy myślał kategoriami chrześcijańskimi, drugi-kapitalistycznymi. Marksizm odgrywa rolę zwierciadła, jakie Perseusz przedstawił Gorgonie: sumiennosc lustrzanej tafli oddała wiernie brzydotę potwora i obróciła go w kamień. W tym - ale bez mała tylko w tym - leży zasługa marksizmu. Po drugiej stronie zwierciadła próżno jest szukać drogi.

Uderza u Marxa, iż ów twórca masowego ruchu socjalistycznego tak mało myśli i mówi o przyszłym społeczeństwie bezklasowym. Potrafił on to uzasadnić tezami filozoficznymi - ekonomicznymi, fakt jednak pozostaje faktem. Hegel, twórca dialektyki, którą Marx przejął od niego, miał bardzo dokładną wizję okresu końcowego, stabilizowanego, nie wywołującego już antytezy. Było nim państwo pruskie. Licha to wizja, lecz konkretna. Wizję taką próbowali tworzyć wszyscy niemal myśliciele okresu romantycznego od Hoene-Wrońskiego przez Saint Simona, Fouriera aż do Proudhona i Comte'a. Marx, który przerywał dialektyczny rozwój przez sprzeczność w punkcie dojścia proletariatu do władzy, przestawał w tym punkcie interesować się ludzkością. Uniknął przez to utopii, ale nadał doktrynie swej charakter jednostronny, negatywny, burzący.

Proletariat był dlań w gruncie rzeczy narzędziem rewolucji, dalsze jego losy, tworzenie kultury socjalistycznej były już poza zasięgiem prawdziwych zainteresowań Marxa.

Oto jedna z przyczyn, dla których marksiści po dojściu do władzy przestają być marksistami, choć zachowują, czasem nawet niewolniczo jego ideologię: przetwarzają się bądź w liberałów typu Brantinga, bądź w faszystów typu Stalina.

Socjalizm zachodnio-europejski rychło przestał być kierunkiem rewolucyjnym i wszedłszy w obręb ustroju kapitalistycznego siły swe skierował ku polepszeniu warunków materialnych proletariatu. W tym zakresie nie podobna odmówić mu zasług, pamiętać jednak trzeba, że nie było to rozwiązaniem kwestii socjalnej, lecz jedynie jej złagodzeniem. W wyniku tej akcji popartej potężną falą strajków, ustrój kapitalistyczny przeżył ewolucję w kierunku t. zw. ograniczonego, a jak Sombart określa „późnego” kapitalizmu („Spätkapitalismus”). Uległa ograniczeniu wszechwładza fabrykantów i możliwość bezpośredniego wyzysku mas pracujących, lecz nie uległ najmniejszemu nawet skrępowaniu właściwy władca świata kapitalistycznego: bankier, posiadacz ruchomego kapitału. Jego to tworem są trusty, kartele i holdingi, które zdemoralizowały do reszty życie gospodarcze, odbijając sobie straty, poniesione na skutek zdobyczy socjalnych klasy robotniczej na ogóle konsumentów lub - przez umykanie spod śruby podatkowej - na dochodach państwa. Duch kapitalistyczny nie tylko nie zwolnił świata ze swego uścisku, ale przeciwnie, teraz dopiero osiągnął swą pełnię. „Większa część ludzkości - pisze biskup Kubina - dostała się pod niewolę życia gospodarczego. Człowiek utracił swą godność ludzką i stał się środkiem produkcji, gorzej jeszcze, niewolnikiem mamony. Takimi są nie tylko ogromne masy robotnicze, ale także inteligencja pracująca a nawet sami kierownicy, przedsiębiorcy i właściciele warsztatów pracy... Zerwano naturalny związek między człowiekiem a rzeczami, które mu mają służyć... Człowiek, który powinien być panem i celem produkcji, stał się jej niewolnikiem. Czynniki ludzki w życiu gospodarczym stał się zależnym od czynnika rzeczowego, martwego. Praca żywego człowieka stała się zależną od warsztatu pracy i środków produkcji, te zaś od pieniądza. Człowiek pracujący stał się zależny od człowieka, rozporządzającego warsztatem, ten zaś od kapitalisty, czyli od człowieka, posiadającego pieniądza. A ponieważ posiadacz pieniądza dziś przeważnie jest bezosobowy, czyli anonimowy, ostatecznie wszyscy: robotnicy, kierownicy produkcji, przedsiębiorcy i właściciele dostali się pod względne panowanie mamony. Coraz to więcej życie gospodarcze mechanizuje się. Coraz to więcej znikają ludzkie, duchowe węzły między czynnikami produkcji. Duszy robotnika dziś nic nie wiąże z warsztatem pracy i jego kierownikami albo właścicielami. Nawet jego własna praca, choć nierozwiązalnie złączona z jego osobą stała mu się jakby obca i wskutek tego jej nienawidzi. To samo, choć nie w tym samym stopniu można powiedzieć o przedsiębiorcach lub kierownikach produkcji. Nawet gdy są właścicielami warsztatów pracy, dziś już nie są w tej mierze, co dawniej, związani z nimi i z robotnikami; bo są zbyt zależni od kapitału finansowego. A już sam kapitał czysto finansowy, od którego wszystko i wszyscy są zależni: i robotnicy, i kierownicy, i warsztat



pracy, i miejscowość, gdzie ludzie i warsztat pracy się znajdują, nie interesuje się i nie może się interesować ani ludźmi, ani rzeczami, ani krajem; krajem tym mniej, im więcej kapitał staje się międzynarodowym, im częściej obcy kapitał wkracza w gospodarstwo krajowe”.

Kapitał ruchomy, finansowy, kapitał w ogromnej swej większości czysto rozbójniczy stał się istotnym panem świata. Za pomocą opłacanej prasy wpajał on w masy naiwny kult postępu technicznego. Fantazje powieściopisarskie na temat przyszłości przedstawiały ludzkość XIX i XX wieku szczęśliwą, bo w dobrobycie i w udoskonaleniach technicznych. Przepowiadano komunikacje międzyplanetarne, ostateczny triumf nauki nad przyrodą i jej niebezpieczeństwami. Pozytywistyczny kult nauki europejskiej przesiąkał do coraz szerszych kół i niemal że czekano tylko dwóch zwycięstw człowieka nad naturą: możliwości tworzenia życia oraz osiągnięcia nieśmiertelności, aby spełnić obietnicę węża edeńskiego: będziecie jako bogowie. Dumne władztwo rasy białej zdawało się niewzruszone, pokój i dobrobyt - trwałym stanem Europy; człowiek zachodni oglądał sam siebie z podziwem i pychą.

I nagle w owo królestwo zadowolenia uderzył piorun wojny światowej.

Krwawe zapasy zmieniły nie tylko mapę Europy, lecz przeorały dusze ludzkie. Znikła dawna pewność, stabilizacja stosunków, poczucie ciągłości i postępu; czaszkę ludzką opanował chaos. Początkowo zdawało się wszystkim, że świat, wykoleiwszy się na lat kilka, wróci na swe dawne tory, lecz z rokiem każdym okazywało się, że przełom wojenny oddzielił głęboką przepaścią stary i nowy układ stosunków, że, co więcej, przepaść ta ujawniła dawne rysy, podówczas jeszcze niewidoczne, lecz głębokie. Kto nie widział tego, kogo nie pouczyła ani rewolucja w Rosji, ani kryzys parlamentaryzmu w Europie, temu otwierał oczy chaos gospodarczy o skali światowej.

Dotąd, co prawda, zrozumienie sytuacji nie przeniknęło jeszcze do wszystkich umysłów. Są tacy, którzy łudzą się jeszcze nadzieją powrotu do dawnych czasów; większość jednak popadła w stan prostracji i czuje się jak okręt bez busoli. Faktem jest, że okres powojenny zrodził niebywały chaos myśli, w których odżywały lub powstawały najbardziej niesamowite koncepcje obok tępego - jak w masonerii - upierania się przy zastarzałych poglądach. Przemiana myśli nie podążała za zawrotnym tempem wypadków, które wstrząsnęły, niemal na nice wywróciły naszą część świata. I właśnie wśród największego wiru i zamętu przypadło Polsce po półtorawiekowej przerwie organizować od nowa swój byt niepodległy. Czyż można się dziwić, że było to błędzenie po omacku i że znaczna część dokonanej pracy przyniosła więcej szkody, niż pożytku? Tym bardziej, że u podłoża naszych ciężkich niedomagań leży nie tylko trójzaborowa niewola, ale i poprzedzające ją stulecia wypaczenia linii rozwojowej Polski.

# Dziedzictwo pokoleń

*Postawą naszego charakteru jest bierność.*

*Jest ona wytworem historycznego typu  
naszych stosunków społecznych.*

Roman Dmowski

*Musisz być inną, choć będziesz tą samą!*

Adam Asnyk

Nie zamierzam pisać historii Polski.

Książka moja w swej pierwszej części służyć ma analizie współczesności. Musimy ją znać, aby wiedzieć, co w budowie naszej jest błędne, spaczone lub spróchniałe, aby uświadomić sobie rozmiary koniecznych przemian, aby wiedzieć co odrzucić a na czym budować.

Jesteśmy wszyscy - cała nasza rzeczywistość współczesna - wytworem tych przeobrażeń duchowych, jakim ulegała cywilizacja europejska, a jednocześnie, w szczególnym zakresie, ewolucji stosunków na ziemiach naszych. I jak dla zrozumienia obecnego stanu myśli europejskiej trzeba cofać się badaniem do faktów, rzucających światło z wieków ubiegłych, tak dla zrozumienia współczesnej rzeczywistości polskiej szukać trzeba tłumaczeń w przeszłości.

Przeszłości czego?

Przeszłości Polski obecnej, przeszłości ziem, które się na nią w rozwoju historycznym złożyły. A złożyły się ziemie od Sudetów i Odry aż po Dźwinę, Okę, Worskłę i od Morza Bałtyckiego po Czarne. Połowa z górą tych obszarów należała do nas okresowo i została stracona, przeważnie bezpowrotnie. Ale przy badaniu naszej, polskiej współczesności trzeba brać pod uwagę historię całości ziem naszych.

Jest to postulat, który łatwiej postawić, niż spełnić z powodu ogromnej dysproporcji źródeł dotyczących poszczególnych obszarów. Historiografia polska według ustalonego szablonu zajmuje się do końca XIV stulecia dziejami ziem piastowskich, a dopiero od Jagiełłowych czasów sięga na ziemie zabużańskie. Ale te ziemie zabużańskie miały swoją historię i to starszą od nadwiślańskich.

W puściźnie dziejowej posiadamy nie tylko Gniezno, lecz i Kijów, nie tylko Szczecin czy Gdańsk, lecz i Halicz, nie tylko Kraków, lecz Wilno i Smoleńsk.

Tę prawdę zamierzam uwzględnić w omawianiu dziejów naszych.

Drugą odrębnością tego rozdziału będzie uwzględnianie w miarę możliwości dziejów całości społecznej. Historia Polski to - od XVI wieku zwłaszcza - historia szlachty, czyli 8-9 procent społeczeństwa. A przecież tak jak na Polskę dzisiejszą złożyły się dzierżawy szersze, niż obszar państwa w jakiegokolwiek określonej epoce, tak w dzisiejszych Polakach żyją dzieje wszystkich warstw dawnej Polski, nie tylko owego cienkiego pokostu zwierzchniego. I tu utrudnia pracę dysproporcja źródeł. Tyle znamy dzieje chłopów w Polsce, ile np. dzieje Litwy do XIV w. Nie tylko chodzi tu o brak opracowań. Chodzi o brak dziejów w ogóle. Dzieje bowiem to świadome działanie ludzkie nie tylko etnografia i socjologia. W przeciwieństwie do nich historia jest przede wszystkim zbiorem faktów niecodziennych, wyjątkowych, jedyńskich, niepowtarzalnych. Piotr Dunin, Jagiełło, Żółkiewski, Staszic, Szela, Jan Kasprowicz są postaciami historycznymi nie przez swe podobieństwo do ogółu, lecz właśnie przez swą różność. Podobnie jak gazety współczesne piszą o każdej podróży min. spraw zagranicznych, ale o jeździe chłopów furmanką na targ wspominają tylko wówczas, jeżeli na tym targu zamiast zwykłej czynności kupowania uprawiano mniej zwykłą czynność bicia Żydów; podobnie jak czytamy od czasu do czasu o panu X, który wpadł pod samochód, ale głucho w pismach o trzydziestu milionach Igreków, którzy pod samochód nie wpadli - podobnie historia pisze o Napoleonie, Massenie, Neyu, Marmoncie czy Dąbrowskim ale milczy o kapralach Dupontach i szeregowcach Durandach i trzeba piór powieściopisarzy, aby uzupełniać ją fantazją o żołnierzu-tułaczku.

Podobnie tworzona jest historiografia czterystu lat Polski pańszczyźnianej i błędem lub demagogią byłoby czynienie jej z tego powodu zarzutów. Historyk fachowy bada w danej epoce to głównie, co było w niej ważne dla jej czasów. Ale publicysta, szukający w przeszłości korzeni dzisiejszych czasów musi uwzględniać wszystkie fakty ważne dla zrozumienia naszej współczesności i będzie, odwrotnie niż historyk, skłonny do kierowania się dzisiejszymi kryteriami. I jeżeli stwierdzi jako fakt przymusową ahistoryczność 80% narodu polskiego, jeśli nawet uzna to za fakt powszechny w ówczesnej Europie środkowej, to nie znaczy jeszcze, aby uznał go za normalny i to mu przeszkodzi np. w uważaniu ustroju polskiego za demokratyczny, a natomiast skłoni do odmiennego nieco poglądu na bunt kozackie w siedemnastym stuleciu.

Stosowanie dzisiejszych kryteriów pociąga za sobą jeszcze dalsze skutki. Przedstawiając dzieje przeszłości, segregując fakty na bardziej i mniej istotne, publicysta zaliczy do pierwszej kategorii te, które konsekwencjami sięgają po dziś dzień i na naszym, współczesnym życiu wyciskają swe piętno, które są dla nas w obecnej chwili żyjących problemem do rozwiązania. Z natury rzeczy uwaga skupić się musi na wadach i brakach naszych oraz na ich historycznych przyczynach. Nie pora dziś na

książki, pisane dla pokrzepienia serc, raczej na dzieła „o poprawie Rzeczypospolitej”. Stąd wynika jednostronny, na ciemno zabarwiony, obraz naszej przeszłości... Miał naród polski i posiada nadal elementy mocy, zdrowia, żywotności, bo gdyby ich nie posiadał, to ani by się w państwo nie zorganizował, ani nie przetrwał czterech strasznych kryzysów: w latach 1031-1040, 1138-1320, 1655-1660 i 1795-1918. Ale dziś nie potrzebujemy w przeszłości szukać odpowiedzi na pytanie: czy możemy w ogóle istnieć jako państwo, pytanie tak tragiczne w czasach Szujskiego i Sienkiewicza; dziś odpowiedź daje nam terażniejszość. Dziś natomiast narzuca się pytanie inne: co czynić, aby wzmóc zdrowie i siłę narodu, aby zwyciężyć w rywalizacji z groźnymi sąsiadami, aby własnym wkładem do cywilizacji świata umocnić nasze aspiracje ku mocarstwowości duchowej i materialnej. A że znaków niepokojących istnieje wiele, a że wszyscy czujemy, iż przyszłość nasza zależy od śmiałych i wielkich decyzji, których, z małymi wyjątkami, brakowało w historii naszej, od głębokich, przemyślanych planów reformy, czy jak kto woli, rewolucji, na które nie zdobyła się dawna Polska - tedy przy segregowaniu faktów przeszłości wolno publicznie odsuwać na dalszy plan te, które sprawiły, że w ogóle istniejemy, podkreślać zaś te, które są źródłem naszej dzisiejszej słabości.

Na to dzisiejszej pragnę położyć duży nacisk. Wciąż bowiem tuła się po historiografii polskiej tendencja rozpatrywania dziejów Polski „przedrozbiorowej” pod kątem przyczyn rozbiorów. Tendencja ta, bardzo zrozumiała, wynika z braku perspektywy, szczególnie u ludzi, dla których niewola była osobistą tragedią, niehistorycznym wspomnieniem. Tak nastrojonym badaczom umyka jednak często z pod uwagi niejeden ważny problem, ponieważ nie był istotny przy rozpatrywaniu przyczyn upadku niepodległości. Np. wskazuje się często - i słusznie - na brak związku ustroju pańszczyźnianego z katastrofą rozbiorów. Istotnie położenie chłopów w krajach ościennych było nie lepsze (Austria, Prusy) lub nawet gorsze (Rosja). Rzeczą historyków tych państw jest zbadanie jak dalece ustrój pańszczyźniany wpłynął ujemnie na ich rozwój i jakie czynniki zrównoważyły ujemność tego wpływu, przynosząc w ogólnym bilansie tych państw (w XVIII w.) wzrost siły społecznej, zamiast ich upadku. Publicysta polski, operując kryteriami dzisiejszego stanu rzeczy, stwierdzi, że niewola 4/5 narodu jest jednym z głównych czynników choroby Polski od początku czasów pańszczyźnianych po chwilę dzisiejszą, choroby, której objawy dziś dopiero w pełni na jaw wychodzą, kiedy chłop stał się podstawą społeczeństwa, a pragnie stać się - i stanie niebawem - budowniczym Państwa.

Ten wstęp, uciążliwy może przez swój rozmiar, ale konieczny ze względu na chęć uniknięcia nieporozumień, obrazuje postawę autora i sposób ujęcia dziejów Polski w tej książce.

\*\*\*

Cywilizacja starożytna kwitła na południu Europy.

Ziemie północne dzieliły się pod względem geograficznym na trzy pasy, ciągnące się wzdłuż równoleżników. Pierwszy - to ziemie stepowe, przedłużenie stepów azjatyckich, zanikające stopniowo na Podolu i nizinie węgierskiej. Drugi - to strefa leśna od lewego dorzecza górnej Wołgi aż do granic rzymskich w Szwarzwaldzie. Trzeci, to skaliste kraje skandynawskie od Morza Białego do Północnego.

Wszystkie te kraje leżały poza rubieżami cywilizacji śródziemnomorskiej, ale nie były, z wyjątkiem może Skandynawii, odgródzone nieprzebytą granicą. Ruch handlowy był w wielu miejscach dość ożywiony. Italię łączył z Bałtykiem szlak bursztynowy, idący dorzeczem Wisły. Czy ziemie, przez które prowadził były już wówczas słowiańskie, to kwestia nierozstrzygnięta. Szlak ten nie przetrwał ruiny Imperium Zachodniego. Ośrodek cywilizacyjny przesunął się na Wschód - do Bizancjum. W VI wieku były już ziemie nadwiślańskie krajem zabitym deskami od świata; od południa odgradzali go Awarowie, od zachodu - barbarzyńcy słowiańscy i germańscy. Dopiero za Karolingów poczęła cywilizacja zbliżać się znów od strony Renu.

Nabrały natomiast znaczenia inne szlaki bursztynowe, przede wszystkim Dniepr - Szczara, Dniepr - Dźwina i Dniepr - Newa, oraz, daleko na wschód - Wołga - Newa. Pośrednikami handlowymi nad Wołgą byli Bułgarzy, nad Dnieprem - Chazarowie, odbiorcami zaś towarów północnych - kraje Imperium Wschodniego i Kalifatu Bagdadzkiego.

W 838 r. nawiązany zostaje kontakt bezpośredni między Skandynawią a Bizancjum. Normanowie, którzy dzięki swym doskonałym łodziom panowali już nad morzem północnym, docierali do Islandii (niebawem zaś - Grenlandii i Labradoru), podbijali Brytanię, a Sekwaną zapuszczali się pod Paryż - ocenili wartość Dniepru jako drogi do Konstantynopola oraz kwitnącego już wówczas handlem Kijowa jako stacji na tej drodze. W dwadzieścia lat później opanowują Kijów na dobre. Ruchliwość ich, zarówno wojenna jak pokojowa wywołuje coraz silniejszy kontakt z cesarstwem, otwiera drogę wpływom cywilizacyjnym Bizancjum na ziemie naddnieprzańskie. Germański wojownik i grecki duchowny stwarzają pierwsze trwałe państwo słowiańskie, które niebawem dojdzie do znacznej potęgi i objmie ogromne obszary.

Na początku tegoż stulecia organizuje się na gruzach dzierżaw Świętopelka Morawskiego - państwo czeskie, uległe wpływom kulturalnym niemieckim. Jednocześnie zachodzą nieznane bliżej procesy państwowotwórcze w najbardziej zapadłym kącie słowiańszczyzny - nad Gopłem. W ich wyniku pojawia się nagle na widowni dziejowej państwo Mieszka z dynastii Piastów, a w 966 r. wchodzi za przykładem Czech w orbitę cywilizacji chrześcijańskiej - łacińskiej.

Państwo Piastów pojawia się nagle w historiografii, ale nie w historii. Proces scalania ahistorycznych plemion w całość państwową wcale rozległą nie mógł dokonać się w ciągu jednego pokolenia. Poprzedziło go zapewne organizowanie się poszczególnych ośrodków pod przewodem

władcyków plemiennych, początkowo być może obieranych tylko na czas wojny. Pewne światło na system organizacyjny przodków naszych rzucić może ustęp kroniki Thietmara o obyczajach bliskich Polanom krwią i mową Luciców.

„Lucicami nie włada żaden panujący. Rozprawiając na wiecu jednomyślną radą o tym, co im potrzeba, w wykonaniu rzeczy wszyscy się zgadzają. Gdy zaś który ze współplemieńców na wiecu temu przeczy, biją go kijami. A jeśli się i nadal jawnie przeciwi, albo traci wszystko przez ogień i doszczętne ograbienie, albo zależnie od godności swej opłaca sumę należnych pieniędzy. Sami niewierni i zmienni wymagają od innych niezmienności i znacznej wiary. Pokój stwierdzają ustrzygłszy włosów na ciemieniu wraz z trawą i podaniem rąk, ale dla jego rozerwania łatwo ich pieniędzmi przekupić”.

Gdyby opuścić w tym opisie niektóre ustępy, można by go łatwo wziąć za apokryf z XVII lub XVIII wieku, powstały na podstawie obserwacji społeczeństwa szlacheckiego ówczesnej Rzeczypospolitej z jego republikanizmem, liberum veto, zajazdami, rokoszami, przekupstwem, wiarołomstwem wobec królów, od których wymaga się niezmienności. A oto inny opis (Helmolda):

„Żaden naród nie przewyższa Słowian w gościnności; tak bowiem sadzą się na przyjmowanie gości, że nawet o gościnę prosić nie trzeba, bo co z pola, połowu ryb i zwierzyny zebrali, wszystko na szczodrość wydają; a im kto marnotrawniejszy, ten sławiony jako najdzielniejszy. Ta żądza popisywania się wiedzie wielu z nich do kradzieży i rabunku”.

Dużo w tym, oczywiście, cech prymitywizmu, właściwego wielu ludom dzikim na całym globie, ale fakt, że te właśnie cechy prymitywne przetrwały u nas jak nigdzie indziej w Europie nie daje podstaw do szczególnej pychy narodowej.

Cechy te nie były zresztą właściwe wyłącznie Słowianom zachodnim, wschodni objawiali je w równym stopniu, tylko że tam już znacznie wcześniej Rusowie normańscy ścisnęli w karchach tę nieukształtowaną masę, wytrzebili zadzierzystość i republikanizm (odżyje on jednak w Nowogrodzie), zaprzęgli do twardej służby, porwali na dalekie wyprawy. Nie zdołali jednak tchnąć w podbite szczepy swej niezrównanej energii, byli zbyt nieliczni i sami rozplynęli się w rozlewnym typie słowiańskim, w gnuśności, apatii, wegetacyjności. Złamali wprawdzie bierny indywidualizm owych wielkich dzieci, polegający na przekorze, drażliwości, obawie poddania się pod cudzą wolę - cechę, która, widoczna już u Luciców zakonserwowała się pięknie w Polsce via liberum veto aż do naszych czasów, - ale nie stało im sił, aby zaszczerpić swój indywidualizm zaczepny, zdobywczy, narzucający innym swoją wolę.

Pozostał na wschodzie i na zachodzie ustrój rodowy. Ród był nie tylko związkiem krwi, lecz i pewną wspólnotą gospodarczą, użytkującą spolem łąki, pastwiska, zarośla, bagna, ale nie ziemię wydartą lasom i moczarom pod uprawę rolną, gdyż ta, udostępniona indywidualnym wysiłkiem,

stanowiła podstawę indywidualnej własności użytkowej. W późniejszym okresie rozwoju „jedne rody ubożały i rodziny rozchodziły się na wszystkie strony kraju, szukając bytu choćby zależnego od innych, a drugie potężniały, zajmowały coraz więcej gruntu jako własny i dawały przytułek dla zależnego bytu pierwszym. Ostatnie tylko rodziny były związane w rody”. (Grabski). W dalszej ewolucji wytworzyła się warstwa rodowej szlachty i nierodowego chłopstwa, t. j. tych rodzin, których organizację rodową rozbiły klęski gospodarcze. Do warstwy tej weszły od dołu niżej ongiś stojące w hierarchii elementy niewolne. Do warstwy zaś wyższej, szlacheckiej dostały się również rodziny bezrodowe, te mianowicie, które wyemancypowały się z pod władzy rodu przez służbę w drużynie książęcej. Albowiem Piastowie, walczący z rodami jak wszyscy władcy tych czasów i stosunków, tworzyli własne ramię zbrojne i własną władzę dziedziczną.

Władza ta była despotyczna, ale jej zakres był wąski. Sprowadzał się do dowództwa na wojnie, do pobierania - gdzie i kiedy się dało - danin w naturze lub pieniądzu oraz do sądownictwa w promieniu bezpośredniego oddziaływania samego władcy. Było to niewiele w porównaniu z najbardziej liberalnym i republikańskim państwem współczesnym, ale dużo w porównaniu z poprzednim okresem przedpaństwowym. Coś podobnego było i na Rusi, tylko że tam jarzmo Rurykowiczów było zapewne twardsze, a w każdym razie bardziej okrutne.

Wzorem dla Rurykowiczów było imperium bizantyjskie, dla Piastów - monarchia frankońska. Bliskie sobą krwią i językiem szczepy zaczęły oddalać się pod wpływem tych odmiennych ognisk cywilizacyjnych. Nie chodziło przy tym o różnice wiary, boć wiara była wówczas jedna - w Konstantynopolu i w Rzymie - ale o odmiennosc typu cywilizacyjnego, odmiennosc języka liturgicznego i alfabetu.

Zaprowadzenie chrześcijaństwa związane jest z imionami wybitnych i zręcznych władców w obu państwach: Włodzimierza Waldemara i Mieszka Dagona. (Imię to wskazuje, że prawdopodobnie miał Mieszko po kądzieli, tak jak Włodzimierz po mieczu - krew normańską). Włodzimierz, rzecz prosta, górował potęgą i bogactwem nad swym zachodnim sąsiadem; w 981 r. zabiera mu Grody Czerwieńskie. Rok 988 przynosi mu wraz ze chrztem rękę „w purpurze zrodzonej” córy cesarskiej, Anny. Znaczenie tego faktu można sobie uprzytomnić jeśli się zważy, że zaledwie kilkanaście lat wcześniej Bizancjum niechętnie tylko i po długim oporze zgodziło się zaszczycić ręką księżniczki bizantyjskiej, Teofano, młodego cesarzewicza Ottona (II), którego ojciec, potężny Otton I uważany był w Konstantynopolu za uzurpatora i dorobkiewicza. A był to ten sam Otton, któremu Mieszko I „był wierny i płacił trybut aż po rzekę Wartę”. Dysproporcja sił między Gnieznem a Kijowem była wówczas jeszcze znaczna.

Zmiana nastąpiła dość szybko. Już w roku 1000 syn Teofano i Ottona II uznał na zjeździe gnieźnieńskim niezawisłość monarszą Bolesława Chrobrego, wręczył mu włócznie św. Maurycego, przez co jako cesarz rzymski uznał księcia polskiego za równego k r ó- lom niemieckim, wreszcie

przez włożenie korony upoważnił do starań u papieża o sakrę królewską. Wkrótce po tym fakcie nastąpiło w ustawicznych bojach z następcą Ottona III - rozszerzenie granic i umocnienie potęgi Bolesławowego państwa. Natomiast Włodzimierz umiera w 1015 r., a zgon jego rozpętuje wojnę domową. Wówczas to Chrobry, syt triumfów od strony Niemiec wkracza z kolei w sprawy ruskie, opanowuje i łupi Kijów, z którego śle pełne dumy listy do obu cesarzy: Bazylego i Henryka. Bodaj czy nie migotała wówczas Bolesławowi, panu Moraw, Łużyc i Pomorza, przejściowemu władcy Czech - myśl zespolenia wszystkich ziem słowiańskich w jedno mocarstwo od morza do morza, trzeciej potęgi między imperium wschodnim i zachodnim... Plan to był ponad siły jednego pokolenia. Na razie wystarczyć musiały grody Czerwieńskie i koronacja.

Śmierć przedwczesna niszczy ów pochód ku potęgze. Spory spadkowe, owo przekleństwo ówczesnych stosunków, osłabia państwo Bolesławowe, tak jak przed dziesięciu laty - Włodzimierzowe. Następuje wroga koalicja sąsiadów, zwykły regulator mocarstwowości, upadek Mieszka II, abdykacja Bezpryma z niezawisłości i tytułu, a potem zupełny rozkład, chaos, rozpacz, walki socjalne, reakcja pogańska, która, być może, była zarazem reakcją dawnego plemiennego republikanizmu przeciwko despotyzmowi Piastów. Jednakże państwo odbudowuje się z gruzów - znak, że unifikacyjna praca kilku pokoleń książęcych przeorała prymitywną glebę, że z mozaiki rodów i plemion poczyna wytwarzać się naród. Mija jedna generacja i diadem królewski znów wieńczy skronie Piasta. Przepadły jednak - raz na zawsze - zachodnie zdobycze Chrobrego, rozluźnił się związek z Pomorzem. Stolica przenosi się z Gniezna do Krakowa, co w ówczesnych warunkach komunikacyjnych oznacza zaniedbanie północo-zachodu oraz rekrutację współpracowników władcy z całkiem innych składników plemiennych. Zbliżyło to Polskę poprzez Węgry do morza Śródziemnego, Włoch, papiestwa i promieniującego stamtąd renesansu chrześcijańskiego, ale zlikwidowało możliwość stanięcia mocną stopą nad Bałtykiem, który zresztą nie miał podówczas takiego znaczenia gospodarczego jak później. Gorzej, że ułatwiono tym ekspansję germańską na północo-wschód poza Odrę. Natomiast stolica krakowska ułatwiała władztwo nad Grodami Czerwieńskimi i porządkowanie spraw kijowskich, co też czyni z powodzeniem Bolesław Śmiały.

Nagle, u szczytu powodzenia spotyka króla katastrofa. Podobnie jak w 1069 Izasław z Kijowa, tak w dziesięć lat później Bolesław uchodzić musi z Krakowa przed spiskiem na rzecz juniora. U kolebki obu tych buntów leży zatarg z częścią duchowieństwa: w Krakowie z biskupem Stanisławem, w Kijowie z twórcą Ławry Peczerskiej - Antonim. Rzecz przy tym ciekawa, iż obaj władcy reprezentowali politykę współdziałania z odrodzonym przez ruch kluniacki papiestwem i popierani byli przez głowy hierarchii krajowych: Izasław przez metropolitę perejaśławskiego, Bolesław przez św. Bogumiła, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Przewrót wyszedł na korzyść: na Rusi - antyrzymskich dążeń „ojca schizmy” Michała Kerulariosa, w Polsce - antygregoriańskiej akcji cesarza Henryka IV.



Popędliwe, niepolityczne, barbarzyńskie wystąpienie króla Bolesława przeciw biskupowi krakowskiemu, uniemożliwiło (jak można przypuszczać) duchowieństwu dalsze popieranie monarchy i wzburzyło społeczeństwo, zgorszone zapewne już przed tym zatargiem pomazańca świeckiego z duchownym. Okazało się, że despotyzm w stylu dawnych Piastów pogańskich jest już niemożliwy. Po raz pierwszy zjawia się na widowni możnowładztwo kościelne (Stanisław ze Szczepanowa) i wojskowe (Sieciech). Dalekie od możliwości objęcia horyzontów politycznych Chrobrego, reprezentuje ono ideę przywileju społecznego przeciw wszechwładzy książęcej. Idea ta sprowadzi wkrótce klęski w polityce zewnętrznej, lecz zarazem osłabi ich skutki przez wyrobienie polityczne elity społeczeństwa.

Katastrofa 1079 roku znamionuje ostateczny upadek programu Chrobrego. Jeszcze potrafi Polska (mieczem Krzywoustego) obronić się przed najazdem a nawet rozszerzyć częściowo swe granice, ale myśl o koronie głuźnie na lat dwieście z górą, a zwierzchnictwo cesarzy niemieckich nad Polską staje się faktem niekwestionowanym przez nas. Rychło zaś wchodzi Polska w najgorszy okres swych dziejów, kiedy zanika nawet jej imię. Z okresu tego wychodzi w XIV wieku okaleczona, kadłubowa, słaba. Odzyskana wreszcie korona nie jest już koroną Chrobrego.

Podział Polski na dzielnice według zasad senioratu był naśladownictwem wzorów ruskich, gdzie w epoce Bolesława Śmiałego nierząd dosięgnął szczytu. W czasach Krzywoustego następuje już proces odwrotny: scalanie ziem pod władztwem Włodzimierza Monomacha. Można było przypuszczać, że i ordynacja Krzywoustego nie utrzyma się długo, że senior (Władysław II) wypędzi, chrobrowym systemem, rodzeństwo i scali wszystkie obszary w jedno. Zabrakło jednak seniorowi geniuszu Chrobrego, a, co ważniejsze, zabrakło głosu społeczeństwa, ściślej mówiąc, możnowładztwo, zagrały odrębności plemienne, kołysane nadzieją osobnych urzędów wojewódzkich i kasztelańskich. W 1146 rozstrzygnęły walkę pod Poznaniem hufce magnackie, wsparte potężnym orężem kłatwy, rzuconej na Władysława przez arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Raz złamana, ordynacja senioracka ulegała zanikowi. Ani Kędzierzawy, ani Mieszko stary nie mieli należytych tytułów moralnych do opierania się na tej zasadzie, ponieważ oni to wygnali prawnego seniora. W sporach braterskich zaczyna społeczeństwo odgrywać rolę arbitra, szczególnie społeczeństwo krakowskie. Ostatecznie przewagę otrzymuje najmłodszy Bolesławowicz, Kazimierz za cenę aktu łączyckiego z 1180 r. Zwolnienie naporu śruby podatkowej, przywileje dla duchowieństwa, a przede wszystkim sam zjazd łączycki, wskrzeszający dawne obyczaje parlamentarne zapewniły Kazimierzowi mitrę wielkksiążęcą dla swego potomstwa. Sankcja cesarska dla tej zmiany świadczy o zupełnej abdykacji z planów samodzielności politycznej Polski, rozbitej niebawem na niezależne od siebie nawzajem państewka. Po upadku bowiem na próżno wskrzeszanego senioratu upadło (ze śmiercią Leszka Białego) zwierzchnictwo książąt krakowskich nad innymi. Ginie imię Polski, nazwa jej identyfikuje się z dzielnicą wielkopolską, obok której

występują równouprawnione: śląska, krakowska, mazowiecka. Niebawem rozdrabniają się i dzielnice. W polityce zewnętrznej - same klęski. „Bratobójcze walki o tron krakowski najsmutniejsze miały dla Polski następstwa. Pierwsze, stoczone pomiędzy synami Krzywoustego skończyły się utratą Braniborza i szczecińskiego Pomorza oraz cofnięcie się Polski od zajęcia ziemi pruskiej i halickiej Rusi. Drugie, stoczone między jego wnukami i prawnukami, skończyły się wezwaniem Zakonu krzyżackiego do Prus, a Węgrów na Ruś halicką”. (Bobrzyński).

Monarchia piastowa przestała być czynnikiem jednoczącym ziemie polskie. Do przetrwania kryzysu, okupionego tak ciężkimi stratami, przyczyniły się, oczywiście, takie czynniki jak jedność kościelna, kult św. Wojciecha, a niebawem i Stanisława, świętopietrze - ale główną przyczyną było powstanie społeczeństwa, które idee te wcielało w życie. Dlatego trzeba ewolucji tego społeczeństwa kilka słów uwagi poświęcić.

Prawo do ziemi należało w czasach pogańskich do rodu. Ziemie nie obsadzone przez rody uważane były w czasach absolutyzmu Piastów za własność księcia. Książę zamiast żywić i odziewać, dawać konia i oręż wojowi z drużyny wołał nadawać mu pustkowie wraz z obowiązkiem ich zasiedlania i eksploatacji, a w razie potrzeby (wojny) - posługi rycerskiej. Oprócz tych ziem nadanych istniały wioski, złożone z rolników nierodowych, którzy na skutek katastrof gospodarczych (np. moru bydła) rozchodzili się i osiadali bezładnie. Jako nierodowcy obowiązani byli do indywidualnych danin na rzecz władcy. Pobór ich był, rzecz prosta, szczególnie uciążliwy. Książę ułatwiał sobie funkcje fiskalne przez przelewanie swych praw podatkowych, a potem i sądowych, na osiadłych w sąsiedztwie rycerzy, a w zamian żądał posługi zbrojnej już nie samego woja, lecz z orszakiem, obozem, ciurami. Tak wytworzyły się zwolna dwie warstwy: wolnych chłopów, obowiązanych do świadczeń materialnych w płodach rolnych i pracy na rzecz księcia lub tych, którym książę prawo scedował i wojów, odrabiających swe powinności w służbie publicznej wojskowej i cywilnej. Przez czas długi prawa wojów do ziemi i związanych z nią uprawnień (fiskalnych i sądowych) były indywidualne, od XII wieku stały się dziedziczne. Odpowiada to mniej więcej procesowi tworzenia się feudalizmu na zachodzie, gdzie dziedzicznymi stały się funkcje administracyjne.

Tak wyodrębnił się w okresie podziałów Polski stan szlachecki, ściśle związany z posługą wojenną i uzupełniający się wciąż od dołu przez bogacących się wolnych chłopów (kmienci, nazwa, utworzona od comes - hrabia), z chwilą, gdy przyjęli na siebie obowiązek wojskowy. Z biegiem czasu chłopci ubożsi spadli na niższy szczebel: niewolnych przypisańców, powstałych z osadzanych na roli niewolników. Natomiast stan szlachecki, szczególnie najsilniejsze gospodarczo rody, wybiły się w dzielnicach piastowskich tak wysoko, że - przynajmniej w nienależącej nikomu z dziedzictwa dzielnicy krakowskiej - przeprowadzają de facto, choć nie de iure, zasadę wolnej elekcji.

Nie wytworzył się natomiast w tych czasach rodzimy stan mieszczański. Rzemiosło uprawiane było przez czas długi w wioskach zawodowych, osiadłych przez jednolicie zatrudnioną ludność niewolną (Szewce, Kowale, Szczytniki, Łągiewniki i t. d.). Pod koniec w. XII skupia się ludność niewolnicza w miejscach targowych, ale nie tworzy jeszcze miast, bo miasta wyrastają z handlu na dużych przestrzeniach, a ten był jeszcze w Polsce w powiatach. Dopiero wiek XIII przynosi ich rozwój, przeważnie jednak odbywa się on dzięki przybyszom niemieckim, polszcącym się bardzo powoli. Własnych tradycji handlowych a przez to i miejskich Polska Piastowska nie wytworzyła.

Wprost przeciwnie było na Rusi. Tam miasta jako centra handlu międzynarodowego wcześniejsze były od państwa Ruryka. Kupiectwo kijowskie i nowogrodzkie odgrywało rolę podobną do roli polskiego możnowładztwa rycersko-rolnego: arbitra w sporach między książętami, którzy rozrodzeni byli nie mniej, niż Piastowie i to już we wcześniejszym okresie.

Jeden z tych książąt, Włodzimierz Monomach odegrał przejściowo rolę scalającą w owym olbrzymim, słabo zaludnionym kraju. Skupił w swych rękach księstwa: smoleńskie, nowogrodzkie, suzdalsko-rostowskie i perejaślawskie, potem ks. kijowskie, a wreszcie - włodzimiersko - wołyńskie, przez co wszedł w bezpośrednie sąsiedztwo z Polską. Już on jednak musiał pół życia strawić na walkach z mongolskimi najezdnikami stepowymi, Połowcami, którzy, groźniejsi niż dawne Chazary i Pieczyngi, stają się tym dla Kijowszczyzny, czym Tatarzy XVII w. dla Podola. Mieszając się w ustawicznie trwającą wojnę domową między Rurykowiczami, niszczyli i plądrowali ziemię ruską. Ale nie oni zadają główny cios Kijowowi. W 1169 zdobywa go wojsko Andrzeja Bogolubskiego księcia suzdalskiego i niszczy łupieżcze, później w ciągu kilku lat powtarza się owo „sacco di Kijów” dwukrotnie aż ze wspaniałego, stutysięcznego miasta pozostają gruzy, a hegemonia przenosi się do Włodzimierza nad Kłazmą, na ziemię etnograficznie mongolskie.

Odtąd historia Rusi rozdziela się od północy do południa na dzieje części wschodniej, sięgającej zainteresowaniami ku Wołdze i Morzu Kaspijskiemu i zachodniej, wchodzącej w coraz bliższy kontakt z Polską, Litwą, Zakonem Kawalerów Mieczowych. Południe, wylot na Morze Czarne, zagrodzone było przez hordy Połowców, którzy odcięli Ruś od wpływów bizantyjskich. Na północy Nowogród, wciąż jeszcze bogaty i możny, widzi się odepchniętym od Bałtyku przez niemieckich przybyszów.

Najbardziej na zachód leżące Grody Czerwieńskie, jabłko niezgody między Piastami i Rurykowiczami, były od czasów Władysława Hermana w posiadaniu tych ostatnich. Kraj etnograficznie - zdaje się - mieszany, w swej strukturze społecznej zbliżał się do ustroju polskiego, w którym nadawała ton szlachta (rycerze - ziemianie), nie zaś miasta; wyznaniem natomiast łączył się z Rusią. Twórcą wcale silnego państwa na tych ziemiach stał się Roman Włodzimiersko- Halicki, siostrzeniec Kazimierza Sprawiedliwego, który mu pomógł do zdobycia Brześcia i Drohiczyna na

Leszku Mazowieckim. Wtrącenie się Węgier i Barbarossy zakłóciło przejściowo współpracę Romana z Kazimierzem, ale opóźniło tylko, nie wstrzymało wzrostu jego potęgi. Doznała ona ciosu dopiero przez śmierć Romana w bitwie z Polakami pod Zawichostem. Teraz Rurykowicze, Piastowie i Arpadowie rywalizują o ziemię czerwieńską. Ostatecznie zwyciężył Daniel Romanowicz, skupiwszy w swym ręku Włodzimierz, Łuck, Halicz, Podole, Kijów, Drohobuż i część Polesia. Od strony ziem piastowskich rozszerzył swe obszary przez zdobycie Chełma, Lublina i Drohiczyna nad Bugiem, gdzie założył stolicę. W 1254 r. zapadła dziś miejscina ujrzała jak legat papieża Inocentego IV kładł koronę na skronie Daniela.

A działo się to wszystko już w okresie wielkiego najazdu tatarskiego, który na dziejach Rusi wycisnął silniejsze piętno niż wpływy Normanów i Bizancjum.

W ciągu wielu stuleci etap eurazyjski wyrzucał z głębi Azji fale koczowników mongolskich. Były to jednak najazdy barbarzyńców, którzy znikali z czasem bez śladu, albo przyjmowali cywilizację śródziemnomorską: Hunnowie, Awarowie, Chazarzy, Madziarowie, Pieczyngi, Połowcy. Teraz atoli ruszyły na podbój ludy azjatyckie, uformowane cywilizacyjnie pod wpływem Chin, a muśnięte również manicheizmem i nestorianizmem. Ludy te skupił w imponujące państwo geniusz Dżengis-hana, którego rozmach nie ma równego w dziejach świata, pozostawiając daleko w tyle Aleksandra Wielkiego, Cezara i Napoleona.

Znakomita administracja, przenikliwa dyplomacja i wywiad, a nade wszystko imponująca organizacja armii, taktyka i strategia - wytwarzały siłę, której nie oparły się nawet wysoko cywilizowane Chiny, a cóż dopiero na wół barbarzyńskie państewka ruskie, gubiące w podziałach to, czego nauczyło ich Bizancjum. Tatarzy, krocząc od zwycięstwa do zwycięstwa rzucili pod swe nogi wszystkie dzierżawy Rurykowiczów, a od 1244 r. osiedlili się na stałe nad Wołgą, organizując odrębne państwo kipczackie. Większa część ziem ruskich weszła w jego skład i zmongolizowała się cywilizacyjnie, w czym niewątpliwie sporą rolę odegrał fakt istnienia starego mongolskiego podłoża etnicznego aż po Okę i Moskwę. Zachodnia natomiast połać ziem ruskich, uzależniona od Kipczaku dużo słabiej, weszła teraz pod Danielem w orbitę wpływów cywilizacji rzymskiej, spajając jeszcze silniej swe losy z Polską i wychodzącą ze stanu barbarzyństwa - Litwą. Wprawdzie zarówno Daniel (któremu odebrano Kijów) jak jego synowie zmuszeni byli brać udział w kilkakrotnych najazdach tatarskich na Polskę, ale był to raczej narzucony sojusz, niż zależność tego rodzaju jaka przypadła w udziale Rusi wschodniej. Ostatecznie po wygaśnięciu Rurykowiczów Ruś czerwieńska i wołyńska przeszło drogą spadku do Piastów mazowieckich, a wreszcie weszła w skład Polski. Inne części Rusi stopniowo, w miarę słabnięcia państwa tatarskiego przechodziły w sferę wpływów Litwy.

Litwa bowiem, zorganizowawszy się pod rządami Mendoga w silne państwo, ozdobione nawet przez czas krótki godnością królestwa, rozszerzyła swoje dzierżawy na Brześć, Grodno, Nowogródek, a w dalszej ewolucji zagarnęła Połock, Witebsk, Mińsk, Polesie, z Pińskiem i

Turowem wreszcie - Podlasie i Łuck. Niedługo miała przyjść chwila, kiedy potężniejsze z roku na rok państwo odbierze Tatarom Podole, Kijów, Czernihów i Brańsk, a później - Mohylew, Smoleńsk i Wiazmę. Reszta Rusi, pozostająca nadal pod władztwem zwierzchnim Tatarów skupiła się koło nowego ośrodka politycznego - Moskwy. Jedynie północne ziemie z Nowogrodem jako stolicą zachowały niezależność zarówno od Moskwy jak i od Wilna.

Jednocześnie z tym krystalizowaniem się obu Rusi: litewskiej i tatarskiej zaczynają jednoczyć się w większe kompleksy rozbite dzielnice piastowskie. Bez- dzietność niektórych książąt (Bolesława Wstydliwego, Bolesława Pobożnego, Leszka Czarnego, Mestwina Pomorskiego, Henryka Probusa, Przemysława II) zapobiega dalszym działom rodzinnym. Szczególnie pomyślną była okoliczność, iż Piastowie, tradycyjnie wierni starymu prawu rodowemu nie znali, w przeciwieństwie do feudałów zachodnich dziedziczenia przez kobiety i stosowali szeroko zapisy testamentarne nawet dalszym kognatom - Piastom z wyłączeniem bliższych stopniem agnatów. Nie doszło też w Polsce do tak wielkich strat terytorialnych jak np. we Francji przejście połowy terytorium we władanie korony angielskiej. Wielkim plusem był zresztą w stosunkach polskich fakt, iż dzielnice powstały z podziałów spadkowych a nie z wyemancypowania się urzędów (z jedynym wyjątkiem Pomorza), oraz rzadkie na ogół fakty pozostawiania jedynaczek. Ale obok tych przyczyn ważką, może nawet najważniejszą rolę odegrało poczucie jedności narodowej w społeczeństwie. Szczególnie energicznie działało w tym kierunku duchowieństwo. Tak rozpoczął się proces wprost odwrotny, niż po śmierci Krzywoustego. Wówczas wybijające się ku potędze możnowładztwo duchowne i świeckie współdziałało w rozbiciu państwa na dzielnice, pragnąc tą drogą zapewnić sobie wpływy; było ono podówczas prowadzącą egoistyczną politykę opozycją przeciw despotyzmowi Piastów. Obecnie, uzyskawszy wszystko, co mieli do uzyskania, możni (szczególnie duchowieństwo, oświecone i kulturalne) poczuli się elitą rządzącą, wyrosli ponad egoizm stanowy, a widząc opłakane skutki polityczne rozbicia, dążyli do zjednoczenia. Wystarczy zresztą porównać dostojników kościelnych takich jak arcybiskup gnieźnieński lub biskup krakowski, obszar ich diecezji i bogactwo dóbr, z książątkami np. kujawskimi, których włości ograniczały się do kilku grodów, oraz zestawić konieczne na wysokim szczeblu duchownym wykształcenie, często na zagranicznych uniwersytetach zdobyte, z analfabetyzmem większości Piastów, aby zrozumieć, że w wieku XIII elita społeczeństwa przerosła dynastów i odegrała wychowawczą wobec nich rolę.

Zjednoczeniu sprzyjały zresztą i względy gospodarcze.

Polska dawniejsza była z małymi wyjątkami krajem lasów i pastwisk, w których główną podstawą życia było łowiectwo i pasterstwo. Stuletnia praca zakonu cystersów i wyszkolonej przez nich oraz przez osadników niemieckich ludności przetrzebiła lasy, osuszyła bagna, rozszerzyła pola uprawne, zasypała brzegi rzek i rzeczek setkami młynów. Polska zaczęła produkować w dużej ilości zboże i jego przetwory, przy czym rynek krajowy okazał się zbyt ciasny, co zwróciło uwagę na Wisłę

i jej dopływy jako arterie komunikacyjno-handlowe. Stąd wzrost znaczenia Pomorza Gdańskiego i poczucie jego łączności z Polską, wyrażone m. in. w testamencie Mestwina, stąd również poczucie niezwyklej krzywdy dla całości ziem polskich gdy Krzyżacy opanowali dolny bieg Wisły. Znacznie mniej odczuwano utratę średniego i dolnego biegu Odry, gdyż Wielkopolskę dotykało to tylko częściowo, Małopolskę i Mazowsze - wcale, Śląsk zaś, rozdrobniony i już germanizowany przez kolonistów miejskich i wiejskich oraz duchowieństwo zakonne, tym silniej wiązał się z organizmem gospodarczym sąsiadów zachodnich. I choć aż do końca XIII w. tułała się po głowach niektórych Piastów śląskich myśl o zjednoczeniu Polski i koronie, to jednak rozwój dziejowy poszedł w odwrotnym kierunku i stara ziemia polska stała się jedynie pomostem do wpływów obcych na Polskę.

Po efemerycznej próbie wskrzeszenia królestwa Bolesławów w oparciu o Wielkopolskę (Przemysł II), zjednoczenie Polski dokonało się przez siłę, narzuconą z zewnątrz. Korona polska spoczęła na skroniach Wacława, a kilkunastoletnie rządy czeskie rzuciły podwaliny nowej organizacji administracyjnej. Gdy reakcja narodowa, kierowana niezłomną dłońią bohaterskiego Łokietka, straciła zwierzchnictwo czeskie z większości ziem polskich, jedność ich wytrzymała dalsze próby.

Wychodziła Polska z dwuwiekowego rozbicia jako kadłub bez Śląska, Mazowsza, Pomorza i większości Kujaw, ale w majestacie korony, która, co prawda, po upadku powagi Cesarstwa Rzymskiego łatwiejsza była do zdobycia, niż ongi. Budował nowe państwo Kazimierz, polityk mądry, wyszkolony w neapolitańskiej szkole Andegawenów, od których przejął szerokość spojrzenia i gruntowną znajomość spraw europejskich. Ten drugi Odnowiciel, pracując w niezwykle ciężkich warunkach potrafił uchronić kraj od dalszych rozbiorów, przywrócić państwu całkowitą niezależność, a nawet rewindykować niektóre straty, mianowicie na północnym zachodzie i południowym wschodzie. Niepospolitą jego zasługą było przywrócenie autorytetu władzy, zachwianego przez książąt dzielnicowych, wychowanie prawdziwej, jedynej w dziejach Polski elity społecznej, wreszcie - uprzemysłowienie i zagospodarowanie kraju.

Panowanie ostatniego Piasta przypomina wieloma rysami wcześniejsze o jedno pokolenie rządy Filipa Pięknego we Francji. U obu królów występuje ten sam rys przebiegłości dyplomatycznej, choć, oczywiście, Kazimierz, stojąc na czele państwa słabego mniej miał swobody ruchów, niż władca francuski. I tu i tam ostrożne poprzestawanie na małym w miarę sił swoich, i tu i tam zbieranie ziem po kawałku a nieszczerze wyrzekanie się tych, których przyłączyć nie było można. Nie jest rzeczą niemożliwą, że Kazimierz próbował wzorować się na twórcy nowoczesnej monarchii francuskiej, a już z pewnością tęsknie myślał o zlikwidowaniu przez Filipa templariuszów, on, który ani marzyć mógł o czymś podobnym wobec krzyżaków. Podobnie jak Francja Filipa, formułowała Polska zasadę, iż król polski „dzierżąc koronę i miecz przez Boga mu dane” ma się za równego cesarzowi,

którego uważa tylko za sąsiada, podobnie jak Filip, uważał Kazimierz, iż jest „panem wszystkich ziem leżących w obrębie królestwa, daje je lub odbiera komu zechce”. Obaj wreszcie królowie, nie będąc genialnymi wojownikami, byli znakomitymi organizatorami wojska, Kazimierz nawet bodaj lepszym, bo gdy Francja w 32 lata po śmierci Filipa poniosła fatalną klęskę pod Crecy, klęskę, wywołaną niższością organizacji wojskowej francuskiej, w porównaniu z angielską - polska organizacja wojskowa, stworzona przez ostatniego Piasta odniosła w 40 lat po jego śmierci (prawda, że z pomocą litewsko- ruską) triumf grunwaldzki nad najdumniejszą armią świata. Dodać trzeba, iż Kazimierz zasypał Polskę kilkudziesięciu fortecami na pograniczu śląskim, brandenburskim, krzyżackim, litewskim i tatarskim, czuwając zarazem nad umocnieniem wojskowym głównych miast swego królestwa.

Ten wielki wysiłek zbrojny (okupiony zresztą niepowodzeniem reformy walutowej i - podobnie jak we Francji - inflacją) stał się możliwy dzięki mądrej polityce gospodarczej, wspomaganej dobrą koniunkturą międzynarodową. Z Flandrii, kwitnącej swym przemysłem do kolonii genueńskich na Krymie, bogatych wytworami Wschodu - najkrótsza droga prowadziła przez Norymbergę, Wrocław, Kraków i Lwów. Z tym szlakiem tranzytowym krzyżował się drugi: z Węgier przez Spisz do Krakowa, stamtąd Wisłą do Bałtyku i morzem do Flandrii i Anglii. Szlaki te istniały już w wieku XIII, ale teraz świadoma polityka rodu królewskiego wyzyskała je w pełni dla Polski. Politykę tę można by nazwać merkantylistyczną, gdyż starała się ściągnąć do kraju szlachetne kruszce i kładła nacisk na czynny bilans płatniczy. W zakresie produkcji prowadziło państwo Kazimierza gospodarkę planową, daleką od liberalizmu, ale daleką również od rabunkowości czystego fiskalizmu. Tam, gdzie inicjatywa prywatna wychodziła na korzyść planu gospodarczego, król popierał ją przez przywileje, t. j. zrzekanie się na jej rzecz uprawnień koronnych; tam natomiast, gdzie groziła anarchią gospodarczą - hamował ją i ścieśniał jej zakres, kartelizował produkcję ustawowo przez podział rynku, a zarazem baczył, by prywatne monopole nie wyniszczały odbiorców przez dążenie do nadmiernych zysków. Na cztery stulecia przed Ogińskim i St. Augustem przekopał Kazimierz kanał z zagłębia solnego do Wisły, stworzył przemysł górniczy (ołów, żelazo) i hutniczy, a na rzekach, stawach, potokach powstały liczne młyny, browary, tartaki, garbarnie, fabryki sukna, szlifiernie, cegielnie; obuwie polskie (poulain) było w Europie równie modne jak dziś angielskie palta burberrys.

Oczywiście przemysł polski nie stał wyłącznie eksportem, ani handel - tranzytem. Podstawą obu był rynek wewnętrzny. Rolnictwo podniosło się dzięki ulepszeniu narzędzi (pług żelazny) i systemu eksploatacji (trójpolówka), a liczne przepisy (np. przymus miewa) stwarzały wymianę usług i bogaciły życie gospodarcze.

Bogaciła się wieś, poprawiała sytuacja chłopów pod względem prawnym. Wprawdzie przechodzili oni - co stało się w przyszłości źródłem niewoli - spod bezpośredniej władzy państwa we

władztwo rycerstwa, ale zyskiwali szereg ulg i wolności. Nie posiadali, oczywiście, własności gruntu, który im dawał utrzymanie, ale byli jego prawnymi, dziedzicznymi posiadaczami. Była to forma swoista, właściwa średniowieczu, wieloma jednak cechami zbliżona do rzymskiej emfiteuzy, przy czym związane z nią ciężary były „znacznie niższe, niż w wypadku dzierżawy, która się gdzie nie gdzie spotykała w stosunku do szlacheckich gruntów”. Głównym ciężarem, wypływającym z umowy lokacyjnej był czynsz, określony w swej wysokości, której strony samowolnie zmienić nie mogły. Inne opłaty wynikały z przeniesienia praw państwa na właściciela gruntu, a wraz z nimi i zwyczajowych podatków książęcych. Wreszcie - wsie na prawie niemieckim obowiązały do bezpłatnego uprawiania gruntów pańskich, ale wobec szczupłości tych obszarów (przeważnie obsługujących tylko osobiste potrzeby rodziny szlacheckiej) pańszczyzna ta (kilka dni w roku) była najmniej uciążliwym dodatkiem do innych ciężarów. Miała się okazać fatalna dopiero z chwilą nieprzewidywanego w XIII i XIV wieku rozszerzenia obszarów dworskich przez co literalna strona umów lokacyjnych rozeszła się z ich duchem. Również przykucie chłopów do ziemi nie miało podówczas charakteru niewoli. Wyjść z wioski nie mogło więcej, niż dwóch rocznie, musieli zostawiać po sobie rolę i dom w dobrym stanie oraz - jeśli korzystali z przywileju „woli” (wolności od ciężarów przez określoną liczbę lat od powstania umowy) - musieli opłacić czynsz za cały przebyty już okres „woli”. Nadto na swoje miejsce musieli znaleźć następcę. Przepisy te, dalekie od cech szlacheckich, były po prostu zabezpieczeniem właściciela gruntu przed nadużyciem ze strony osadników, podobnie jak dziś kaucje pracowników lub dzierżawców, albo kontrakty między lokatorami a właścicielami domów. Jeszcze więcej analogi można by z pewnością znaleźć sięgając do południowo - amerykańskich umów między rządami a polskimi kolonistami rolnymi.

Bardzo ważną cechą wsi polskiej na prawie niemieckim był samorząd, stosunkowo obszerny. Po raz pierwszy (od czasu zaniku organizacji rodowej poza szlachtą) wieś uzyskiwała formę organizacyjną, mianowicie w gminie, czyli związku ludzi wolnych na podstawie terytorialnej z dziedzicznym sołtysem na czele. Sołtys był jakby parlamentarnym monarchą w miniaturze: przewodniczył naradom gromadzkim oraz sądził wraz z ławnikami, a zarazem reprezentował wieś wobec pana, od którego był niezależny pod względem gospodarczym i prawnym. Podobna organizacja stosunków wiejskich doprowadziła w Tyrolu i Styrii do powstania zupełnie niezależnych wsi chłopskich. Piekosiński widzi w stworzeniu krakowskiego trybunału prawa niemieckiego, złożonego z sołtysów, tendencję Kazimierza do emancypacji ludności wiejskiej, do nadania jej mocnej organizacji, a nawet praw politycznych. Samorząd wiejski obok silnie już rozwiniętego samorządu miast mógł być z czasem doprowadzić do rozwoju w Polsce prawdziwego, trójstanowego parlamentaryzmu pod silnym kierownictwem korony. Możliwość ta okazała się wprawdzie czysto teoretyczna, nakazuje ona jednak skupić uwagę na panowaniu Kazimierza Wielkiego. Jest ona dla tego tak ważna, że po raz pierwszy i ostatni w dziejach naszej dawnej niepodległości zarysowała się wizja równowagi społecznej. Nie było jej za pierwszych Piastów, gdyż



nie było wówczas społeczeństwa, nie stało jej w okresach późniejszych, gdy na gruzach władzy monarszej, na bezsile miast i chłopów rozsiadło się władztwo jednej klasy społecznej: ziemiaństwa zorganizowanego w dwa stany: szlachty i wyższego duchowieństwa.

Śladem wszechstanowych tendencji kazimierzowskich jest ustęp Statutu Wiślickiego, który głosi: „Ponieważ żadnemu człowiekowi nie można odmówić najwyższej obrony, przeto stanowimy, że w sądzie naszego państwa każdy człowiek jakiegokolwiek stanu i położenia może i powinien mieć swego adwokata, prokuratora lub rzecznika”. Akt ten dużo bardziej zasługuje na nazwę polskiego Habeas Corpus, niż rozstawione „Neminem captivabimus”, będące przywilejem zaledwie 1/12 narodu, a zasługuje tym bardziej na uwagę, że wydany został przez króla z jego własnej, dobrej woli, a nie wytargowany czy wymuszony jak Przywilej Jedlnieński lub Statuty Nieszawskie.

Nie znaczy to bynajmniej, że czasy ostatniego Piasta były sielanką. Kazimierz objął wprawdzie tron bez trudności, praw jego nikt w Polsce nie kwestionował, ale państwo jego było właściwie mechanicznym zlepkiem księstw dzielnicowych, które on powoli i nie bez trudności przekuwał w jednolitą całość. Szczególnie ciężko przebiegał ten proces w Wielkopolsce, która czuła się zepchnięta na plan drugi przez Małopolan i nie widząc możliwości złamania ich przewagi, tym zazdrośniej strzegła swego separatyzmu. Tam właśnie, w Wielkopolsce powstała pierwsza w dziejach naszych konfederacja, odwołująca się do obcej (brandenburskiej) pomocy, co zmusiło króla, po bezowocnych próbach pojednania do aktu srogości wobec jej przywódcy, Borkowica. Konfederacja ta występowała również w obronie zasiedziałych grabieży majątków państwowych, które Kazimierz począł rewindykować z całą bezwzględnością. Sprawa ta, zakończona ostatecznie kompromisem, wzmocniła podstawy finansowe państwa.

Umierając przedwcześnie, pozostawił ostatni Piast wiele dzieł niedokończonych. A jednak trzydziestosiedmioletnie jego rządy zdecydowały o dalszym istnieniu Polski. Była ona jeszcze państwem słabym w porównaniu z Węgrami Andegawenów lub Czechami Luksemburgów, a także z przyszłym królestwem jagiellońskim. Ale odmiennie przedstawi się sytuacja, gdy porównamy chwilę śmierci Kazimierza z chwilą jego urodzenia. Wówczas (r. 1310) człowiekiem, który używał tytułu króla polskiego był Jan czeski, całość zaś ziem Łokietkowych obejmowała Kujawy, ks. Sandomierskie i Krakowskie, te dwa ostatnie podminowane groźnie akcją Muskaty i Alberta. Wielkopolska twardo stała przy zniemczonych Głogowczykach, rządzących nią ze Śląska. U trumny Kazimierza stanął już Naród Polski, uszczuplony wprawdzie, ale świadomy swej łączności, zdolny do przetrwania niebezpiecznego okresu Ludwika, a nawet do samodzielnego wzięcia w swe ręce losów państwa. Bezpotomna śmierć wielkiego króla, mogąca stać się w razie niedojrzałości społeczeństwa groźbą dla zespolonej z takim trudem całości, stała się źródłem okresu największej potęgi państwa. Ona to stworzyła dzisiejszą Polskę i dzisiejszych Polaków.

Panowanie Ludwika Węgierskiego, fortunne jedynie przez popieranie miast i zapewnienie pokoju od ściany północnej i zachodniej - było walnym krokiem do emancypacji elity społecznej, ale zarazem pierwszym typowym dla późniejszych czasów, konfliktem między społeczeństwem polskim a obcym, oddanym dynastycznym celom monarchą. Kazimierz Wielki był „przyrodnym panem” ziem swoich, Ludwik, desygnowany jego wolą, choć okupił swe następstwo tronu przywilejem budzińskim, zaznaczał do końca życia swe prawa legitymistyczne jako wnuk Łokietka. Trudniej już było z córkami, bo choć po kądzieli Piastówny, łamały prawo rodowe piastowskie nieznające dziedziczenia kobiet, poza tym przedstawiały wielką niewiadomą, boć wraz z nimi trzeba było przyjąć na tron nieznanego jeszcze zięcia, pana krwi obcej<sup>3</sup>. Groziło to niebezpieczeństwem dla Polski i dla warstw uprzywilejowanych. Tu leży geneza paktu koszyckiego. Nie był on ograniczeniem prawdziwej władzy monarszej, a jedynie możliwej samowoli cudzoziemca. Niebezpieczny był przywilej wolności od podatków bez zgody zainteresowanych, bo czynił siły skarbu zawisłe od ofiarności warstw uprzywilejowanych, ale niebezpieczeństwo to urzeczywistniło się dopiero wówczas, gdy zastrzeżony stały podatek stał się niemal fikcją przez dewaluację grosza, a jednocześnie wyschło do połowy główne źródło dochodów koronnych: królewszczyzny.

Później również wyszło na jaw ukryte niebezpieczeństwo innego przywileju, zawartego w pakcie: wynagrodzenia za wyprawy zagraniczne. Zrozumiały i uprawniony jako hamulec przeciw przelewaniu krwi polskiej gdzieś w Dalmacji czy Neapolu, posłużył potem za oręż wygody szlacheckiej, zwalającej całkowite koszta wypraw zaborczych a nawet zapobiegawczych na barki królów, wytwarzał w warstwie uprzywilejowanej zaściankowość myślenia i był pożywką owego fatalnego hasła „obrony”, hasła tak wrośniętego w dusze polskie, że widocznego nawet w dziedzinie języka: toż słowo „broń” zastąpiło u nas stary, słowiański „oręż”, a wojna nazwana została „potrzebą”.

Nie można jednak za późniejszy bieg wypadków obwiniać wieku XIV. Był to okres żywotności, okres wiosny, kiedy krążące soki rozsadzają nabrzmiałe pąki drzew, okres kwitnienia i zapytań, po których przychodzi owocobranie. Takim wspaniałym owocem stało się złączenie wschodnich i zachodnich ziem dzisiejszej Polski, dzieło pokolenia wychowanego w szkole ostatniego Piasta i zaprawionego do samodzielności myśli politycznej w trudnych czasach Ludwikowych. Wyrugowanie z Polski Niemca, Luksemburczyka, zerwanie unii z niepotrzebnymi już nam Węgrami, niedopuszczenie bezużytecznego, bo z dalekich krajów przybywającego

---

<sup>3</sup> Nie mówiąc już o tym, że odsuwały od tronu bardziej uprawnione do dziedziczenia go córki Kazimierza Wielkiego.

Habsburga i wreszcie - oddanie tronu napół barbarzyńskiemu poganinowi, który jeszcze przed 10 laty osobiście brał udział w „bandzie dywersyjnej”, roznoszącej mord i pożogę od Lublina aż po Tarnów, to czyny wymagające zarówno głębokiego, dojrzałego rozumu jak zuchwałej odwagi. Wyobraźmy sobie atamana Konowalca na fotelu Prezydenta Rzeczypospolitej!

Polska XIV w. o wiele bardziej zasługuje na nazwę narodu, niż np. ówczesna Francja. Gdy w r. 1356 armia francuska poniosła klęskę pod Poitiers, a król Jan wpadł w niewolę angielską, w kraju św. Ludwika rozpętała się zawierucha pod względem okrucieństwa rewolucja, która rozprzęgła państwo do reszty. W pięćdziesiąt lat później wojna domowa buchnęła jeszcze straszniejszym płomieniem. Zjadłość jej była tak wielka, że gdy w r. 1414 zwała się na Francję powtórnie nawała angielska - większość Francuzów wraz z królową, pierwszym księciem krwi (burgundzkim), ze Stanami Generalnymi i Sorboną, sprzeniewierzyła się ojczyźnie, monarchii narodowej, dziedzicowi korony i przysięgła na wierność najezdnikowi z za morza.

Nic podobnego w Polsce. Konfederacji Maćka Borkowica nie można nawet porównać ze współczesną jej rewolucją Stefana Martela. A gdy po śmierci Ludwika Węgierskiego wybuchła w Polsce krótkotrwała wojna domowa Nałęczów z Grzymalitami i Ziemowita Płockiego z Małopolanami - nie osiągnęła ona ani przez chwilę zaciekleści, prowadzącej do zdrady. Walczące stronnictwa pustoszą sobie nawzajem ziemie, nie spuszczają jednak z oka polskiego interesu narodowego; żadne z nich nie staje się agentem zagranicy. Małopolanie korzystają wprawdzie z pomocy węgierskiej lecz tylko w formie narzędzia, a przecież jej użycie wywołało sprzeciwy nawet w Małopolsce. Celem wojny domowej było zapewnienie tronu Jadwidze, która, sprowadzona do Polski i w polskim duchu wychowana stała się ideałem narodowego monarchy, solidarnego z dobrem swych poddanych nawet za cenę szczęścia osobistego.

Małżeństwo Jagiełły z Jadwigą, lubo niezbyt harmonijne zmieniało zupełnie oblicze Europy wschodniej. Zamiast dwóch państw: jednego dobijającego się ciężkim trudem fortuny po wyjściu z tragedii podziałów, drugiego, rozległego, pozornie świetnego, w istocie osaczonego i grającego ostatnią stawkę swego istnienia - powstało wielkie mocarstwo polsko- litewsko - ruskie. Gniezno i Kraków, Wilno i Kijów zestrzeliły w jedno ognisko swe siły, zdolne odtąd do realizacji planów dumnych jak kijowskie marzenia Chrobrego: stworzenia imperium bałtycko - czarnomorskiego. Oczywiście, dzieło to, stając się możliwe, nie stało się tym samym łatwe. Zuchwałę urzeczywistnianie planów rozpoczął Witold; przecięła je na czas długi bitwa nad Worskłą. Ekspansję nad Bałtyk zainaugurowało zwycięstwo grunwaldzkie, a jednak na ostateczny rezultat trzeba było czekać z górą pół wieku. Potęga zjednoczonego państwa trojga narodów zawisła od korzystnego ułożenia się stosunków wewnętrznych. Tragedia osobista pokrzyżowała wspaniałe możliwości. Tragedią tą była bezpotomna śmierć Jadwigi.

Jadwiga była nie tylko małżonką królewską. Była królem. Jakikolwiek mogłyby być kiedyś zastrzeżenia co do bliższości praw innych Piastów czy Piastówien, naród przysiągł jej na mocy paktu w Koszycach, przysiągł jej jako prawnuczce Łokietka, jako monarsze dziedziczącemu i dziedzicznemu. Syn Jadwigi byłby z samego prawa przez prosty fakt urodzenia - panem Korony Polskiej, byłby zarazem jako syn Jagiełły dziedzicznym księciem Litwy, podobnie jak w sto lat później Joanna Szalona była dziedziczką Kastylii i Aragonii, a po dwóch stuleciach - Jakób Stuart prawym królem Anglii oraz Szkocji. Syn, zrodzony z Jadwigi, wytknąłby Jagielle jasną linię postępowania: egoizm dynastyczny kazałby mu zespałać jak najściślej obie połowy państwa, a zasady legitymizmu pozwalałyby mu żądać od Polaków bezwarunkowego posłuszeństwa. Mógłby odegrać tę rolę, jaką bynajmniej nie zdolniejszy od niego Karol VII spełni niebawem we Francji w dużo trudniejszych warunkach. Dwunastoletnia bezdzietność rozdzieliła małżonków, rozdzieliła narody. Stanęły naprzeciw siebie dwa programy, poprzednio nieaktualne: inkorporacji Litwy do Polski i przymierza polsko - litewskiego. W przewidywaniu, że Jadwiga go przeżyje, król skłaniał ucho ku separatystycznym planom Witolda, pragnąc Litwę zachować dla Giedyminowiczów. To z kolei wywoływało rozdzwienki z Jadwigą i Polakami. Śmierć królowej poprzedzona śmiercią niemowlęcia była w tych warunkach katastrofą.

Jagiełło miał przed sobą dwie możliwości: wrócić na Litwę, lub pozostać w charakterze monarchy elekcyjnego. Wybrał, oczywiście, to drugie: zbyt była mu potrzebna Polska i on Polsce potrzebny. Usiłowano ratować legitymizm przez małżeństwo króla z Anną Cylejską, Kazimierzową wnuczką; była to myśl umierającej królowej Jadwigi. Anna umarła w 1416, pozostawiając po sobie jedynaczkę, Jadwigę. Że Jagiełło widział w niej następczynię tronu i nie dążył do uzyskania męskiego potomstwa, tego dowodem zawarty z czysto majątkowych względów trzeci z kolei ślub z podstarzą poddanką, córką bogatego Ottona z Pil- czy a wdową po Granowskim. Rozporządzając ręką królowej Jadwigi, dziedziczki obu tronów, mógł jej ojciec snuć plany dynastyczne, korzystne dla powiększenia lub ściślejzego zespolenia państwa. Jakoż zaręczono księżniczkę z Fryderykiem Hohenzollernem, synem nowego elektora brandenburskiego, co otwierało widoki na tę nie całkiem jeszcze zniemczoną ziemię słowiańską, na hegemonię w dorzeczu Odry, na złamanie monopolu handlowego siedzących w Toruniu krzyżaków oraz na wciągnięcie nie tylko Pomorza Szczecińskiego, lecz i Śląska w ściśle współdziałanie z Polską. Ceną byłoby oczywiście puszczenie na tron polsko - litewski Hohenzollerna z krwią Łokietka, i Gedymina w żyłach, a chociaż dla naszych dzisiejszych uszu brzmi to w sposób przykry, nie trzeba zapominać, iż tego rodzaju wyniesienie skromnego jeszcze książątka spowodowałoby spolszczenie dynastii Hohenzollernów zapewne już w drugim pokoleniu.

Cały ten plan, wylęgły niewątpliwie w genialnej głowie Oleśnickiego pokrzyżowany został przez niemniej wielkiego polityka, jakim był Witold. Niechętny narodowej polityce polskiej przedstawiciel dążeń separatystycznych litewskich, nie po raz pierwszy wyzyskał swój wpływ na

Jagiellę dla osłabienia hegemonii krakowskiej szkoły politycznej. Udaremniwszy projekt czwartego małżeństwa króla z Zofią czeską, które, być może, przyniosłoby Polsce Śląsk, skłonił go w rok zaledwie po brandenburskich zaręczynach królowny - do poślubienia swej siostrzenicy Sonki ks. Holszańskiej. Nieoczekiwana, zdumiewająca płodność króla, który, zawarłszy pierwsze swe małżeństwo w 35 roku życia, pierwszego dziecka doczekał się dopiero w 48 roku życia (po 13 latach), drugiego w 57 roku życia (po sześciu latach małżeństwa), teraz zaś w 73, 75 i 76 roku swej starości - ujrzał się kolejno ojcem trzech synów - dała nie tylko powód do obmowy, ale (wraz ze śmiercią królowny Jadwigi w 1431 r.) zmieniła całkowicie sytuację. Uległa złamaniu nie tylko myśl jednolitości państwowej, tak jak ją rozumiano w akcie krewskim, ale i zasady legitymizmu, rządzące Polską Kazimierza Wielkiego, a nawet Ludwika i Jadwigi.

Między potężnymi indywidualnościami Oleśnickiego i Witolda, polityka Jagiełły szła linią łamaną, ulegając to jednej to drugiej stronie. Witold reprezentował egoizm państwowy litewski, widzący w Polsce tylko skuteczne narzędzie obrony przed wrogami; analogiczną postawę egoizmu narodowego polskiego zajmował Oleśnicki. Król prowadził politykę czysto dynastyczną, skłaniającą do ciągłych oscylacji. „Zapisując - mówi wielbiciel Jagiełły, Kolankowski - w latach 1385-1413 Litwę Koronie Polskiej, zapewniał właściwie Jagiełło posiadanie całego Wielkiego Księstwa sobie, swemu rodowi, swym synom i wnukom, dziedzicznym królom Polski, a tym samym panom Litwy. Ale Korona Polska, spełniwszy zadanie utrzymania całości terytorialnej Litwy i znaczenia władzy centralnej, urobiła sobie w ciągu kilkudziesięciu lat współpracy z wielkim królem na niwie stosunków litewskich, pojęcie przynależności Litwy wprost do Korony w tym sensie, że gdyby nawet na tronie polskim zasiadł ktoś z innej, nie litewskiej dynastii, to i tak Wielkie Księstwo związku swego z Polską zerwać nie może. Stanęły przeciw sobie: idea jednolitego państwa w ramach wolnej, elekcyjnej korony, program polskich panów, duchownych i świeckich wielmożów oraz walny dynastyczny imperatyw Jagiełłowy zachowania jednolitego państwa, dziedzicznego w swym rodzie”.

Konflikt ten, którego podłożem była wzajemna nieufność, przypomina w osnowie swej i skutkach walkę, jaka w pierwszych latach odnowionej naszej niepodległości toczyła się między Naczelnikiem Państwa i Narodową Demokracją.

Podczas gdy zwykłym, naturalnym dążeniem monarchów jest centralizacja, zespolenie jak najściślej ziem swojego państwa - w Polsce XV i XX stulecia działalność głowy państwa szła w kierunku wyodrębnienia ziem wschodnich, które były ich rodzimymi ziemiami i silniejsze od innych dawały im oparcie. Podczas gdy zazwyczaj elita polityczna stara się wzmocnić władzę państwową, u nas w XV i XX stuleciu najbardziej dojrzały politycznie obóz działał w kierunku wprost przeciwnym, wciągając w walkę o przywileje szerokie masy i hamując działanie maszyny państwowej. Jedna ze stron, walcząc o siłę państwa, osłabiała jego spójność, druga, walcząc o spójność osłabiała siłę. Rezultat w obu wypadkach zakończył się kompromisem zasad, kompromis ten jednak był w

wieku XV dużo gorszy w skutkach niż w XX. Podczas gdy we współczesnym nam konflikcie zwyciężyła najpierw (w 1921 r.) zasada jedności państwowej, później zaś (w 1926) zasada silnej władzy, czasy jagiellońskie przeciwnie, przyniosły zwycięstwo zasady negatywnej: słabej władzy i niejednolitego państwa. Litwinów przyuczono do prowadzenia polityki egoizmu, nie liczącego się z zadaniami państwa na zachodzie, co najjaskrawszy wyraz znalazło w przyjaznych stosunkach z Krzyżakami w czasie trzynastoletnich bojów polskich o Pomorze. Polaków nauczano odnoszenia się do króla jak obcego i wymuszania na nim przywilejów, co najdobitniej wyszło na jaw pod Cereknicą w trakcie tej samej wojny.

Wielką a ujemną rolę odegrał w tej samej ewolucji człowiek, który współczesnych o głowę przerastał: Oleśnicki. Umysł na najświetniejszą miarę europejską, wola żelazna, łamiąca przeszkody, wyznaczały mu rolę polskiego Richelieu. Polska zawdzięcza mu istotnie genialne plany w dziedzinie polityki zagranicznej, zmarnowane niestety przez wrogów politycznych Zbigniewa lub jego nielojalnych bądź nieudolnych stronników. Nikt tak jak on nie pojął grozy upadku Bizancjum i rozciągnięcia dzierżaw tureckich poza Bałkan i Morze Czarne. Nikt tak jak on nie dojrzał olbrzymich możliwości Jagiellona, panującego od Wilna i Kijowa po Budę i Belgrad, łamiącego potęgę osmańską i kładącego - być może - na swą głowę cesarską wschodnią koronę. Osiągnęłoby państwo jagiellońskie panowanie nad Morzem Czarnym i dostęp do Śródziemnego, a w państwie tym ton przemożny nadawałaby, oczywiście, Polska. Plan Oleśnickiego, równie zuchwały i wielki jak unii polsko-litewskiej, przewyższał rozmachem a i realnością, późniejszy o półtora stulecia plan Żółkiewskiego na Kremlu.

Rywalizacja Habsburgów, egoizm polityki papieskiej, naiwność młodego króla podcięły ów plan potężny, jeszcze zanim stratowały go kopyta koni tureckich pod Warną. Oleśnicki zaznał goryczy niepopularności, a niebawem upokorzeń, wreszcie - zupełnego upadku swych wpływów. Pozostało po nim na trwałe to, co było złego w jego działalności: podkopanie powagi królewskiej, osłabienie rządów, wzmożenie chciwości i pychy duchownych, rozpalenie egoizmu stanowego szlachty, o której względy ubiegały się oba stronnictwa walczące: możnowładcze i królewskie, pogorszenie sytuacji chłopów, upodlenie monety, zubożenie skarbu. Spadek polityczny objął jeszcze przed śmiercią krakowskiego biskupa jego znenawidzony wróg - Kazimierz Jagiellończyk, co prawda za cenę osłabienia swej władzy na Litwie, rozerwania spójni unijnego państwa, przywilejów szlacheckich w Polsce. Niemniej wobec bezsilności Rzeszy Niemieckiej, rozprężenia Zakonu Krzyżackiego, słabości Moskwy, koniunktura polityczna była korzystna jak nigdy przed tym ani po tym. Nie umiał z niej skorzystać monarcha, stawiający dobro swej rodziny ponad dobro narodów, którym panował, nie umiały z niej korzystać zwyrodniałe lub niedojrzałe elity społeczne tych narodów. Stracono okazję pełnej likwidacji krzyżaków, stracono rozpęd dynamiczny na Wschodzie, pozwalając Moskwie przejść do akcji zaczepnej, dopuszczono do utraty wpływów nad Morzem Czarnym i połączenia ekspansji tureckiej z tatarską, zlekceważono dwukrotną możliwość odzyska-

nia Śląska - a w zamian uzyskano tron czeski i węgierski dla Jagiellończyka, który występował w roli spadkobiercy Habsburgów. To efektowne obsadzenie dwóch tronów przyniosło Polsce i Litwie niewiele korzyści, skoro wkrótce po śmierci Kazimierza wrogię stanowisko jagiellońskich Węgier zdecydowało o bankructwie antytureckich planów Olbrachtowych.

Ale jakkolwiek można krytycznie oceniać nie wyzyskane koniunktury i stracone korzyści wieku XV, był to okres świetnej potęgi złączonego państwa. Stało ono w pierwszym szeregu mocarstw europejskich, promieniując wpływami na kraje ościenne. Kultura podniosła się, bogactwo wzrastało. Miasta, wciąż jeszcze kwitnące, polszczyły się, Litwa i Ruś litewska podnosiły na wyższy poziom cywilizacyjny. Położenie chłopów w Polsce uległo bardzo nieznacznemu i powolnemu pogorszeniu, niemal nieodczuwalnemu dla zainteresowanych; na Litwie natomiast zdecydowanie się polepszyło. Nie były zmurszałe fundamenty państwa Jagiellonów, tylko samo państwo sklecone zostało lichem. Za Olbrachta poczęto psuć i fundamenty.

Sejm piotrkowski 1496 roku przykuł ostatecznie chłopą do roli, przez co utrudnił rozwój miast i miasteczek skazanych odtąd na własny przyrost ludności i imigrację z zagranicy, a to z kolei otworzyło wrota Żydom. Samorząd chłopski, podcięty już przez skup sołectw zniszczono do reszty przez uniemożliwienie im korzystania z jakichkolwiek sądów poza patrymonialnymi; w ten sposób usunięto warstwę włościańską poza obręb społeczeństwa i rozbito niejako Rzeczpospolitą na tyle odrębnych państewek, ilu było właścicieli ziemskich. Chłop ze swobodnego kontrahenta, zabezpieczonego dwustronną umową lokacyjną stawał się rządzonej absolutnie poddanym. Naturalne ubożenie, wywołane przez działy rodzinne potęgowało się przez narzucanie wzmożonej pańszczyzny. Co gorsza, nie widać nigdzie w Polsce odruchu mas włościańskich przeciw temu łamaniu prawa. Nie zaznała Polska żakerii, jakich widownią była Francja XV wieku, lub Niemcy w epoce Lutra. Z punktu widzenia aktualnych interesów państwowych było to, rzecz prosta, szczęściem, ale świadczyło to bardzo ujemnie o energii i dynamice mas ludowych. Chłopu polskiemu pańszczyzna nie była wstrętą, pokąd była jako tako znośna. System czynszowy, dość rozpowszechniony w Polsce XIV wieku, a na zachodzie Europy wszędzie już powszechny pozostawiał chłopu samodzielność gospodarczą: był wolny, byle uiszczał opłaty i nie naruszał (dość zresztą uciążliwych) przywilejów pana; ale też pan nie miał żadnych obowiązków wobec chłopą z wyjątkiem obrony wojennej. System pańszczyźniany opierał się na innych zasadach: chłop był pod kuratelą, w niewoli, ale w razie klęsk żywiołowych lub nieszczęść życiowych mógł liczyć na pomoc pana. „Pan dał zawsze drzewo z lasu - pisze W. Grabski - na budowę chałupy spalonej, jeszcze kazał innym zwieźć to drzewo, dał konie i wóz i ziarno do siewu, tylko od chwili przyjęcia takiej pomocy chłop, dziedzic czy kolonista wolny - stawał się chłopem pańszczyźnianym bez prawa własności... W miarę, jak klęski się powtarzały, pomoc również się powtarzała, a ilość dni pańszczyźnianych rosła”. System ten był więc swojego rodzaju ubezpieczeniem socjalnym i w jeszcze silniejszym stopniu niż dzisiejsze ubezpieczenia utrzymywał bierność słowiańską, bo wszelką działalność ku poprawie losu czynił zarazem

niemożliwą i zbędną; chłopu pozostała tylko wegetacja na początkowo średnim, później - coraz niższym poziomie.

Jednocześnie przemiany te wytwarzały nowy typ szlachcica polskiego. O ile rycerstwo średniowieczne było czymś w rodzaju dzisiejszej armii, tylko że uposażenie swe pobierało nie za pośrednictwem skarbu państwa, lecz wprost od podatników, teraz przemienia się w warstwę producentów rolnych, zwolnioną w praktyce od stałej służby wojskowej, którą spełniały pułki zaciężne, a z rzadka tylko powoływana do pospolitego ruszenia. Z tą chwilą tytuł moralny i prawny stanu szlacheckiego do korzystania ze świadczeń warstwy włościańskiej przestał właściwie istnieć; szlachta z wyjątkiem jej odłamu zagrodowego stała się pasożytem społecznym, ciągnącym soki żywotne z ogółu ludności i ze skarbu.

Jak zwykle przy ewolucjach społecznych - przemiana ideologiczna towarzyszyła gospodarczej i ułatwiała prawną.

Na zachodzie Europy - recepcja prawa rzymskiego wywołała rozróżnienie własności gruntowej, zastrzeżonej chłopu od zwierzchnictwa gruntowego, stanowiącego uprawnienie pana, w Polsce - odwrotnie: własność gruntowa stała się wyłącznym przywilejem szlachty, chłop zaś stał się czymś w rodzaju dzisiejszego fornala, którego całym wynagrodzeniem były działki gruntu pod uprawę, fornala, pozbawionego prawa porzucania służby, pozbawionego prawa posłania dziecka do miasta. We Francji już Filip Piękny ogłaszał w 1311 roku rozporządzenie o zniesieniu poddaństwa w dobrach koronnych, motywując je słowami: „zważywszy, że każdy człowiek, jako stworzony na obraz Pana Naszego powinien być zasadniczo wolny na mocy prawa naturalnego”, a syn jego w 1315 powołując się na to samo „prawo natury, według którego każdy powinien rodzić się wolny” znosił poddaństwo na całym obszarze swej bezpośredniej władzy i skłaniał wasali do naśladowania go w tej decyzji. W Polsce w 200 lat później zakuwano chłopów w niewolę, szukano moralnej legitymacji poddaństwa w znanej anegdocie o Semie, Chamie i Jafecie, a znajomość prawa rzymskiego i dziejów rzymskich służyła humanistom Renesansu do uzasadniania szlacheckiego prawa własności rolnej i do sławienia ducha republikańskiego. Pisał w zachwycie Orzechowski: „Patrzajcie na hardego wolnością a świetnego swobodą Polaka... Polak zawsze wesołym w królestwie swym jest, śpiewa, tańczy swobodnie, nie mając na sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu, innego winien jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu a pospolitą wojnę; czwartego nie ma Polak nic, coby jemu w królestwie myśl dobrą kaziło”. Obraz prawdziwy, tylko nie dla 90% Polaków a dla cienkiej warstwy uprzywilejowanych. Jakże charakterystyczne jest to zacieśnianie pojęcia Polaka do kilku procent narodu!

Rozwój folwarków, wzrost spożycia zboża przez miasta, a potem - eksportu za granicę, posiadanie bezpłatnej i coraz liczniejszej siły roboczej, nie tylko uchronił rozradzającą się szlachtę od ubożenia, ale podniósł jej stopę życiową na miarę dawniej nieznaną. Rozpoczęły się wyjazdy



młodzieży na obce wszechnice, podczas gdy Akademia Krakowska, traktowana po macoszemu przez dwór i społeczeństwo, traciła swój dawny splendor i poziom. Dwór Zygmuntów przyciąga obcych artystów, gdy jednocześnie siły miejscowe przestają się wybijać. Szlachta poczyna błyskać ogłada, podnosi się stopa cywilizacyjna uprzywilejowanych, ale większość narodu, ubożając, nie bierze udziału w tym umysłowym postępie. Humanizm Renesansu polskiego jest pod tym kontem widzenia kwiatem przy kozuchu, lub co gorsza egzotyczną orchideą, wyrastającą na zamierających roślinach. Wreszcie zjawiają się ruchy reformacyjne, będące tym samym objawem bujnego życia wśród nielicznej, ale uprzywilejowanej warstwy narodu.

Nie ma nic mylniejszego, niż rzekoma demokratyczność reformacji polskiej, nic fałszywszego, niż rozślawniona tolerancja XVI wieku. Kalwinizm polski był ruchem szlachecko-magnackim, podobnie jak we Francji, ruchem równie płytkim jak pierwotna reformacja angielska. W Anglii głównym motorem przewrotu była pożądlivość korony wobec dobra klasztornego, w Polsce - także dążności możno- wladców, oraz niechęć ze strony szlachty płacenia dziesięcin kościelnych. A chociaż szlachcic-reforma- tor nie bez słuszności wytykał wielu księżom rozpustę i chciwość, to z drugiej strony sam starał się uchylić od kar i pokut kościelnych i wołał mieć do czynienia z zależnym od siebie ministrem, niż z silną, twardą, nieustępliwą hierarchią kościelną, wkraczającą w najbardziej osobiste jego sprawy, krępującą jego stosunek do chłopca<sup>4</sup>.

Ów stosunek był najlepszą ilustracją rzekomej tolerancji, którą lubimy się chlubić wobec Europy. Konfederacja Warszawska, gwarantująca uprzywilejowanym swobodne wyznawanie poglądów religijnych, dała im zarazem prawo gwałtu nad sumieniem poddanych. Uznana więc została ta sama barbarzyńska zasada „cuius regio, eius religio”, którą przed siedemnastu laty przyjęto na sejmie augsburskim jako podstawę niemieckiego pokoju religijnego. Wzajemna gwarancja bezpieczeństwa, udzielona sobie przez uprzywilejowanych wynikała nie z tolerancji, lecz z zamiłowania wygody, z płytkości uczuć religijnych, z poczucia łączności stanowej, z obawy przed roz biciem, które by mogło wzmocnić władzę królewską. Wyraźnie ujawniają tę troskę słowa szlachty, przysięgającej „pokój między sobą zachować, a dla różnej wiary i odmiany w kościelech

---

<sup>4</sup> Nawet gorący katolicy, wrodzy protestantom buntowali się pod tym względem. Na sejmie 1553 r. hetman Jan Tarnowski tak przemawiał do biskupa krakowskiego, Zebrzydowskiego: „Będę cię słuchał drogi księżu, skoro mi powiesz coś użytecznego dla mego sumienia, ale jeśli sądzisz, że ci pozwolę utrzymywać mych poddanych pod twą władzą lub jurysdykcją - nie, nie ustąpię ci nigdy”.

krwie nie przelewać ani się penować confiscatione bonorum, carce-ribus et exilio i zwierzchności żadnej ani urzędowości do takowego progresu żadnym sposobem nie pomagać”. Wiedziano ile zawdzięcza korona hiszpańska inkwizycji, szwedzka zaś - walce z katolicyzmem.

Jagiellonowie przegrywali krok za krokiem w walce o władzę w Polsce, walce, prowadzonej bez siły charakteru i bez konsekwencji. Co gorsza, walcząc z polskim możnowładztwem, hodowali sobie w dziedzicznej Litwie magnaterię dużo gorszego typu, bo pozbawioną szerszych horyzontów politycznych. Ale i polscy wielmoże obniżyli swój poziom od czasów Kazimierza, Ludwika, Jagiełły; nie umieli kierować państwem za Aleksandra, a w spadku po Oleśnickim i jego szkole zatrzymali jedynie to, co najgorsze: prywatę, chciwość i podkopywanie się pod władzę królewską, w czym nieudolność monarchów walną im była pomocą. Oni to podsycali w masach szlacheckich ducha opozycji, oni stali za kulisami wojny kokoszej, oni zniweczyli całą pracę Bony nad wzmocnieniem pozycji korony. Polska zamieniła się w republikę z królem na czele, republiką magnacką poczęła stawać się Litwa. Co było najgorsze i co pozostało już na stałe, to demoralizacja mas szlacheckich. Zdobywając etapami coraz pełniejszą władzę nie potrafiła szlachta mimo zdarzających się przebłysków rozumu politycznego (program egzekucyjny z r. 1562) przejąć się duchem państwowotwórczym; odarłszy koronę z władzy istotnej, pozostawiła jej nadal troskę zabiegów o obronę państwa. W tych warunkach, gdy plany monarchów z góry skazane były na bezpłodność, a warstwa uprzywilejowana, objąwszy rządy nie przestawała w swych założeniach zajmować stanowiska opozycji - polityka zjednoczonego państwa musiała ulec paraliżowi. Rozmach w polityce zagranicznej słabnie coraz bardziej: całe panowanie Zygmunta I streszcza się w defensywie przeciw wrogom, nacierającym zewsząd orężnie i dyplomatycznie, a najwybitniejszy z Jagiellonów, Zygmunt August swój słuszny plan ekspansji inflanckiej przeprowadza wbrew niechętniej postawie sejmików. Nie tylko moralista Frycz Modrzewski, ale sam hetman Tarnowski potępiają zasadę wojny zaczepnej, niby szesnastowieczne Wilsony i Briandy w obliczu tureckich Stalinów, moskiewskich Stresemanów i Hitlerów. Z jakimże trudem porwie Batory szlachtę do obronnej w gruncie rzeczy, zapobiegawczej wojny moskiewskiej!

Zanim do tego dojdzie, zakończy się ostatni akt dramatu, rozpoczętego bezpotomną śmiercią Jadwigi: walki o stosunek wzajemny złączonych dynastią jagiellońską państw.

Nie pozyskali Jagiellonowie pełnego zaufania Polaków i nic dziwnego, boć pierwszy dopiero Zygmunt August stał się naprawdę królem narodowym, czującym solidarność z interesami zarówno Polski jak Litwy. On jeden miał dane moralne, aby władzę swą uczynić dziedziczną: z punktu widzenia polskiego interesu narodowego nie było motywów do sprzeciwu. Bezdzielnosć ostatniego Jagiellona uniemożliwiła tego rodzaju rozwiązanie, które zresztą trzeba by realizować zamachem stanu. Wręcz przeciwnie, w 1564 r. zrzekł się król dziedzicznych swych praw na Litwie na rzecz Korony Polskiej. Był to pozagrobowy - jakże smutny-triumf Oleśnickiego, tym smutniejszy, że nie

zrównoważony innym planem wielkiego kardynała: całkowitym zaniem się obu organizmów państwowych w jedno. Na taką konstytucję czekać będziemy jeszcze z górą lat dwieście, do ostatnich prób przed upadkiem. Teraz, w akcie lubelskim utworzono wprawdzie wspólny sejm, bo szlachta litewska dążyła do pełnego osiągnięcia wolności polskich, ale rząd i wojsko utrzymywano w rozdzielaniu, bo magnaci litewscy bronili zażarcie odrębnych dygnitarstw cywilnych i wojskowych, których nie chcieli z rąk puścić. Kompromis ten był najniefortunniejszy. Poziom, który się, bądź co bądź, wyrobił na sejmach koronnych pod wpływem pełnej poświęcenia akcji wychowawczej Zygmunta Augusta - obniżył się po unii do stanu rozpaczliwego, gdy wtargnęli na obrady zupełnie do nich nieprzygotowani posłowie litewscy. Tak więc ustawodawstwo i uchwalanie podatków zostało złączone bez względu na odrębność dzielnic, władza natomiast, której skoncentrowanie przyniosłooby Rzeczypospolitej sprężystość działania pozostała odrębną, co podsycało nadal separatyzm wielmożów litewskich.

Oczywiście, przy wszystkich swoich wadach była unia lubelska walnym postępem w porównaniu ze stanem poprzednim; była rozwiązaniem dość niefortunnym, ale bądź co bądź rozwiązaniem niemożliwego stanu owej półunii, półprzymierza, opartych o wzajemne podejrzliwości, niesnaski, spory graniczne. Od 1569 r. połączone państwo uzyskuje w Europie duże możliwości, zwłaszcza, że działa już w pełni wyjątkowa wręcz koniunktura gospodarcza. Handel czarnomorski dawno już zamarł, sparaliżowany ciężką ręką turecką, ale przemiany gospodarcze na zachodzie otworzyły przed eksportem polskim niebywałe możliwości. W Anglii przerzucono się właśnie od produkcji zbożowej do hodowlanej, w Niderlandach, małych a uprzemysłowionych i zurbanizowanych brakło już dawniej zboża, drzewa i smoły na budowę okrętów. Bogactw leśnych nie brakowało Polsce, a rolne zdobyła sobie przez rozbudowę folwarków, droga w dół Wisły stała od 1466 r. otworem, a mimo ustawicznych wojen najgęściej zaludniona połać kraju: Wielkopolska, Mazowsze, Małopolska północna nie widziała wroga od paru pokoleń i beztróska („wsi spokojna, wsi wesoła”) bogaciła się rolnictwem.

Bogaciła się?

Dobrobyt producentów rolnych, t. j. szlachty wzrastał niewątpliwie. Ale zysk ziemianina był zaledwie drobną częścią tego, co zarabiano na polskim zbożu. Różnica między kosztem produkcji zboża w Rzeczypospolitej a ceną jaką osiągało ono na zachodzie Europy była olbrzymia. Cóż, kiedy nie umiano, nie chciano złamać zastrzeżonego Gdańskowi prawa składu. Spławiany Wisłą towar sprzedawano gdańskim kupcom, a ci odprzedawali go dalej - z ogromnym zyskiem, którego nieznaczna tylko część wpływała do skarbu królewskiego w postaci podatków. Ale i Gdańsk nie zagarniał całego zysku, bo nie zdobył się - jak nie zdobyła się Rzeczypospolita - na własną flotę handlową. Wyręczyli ją w tym Holendrzy- i podzielili się zyskami. Tylko dzięki polskim bogac-

twom mogły Niderlandy rozegrać walkę z Filipem II, a i później czerpały z handlu polskim surowcem więcej, niż ze wszystkich swych kolonii.

Kiedy rozważa się te fakty, kiedy ogląda ową Holandię, podmokłą i maleńką, pozbawioną bogactw naturalnych, pozbawioną lasów i pól ornych, skazaną na konsumpcję śledzi, jak z obcego drzewa buduje okręty, z obcych owiec wytwarza sukno, na obcym zbożu opiera swoje bogactwo - kiedy porówna się ją z Polską, płynącą mlekiem i miodem, obdarowaną obok własnego morza doskonałym systemem rzek spławnych, posiadającą niemal europejski monopol na środki żywności, a wypuszczającą z rąk większość swych bogactw - usta składają się do gorzkich zapytań, czemu przodkowie nasi rozszałowali nasze dziedzictwo? I przychodzą wówczas na myśl słowa, które publicysta ukraiński (Lipiński) kierował przed kilkunastu laty do swego narodu, a które my tym łacniej możemy odnieść do Polski:

„Naród nie może istnieć bez morza? Posadźcie nad oceanem Papuasów a oni z niego zrobią jezioro”.

My w przeszłości naszej znaleźć możemy gorzkie potwierdzenie tej uwagi. Dobijaliśmy się o Bałtyk przez kilka stuleci po to, aby uzyskawszy nad nim wolne ręce - chadzać odtąd linią najmniejszego oporu poprzez leniwą wojnę i połowiczny pokój toruński, poprzez sekularyzację Prus za Zygmunta I, rozszerzenie sukcesyjnych praw Hohenzollernów przez Augusta w 1563, Batorowe ustępstwa z 1577, Wazowskie w 1619, 1641, 1657. Nasze próby floty wojennej były dziełem dynastycznej polityki Wazów, obcej interesom polskim, a po traktacie oliwskim, gdy zabrakło tego czynnika, Bałtyk stał się kąpieliskiem królowej Marysienki, niczym więcej. I po co właściwie przelewaliśmy tyle krwi od Grunwaldu po Kircholm i Koldyngę, jeżeli i tak korzyści z posiadania morza oddawaliśmy za darmo gdańszczanom i Holendrom? Byłoby to - jak sądzi Franciszek Bujak - następstwo przesunięcia się w wieku XIV ośrodka władzy politycznej z Poznania do dalekiego Bałtykowi, bliskiego natomiast Rusi Krakowa? Czy może rację ma ks. Baranowski, przypisując ów upadek myśli politycznej i gospodarczej czynnikom geoantropologicznym - przejściu prymatu z rąk nordyckich Wielkopolan ku alpejskim Małopolanom? Czemu jednak przypisać, że zło nie zaradziło ostateczne ustalenie się centrum życia politycznego w stosunkowo bliskiej Bałtykowi Warszawie wśród nordyckich w znacznej mierze Mazurów? Czy raczej, nie przecząc roli czynników geograficznych i rasowych nie szukać głównych przyczyn w wyjątkowo łatwych warunkach życiowych szlachty, której nic nie zmuszało do wysiłków, której widmo głodu nie pędziło na wyprawy zaborcze, ani na wędrówki morskie, jak niegdyś Wikingów skalistej Skandynawii, jak później Holendrów i Anglików?

Przed obniżeniem stopy życiowej bronił uprzywilejowanych system pańszczyźniany i absolutum dominium wobec chłopów polskich, litewskich, ruskich, umożliwiające ustawiczne podwyższanie ciężarów. Resztę uzyskiwała szlachta przez zwolnienie z ceł wywozowych i

przywozowych, czyli przez ubożenie skarbu, rujnowanie miast, zabijanie przemysłu. Wroga wszelkiej autarkii, urzeczywistniała na trzy stulecia przed Ricardem marzenia o Europie B, obracającej dochód z wywozu płodów rolnych na swobodny przywóz wyrobów zagranicznych. Utrzymywała natomiast uparcie cła wewnętrzne i myta, mające służyć naprawie dróg, grobel i mostów, ale środki te nie były bardziej skuteczne, niż współczesne nam podatki samorządowe i drogowe. Nie brakło Polsce renesansowej przepisów gospodarczych - brakło myśli przewodniej i dalekosiężnej polityki ekonomicznej.

Ceny towarów na rynku krajowym pilnowały (co i dziś potrafimy robić) taksy wojewodzińskie, ale na tym dość obosiecznym z punktu widzenia gospodarczego zabiegu kończyła się interwencja państwa. Grzmiało w XVI stuleciu przeciw bogaceniu się magnaterii kosztem społecznym, niby dziś przeciw kartelom, ale do prawdziwej egzekucji dóbr nie doszło nigdy; przed tym etatystycznym „bolszewickim” krokiem wzdrygały się sumienia rządów, zresztą kartele możnowładcze znały drogi obrony. I tak pozostała Polska przy inicjatywie prywatnej, prywatnych monopolach, na których bogacili się Lubomirscy, niczym dzisiaj Wiśliccy i Mazury. Sejmy XV wieku nie znały się lepiej na sprawach ekonomicznych, niż sejmy odrodzonej Polski XX w., a ówczesne mieszczańskie „sfery gospodarcze”, niemal równie jak współczesne obojętne wobec polskiego interesu narodowego, nie cieszyły się w tych warunkach zaufaniem ani szlachty, ani korony.

Ta obcość, a przez pewien czas i wrogość środowiska miejskiego, niemal wyłącznie niemieckiego, sprawiała, iż królowie jagiellońscy poświęcali łatwo ich interesy na rzecz żywołu żydowskiego, który układnością odbijał od buty germańskiej a gotowością do usług kredytowych zasługiwał się wiecznie skłopotanym finansowo monarchom. Było to, jak okazała przyszłość, wypędzeniem diabła przez Belzebuba, analogicznym jako okaz rozumu politycznego, ze sprowadzeniem w w. XIII krzyżaków przeciwko Prusakom.

Żydzi za Kazimierza Wielkiego jeszcze nieliczni i niegroźni, za Jagiellończyka powodują już zaburzenia w miastach. Walczy z nimi św. Jan Kapistran, gnębi ich Oleśnicki, ochrania król, poszukujący piątego kredytu dla swej akcji wojennej i dyplomatycznej. Zatwierdza ich przywileje, częściowo wydane przez ostatniego Piasta, częściowo sfalszowane pod jego imieniem, osadza na komorach celnych (we Lwowie, Bełzie, Rawie). Zygmunt Stary wynosi Żyda na stanowisko podskarbiego Litwy; odtąd filosemityzm nie opuszcza już dworu i tronu.

Nie znaczyłby on jednak wiele, gdyby nie stanowisko szlachty i magnatów. Zbieżność interesów szlachecko - żydowskich bije po prostu w oczy. Szlachta otwierała im miasteczka przez odcięcie dopływu chłopów przykutych do roli i szaraczków, zagrożonych pozbawieniem klejnotu zatrudnienie się rzemiosłem i handlem. W zamian przywozili Żydzi do kraju artykuły luksusowe zwolnione od cła na mocy prostej przysięgi, iż służyć mają do osobistego użytku szlachty. Ile z tych i innych towarów szło później na rynki miejskie, bijąc ceną konkurencyjną towary mieszczańskie -

łatwo zgadnąć, znając dzisiejsze machinacje z kontyngentami przywozu i wywozu; szczególnie że poborem ceł i myt zajmowali się również Żydzi. Niebawem sięgnęli wprost albo przez podstawionych chrześcijan po zyski z wybierania podatków i po dzierżawy wiosek; a nie było w XVII w. większej plagi dla chłopów niż dzierżawa. Żyd - dzierżawca nie dbał o przyszłość, lecz o wyciągnięcie maksimum korzyści przez czas trwania umowy; wyzysku dopełniał Żyd - młynarz, monopolista w wiosce, dyktujący dowolnie opłaty i Żyd - karczmarz, rozpajający chłopów pod przymusem. W okolicach zamożniejszych (Ukraina) ścigali Żydzi represją warzenie piwa i miodu na własny użytek równie zaciekle a skuteczniej niż dzisiejsze władze bezpieczeństwa pędzenia samogonu, handel sacharyną i gotowanie melasy. W sumie - łupili Żydzi warstwę chłopską, a więc z górą 4/5 narodu polskiego nie gorzej, niż starożytni Publikani - prowincje rzymskie; i tak na nędzy społeczeństwa bogaciły się tylko dwa żywioły uprzywilejowane: szlachta i Żydzi, z których pierwszy pogardzał i pomijał drugim, drugi pogardzał również i nienawidził pierwszego, oba zaś nie mogły się bez siebie obyć. Wiek złoty (1548-1648) był złotym tylko dla nich: szlachta wydała z siebie w tym czasie bujną literaturę piękną, Żydzi - wybitne dzieła religijno-filozoficzne<sup>5</sup>. Bogactwo ich, ukryte przed okiem obcych wśród brudu i ciasnoty pomieszczenia, wyrażało się - oprócz kapitałów w obiegu - również w namiętnej (i przezornej) tezauryzacji. Magnaci kochali się w brylantowych guzach, Żydzi - w perłach, zdobiących czepce żon i matek.

Oświata stała wśród Żydów nierównie wyżej, niż u autochtonów. Gdy wśród żywiołu chłopskiego wyjątki zaledwie zdobywały w szkołach parafialnych rzetelną naukę czytania i pisania, gdy wśród szaraczków nawet nie jeden dukał zaledwie na książce do nabożeństwa-Żydzi nie znali niemal analfabetyzmu, a. pismo ich, trudne i dla chrześcijan tajemne, pozwalało przekazywać wiadomości z krańca na kraniec państwa, a i poza jego rubieżami wszędzie, gdzie sięgał dialekt niemiecko - żydowski. Ruchliwość handlowa ułatwiała te kontakty, toteż nikt tak jak Żydzi nie był poinformowany o zaszłych lub nadchodzących wypadkach w Europie i Azji. Podczas gdy Rzeczpospolitą cechowała ignorancja w dziedzinie wywiadu politycznego, Żydzi - choćby przez lekarzy nadwornych i bankierów wiedzieli zawczasu jakie wiatry wieją w Stambule, Bakczyseraju, Moskwie (choć do niej dostęp był trudny), w Sztokholmie, Amsterdamie, Londynie... Tym bardziej nie było im tajne nic, co mówiono i planowano w Warszawie, Wilnie i Kijowie. Sami posiadali samorząd, formalnie tylko kontrolowany przez władze (tzw. „waad”), a specjalna instytucja „sztaflanów”, mająca zadanie wpływania przy pomocy przekupstwa na dwór, senat, sejmiki i sejmy, działała

---

<sup>5</sup> Z napisanej w 1593 r. „Twierdzy Wiary” Izaaka z Trok - pisze Bruckner - czerpali pełną garścią encyklopedyści francuscy w XVIII w., bo spokojny, wytrawny polemista nie tylko bronił Mojżesza, ale napadał na chrześcijan, wykazywał sprzeczności ewangelistów i odstaniał wszelkie słabe strony nauki.

sprawnie i owocnie przez trzysta lat z górą. Można przypuszczać bez obawy błędu, że już w XVI stuleciu Polska stała się obiektem świadomej polityki żydowskiej nie tylko jako jeden z krajów rozproszenia, ale jako główny ośrodek żydostwa aszkenazyjskiego, do którego celowo kierowano masy, szykanowane w innych krajach. Warunki społeczne w Rzeczypospolitej mieli idealne: dwór uzależniony finansowo, szlachta związana wspólnym interesem, mieszczaństwo wrogie, lecz bezsilne, chłop rządzony despotycznie. Jedyne niebezpieczeństwo mogło grozić ze strony hierarchii duchownej katolickiej, a w pewnej mierze i prawosławnej; toteż wchodzą Żydzi w ścisłe związki z protestantami, szczególnie arianami, a na ziemiach wschodnich uprawiają szeroką propagandę t. zw. teodozjan, czyli judaizantów, odrzucających nie tylko Bóstwo Chrystusa, lecz i resztę zasad chrześcijańskich. Rządzenie się Żydów na Ukrainie było niewątpliwie obok ucisku magnatów i nietaktów kontrreformacji główną przyczyną rewolucji z 1648 r.

Gdy pierwsze ziemie ruskie złączone zostały w wieku XIV z Koroną Polską, Kazimierz Wielki nie tylko troszczył się o ich gospodarcze podniesienie, ale uczynił wszystko, aby żywił ruski nie czuł się spętany siłą niewolnikiem. Starając się o stworzenie hierarchii łacińskiej dla licznych w Grodach Czerwieńskich katolików, otaczał zarazem opieką ludność prawosławną, biskupstwu halickiemu wyjednał podniesienie do rangi metropolii. Politykę tę kontynuował jeszcze kilkadziesiąt lat później tak niezłomny katolik jak Zbigniew Oleśnicki, przyznając w imieniu Jagiełły schizmatykom litewskim pełne równouprawnienie, równe temu, jakie w unii horodelskiej otrzymali już katolicy. Mądry ten akt został zdezwuowany przez Jagiełłę i musiał na swe powtórzenie czekać aż lat sto trzydzieści. Ale też odegrał błogosławioną rolę w przełamaniu oporu Litwy przeciw unii; pełnił zaufania do Zygmunta Augusta, pełnił nieufności wobec magnatów litewskich, przystali chętnie Rusini na oderwanie od Wielkiego Księstwa; Ruś południowa niemal bez reszty skupiła się pod sztandarem polskim.

Prawda, że, co trzeba zawsze pamiętać, decydowała tu wyłącznie szlachta, bo miast się nie pytać, a chłop traktowany był jako niewolnik i sam się jeszcze czuł niewolnikiem. Szlachtę ruską zjednywała ideologia swobód szlacheckich, hasło: „wolni z wolnymi, równi z równymi”, ale słodyczy jego nie mogła odczuć większość narodu, jednako ciemiona pod berłem królów jak carów. Działała natomiast na wszystkie warstwy stała propaganda metropolity moskiewskiego, który był kościelnym zwierzchnikiem wschodnich ziem Rzeczypospolitej, sam zaś podlegał politycznie carowi, podobnie jak patriarcha Bizancjum - sułtanowi. Nie wyzyskano jednak dobrych stosunków ze Stambułem, aby uzyskać autokefalię cerkwi polsko - litewskiej. Błąkała się natomiast po głowach kierowników państwa jeszcze od czasów soboru florenckiego myśl unii religijnej, aczkolwiek już doświadczenie cesarstwa łacińskiego w Bizancjum wykazywało jak trudna jest ona do realizacji. Wznawiane od czasu do czasu pomysły florenckie torowały tylko drogę reakcji, wychodzącej z Moskwy i zapędzało do jej obozu hierarchię kościelną w Mołdawii i na ziemiach tureckich, pozbawiając nas sprzymierzeńca nie bez znaczenia. Kontrreformacja dopięła wreszcie swego,

wyzyskując rozdziewięki między poszczególnymi biskupami i Carogrodem i tak zamiast szczerego zespolenia się dusz w jedności Kościoła Bożego powstało dzieło polityczne, na poziomym oportunistycznym oparte i poziomymi działającymi środkami. Skutek był taki, że prawosławni, dotąd ozięble neutralni wobec katolicyzmu, a walczący z protestantyzmem, teraz przerwali się na jego stronę, rzucając zarzewie tak fatalnej jeszcze w końcu XVIII wieku sprawy dysunickiej. Dyzunia przetrwała zwycięsko, choć nie bez strat akcją korupcyjną i represyjną ze strony władz polskich, które rychło zresztą ograniczyły ją do biurokratycznych szykan, bo te nie wymagały wysiłku, a ciężar popierania unii zdały chętnie na zniechęconych odtąd na Rusi jezuitów. Zresztą zawiedziono gorzko i unitów, odmawiając biskupom wstępu do senatu. Główna jednak przyczyna tak różnych losów protestantyzmu i dyzunii leżała głębiej: protestantyzm przegrał, bo był ruchem stanowszlacheckim, obejmującym cienką warstwę narodu, dyzunia wygrała, gdyż, podobnie jak katolicyzm na ziemiach etnograficznych polskich, znalazła oparcie w duszach chłopskich. A nawet tam, gdzie zdołano narzucić unię, nie zapuściła ona korzeni; po dwustu latach wystarczy słaby nacisk rządów prawosławnych, aby kraj cały (z wyjątkiem Chełmszczyzny i Podlasia) powrócił na łono dyzunii, niczym Grecy po upadku Cesarstwa Łacińskiego.

Jednocześnie z pogłębiającą się rozterką religijną powstawały inne ogniska zapalne na Rusi.

W przypadłym jej z dzierżaw Olgierdowych stepie czarnomorskim zyskała Polska znakomity teren kolonizacyjny, bez porównania lepszy, niż Anglia w Ameryce Północnej. Wyzyskanie go otwierało nam wrota do niebywałej potęgi, zarówno gospodarczej jak i politycznej. Zupełnym nieporozumieniem jest twierdzenie, iż cała energia narodu winna była kierować się ku Bałtykowi. Społeczeństwo nasze stać było na równoczesną akcję ku obu morzom, tak jak stać było Anglię na ekspansję zaoceaniczną jednocześnie z akcją polityczną w Europie. Sparaliżowała Polskę choroba jej ustroju społecznego i politycznego. Możliwości kolonizacyjne zabiła pańszczyzna i pilne odszukiwanie zbiegłych chłopów; tylko ziemie bliskie Ukrainie dostarczały kontyngentu kolonizatorów. Ale podczas gdy koloniści angielscy w Ameryce płynęli za morza ze strzelbą i pługiem, przybysze na step nie mogli na serio myśleć o pracy twórczej, gdyż śladem ich dążyły przywileje i nadania ziemi dla możnowładców polskich i ruskich. I gdy od północo-zachodu nadciągała niewola pańszczyźniana, na południu - wschodzie organizował się element, bardziej podobny do hiszpańskich konkwistadorów niż purytańskich chłopów. Rzeczpospolita korzystała z ich usług, wyręczała się nimi w obronie kresów przed Tatarami, lecz mimo dorywczych planów nie zdobyła się wobec tego, pełnego dynamiki żywiołu na gest, równy aktowi horodelskiemu lub choćby inflanckim układom z Kettlerem. Wręcz przeciwnie, uprawiana przez królików ukraińskich metoda kolonialnego wyzysku wymagała zakucia nawykłych do swobody i swawoli wojaków w dyby poddaństwa pańszczyźnianego. Rozdrażniono kozaczyznę do żywego, lecz jej nie zlikwidowano; po srogo stłumionych buntach wszystko wracało ku staremu. Aż wreszcie znalazł się człowiek, który ruchowi dał hasło i sztandar, myśl kierowniczą i wolę niezłomną. Jak o sto dwadzieścia lat później



Washington na czele milicji purytańskich, a w sto sześćdziesiąt - Boliwar z bandami metysów - rozpalili Chmielnicki pożogę rewolucyjną, w której motywy socjalne splatały się z religijnymi i plemiennymi. Nie zdobyła w niej Ukraina wolności. Chmielnicki, sprzedający własnych rodaków w jasyr tatarski, nie był człowiekiem potrafiącym przekuć anarchiczną siłę powstania w energię państwowo- twórczą. ale, jak zawsze w legendzie, nazwisko jego stało się sztandarem. Jeśli zaś w opinii Europy nie tylko nie zajął miejsca obok swych amerykańskich następców, ale nie doścignął popularnością nawet swego rówieśnika, neapolitańskiego rewolucjonisty, Masaniella, to przede wszystkim dla tego, iż masy, które w ruch wprowadził, odznaczyły się rzeziami Żydów, głównych kolporterów opinii i poglądów. Bohaterem budzącej się masońskiej Europy stał się kto inny: Gustaw Adolf, Cromwell, wreszcie Karol Gustaw.

Wojny kozackie i szwedzkie pieczętują krwawym stygmatem „złoty” wiek polskiego kwietyzmu. Nie rozwiązała w nim Rzeczpospolita żadnego z problemów, od których zależała jej przyszłość, boć i unia lubelska połowicznym była tylko dziełem. Wygasła dynastia, której istnienie i władanie na Litwie przesądzało z góry rezultat elekcji, rozpoczęły się elekcje „wolne” z nieodłącznymi intrygami zagranicy. Na tron wstępowali kolejno ludzie obcy, których mierziło konstytucyjne skrupowanie, którzy traktowali Polskę jako odskocznnię do własnych celów. Walejusz rzuca koronę po kilku miesiącach panowania, Batory, sercem związany z Siedmiogrodem, uważa Polskę za swoje „miserrimum purgatorium” i wprost wyznaje: „Gdyby mi nie szło o sławę, wyrzekłbym się tego królestwa”. Wazowie marzą czas cały o koronie szwedzkiej, gotowi za jej cenę zrzec się panowania nad Rzeczpospolitą. Skryta nieufność panuje między królem a Rzeczpospolitą szlachecką przez całe niemal stulecie od śmierci Zygmunta Augusta, nieufność, która już przed tym, za Jagiellonów zatruwała stosunki państwowe. Teraz wzrosła ona w dwójnasób, paraliżując niejedną myśl zdrową. Rolę Oleśnickiego odegrał o wiele później Zamoyski, rozpoczynając swą polityczną karierę demagogią republikańską, kończąc zaś rozpalaniem nastrojów rokoszowych. Mniejszy od kardynała geniuszem politycznym, bardziej był od niego szczęśliwy w realizacji planów, znalazłszy w Batorym nierównie dojrzałego i starszego sojusznika, niż Oleśnicki w Warneńczyku. Obaj jednak - biskup i hetman - zarówno zaznali goryczy podkopanej przez samych siebie władzy. Obu pokonały uparte milczki w koronach, silniejsze prawością charakteru, niż niezbyt rozległym umysłem, oddane bardziej polityce dynastycznej, niż trosce o dobro poddanych.

O ileż silniejsza była jednak władza Kazimierza Jagiellończyka, niż o sto lat później Zygmunta III! Oparty o dziedziczne władanie Litwą mógł zdobyć się, gdy mu to było potrzebne, na oddalenie ze swej rady przybocznej magnackich oponentów, odważyć się na samowolne rozpisanie podatków, opatrzone rygiorem konfiskaty majątków. Zygmunt o podatki zebrać musiał na sejmach, musiał cierpieć senatorów- rezydentów i znosić dożywotnich, mianowanych nie przez siebie ministrów, łamiących jego, inna rzecz, że nieszczególną, linię polityczną. A przecież jeszcze nie ujawniło się za jego rządów przekleństwo dożywotności najważniejszego może urzędu:

hetmańskiego. Była to bowiem szczęśliwa epoka hetmanów genialnych i ofiarnych, wojujących z niesłabnącym polotem aż po wiek sędziwy, prawdziwej elity armii; ale podobnie szczęśliwy zbieg okoliczności nie powtórzył się już później, została zaś nieusuwalność nominatów (chyba za zdradę) oraz monopol rodów wielkopańskich na kierownictwo armią.

O usprawienie maszyny państwowej i o wzmocnienie swej władzy walczą królowie, od Batorego poczynając; przeciw „zakusom absolutystycznym”, bardzo zresztą umiarkowanym w porównaniu choćby z dążeniami Stuartów, podnosi się w Polsce dwukrotny rokosz, pierwszy pokonany, drugi zwycięski. Ani jednak na poboju pod Guzowem nie wyrósł absolutyzm jak niebawem we Francji pod Rochelle’ą i Castelnau, ani z krwi, bezlitośnie przelanej pod Mątami nie narodził się polski Cromwell. Padał w tych rozterkach trup spośród drobnej szlachty i obróconych w dragony chłopów, ale nie spadła żadna wyniosła głowa pod toporem kata, bo po jednej i po drugiej stronie nie było wielkiej idei. Na rdzennych ziemiach polskich wiek XVII był stuleciem „rewolucji bez rewolucyjnych konsekwencji”, krew przelana wysychała wśród przeprosin i nawoływań do zgody, w których ginęła również wszelka myśl przebudowy.

Nie z Francją Richelieu’go porównać można Polskę Jana Kazimierza, lecz raczej z Francją Karola VI, a najazd szwedzki z najazdem angielskim. Powszechność zdrady u nas była nie mniejsza, niż w królestwie św. Ludwika; poza Czarnieckim i Lubomirskim brak niemal nazwisk wybitnych, które by dochowały wierności przysięgi. Przypomniano ją sobie dopiero wówczas, gdy się okazało, że Karol Gustaw nie zamierza być protektorem wolności szlacheckich. Znalazł się ród potężny, który odegrał rolę diuków burgundzkich, a ocalenie przyszło i tu i tam ze strony najmniej oczekiwanej: we Francji w postaci natchnionej przez Bogarodnicę wiejskiej dziewczyny, w Polsce przez zwycięską obronę drobnej forteczki, chroniącej klasztor Matki Bożej. Jeżeli wiara w Opatrzność (której tak nadużywany pochopnym doszukiwaniem się „cudów” nad Marną i Wisłą) znajduje gdzie widome potwierdzenie w faktach historycznych, to właśnie w owych dramatycznych zmaganiach skłóconych sąsiadów z za morza, najazdach Północy na Południe i w nagłym - u nas, niestety, przejściowym - renesansie tężyzny moralnej Południa.

Twarde warunki, w jakich znalazła się szlachta polska po 1648 roku przyniosły obok objawów spodlenia - przejawy niespotykanego przedtem hartu ducha. Przecież nawet pospolite ruszenie pierwszy i ostatni raz od czasów Grunwaldu nie zawiodło w bitwie beresteckiej, przecież oręż polski potrafił zahartować się w ogniu nieszczęścia tak silnie, że jeszcze w 30 lat później, gdy Rzeczpospolita tonęła w odmętach prywaty i bezmyślności, zadziwi całą Europę wiktoria wiedeńska, która mimo wszystkich sprostowań historycznych nie była zwykłym spacerem turystycznym. Ale jeżeli druga połowa XVII stulecia pod względem ofiary krwi przewyższyła wiek złoty, obojętny wobec tragicznej szarpaniny osamotnionych w społeczeństwie Żółkiewskich, to pod wszystkimi innymi względami

nastąpił całkowity upadek. Śmierć Sobieskiego kończy historię niezawisłego państwa, z Augustem II zaczyna się okres przedrozbiorowy naszych dziejów.

Rozwarł się na nowo, pogłębiony teraz do rozmiarów przepaści, przedział między królem a narodem. August i jego zausznicy z Flemingiem na czele dążyli jak umieli do uzdrowienia ustroju, do silnej władzy dynastycznej. Ale te zmiany formy ustrojowej służyć miały treści nie tylko złej, ale wręcz zbrodniczej: oddać pełnię władzy człowiekowi, zależnemu od zagranicy, gotowemu do rozprzedania państwa. Opozycja ciemna, wodzona na pasku przez dyplomację rosyjską, tym mocniej stała przy dawnej konstytucji, tym zaciekłej sprzeciwiała się wszelkim reformom. Wykrystalizowały się ostatecznie dwa typy; społeczne w Polsce, które Słowacki z genialną intuicją przyrównał do pawia i papugi: obóz golonych łbów, pysznych megalomanią narodową, wierzących w wyższość Polski nad całym światem i obóz peruk, bezkrytycznie i bezmyślnie naśladowujących nowe, modne prądy europejskie, wciągany do łóż masonskich, wrogich Polsce zarówno z racji swych - podówczas jeszcze pilnie skrywanych - związków z Żydami, jak z motywów antykatolickich.

Rzeczpospolita bowiem - Polska Sobieskiego i Sasów - była duchowym dzieckiem kontrreformacji, spadkobierczynią jej zasług i błędów, ale drugich nierównie bardziej niż pierwszych. Sobór trydencki usunął wiele nadużyć, wprowadził ład, wlał w Kościół nowe siły, ale w pełni go nie odrodził. Równowaga cywilizacyjna została zwichnięta, jednostronną przewagą uzyskały żywioły łacińskie, szczególnie Włosi i Hiszpanie, którzy w XVII wieku ulegali społecznej degeneracji. Warstwy ludowe nie zasilały już hierarchii kościelnej w tym stopniu, co w czasach Kluniaku, dygnitarze kościoła przy całej swej żarliwości religijnej byli w każdym calu szlachciami, rządzącymi się pojęciami swej warstwy, a wiara ich tak się różniła od wiary XII i XIII stulecia jak pompatyczny, teatralny barok od strzelistego, witrażowego gotyku. Mimo Loyoli, Ksawerego, Boromeusza i Bossueta, kontrreformacja przegrała wszędzie. W Azji legła z najwyższą chwałą, przysporzywszy niebu tysiące męczenników, w Europie złamała siłą protestantyzm czeski, pokonała hugenotyzm i jansenizm francuski, po to tylko, aby z kolei ulec podkopom masonerii. W Hiszpanii i Polsce zapanowała bezwzględnie, nie spotykając niemal oporu, zwyciężyła wszystkie przeszkody, została na placu sama. I tu właśnie wykazała, że nie jest odrodzeniem katolicyzmu. Po wysokich początkowo lotach - załamała się duchowo. Myślała więcej o bezpośredniej walce z protestantami, niż o przetworzeniu duchowym społeczności. Zgasła na czas długi twórczą swobodę myśli, którą średniowiecze tak mądrze umiało odróżniać od swawoli. Można rozumieć, usprawiedliwiać nawet, to dmuchanie na zimne po sparzeniu się gorącym, ale nie sposób zaprzeczyć, że kontrreformacja przez swe błędy zaszkodziła Kościołowi, ułatwiła szturm masonerii, Polsce zaś zadała cios straszliwy.

Nie chcę przez to twierdzić, iż lepiej potoczyłyby się losy naszego kraju, gdyby go zdobyła propaganda protestancka. Nasz protestantyzm był albo zabawką magnacką, skopiowaną z Genewy bez cienia wysiłku myślowego, albo też - tam gdzie był twórczy jak w arianizmie - klasycznym

okazem polskiego kwietyzmu, realizowaniem humanitarnych ideałów o życiu bez wysiłku i walki, pacyfistycznym doktrynerstwem w stylu Wilsona i Ligi Narodów. Gdy ludy brytyjskie i skandynawskie znalazły w protestantyzmie ujście dla swej drapieżnej dynamiki - w arianizmie polskim znalazł swój wyraz typ wegetacyjny, w którym bierność przeplata się z emocjonalnymi od-  
ruchami, pozbawionymi należytej koordynacji. Nie bez racji otaczał sympatią arian polskich Stefan Żeromski, najklasycyjszy przedstawiciel tego typu wśród współczesnej nam elity polskiej.

Winą kontrreformacji było zaniedbanie pracy nad przerobieniem tego typu na czynny. Być może, iż- w ogóle nie była do tego zdolna, skoro czerpała swe soki z tracących swą dynamikę ludów południowo-romańskich. Skądinąd ogromne rzesze Polaków pozostały przy wierze ojców przez bierność i jako takie nie mogły dostarczyć odpowiedniego materiału Kościołowi Wojującemu. Istota jednak problemu leży w tym, iż w XVII wieku wojowano więcej z protestantyzmem niż z upadkiem dusz ludzkich. Ponieważ protestantyzm stawał się coraz bardziej ideologią potężniejszego mieszczaństwa, zmaterializowanego, wypowiadającego całą swą treść duchową w życiu gospodarczym - kontrreformacja siłą reakcji odwracała dusze od świata doczesnego, mnożyła klasztory i dewocję, wyłączała ze społeczeństwa znaczną ilość sił ludzkich. Poziom moralny nie podniósł się przez to (duchowieństwo zakonne i świeckie nie dawało na ogół Polakom XVIII wieku przykładów budujących), ale utrwaliła się pogarda dla zajęć miejskich i wrogi stosunek do mieszczaństwa. Co gorsza, mając na względzie wyłącznie niemal walkę z protestantyzmem, kontrreformacja polska licytowała się z nim w popularności między masą szlachecką, schlebiała świadomie jej poglądom. Już Skardze zabronili przełożeni drugiego wydania „kazania o monarchii”, z czasem zaniechało duchowieństwo zupełnie budzenia sumień. Wychowanie jezuickie rozdymało do potwornych rozmiarów pychę młodzieży szlacheckiej, pogardę mieszczan i ciemnienie chłopów, którym pleban natomiast wbijał w głowę posłuszeństwo i bierne uleganie losowi. Jeżeli gdzie odpowiadało prawdzie żydowskie szyderstwo Marxa: „Religia to opium dla ludu”, to w Polsce XVIII w., Polsce, w której większość dzieci chłopskich umierała, a ludność między XVI a XVIII wiekiem zmniejszyła się o 1/3 nie tylko z powodu wojen; w Polsce, której wsie wysysane były z wszelkich soków żywotnych przez dziedziców i Żyda, a miasta grabione przez starostów tak, że Stanisław August uważał (w 1789 r.) oddanie im paryskiej Bastylji za najłatwiejszy sposób jej zburzenia. Nie katolicyzm, nie nauka Chrystusa, ale jej spaczenie przez upadającą kontrreformację usypiało lud polski niby wywar z maku, a szlachtę kołysało do snów rozkosznych, z których przebudziły ją - rozbiory.

Rozbiory były ważnym przełomem w historii Polski. Ale nie był to przełom tej miary, aby usprawiedliwiać dzisiejszych historiografów do podziału tysiącletnich dziejów naszych na okres przedrozbiorowy i porozbiorowy, choć rozumiemy łatwo, że takiej sugestii ulegli badacze z okresu najcięższej niewoli po 1863 roku. Półtora stulecia, to w dziejach narodu więcej niż epizod, ale mniej, niż epoka. Niezawisłość polityczną straciliśmy już od czasu Sejmu Niemego w 1717 roku. Już wówczas staliśmy się czymś w rodzaju państwa mandatowego jak Egipt króla Fuada, albo - sięgając do

przykładów mniej nowoczesnych- jak Wołoszczyzna, otrzymująca swych gospodarów ze Stambułu. Pierwszy rozbiór niewiele zmienił w tym stanie rzeczy; był jednym więcej policzkiem, przyjętym z niezmaconym spokojem. Drugi - przesądzał o likwidacji Rzeczypospolitej i bez względu na zachowanie się społeczeństwa musiał doprowadzić do usunięcia dekoracji niepodległego państwa; w tych warunkach trzeci rozbiór był raczej przegraną Rosji, która likwidowała swe wpływy na zachód od Bugu, niż Polski, która już nic nie miała do stracenia. W 1807 r. do rządu mocarstw dysponujących Polską dołączyła się Francja, po kongresie wiedeńskim - Rosja wróciła mniej więcej na swe stanowisko z czasów po drugim rozbiore. Wszystkie te przemiany wyglądały bardzo efektownie na mapie Europy, lecz ich znaczenie nie było tak wielkie jak w braku perspektywy dziejowej sądziliśmy do niedawna. Podobny okres podziałów przeżywała Polska piastowska w XIII stuleciu, kiedy to księstwa południowo - zachodnie podlegały de facto Przemyślidom czeskim, południowo-wschodnie - Arpadom węgierskim, północne zaś zaczynały wchodzić w orbitę wpływów Zakonu Krzyżackiego. Zarówno w XIII jak na przełomie XVIII i XIX stulecia zmiany odbywały się raczej na powierzchni, nie poruszając do głębi całości społecznej: w XIII wieku dotyczyły dworów książęcych i części rycerstwa, w XVIII i XIX - szlachty. Ogromna większość narodu: chłopci pańszczyźniani nie odczuli zmiany dekoracji. Ani nowością nie były obce wojska, łupiące wioski, bo znano już przed 1717 Sasów Augusta i Szwedów Leszczyńskiego, ani nie zaszły większe zmiany w dziedzinie ustrojowej (zelało jedynie w zaborze pruskim i austriackim, absolutum dominium proprietatis), językowej (nikt mowy ojczystej nie zabraniał i nikt nadal nie dbał o szkoły), czy religijnej (jedynie ludność zabużańska wróciła bez większego oporu do dyzunickiej wiary swych przodków).

Najistotniejsze zmiany zaszły w położeniu szlachty. Jej swobody, nie naruszone utratą niezawisłości państwowej w 1717 r., swobody, w imię których poparła konfederację barską i targowicką, zostały w wyniku rozbiorów poważnie zredukowane. O swobody te gotowa była się bić i to sprawiło, że działalność patriotów prawdziwych i głębokich znalazła żywszy oddźwięk wśród mas szlacheckich po rozbiorach, niż przed rozbiorami. Niepostrzeżenie dla samej siebie przetwarzała się tą drogą szlachta, przerabiała swój patriotyzm stanowy na narodowy. W tym między innymi tkwiło znaczenie wychowawcze legionów Dąbrowskiego, wojen Księstwa Warszawskiego i powstania listopadowego.

Przemiany te następowały nie bez trudności: Insurekcji kościuszkowskiej większość szlachty nie poparła, uważając Polskę uniwersału połanieckiego za wizję, dla której umierać nie warto. Ojczyznę dla społeczeństwa szlacheckiego XVIII wieku były przede wszystkim przywileje stanu: elekcja, sejmy trybunały i pełnia władzy nad ludnością kraju. Zabory uderzały w przywileje polityczne, insurekcja - w społeczne; między tymi zakusami większość szlachty wybrała politykę neutralności, nie sądząc, że popełnia zdradę narodową. Przeciwnie zdradą było w jej oczach zarówno uszczuplanie terytorium państwa (piętnowano przecież ogólnie jurgieltników typu Ponińskiego czy Ankwicza) jak uszczuplanie praw „narodu” szlacheckiego: jedno i drugie godziło w Ojczyznę.

Podobnie nie czuli się zdrajcami targowiczanie: jeśli w poczuciu, że reprezentują większość społeczeństwa i w obronie wolności przeciw despotyzmowi odwoływali się do pomocy Rosji, to z pełną świadomością, że twórcy 3 maja w obronie swego zamachu stanu rachują na bagnety pruskie. Ten sam w gruncie rzeczy patriotyzm stanowy, który zdobywał się w XVII wieku na znaczny, czasem imponujący wysiłek, teraz wobec skomplikowania sytuacji, błąkał się bezmyślny i bezradny.

Czy znaczy to, że szlachta nie miała poczucia polskości, była głucha na głos patriotyzmu narodowego? Bynajmniej. W głębokich złożach jej duszy leżała miłość Polski i polskości, żarzyło się uczucie narodowe. Ale uczucie to przysypane było jak popiołem innym patriotyzmem: stanowym. Dopiero w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, klęsk, zagrażających istnieniu Polski, uczucie narodowe wybuchało płomieniem, który jednak wygasał z chwilą przeminięcia chwil grozy. Główną przyczyną tego stanu rzeczy był nie- narodowy charakter państwa. „Gdy władzę Rzplitej- pisze St. Grabski - po Unii Lubelskiej przestał być naród polski, a stała się szlachta polsko - litewsko- ruska, którą łączył jedynie interes stanowy... najwyższą mądrością polityki polskiej staje się wzmacnianie poddaństwa włościan, osłabianie stanu kupieckiego i nie mieszanie się do walk innych państw i narodów w Europie”.

Nie brakło nigdy w łonie szlachty ludzi, którzy swoje życie i pracę poświęcali Polsce i tylko Polsce, którzy pojęcia Ojczyzny nie łączyli w sposób nierozzerwalny z przywilejami stanu. Ale szamotali się oni tragicznie z większością. Podobne zjawisko występowało nie tylko w Polsce; cechowało ono w swoim czasie i Francję i Anglię. Ale w krajach tych dojrzenie świadomości narodowej dokonało się w wyniku wojny stuletniej, czyli w połowie wieku XV. Polska natomiast, która narodem stała się wcześniej, bo w wieku XIV, uległa ewolucji wstecznej po złączeniu się w jedno państwo z Litwą. Nawet tak wielki patriota jak Skarga - na co zwrócił uwagę prof. Ignacy Chrzanowski-rozwinął ideę patriotyzmu państwowego, nie narodowego. I nie mogło być inaczej, skoro przemawiał do reprezentantów trzech narodowości, złączonych w jednym sejmie, ale nie łączonych jeszcze w jednym narodzie. Proces zlewania się szlachty w jeden naród dokonywał się drogą obyczaju i asymilacji językowej, ale tempo tej ewolucji - szczególnie w epoce saskiej - nie było dość szybkie, aby zlikwidować patriotyzm stanowy.

Ostateczna klęska trzeciego rozbioru nauczyła szlachtę, że istota pojęcia Ojczyzny nie tkwi w swobodach parlamentarnych, nie zdołała jednak oświecić, że naród, to więcej, niż stan szlachecki, lub, ostatecznie szlachecko - mieszczański. Uważając się za sól ziemi, szlachta nie mogła zrozumieć, że dobro narodu wymaga jej pauperyzacji, jej - rzecz można - samobójstwa jako stanu. W okresie, w którym Europa zachodnia przeprowadzała uwłaszczenie chłopów, a więc stawiała ostatni krok na drodze, rozpoczętej w XIII stuleciu, w tej części Polski, która zachowała pewną samodzielność, położenie warstwy włościańskiej uległo dalszemu pogorszeniu. Kodeks Napoleona uniemożliwił wprowadzenie poddaństwa prawnego chłopów, milczał jednak w zakresie prawa własności ziemskiej,

której żadne wcześniejsze prawo konstytucyjne również nie regulowało. Regulowało ją - jako *lex imperfecta* - prawo obyczajowe, przechowujące ze średniowiecza feudalne rozróżnienie tytułu własności tytułu posiadania. Podmuchy ulpianowsko - justyniańskie, idące z renesansowych uczelni zachęcały już wcześniej szlachtę do traktowania ziemi wioskowej jako swej *proprietas*, obecnie kopiowany na rzymszczyźnie kodeks Księstwa Warszawskiego dał dziedzicom formalne prawo wypowiedzenia chłopom (bez odszkodowania) umów, zawieranych przed półtysiącem lat. Rozpoczęło się na wielką skalę spędzanie rodzin chłopskich z gruntów, na których rosnąć poczęły kapitalistycznie pojmowane folwarki. O uwłaszczeniu nawet nie odważano się mówić, najśmielsze reformy ograniczały się do zmniejszenia dni pańszczyzny lub jej zmiany na czynsze. Tak działo się w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym, a nawet sejm rewolucyjny w 1831 roku nie zdobył się na żadną zmianę. Na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej szlachta nie przestawała być pasożytem pod względem gospodarczym. Tu i owdzie starały się o to rządy zaborcze, a szczególnie celowała w tym Austria, która owoce krótkowzroczności szlacheckiej zebrała w 1846 roku.

Pod wpływem nieszczęść i zawodów, pod wpływem rozbudzonego ruchu umysłowego, rewizji pojęć, dokonywanej na emigracji, coraz częściej spod „czerepu rubasznego” zaczął wydobywać się głęboki narodowy patriotyzm, zdolność do poświęceń nie tylko krwi, lecz i mienia. Krzepnąc, nie przestawała myśl patriotyczna błąkać się po omacku. Wobec przytłaczającej przewagi wrogów stawało przed nią ustawiczne pytanie: praca od podstaw w oparciu o swobody dostępne w danej chwili, czy bezkompromisowa walka o wątpliwym wyniku. Minimalizmem programowym można było dokonać wiele: przykładem Rzeczpospolita Stanisława Augusta, która po pierwszym rozbiore potrafiła bądź co bądź rzucić podwaliny przyszłego odrodzenia, Królestwo Kongresowe, które pod dłonią Lubeckiego poczęło rozwijać się gospodarczo. Ale te zdobycze okupione były upokorzeniem godności narodowej i w razie trwania przez kilka pokoleń groziły wyziębieniem uczuć i wypaczeniem się charakterów. Zaczął rysować się fatalny przedział między rozumem i uczuciem narodowym, który rozdzierał społeczeństwo i ułatwiał wpływ czynników obcych. Podczas gdy wolę mężów stanu paraliżowało dostosowywanie się do przemocy zaborców, rozum rewolucjonistów obezwładniała zależność poprzez łoże masońskie od zakonspirowanych a obcych sprawie naszej kierowników. Rozdzwięk tych dwóch obozów trwa co najmniej od sejmu czteroletniego, a echa jego drgają dziś jeszcze w sporach politycznych. Gdy jedni za zdradę uważają Targowicę, a niemal za zdrajców ludzi takich jak St. Poniatowski, Lubecki, W. Krasiński, Wielopolski - inni potępiają powstania jako wrogą prowokację. Jedni i drudzy są w błędzie.

Obdarty został z laurów i słusznie - sejm czteroletni, osądzone surowo przymierze pruskie i jego autorzy. Natomiast sąd krytyczny o insurekcji Kościuszkowskiej opiera się na nieporozumieniu. Nietrudno, zapewne, skrytykować jej nieświatne przygotowanie, mierność talentów wojskowych Kościuszki, niedocenywanie wrogości Prus, wreszcie spory wewnętrzne - ale pamiętać trzeba zarazem,

że po hańbie pierwszego i drugiego rozbioru ocalenie godności narodu było więcej warte, niż owa karykatura państwa bez Wielkopolski, bez całej prawie Małopolski, bez Prus i dostępu do Bałtyku, bez Ukrainy i dostępu do Morza Czarnego, z ambasadorem - rezydentem rosyjskim w stolicy. Pamiętać trzeba również, że wielkanocny wybuch warszawski był pierwszym od czasów Sobieskiego poważnym zwycięstwem militarnym nad regularnym wojskiem wroga, a manifest połaniecki - przy całej swej bladości - pierwszą próbą reformy stosunków włościańskich. Z insurekcji narodziły się legiony Dąbrowskiego, a bez legionów nie byłoby kwestii polskiej w dobie napoleońskiej<sup>6</sup>.

Dzięki insurekcji i legionom zrozumieliśmy, że istniejemy jako naród mimo upadku państwa, zrozumieliśmy, że Polska nie zginęła, póki żyją Polacy.

Podobnie trzeba spojrzeć na późniejsze powstania. Walka zbrojna była koniecznością, o ile Polska miała istnieć, o ile nie miała zwyrodnąć. Ina rzecz, że te porywy, dowodzące odradzania się moralnego narodu, skierowane zostały na manowce przez działające z ukrycia siły obce, wrogie, lub co najmniej cynicznie obojętne wobec losów Polski, że chwila wybuchu została narzucona w 1830 r. przez masonerię francuską, poświęcającą Polskę dla Belgii, a krew poległych i przegrana 1863 roku spada w równej mierze na prowokację żydowską jak na intrygę Bismarcka. Ale daleko stąd do potępiania idei powstańczej, podobnie jak nie potępimy idei wojen o Prusy w w. XV, dla tego tylko, że spotykały nas w niej klęski, trapiły zdrady Litwinów, niekarność pospolitego ruszenia i niedołęstwo wodzów.

Niemniej z powodu braku koordynacji między uczuciem patriotycznym a myślą polityczną okres zbrojnych porywów zakończył się we wszystkich trzech dzielnicach klęską. Zarazem dwa spośród trzech państw rozbiorowych, te właśnie, które zdolne były do konsekwentnej i samodzielnej polityki, poczęły stawać się państwami narodowymi. W oczach ich stały się antypaństwowe nie tylko dążenia Polaków do niepodległości, ale nawet starania o utrzymanie naszej świadomości narodowej. Już Bismarck rozumiał doskonale to, co później sformułował Billów: że zjednoczone przez Prusaków Niemcy są w wojnie nie tylko ze swymi polskimi poddanymi, lecz z całym narodem polskim. Jednocześnie Rosja poczęła kierować na ziemię Rzeczypospolitej nadmiar swej inteligencji i półinteligencji, która gorliwość narodową łączyła z ciasnotą umysłową i lichotą charakteru. W obu zaborach wydano wojnę polskości: w szlachcie widziano uciążliwy żywioł buntowniczy, w chłopach - ciemny żywioł, podatny do wynarodowienia. Teraz dopiero zaznała Polska takiej niewoli, jaką przez kilkaset lat znosili jej bałkańscy pobratymcy pod jarzmem tureckim. Niczym iglice minaretów

---

<sup>6</sup> Zresztą bez insurekcji nie byłoby prawdopodobnie warunków do ekspansji francuskiej i całej kariery Napoleona.



w Sarajewie, Salonikach, czy Sofii, poczęły kłuć polskie niebo dzwonnice cerkiewne, a prawosławie, ongiś wyznanie wielu wiernych synów Rzeczypospolitej stało się forpoczta azjatyckiego najazdu.

Przyłożono siekierę do pnia narodu. Sądono, iż zginie on, gdy zniszczy się warstwę, która jeszcze nie tak dawno uważała się - i była uważana - za całość narodu. Stąd obdarzenie wolnością i ziemią chłopów w zaborze rosyjskim, obliczone na wyrzucenie z majątków większości szlachty, osłabienie reszty, pozostawienie ognisk zapalnych w postaci serwitutów. Oswobodzicielem nie chciał się stać sejm rewolucyjny w 1830 roku, nie mógł rząd narodowy w 1863 - został nim zaborca rosyjski, tak jak przed nim już - pruski i austriacki. Ale wówczas okazało się, że naród polski liczy nie milion z ułamkiem, lecz kilkanaście milionów ludzi. Męczeńska i bohaterska szubienica Traugutta kończy cykl konfederacji wyzwolęńczych, zapoczątkowany w 1734 r. w Dzikowie. Ale zarazem kończy się coś więcej: kończy się całkowicie i ostatecznie trwająca od Olbrachtowych czasów epoka podziału Polaków na obywateli, tworzących naród i poddanych, pozostających przymusowo poza jego nawiasem. Rozpoczyna się okres dziejów, w których bezpośrednio tkwi korzeniami nasze dzisiaj. Okres ten trzeba rozpatrywać osobno.

## Między niewolą a wolnością

*Jesteśmy w stanie wyczuć wielką  
jedność zasadniczą poza najgwałtowniej  
zwalczającymi się wzajemnie an-  
tagonizmami. Gdy wżyjemy się np. głębiej w  
historię zjednoczenia Włoch, ukazuje się  
nam głęboka solidarność, jaka łączyła,  
bezwiednie dla nich samych, uczestników  
potężnego tego dramatu... Uczymy się  
pojmować naród jako wielkie, zbiorowe  
dzieło pokoleń, uczymy się kochać i rozu-  
mieć te wielkie całości.*

Stanisław Brzozowski

Rozgrom ostatniego powstania nie wywołał już jak przed laty trzydziestu wybuchu poezji mesjanistycznej, apoteozy przeszłości, płomiennych wezwań do sumienia ludów. Nie było do kogo przemawiać w bis- markowskiej Europie, nie można było żyć dłużej iluzją romantyczną. Sześćdziesiąty trzeci rok pokazał do jakiego stopnia bohaterstwa i poświęceń potrafią dojść lepsze żywioły w narodzie, ale wykazał też nicość dubeltówek wobec armat i nicość polskiej myśli politycznej wobec koalicji intryg pruskich i żydowskich. Po Wielopolskim ostało się tylko jedno: równouprawnienie Żydów, po powstaniu - konwencja Alvenslebena, czyli sojusz rosyjsko - pruski. Nie zapowiadały się nowe wojny napoleońskie, w 1870 nastąpił Sedan. Taka była wymowa faktów; po trzech i pół stuleciach życia iluzjami musieliśmy naukę zaczynać od nowa.

Nauczycielami w wielkim stylu stali się historycy krakowscy. Przenicowali oni nasze dzieje, zdarli tęczowe zasłony z rzeczywistości, obnażyli wady i błędy polskie, poezję zastąpili prozą. Ale spełniwszy swą rolę negatywną, wybiwszy z głów stare, nietrzeźwe rojenia, nie umieli tchnąć w nienowych idei, nowej treści, nowej wiary. Znadto związani byli z przeszłością, którą potępiali, z warstwą, która tę przeszłość tworzyła. A wreszcie brakło im zrozumienia tej prostej prawdy, że liczyć się z faktami, to wcale nie to samo, co zgadzać się z nimi. Z trzeźwości zrodził się pesymizm, z pesymizmu - rezygnacja. Oto genealogia polityki trój lojalnej.

Żywioły młodsze w rewizjonizmie swym mniej były negatywne i bierne; pragnęły szukać nowych pól pracy, ale poszukiwanie to prowadziło również do wyrzeczenia się dążeń politycznych narodu. Pozytywizm warszawski zrozumiał, że jedną z przyczyn przegranej było kalectwo struktury

społecznej polskiej. Słusznie radził Świętochowski: „Nie oczekujemy niczego od przewrotów politycznych, wojen, traktatów, przemiennych łask obcych, lecz zawiermy tylko własnej żywotności”. Brzmi tu na tle pesymizmu i rezygnacji trójlojalizmu nuta nowej wiary, naturalna zresztą u młodych. Ale konsekwencje z niej wysuwane były tylko częściowo słuszne. Pozytywizm odwracał się nie tylko od biernego czekania na „przewroty, wojny, traktaty”, lecz od wszelkiej w ogóle działalności politycznej; stwarzał konkretny program na co dzień, chroniący od rozpacz i apatii, ale niesłusznie uważał ten program za jedyny. Rzucając hasło przetworzenia społeczeństwa czysto rolniczego o psychice szlachecko - rycerskiej, na normalne społeczeństwo europejskie, wielostronnie zróżnicowane, stawiające sobie cele ekonomiczne - Świętochowski i jego otoczenie wyczuwali instynktem, czego brak jest organizmowi polskiemu. Znali prawdę, ale niecałą prawdę. Pozytywizm posiadał tę zasługę, że wyprowadzał Polskę z tęczowych baśni na twardy grunt ekonomiczny, ale przynosił w swym łonie dwie choroby, które mogły, gdyby się rozwinęły - zatruć organizm polski. Pierwszą dziś dopiero rozumiemy: była nią zabobonna i zarozumiała wiara w naukę europejską, przesadny, ciasny kult materialnego postępu, oraz związane z nią ściśle uwielbienie dla kapitalizmu i plutokracji. Druga choroba objawiła się już współcześnie: było nią zwężenie aspiracji ideowych, apoteoza „podbojów przemysłowo - handlowych” jako jedynego celu społeczeństwa. Były to prawdy, ale „martwe prawdy” według znanych słów Mickiewicza, bo też i Świętochowski był w wielkim stopniu jakby repliką Śniadeckiego.

Niecała zresztą młodzież szła za Świętochowskim.

Żywioły o temperamencie rewolucyjnym zgadzając się ze wszystkimi prądami rewizjonistycznymi w negacji, wyciągnęły z tej krytyki inne wnioski i rzuciły się w wir międzynarodowego socjalizmu, idąc za świeżym przykładem Jarosława Dąbrowskiego. I tak, gdy na „prawicy” społeczeństwa wyrzekano się Polski przez tchórzostwo, bierność, snobizm, gdy stwarzano tradycję ugody linią wiodącą część społeczeństwa poprzez kult Franciszka Józefa, nadzieje pokładane we Fryderyku III, po tym Caprivim, nadzieje na szlachetność Imeretyńskiego i Mikołaja aż do asystowania w uroczystościach pomnikowych Katarzyny i Murawjewa i wojennych służalstw N.K.N.u - na „lewicy” roztapiano sprawę polską w bałamuctwach marksizmu i oddawano najszlachetniej krew za sprawę międzynarodową.

Rzucając okiem na niewesoły obraz stosunków popowstaniowych zauważyć można jedno: w przeciwieństwie do „starych” ugodowców, rewizjonizm „młodych” objął nie tylko poglądy polityczne, ale i, przede wszystkim nawet, społeczne. Był to refleks głębokich przemian socjalnych, jakie przeszła Polska, w szczególności zaś - nadające ton życiu polskiemu Królestwo Kongresowe.

Już Lubecki położył silną dłoń podwaliny pod rozwój przemysłu i handlu dźwigając kraj z upadku ekonomicznego. Rok 1831 tragiczny pod względem politycznym, na polu gospodarczym przeszedł niemal bez śladu. Fabryk przybywa coraz więcej, powstaje nowe, wielkie miasto - Łódź,

rozwija się zagłębie węglowe. Z kadr ubogiej ludności wiejskiej zaczyna się za przykładem Zachodu wytwarzać miejski proletariatus. Imigranci niemieccy dość szybko asymilując się w Polsce wytwarzają wraz z Żydami pierwszą warstwę plutokratycznie - przemysłową. Zarówno socjalizm, jak pozytywizm, każdy na swój sposób wyciągały konsekwencję z tych przemian społecznych.

Rok 1863 przynosi gwałtowny przewrót społeczny zmieniający do reszty strukturę społeczną Królestwa Kongresowego. Jest nim likwidacja szlachty, jako czynnika decydującego w życiu polskim.

Najszlachetniejsze, najlepsze elementy młodego pokolenia szlacheckiego zostały wybite, zniszczone, wyłączone. Znaczna część ziemi dostała się w obce ręce. Na całość ziemiaństwa padł cios gospodarczy w postaci zniesienia pańszczyzny. Szlachta, przystosowana do życia w warunkach ciepłarnianych, przyzwyczajona czerpać środki utrzymania z darmowej pracy poddanych, poczęła w nowych warunkach masowo bankrutować i zapełniać miasta tłumem t. zw. inteligencji, niepraktycznej, naiwnej, wykolejonej, przepełnionej poczuciem krzywdy. Powoli pod wpływem konieczności życiowych poczęły te żywioty wsiąkać w miasta, szczególnie większe, uczyć się pracy, a nawet asymilować dawniejsze mieszczaństwo i wytwarzać panującą do dziś kulturę „inteligentką”.

Wieś, obudzona do wolnego życia, była jeszcze nadal uszpanowana pod względem narodowym. Otrzymała patentem Aleksandra II dużo więcej, niż się spodziewała (jako „dar” carski za obojętność wobec powstania), przeżywała intensywnie okres wdzięczności dla rządu rosyjskiego. Ale już w następnym pokoleniu chłopskim nastroje poczęły się zmieniać. Pogorszenie się sytuacji gospodarczej w rolnictwie spowodowało pauperyzację rozradzającej się warstwy i zachwiało popularnością rządów carskich; antagonizm do dworów uległ złagodzeniu z chwilą gdy znikła główna jego przyczyna, a jednocześnie chłop, wyszedłszy ze stanu pół-niewolnictwa, począł wznosić się na wyższy poziom kulturalny i, tym samym, uświadamiać sobie, że jest Polakiem. Rusyfikacja urzędów, z którymi wieś stykała się bezpośrednio, uwidoczniła chłopu polskiemu obcość przedstawicieli władzy w przeciwieństwie do swojskości ziemian i mieszczan, a różnica wiar jeszcze bardziej tę obcość podkreślała. W ten sposób wytworzyły się warunki, które umożliwiły młodej inteligencji miejskiej pochodzenia szlacheckiego kontakt z włościanstwem, przegradzający się z czasem w zaufanie.

Podobną rolę zbliżania stanów odegrał w zaborze pruskim Kulturkampf, stawiający chłopca w ostrym antagonizmie wobec władzy. Jednocześnie zmieniły się warunki gospodarcze - i to w odwrotnym kierunku, niż w Kongresówce. Rozwój przemysłowy Niemiec zachodnich otworzył rolnictwu polskiemu wygodny rynek zbytu, odciągnął nadmiar ludności wiejskiej do kopalń Westfalii, a wreszcie - oczyścił miasta i miasteczka polskie od elementu żydowskiego. W ciągu paru dziesiątków lat Wielkopolska stała się normalnym, zdrowym społeczeństwem typu zachodnio - europejskiego, składającym się z zamożnej warstwy włościańskiej, silnego, rodzimego mieszczaństwa i stosunkowo nielicznej, racjonalnie gospodarującej klasy szlachecko - ziemiańskiej. Twarda

walka, wydana przez Bismarcka Kościołowi katolickiemu, a następnie polskości, zrodziła samorzną solidarność społeczną, wychowała społeczeństwo pod względem gospodarczym i narodowym. Ale może właśnie dlatego, że wszystkie problemy rozwiązywały się same pod naciskiem faktów, że położenie było przeraźliwie jasne, a droga do zachowania bytu narodowego nie nasuwała wątpliwości - nie rozwinęła się literatura polityczna, nie powstały głębsze prądy ideologiczne. Myśl polityczna krzewi się bowiem najbujniej tam, gdzie harmonia wewnętrzna jest zachwiana, gdzie powstają problemy do rozwiązania i kształtują się liczne tych rozwiązań możliwości.

Tak było w Galicji, obdarzonej niespodziewanie sporym zasobem swobód politycznych, a jednocześnie przeludnionej i ubogiej jak żadna inna dzielnica i zawichrzanej antagonizmem rusko - polskim. Nie było tam miejsca na solidaryzm narodowy, gdyż nacisk zaborców w-mniejszym znacznie stopniu dawał się odczuwać, natomiast rządy prowincją sprawowało bogate ziemiaństwo, silne egoizmem klasowym i oparciem o Wiedeń, obojętne zaś wobec tragicznych problemów socjalnych. Toteż ruch polityczny, rozbudzony wśród włościan (ks. Stojalowski, Wyslouchowice) rychło przybrał oblicze klasowe, zabarwione sporą dozą nieufności wobec działaczy pochodzenia szlacheckiego. Zorganizowawszy się w walce o prawa polityczne, stoczony z własnymi rodakami, ruch ten poszukał sobie przywódców w swej własnej klasie, a znalazłszy ich i odniósłszy pod ich przewodem szereg zwycięstw, nabrał nieznanej w innych zaborach pewności siebie i samodzielności.

W ten sposób we wszystkich trzech dzielnicach lud polski wkroczył na arenę dziejową, aczkolwiek w każdej innymi drogami. W zetknięciu z tymi nowymi warstwami: wolnego chłopca i robotnika - młode żywioły inteligencji szlacheckiej, które mierziła ugoda, a nie zadawała pozytywizm, poczęły kształtować swą myśl polityczną, krystalizować nowe programy idące w dwóch różnych, choć zgoła nie przeciwstawnych kierunkach. Rolę ośrodków krystalizacyjnych odegrały dwie postaci z pokolenia powstańczego, dokoła których skupiła się młodzież popowstaniowa. Byli to: Bolesław Limanowski i Teodor Tomasz Jez. Oni stanęli u kolebki tych prądów, które ukształtowały dzisiejszą Polskę: rewolucyjno - socjalistycznego, kierowanego przez Mendelsohna, Daszyńskiego, Piłsudskiego i reformistyczno - narodowego z Popławskim, Balickim i Dmowskim na czele.

Oba kierunki były nowoczesne, demokratyczne, radykalne, oba nawiązywały do tradycji powstańczych i emigracyjnych. Oba pod względem umysłowym zawdzięczały wiele pozytywizmowi, lecz zwalczały jego apolityczność. Oba łączyły nadzieje zdobycia niepodległości ze zwycięstwem hasel wolnościowych.

Pierwszy kierunek nawiązał do tradycji „Proletariatu”, ale rewolucję socjalną traktował nie tylko i nawet nie tyle jako cel sam w sobie, ile jako drogę do wyzwolenia Polski, o której i Marx pisać umiał pięknie. Obóz ten znalazł gotową doktrynę i gotowe metody na Zachodzie, począł szukać

sojuszników w socjalizmach obcych, słowem dążył do narodowego wyzwolenia przez międzynarodową rewolucję.

Drugi kierunek, łączący się poprzez Jeża bezpośrednio z umiarkowanym skrzydłem Rządu Narodowego z r. 1863, przez Popławskiego, istotnego twórcę ruchu przejął wiele haseł z rosyjskiego ruchu „narodników”, z których rozwinęli się później socjal-rewolucjoniści. Zachował jednak wiele niezależności duchowej, tak, że o jakiejś uległości wobec rosyjskiej psychiki nie może być mowy, w każdym razie dużo mniej niż u socjalistów. Myślą tego kierunku była samodzielna rewolucja narodowa w oparciu o lud wiejski. Pracę nad robotnikiem zostawiali narodowcy socjalistom, traktując z sympatią walkę proletariatu o poprawę bytu.

Zarysowały się w ten sposób dwie indywidualności zbiorowe w polskim życiu politycznym, jeszcze nie skryształizowane, pełne zamąceń i naiwności, ale krzepnące coraz bardziej w miarę postępujących wypadków.

Obóz narodowo - demokratyczny odbywał ewolucję dużo gwałtowniejszą od spętanej doktryny ruchu socjalistycznego. Gdy na tych działali ideowo: Marx, Bebel, Kautsky i socjaliści rosyjscy, narodowcy ulegli wpływom dwu autorytetów, całkowicie różniących się swym charakterem. Pierwszym z nich był Spencer, drugim - Bismarck.

Podczas, gdy socjaliści pojmowali społeczeństwo na wskroś mechanicznie, materialistycznie, wreszcie - po heglowsku - dialektycznie, narodowcy nauczyli się od Spencera (i Darwina) myśleć - czasem nawet przesadnie - kategoriami organiczno - biologicznymi<sup>7</sup>.

W ściśle politycznej dziedzinie, socjaliści polscy pozostawali nadal pod wpływem haseł romantycznych, atmosfery 1848 r., narodowcy zwrócili się po wzory do narodów odradzających się z popiołów przez lud, jak Czesi, oraz jednoczących się przez miecz, jak Niemcy Bismarcka.

W epoce triumfów Żelaznego Kanclerza, Popławski zrozumiał, że patriotyczno - romantyczna postawa oburzenia wobec najgorszego wroga jest rzeczą równie bezpłodną, jak dziecinną i, że od szczęśliwego przeciwnika można i należy nauczyć się wiele.

---

<sup>7</sup> Powołaniem się na Spencera rozpoczyna Balicki swój „Egoizm Narodowy”. Dmowski, przyrodnik z wykształcenia, od pierwszych swych artykułów w „Głosie” ujawnia odporność na sugestie Marxa, znaczne zaś poddanie się wpływom angielskiego ewolucjonizmu. Piłsudski natomiast czyni w swej autobiografii charakterystyczne wyznanie: „Rozmyślania i książki (tu zniechęcony Spencerem przeczytałem jeszcze raz Marxa) ugruntowały mię w socjalizmie”.

Oczywiście, oba kierunki - narodowy i socjalistyczny wpływały na siebie zwłaszcza z początku. W wydanej w 1893 r. broszurze „Nasz Patriotyzm”, Dmowski uważa, że robotniczy „ruch klasowy jest jednym z najpomyślniejszych zwrotów w naszym życiu”, ugodowców określa „jako wielkich kapitalistów... którzy... bronią swych interesów klasowych”. W odezwach Ligi Narodowej z 1894 r. brzmią jeszcze hasła „romantycznego liberalizmu” narodowościowego, solidarności z podbitymi narodami, jeszcze w tym okresie Liga zwraca się do Rusinów z wezwaniem „wspólnej pracy dla Wolnej Polski i Wolnej Ukrainy”, jeszcze w odezwie do Litwinów mówi o walce „o naszą i waszą wolność”. Z drugiej strony znać wyraźny wpływ Popławskiego na młodsze żywioły socjalistyczne, na ich ewolucję w kierunku patriotycznym: „Niepodległość nie spadnie nam z nieba, ani z niczyjej łaski... Zdobywało się ją zawsze i zdobywa krwią i żelazem... nie ma innych sposobów jej odzyskania” - parafrazuje Bismarcka Popławski, a echo tych słów dźwięczy w hasłach legionowych z 1912-14 roku. Wpływ Popławskiego na Piłsudskiego np. jest tak silny, że jeszcze w 1926 r. zwycięski dyktator powtórzy żywcem w wywiadzie prasowym teorię Popławskiego o imponderabiliach, też zresztą od Bismarcka zaczerpniętą.

Mimo jednak tych wzajemnych wpływów i podobieństw drogi obu obozów rozchodziły się zwolna, przetwarzając w końcu w przeciwstawne bieguny, wokół których oscylowały wszystkie inne ugrupowania polityczne. Powody tej odśrodkowej ewolucji leżały nie tylko w innej szkole myślowej, lecz i w innym materiale społecznym, nad którym pracowano. Podczas gdy socjalistów podtrzymywała w usposobieniu rewolucyjnym zarówno doktryna jak właściwości elementu robotniczego, skupionego na małych przestrzeniach i postawionego twarzą w twarz z fabrykantem, narodowcy pracowali w rozrzuceniu, wśród ludzi trudnych do skoordynowania, bardziej zdolnych do biernego oporu, niż do czynnego, rewolucyjnego wystąpienia. Działacze ludowi z obozu narodowego przystosowują się do tych możliwości. „Przegląd Wszechpolski” pisał w r. 1897: „Walka o praw o jest najlepszym środkiem wyrabiania samodzielności politycznej i społecznej ludu”. A „Polak”, organ popularny dla wsi dodawał: „Walczyć można nie tylko z bronią w ręku. Narody rzadko za broń porywa' ją, ale walczą z dnia na dzień o swój byt, o swą pomyślność, o swe prawa. Ten, kto naucza swych braci o obowiązkach społecznych, kto użytecznie książki między nich rozpowszechnia, kto opiera się nadużyciom władzy, kto pisze skargę do władz wyższych na urzędnika, postępującego samowolnie - każdy z nich prowadzi walkę z rządem, walkę bardzo skuteczną”. W dziesięć lat później mógł już Dmowski całą działalność narodowych demokratów scharakteryzować w ten sposób: „Walczyli z rządem, organizując tajnie oświatę ludu, kształcąc go politycznie, ucząc go w nielegalnych wydawnictwach jak walczyć legalnie, w obronie praw przeciw bezprawiu”.

Wokół takiego programu narodowcy zgrupowali z natury rzeczy ludzi o temperamentach raczej społecznych, niż politycznych; skłonnych raczej do rozsądnej ofiary, niż do ryzykanctwa. Stanął do pracy obok mieszczan i zdeklasowanej szlachty szereg działaczy z młodego pokolenia

ziemian, którzy, szczerze głosząc hasła demokratyczne, pozostawali przecież w atmosferze swej klasy i samą obecnością swą w obozie demokratycznym - narodowym odbierali mu jego dawny charakter radykalny.

Ewolucja, raz rozpoczęta, posuwała się naprzód szybkim krokiem. W 1902 r. „Przegląd Wszechpolski” tak charakteryzował rzeczywistość wsiową i wynikające z niej zadania: „Do niedawna w duszy chłopskiej tkwiły tylko niejasne, zamglone tradycje przeszłości narodowej i przyrodzone uczucie odrębności plemiennej. Na tych czynnikach i na uczuciu religijnym budować trzeba świadomość narodową, z nich wyprowadzać myśl polityczną”. Dwie z pośród tych przesłanek prowadziły do katolicyzmu i konserwatyzmu, trzecia do antysemityzmu, a więc do poglądów już całkowicie przeciwstawnych poglądom rówieśników socjalistycznych.

Drogę do tych przemian uitorował narodowym demokratom płodny w następstwa przewrót, jakim było przekształcenie w r. 1893 Ligi Polskiej na Ligę Narodową. Był to nie tylko bunt młodych przeciw starym, ale również sił narodowych przeciw uzależnieniom międzynarodowym. Liga Polska kierowana była w dużym stopniu przez wolnomularzy. Początkowo nie budziło to protestów. Ale z biegiem czasu młodzi politycy narodowi poczęli dochodzić do wniosku, że w sekcie tej poza pięknymi dekoracjami z Łukasimskim i Zaliwskim kryje się treść dużo mniej powabna, że owa międzynarodówka traktowała zawsze Polskę jako mierzwę pod interesy obce, że zniweczyła możliwości wyzwolenia w 1830 roku i niejednokrotnie dyskutowała krew polską dla wrogich nam celów. W okolicznościach dotąd nieujawnionych, Dmowski z Popławskim i Balickim wypowiedzieli posłuszeństwo władzom organizacyjnym. Pociągnęło to za sobą natychmiastową walkę z masonerią, gdyż mściwość jest nieodłączną cechą wszelkich organizacji mafijnych. Szczególną nienawiścią ścigało wolnomularstwo Balickiego jako byłego „brata”, który zerwał zaprzysiężone więzy.

Przewrót 1893 roku, uznany wkrótce przez T. T. Jeża, skierował dzieje Polski w innym zupełnie kierunku. Masoneria straciła wpływ na zespół, złożony z silnych głów i charakterów, który wkrótce stworzył wielki ruch polityczny wbrew i przeciw wolnomularstwu. Dramatyczna walka między Ligą Narodową a masonerią atakującą ją z zewnątrz i próbującą rozsadzić od wewnątrz, wypełnia sobą spory szmat dziejów Polski. Cokolwiek można odtąd powiedzieć o słabościach i błędach Narodowej Demokracji, była ona obozem, który najenergiczniej, najczujniej strzegł narodu polskiego przed rządami obcych agentur.

Zerwanie z wolnomularstwem, które ustawicznie szermowało tradycją powstań narodowych i walki z Rosją wywołało prąd rewizjonistyczny wobec tej niedawnej przeszłości. Obok nauki, czerpanej z krakowskiej szkoły historycznej, obok znacznego wpływu pozytywizmu, działały tu również i inne czynniki. Ludowość ideologii wszechpolskiej, ludowość pojmowana etnicznie musiała skierowywać uwagę na ziemie etnograficznie polskie i na miejsce poglądu: tam Polska, gdzie szlachta polska, wysuwać hasło: tam Polska, gdzie lud polski. Stąd szczególne zainteresowanie



ziemiami piastowskimi, narażonymi na wynarodowienie, czyli zaborem pruskim. Przemiany zachodzące w Poznańskim, na Pomorzu i zapomnianym od kilkuset lat Śląsku, odradzanie się polskości przez lud entuzjasmowały działaczy Ligi Narodowej, urzeczywistniały wyśpiewaną przez Kasprowicza wizję skry ukrytej w popiele, zbawienia leżącego pod siermięgą, a jednocześnie ujawniały groźbę sytuacji polskiej w razie załamania się tego ruchu odrodzieńczego. Logicznie wynikał stąd wniosek, że Niemcy są największym wrogiem Polski, a praca nad ocaleniem narodu od zagłady - ważniejsza i aktualniejsza od odsuwającej się na dalszy etap kwestii odbudowy państwa.

Wręcz przeciwną ewolucję przechodził patriotyczny odłam obozu socjalistycznego, do którego szły żywioły bardziej gorące i burzliwe. Rekrutowały się one niemal wyłącznie ze świeżo zdeklasowanej warstwy szlacheckiej i działały wśród robotników, a więc ludzi o bardziej zmechanizowanej umysłowości i żywszym temperamencie, niż włościanie. Ruch socjalistyczny operował z natury rzeczy ściślejszymi formami organizacji, niż to może wytworzyć działalność wśród rozrzuconego elementu wiejskiego; uczył techniki zмовy i spisku, operowania zakonspirowanymi sztabami, wywiadem i kontrwywiadem - słowem, gdy praca oświatowo - społeczna Ligi Narodowej wyrabiała bardziej stronę ideologiczną, akcja ekonomiczno - klasowa socjalistów szkoliła silniej stronę techniczną. W szkole Ligi wytwarzały się bardziej cnoty cywilne, cenne w życiu legalno - parlamentarnym, w szkole P. P. S. urabiał się typ raczej wojenny, użyteczny w działalności bojowo - rewolucyjnej. Liczny udział inteligencji żydowskiej wyciskał dodatkowe piętno na socjalizmie polskim: nie dopuszczał do ewolucji w kierunku tradycjonalizmu, katolicyzmu i antysemityzmu, strzegąc pod tym względem prawowierności marksowskiej. A przecież szlacheccy przywódcy P. P. S. mieli tradycjonalizm we krwi, jeśli nie w mózgu. „Urodziłem się - pisze Piłsudski w swej autobiografii - na wsi, w szlacheckiej rodzinie, której członkowie zarówno z tytułu starożytności pochodzenia jak i dzięki obszarowi posiadanej ziemi należeli do rzędu tych, co niegdyś byli nazywani bene nati et possessionati”. A pisząc o czasach szkolnych w gimnazjum rosyjskim wspomina z oburzeniem o „hańbieniu wszystkiego, com się przyzwyczaił kochać i szanować... Bezsilna wściekłość dusiła mię nieraz, a wstyd, że w niczym zaszkozić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii palił mi policzki... A gdybym się zastanowił nad narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko, co we mnie myśli i wszystko, co czuje, przychodziłem do przekonania, że... socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce”.

Uderza w tych wynurzeniach silny ton uczuciowy, odczuwanie niewoli jako osobistej zniewagi, traktowanie akcji rewolucyjnej jako nakazu szlacheckiego honoru. Ten sam rys przebiega się jeszcze wyraźniej przez znany list, pisany przed wyprawą bezdańską:

„Walczę i umrę jedynie dla tego, że w wychodku, jakim jest nasze życie żyć nie mogę, to ubliża - słyszysz - ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką”.

Wynikające z takich założeń konsekwencje polityczne kierowały się, rzecz prosta, przeciw Rosji, która powierzchownie tylko ucywilizowana, pozbawiona poczucia prawnego, nasyłająca na Polskę najgorszy element ludzki, najdotkliwiej godziła w godność osobistą i narodową. I gdy klęski na polach Mandżurii zachwiały potęgą państwa carów, w dalekim Tokio rozegrał się pojedynek dwóch największych postaci ówczesnej Polski. Dmowski uznał chwilę za odpowiednią do zwrócenia wszystkich sił społeczeństwa przeciw Niemcom, Piłsudski - do próby rozgrywki bojowej z Rosją.

I znowu, jak tyle już razy w porozbiorowych dziejach Polski starły się ze sobą dwie siły: klasycyzm myśli politycznej z romantyzmem uczucia patriotycznego, tym razem jednak na znacznie wyższym poziomie, niż kiedykolwiek przedtem. Podczas, gdy wybitni statyści czasów dawniejszych: Czartoryscy, St. Poniatowski, Lubeczki, Wielopolski byli albo ludźmi bez charakteru, albo politykami gabinetowymi, pozbawionymi kontaktu ze społeczeństwem i szukającymi przeciw niemu oparcia o rządy obce - Narodowa Demokracja miała na swym czele ludzi mocnych, związanych z krajem, zaprawionych w wieloletniej pracy społecznej. Podczas gdy kierownicy dawnych ruchów powstańczych (od barzan poczynając) przedstawiali - z nielicznymi wyjątkami jak Traugutt - smutny obraz skłóconych między sobą nieudolnych zapaleńców lub komedianckich intrygantów, obóz rewolucyjny socjalizmu polskiego wydał z siebie człowieka, łączącego romantyzm celów z realizmem środków, umiającego dzięki swemu autorytetowi skupić karne szeregi pod jednostkowym kierownictwem, co zawsze jest połową wygranej.

Nie znaczy to, aby w obu obozach nie było poważnych braków, wad i skaz. Nie tylko istniały one, ale doprowadziły do wielu strat narodowych i zaciemniły poważnie okres najnowszej historii Polski. Straty te byłyby dużo tragiczniejsze, gdyby nie pomyślny na ogół zespół koniunktur międzynarodowych, który stworzył warunki sprzyjające powstaniu wolnej i zjednoczonej Polski.

Miał pełne prawo do dumy Dmowski, gdy wspominając o Popławskim i jego programie walki o ziemie zachodnie pisał: „Do mnie już tylko należało wyciągnąć z tego założenia konsekwencje dla polityki polskiej. I to, że postanowiłem pójść w tych konsekwencjach do końca, że uczyniłem to wbrew wszelkim zakorzenionym w psychologii naszego społeczeństwa przesądom, wstrętom i histeriom, wbrew silnym wpływom obcym, działającym na naszą myśl polityczną, że osiągnąłem to, iż wyrwanie naszych ziem zachodnich z rąk niemieckich stanęło na pierwszym miejscu w planie odbudowania Polski, że do tego celu udało mi się nagiąć politykę - uważam za najlepszą rzecz, jaką w życiu zrobiłem”. Istotnie pod wpływem Dmowskiego Narodowa Demokracja wytrwała w raz obranej linii choć nie było to rzeczą łatwą szczególnie w latach 1907-10. Między prowokacjami

nacjonalizmu rosyjskiego a patriotycznym oburzeniem społeczeństwa droga, którą kroczone, była niemal Kalwarią. Dziś jest tytułem do chwały. Ona to umożliwiła wojnę, na którą Rosja nie odważyłaby się przy wrogim nastroju Kongresówki. Zamiast niepodległości mieli byśmy dzisiaj nową konwencję Alvenslebena, na co zanosilo się w 1906 r. w Björkoe. Bez wojny - zdajmy sobie z tego sprawę-Pomorze byłoby w sytuacji takiej jak Mazury, Poznańskie jak Śląsk Opolski, we Lwowie siedziałby zapewne namiestnik habsburski- Ukrainiec, w Chełmie; Brześciu, Wilnie wprowadzano by gwałtem prawosławie, a młodzież warszawska walczyłaby w najlepszym razie nie o autonomię i numerus clausus, lecz o język wykładowy polski. To, że wojna na ziemiach polskich wybuchła, że Rosja nie wycofała się z niej już w 1915 - jest tak oczywistą zasługą Dmowskiego, że zaprzeczanie jej dowodzi już nie ignorancji, lecz złej woli.

Ale linia polityczna Narodowej Demokracji pociągnęła za sobą również ujemne a częściowo nieuniknione konsekwencje. Opowiedzenie się po stronie Rosji przekreślało jakąkolwiek myśl o przygotowaniu sił zbrojnych, mimo że podczas wojny istnienie kadr armii polskiej znaczyło więcej, niż zabiegi dyplomatyczne; wystarczy wspomnieć rolę legionów Dąbrowskiego, krwawiących na pozór bezpłodnie w walkach o Rzym lub na San Domingo. Z łona obozu wszechpolskiego nie wyszedł - bo i nie mógł wyjść - żaden wybitny wojskowy. Jedyne człowiek o wojskowym temperamencie i zainteresowaniach, Balicki, nie znalazł dla nich pola aż do swej śmierci w r. 1916; pozostali działacze byli i pozostali typowymi cywilami, co odbiło się szczególnie na polityce obozu narodowego w dziesięciolecie od 1917 r. poczynając. Tu leży źródło tragicznego, niespotykanego nigdzie zjawiska rozdziału między armią a nacjonalizmem, rozdziału który dziś dopiero zaczyna się zblizniać.

Dramatyczne wypadki 1905 roku spowodowały inne jeszcze, niepomysłne dla Narodowej Demokracji skutki. Wystąpiła ona przeciw akcji rewolucyjnej z motywów politycznych, które dostatecznie jasno oświetlił Dmowski w swej „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa”. Ale głębi jego myśli równie niemal jak jej przeciwnicy nie pojmowali ci, którzy poparli Narodową Demokrację. Poparli ją przede wszystkim sfery posiadające, wrocie rewolucji z motywów społecznych: ziemiaństwo ze swym archaicznym aparatem pojęć oraz te części wielkiego przemysłu, które nie były ani niemieckie, ani żydowskie. Wszechpolacy zyskali dzięki temu oparcie finansowe dla swej polityki, ale ich poglądy społeczne przybrały - w sposób niewidoczny dla nich samych - odcień klasowy.

Jednocześnie selekcja materiału ludzkiego, selekcja charakterów przebiegała niepomysłnie dla Narodowej Demokracji. Jej linię polityczną, jej tragizm między niebezpieczeństwem niemieckim a prowokacjami moskiewskimi rozumiała tylko elita umysłowa i moralna zarazem, a ta, oczywiście, redukowała się do jednostek, w najlepszym wypadku do dziesiątek ludzi. Elita moralna, lecz nie umysłowa - odpadła do ugrupowań, głoszących hasła niepodległości, elita

umysłowa, lecz nie moralna znajdowała w polityce N. D. usprawiedliwienia dla swego oportunistycznego wobec rządów rosyjskich. Za nią wlewała się w szeregi narodowe szeroka fala zwykłych tchórzów i karierowiczów oraz ludzi wygodnych i biernych.

Gdy w ten sposób obóz wszechpolski ulegał przekleństwu zbyt nagłego powodzenia, żywioły rewolucyjne demoralizowały się przez niepowodzenie. Zawiodły nadzieje na pomoc japońską, zawiodło oczekiwanie, iż ruch powstańczy porwie za sobą naród jak w r. 1863. Bojownicy czuli się osamotnieni. Oziębłość społeczeństwa przypisywali jego upodleniu, poczuli się emigrantami we własnym kraju i - w konsekwencji - poczęli stosować terror przeciw własnym rodakom. To wywołało kontrakcję żywiołów narodowych. Kongresówka, w szczególności miasta fabryczne stały się areną wojny domowej, która od 1905 roku poczynając przeciągnie się na trzydziestolecie z górą. Akcja bojowa wymykała się spod kontroli kierownictwa; tu i owdzie przeradzała się w zwykły bandytyzm, co rzucało cień na całość ruchu. Ostateczna przegrana skierowała przywódców na teren Galicji, gdzie wkrótce powstały możliwości tworzenia kadr wojskowych. Oddawszy się tej akcji całą duszą, Piłsudski skupił wkoło siebie nowe siły: pełną patriotycznego zapału młodzież zaboru austriackiego. Niebawem dołączyła się do niej młodzież Kongresówki, którą bojkot szkół rosyjskich wypędzał za kordon. Szeregi rosły. Ale nie malała gorycz zawodu, pogarda dla społeczeństwa, wśród którego N. D. po okresie załamania znów odzyskała wpływy. Nową podniecię dały im doświadczenia pierwszych miesięcy wojny. Gorycz, pogarda, boi osamotnienia będą odtąd przybierały na sile, aby wreszcie znaleźć upust literacki w pieśni Pierwszej Brygady, polityczny zaś - w zamachu majowym 1926 r.

Rozpaliła się w Polsce - jak niegdyś w 1830 r. - nienawiść, głęboka nieufność uniemożliwiła jakiegokolwiek porozumienie. Piłsudskiemu insynuowano współpracę ze szpiegiem Redlem, zarzucano przysięgę, złożoną Franciszkowi Józefowi, „stanie na baczność” przed arcyksięciem Ferdynandem. Dmowskiego oskarżono o ofiarowywanie Wittemu wyróżnienia socjalistów polskich, wypominano deklarację z 1914 r. za ustęp o „zjednoczeniu Polski pod berłem monarchii rosyjskiej”. Nie brano pod uwagę, że bez deklaracji o „berle monarchii” nie można było prowadzić polityki przeciw Niemcom, a bez stania na baczność przed dowódcą frontu nie sposób dowodzić brygadą.

Młodym pokoleniom trudno już wżyć się w tę atmosferę. Najwytrwalsza nawet propaganda nie zdoła zamienić nas w zwykłych epigonów tej czy innej orientacji z 1914 r. Czytamy i słuchamy o niedawnej przeszłości z coraz większym obiektywizmem; starszych musi to razić - nas rażą spory starszych. Wypadki z początku XX stulecia są nam niemal równie dalekie jak zdarzenia z końca XVIII. Nie wiele mówią nam podręczniki i dzieła historyczne; czasem sięgnięcie do jakiegoś dokumentu obyczajowego lepiej od nich pozwoli wczuć się w te tak niedawne czasy, ale zarazem uzmysłowi jak wielki dystans dzieli pokolenia. Dla mnie takim przeżyciem były pamiątki Wojciecha Kossaka, pisane na dwa lata przed wybuchem wojny, w czasie której ów batalista był malarzem legionów, a później - ułanem polskim. Ludzie z pokolenia niepodległej Polski powinni czytać

te zwierzenia człowieka, któremu nikt złej woli zarzucić nie może, aby zrozumieć czym była niewola i jakich mogła wychować ludzi.

„Rzadki w historii - pisze Kossak - wypadek 65 rocznicy wstąpienia na tron Franciszka Józefa postanowiły przywiązane i wdzięczne ludy austriackiego imperium, obchodzić najwspanialej i najsolennie. Przed cesarzem miał przedfilować pochód historyczny, poczynając od Rudolfa Habsburga. Hr. Andrzej Potocki (namiestnik Galicji) miał zamiar zorganizować z całym przepychem grupę historyczną króla Jana III. Mnie oddano komendę nad Krakusami... stworzono rzecz niewymownie piękną, szczerą, jednym słowem przedziwnie udaną, a bez jednego zgrzytu fałszywej nuty.

Aliści nastąpiły komplikacje. Według planów rządowych grupa odsieczy wiedeńskiej iść miała w tym porządku: „...Cesarz Leopold I, książę lotaryński, ks. Stahremberg, hr. Croy, ks. Lichtenstein, oddział kirasjerów Piccolominiego, jeńcy tureccy, łupy (wielbłądy z haremem Kara Mustafy, małpy, papugi), Kónig Johan von Polen, Polnische Flugelpanzerreiter (husaria)... Minister dla Galicji i marszałek, hr. Badeni natychmiast zaprotestowali, żądając dla króla Jana miejsca naczelnego... oprócz tego jeszcze jeden warunek, żeby królem Janem był ktoś z Polaków, a mianowicie ja... Wezwano mię w imię godności narodowej”. Tu następuje opis parady, przy czym Kossak opisuje intrygi austriackie, które spełzyły na niczym. „...Stanie się tak, jak w ostatniej chwili zdecydowano. Nastrój wokół mnie oschły, ale nic sobie z tego nie robię. Jako król Jan z jednym tylko cesarzem Leopoldem raczę rozmawiać. ...Na Kolowrathring podjeżdża do mnie ks. Stahremberg i uprzejmie prosi, abym na chwilę mego bachmata powstrzymał „damit das Volk seinen Kaiser sieht”... puściłem na długość dwóch szyi końskich Leopolda I. Po paru minutach zrównałem się znowu. Tymczasem zaczynają się już „die feinen Tribunen”, więc i kwestia ta drażliwa... zaczyna się rozpalać... słyszę poza sobą głos: „Herr von Kossak, bitte etwas zuriick!” Udaję, że nie słyszę... podjeżdża do mnie ks. Stahremberg i grzecznie, ale stanowczo prosi mnie, abym wziął ten sam odstęp od cesarza Leopolda, co ks. lotaryński, t. j. trzy kroki w tył. Równie grzecznie i stanowczo odpowiedziałem: „Mój książę! to jest wykluczone... Jedynym miejscem odpowiednim dla mnie jest to, po prawicy cesarza, jeśli jednak panom to nie dogadza, to zawrócę z powrotem natychmiast z moją husarią do Prateru”... Od tej chwili dali mi święty spokój, wnet po tym, mijając cesarza Franciszka Józefa I skłoniłem przed nim buławę i wyjechałem, dzwoniąc wciąż moim strzemieniem o strzemię Leopolda I z hemicykle. Teraz zaczęły się już trybuny zupełnie marne, żadnych już tam graów, ani baronów. Tu już zupełnie wszystko jedno, jak kto jedzie”.

Oto obraz polskiego społeczeństwa. Biedny Kossak! On naprawdę wierzył wówczas, gdy to pisał, że ocalił godność narodową, skłaniając jako Jan III buławę przed zaborcą, ponieważ... jechał w jednym rządzie z innym aktorem. A jak musieli mu wieszować ci Badeniowie, Bobrzyńscy, Tarnowscy i inni politycy polscy. O nędzo umysłów polskich z czasów niewoli! Dwadzieścia kilka lat

czasu nas dzieli, ci sami ludzie żyją jeszcze, a wydaje się jakby wieki całe... Czytając wspomnienia Kossaka, przypomiąłem sobie od czasu do czasu, że wówczas już żyłem, już zaczynałem myśleć i zdaje mi się jakby w życiu moim prześlizgnęło się stulecie!

Nasze pokolenie nie pamięta już okresu niewoli, nie pojmuje jego atmosfery. Zdarzenia, które dziś jeszcze rozżarzają wzruszeniem miłości lub nienawiści dusze ojców naszych, dla nas są obiektem chłodnych rozważań historycznych. Dmowski pisał w 1925 r.: „Nie wiadomo, które po nas pokolenie stanie się zdolnym do patrzenia na wypadki naszych czasów w perspektywie dziejowej”. Zdaje się, że warunki psychiczne takiego poglądu istnieją już dzisiaj. Jeżeli co przeszkadza jego nieskrępowanemu sformułowaniu, to możliwość, że pokolenie przedwojenne, nadające jeszcze ton życiu polskiemu, a do obiektywizmu w tych sprawach na ogół niezdolne, szukać będzie momentów taktycznych w tym, co dawno już przestało być taktyką.

Dziś rzuca się w oczy jedno: niewiarygodnie szczęśliwy przebieg wojny światowej pozwolił na wyzyskanie dla odradzającego się państwa wszystkich niemal, najsprzecznieszych względem siebie posunięć różnych obozów i grup politycznych. Żadna z nich nie sądziła, bo sądzić nie mogła, że w wyniku jej działań powstanie Polska i niepodległa i zjednoczona; dążenie to rozkładano na etapy i spierano się, który z nich powinien być wcześniejszy: czy niepodległość bez zjednoczenia, czy zjednoczenie bez niepodległości. Okoliczności - jeśli nie opatrność dziejowa - sprawiły, że zwalczające się z taką zaciekłością obozy, w istocie - nawzajem się uzupełniały, może nie w tym, co zamierzały czynić, ale w tym co rzeczywiście czyniły.

Przy wszystkich swych ujemnych stronach, przy niebezpieczeństwach, którymi groziła, akcja bojowa P. P. S. oraz jej kontynuacja w Strzelcu krakowskim rzuciła podwaliny pod rozwój armii polskiej, wyszkoliła znakomity materiał oficerski, którego by nigdy nie zastąpili fachowcy z armii zaborczych. Jeżeli dobrze się stało, że w r. 1914 Legionom nie udało się wywołać powstania w Królestwie, co groziło zawarciem przez Rosję pokoju, to nie mniej szczęśliwą było okolicznością, że Pierwszej Brygady zawód ten nie złamał, że nie rozwiązała się za przykładem (skądinąd słusznym) Legionu Wschodniego. Boje legionów bowiem natchnęły Niemców myślą, tak dla nich fatalną, o uzupełnieniu swych rezerw przez rekruta polskiego i skłoniły do rzucenia na forum Europy hasła niepodległości Polski, którego już cofnąć nie można było. Akt 5 listopada oddał ogromne usługi akcji Dmowskiego wśród mocarstw sprzymierzonych. Miał rację Piłsudski zarówno wówczas, gdy składał przysięgę Franciszkowi Józefowi (przysięga ta - warunek istnienia Legionów - była tyleż warta ile deklaracje filorosyjskie Dmowskiego), jak i wówczas, gdy przerzucił energię swoją i swych podwładnych na tworzenie Polskiej Organizacji Wojskowej, a w rok później dymisją swą wymuszał decyzję na państwach centralnych. Miał również rację, odmawiając w 1917 roku przysięgi „beselerowskiej”, ale miał swoją rację również i Haller, kiedy nie poszedł za Piłsudskim, aby nie zamknąć w Szczypiornie całości armii polskiej. Miał znowu rację Haller, gdy odpowiedział na traktat

brzeski Rarańczą i Murmanem, ale miał również rację Januszajtis, kiedy, zacisnąwszy zęby, postanowił z małą choćby garstką doczekać się rozgromu Niemiec, mając broń w ręku a polską ziemię pod stopami. Zapewne, był w tych wszystkich sprzecznych posunięciach i rozbieżnych koncepcjach politycznych chaos, ale dziś w perspektywie historycznej chaos ten układa się w swoisty porządek, niczym wzory w kalejdoskopie.

Zapewne, ułożyło się nie wszystko. W sporach orientacyjnych tkwiła nie tylko walka koncepcji. W grę wchodziły również brudne intrygi, budowanie osobistych karier, zdarzały się wypadki delatorstwa wobec obcych potęg, którego szczególnie haniebnym okazem było wydawanie na śmierć rodaków z Wschodniej Galicji sądom polowym austriackim. Uwiecził i napiętnował tę hańbę Żeromski, nie ukarały jej dotąd sądy niepodległego państwa. Ale poza tą kategorią występków - działalność zwalczających się obozów więcej przyniosła Polsce korzyści, niż szkody. Zapewne, jednolitość polityczna narodu, taka, jaką okazali choćby Czesi, przynieść mogła bezcenne zdobycze, ale nie w sytuacji Polski, rozebranej między skłóconych zaborców. W skomplikowanym położeniu skomplikowana musiała być linia polityczna. Łatwo zrozumieć to pokoleniom powojennym. Ale ci, którzy sami byli aktorami wojennego dramatu, na ogół nie umieją osiągnąć beznamietności spojrzenia mimo szczerych czasem prób w tym kierunku ze strony wybitnych jednostek; w wielu pozostał uraz psychiczny, polegający na większej dozie nienawiści wobec przeciwnika, niż uprawnionej dumy ze swych własnych zasług. Niektórzy wreszcie ludzie czują, że cała ich praca dzisiejsza warta jest stosunkowo niewiele i z przeszłości swojej, z chwały młodego wieku robić pragną legitymację dla utrzymywania się na powierzchni życia politycznego. Dlatego prawdziwa niepodległość Polski, niepodległość duchowa nastąpi może nie wcześniej, niż po wymarciu większej części pokolenia, wychowanego w niewoli.

Ongiś Żydzi dopiero po czterdziestu latach od wyjścia z Egiptu stali się godnymi wejścia do ziemi obiecanej. Dzisiejsze dzieje Polski, to jeszcze owe wędrówki po pustyni. Dopiero nasze pokolenie - o ile nie wyjąłowi umysłów w walkach taktycznych - będzie mogło zabiżnić rany, oddać hołd wszelkiej zasłudze, a wzajemne urazy i spory odesłać do muzeum przeszłości, tam, gdzie odeszły już istotne przyczyny tych sporów - rozbiory.

Rozkład Rosji i klęska mocarstw centralnych zmieniły całkowicie stosunki w Europie: zarówno niepodległość jak i zjednoczenie stały się jednocześnie realną możliwością, niebawem zaczęły stawać się faktem. Zarazem stanął naród wobec ogromu nowych zagadnień zarówno zewnętrznych jak wewnętrznych, do których nie miał możliwości przygotować się w okresie niewoli. Musiano w większości wypadków posługiwać się improwizacją. W niektórych tylko dziedzinach polskie obozy polityczne posiadały przemyślane poglądy. Z poglądów tych wyrosły ścierające się ostro programy.

Wyłoniły się zarazem dwa ośrodki państwowotwórcze. Komitet Narodowy w Paryżu uznany został w 1917 r. przez państwa koalicyjne za oficjalną reprezentację polityki polskiej na Zachodzie. Był to niejako zawiązek rządu na emigracji, ograniczony w swym zakresie i kompetencjach, rodzaj samodzielnego ministerstwa spraw zagranicznych, posiadającego jednak pod swymi rozkazami znaczną i świetnie wyekwipowaną armię. Oczywiście warunkiem przetworzenia się Komitetu w rząd polski było opanowanie władzy w kraju. Próba ta nie udała się, rząd Świerzyńskiego nie umiał obalić Rady Regencyjnej. Dyktatorem oczyszczonej od okupantów części Polski został Józef Piłsudski. Nastąpił krótki okres konfliktu między dwoma ośrodkami władzy, poczem ustalił się kompromis. Piłsudski został Naczelnikiem Państwa, Paderewski premierem, Komitet Narodowy, dopuściwszy do swego składu kilku delegatów Piłsudskiego pozostał jedyną reprezentacją Polski na Zachodzie. Potężna indywidualność Dmowskiego wyciskała nadal decydujące piętno na walce dyplomatycznej o granice i charakter państwa polskiego w ramach konferencji wersalskiej - z najlepszymi wynikami jakie w ogóle były do osiągnięcia. W walce tej wykuwała się konkretna wizja państwa, wynikająca logicznie z założeń politycznych autora „Myśli nowoczesnego Polaka” oraz „Niemiec, Rosji i kwestii polskiej”. Była to wizja Polski, ogarniającej jednolitym państwem całość etnograficznych ziem polskich oraz te połaci ziem wschodnich, na których kultura polska oparła się zwycięsko naporowi Rosji.

Koncepcja ta godziła swym ostrzem w Niemcy i ich wieloletnich sprzymierzeńców - Rusinów galicyjskich, dążących do zjednoczenia w ramach Wielkiej Ukrainy. Rosji natomiast nie zagrażała. Odsuwała ją wprawdzie na wschód, pozbawiała granicy z Niemcami, lecz potęgi jej nie umniejszała, natomiast wiązała ją z Polską wspólnym interesem, polegającym na zgodnym zwalczaniu irredenty ukraińskiej. Oczywiście ów wspólny interes nie chronił przed ewentualnością niespodzianek, z których najfatalniejszą mogło być porozumienie rosyjsko - niemieckie, lecz sprowadzał antagonizm polsko - rosyjski z rzędu konieczności do rzędu możliwości.

W zastosowaniu do spraw wewnętrznych koncepcja ta oznaczała nieskrępowane panowanie żywiołu etnograficznie polskiego w państwie o znacznej liczbie obcego etnicznie elementu, panowanie, posługujące się bądź kolonizacją z zachodu na wschód, bądź asymilacją pobratymców słowiańskich. W punkcie tym myśl polityczna Narodowej Demokracji była najmniej sprecyzowana i nie potrafiła wyjść poza doświadczenia galicyjskie. Na ogół jednak program Dmowskiego, zwarty, konsekwentny, jasny, jak wszystko co przemyślał ten genialny mąż stanu, odpowiadał ówczesnej sytuacji politycznej i ówczesnym możliwościom, a również uczuciom większej części narodu polskiego.

W poczuciu siły swego programu, Narodowa Demokracja, dumna z roli, którą odegrała, świadoma swych wpływów w społeczeństwie nie miała nawet cienia wątpliwości, że jej wyłącznic należą się rządy w Polsce. Traktowała swych przeciwników z czasu wojny jak szkodników,



umysłowych lub moralnych bankrutów, odmawiała im prawa wpływania na losy państwa. Zmuszona do tolerowania Piłsudskiego, uważała go za intruza. Piłsudczycy ze swej strony żywili te same uczucia wobec wszechpolaków: wytykali im „rusofilstwo”, negowali nawet najoczywistsze ich zasługi na konferencji paryskiej. Sami nie czuli się bynajmniej bankrutami, mimo Szczypiorny i Magdeburga. Wręcz przeciwnie, prześladowania pruskie były najlepszą legitymacją przeciw oskarżeniom o ugodę z najeźdźcą, nazwisko Piłsudskiego, będące uprzednio sztandarem walki z Rosją stało się również symbolem walki z Niemcami. Co więcej, wyprzedzili oni na niektórych polach wszechpolaków: stworzyli P. O. W. i skierowali ją przeciw państwom centralnym, a gdy korpus Dowbora miał złożyć broń, usiłowali, co prawda bez powodzenia, pchnąć go do walki z Niemcami.

W psychice piłsudczyków zaszły od 1914 roku poważne zmiany, w których nie orientowała się Narodowa Demokracja. Widziała ona w nich ciągle nieodpowiedzialnych wichrzycieli, a w ich wodzu - przywódcę bojówek, nic więcej. Epopeja legionowa była dla wszechpolaków rozdmuchanym epizodem, nie wiedzieli, że odegrała ona rolę znakomitej szkoły wojennej, w której wykuwały się charaktery, odradzała zagubiona od napoleońskich czasów polska doktryna militarna. Pierwsza Brygada, wyruszając z Oleandrów była istotnie zespołem rewolucjonistów, w którym tradycyjny szlachecki egalitaryzm sprzęgał się z frazeologią socjalistyczną, przejawiając się zarówno w tytułaturze „obywatela” jak w odrzuceniu systemu rang i pensji. W twardym doświadczeniu wojny frazeologia ta poczęła zanikać; czerwona młódź szlachecka przetapiała się na żołnierzy, zapatrzonych w geniusz wodza, coraz lepiej rozumiejących zasady hierarchii i coraz bardziej myślących kategoriami czysto wojskowymi. 11 listopada 1918 roku zastał ich gdzieś w połowie ewolucji. Byli jeszcze politykami liberalno - radykalnymi, ale w dziedzinie wojskowości zyskali przymioty, zostawiające daleko w tyle wielu fachowych oficerów, jacy w tej właśnie chwili zamieniali mundury zaborcze na polskie. Nauczyli oni legionistów niejednego, ale, rzecz prosta, nie ukształtowali armii polskiej według swego modelu (lub raczej modeli, gdyż każda armia wytwarzała inny typ oficera). Podobnie ongiś w czasach napoleońskich nie służyłci ancien regime'u, lecz ex-rewolucjoniści stali się rdzeniem Wielkiej Armii.

W wojsku polskim wytwarzała się nie bez trudu i swarów synteza, w której na plan pierwszy wybiły się pierwiastki duchowe brygad legionowych. Piłsudski mimo okazywanego sentymentu do swych towarzyszy umiał na ogół zaprząć do zgodnej współpracy w polu i sztabie nawet niechętnych mu osobiście i obcych duchowo generałów z armii zaborczych. Improwizując wojsko niemal z niczego potrafił w krótkim czasie wytworzyć poważną siłę militarną i tak opanować sytuację, że już wiosną 1919 roku mógł pokusić się o zajęcie Wilna. I wówczas stanęło przed nim zagadnienie politycznej przyszłości ziem wschodnich, które on postanowił rozstrzygnąć całkiem odmiennie od koncepcji Dmowskiego. Rozpoczął się akt drugi pojedynku, zainaugurowanego przed czternastu laty w Tokio.

Wiele czynników złożyło się na związanie Piłsudskiego z koncepcją federalistyczną. Był synem ziemi kresowej, dzieckiem tego odłamu szlachty, który z czasów przedrozbiorowych przechował tradycję uczuciowego separatyzmu wobec „koroniarzy”. Niepowodzenie planów rewolucyjnych w 1905 r. i oziębłość Kongresówki wobec legionów w 1914 mogły tę nutę tylko wzmocnić, a nie osłabiło jej z pewnością stanowisko sejmu ustawodawczego, który skrupował niedawnego dyktatora dokuczliwą „małą konstytucją”. Znaczną rolę odegrało również stwierdzenie przez Naczelnika Państwa, że „na bożym świecie zaczyna, zdaje się, zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów i doktrynki amerykańskie”, co odpowiadało popularnym wśród piłsudczyków tendencjom romantycznym z połowy XIX stulecia. Jednakże decydującą rolę odegrało co innego: żywione już przed wojną przekonanie, że głównym wrogiem Polski jest Rosja, nie Niemcy. W kwietniu 1919 roku mógł być Piłsudski tym bardziej w zdaniu swym utwierdzony, iż zdawało się, że na konferencji paryskiej spór terytorialny z Niemcami został już rozstrzygnięty i to niemal bez reszty na korzyść Polski.

Koniunktura do rozbijania Rosji wydawała się dobra. Dawne państwo carów wilo się w konwulsjach wojny domowej, Niemcy przestali być chwilowo groźni. Jednakże armia polska, choć nad podziw szybko zorganizowana, nie stanowiła jeszcze dostatecznej siły, aby zmusić Rosję do wyzbycia się ziem pierwszego i drugiego rozbioru. Rozstrzygnięcie przynieść mogła wola narodów i plemion kresowych. Woli tej zabrakło - i o tę przede wszystkim przeszkodę rozbiły się plany Naczelnika Państwa.

Wielu polityków polskich sądziło, że małe narody z wdzięczności za obronę przed Rosją i bolszewizmem wpręgą się dobrowolnie do rydwanu polskiego. W polityce międzynarodowej nie ma jednak miejsca na wdzięczność, istnieją tylko realne interesy. Federaliści mimo wieloletniej praktyki w szkole materializmu ekonomicznego nie docenili społecznej strony zagadnienia: wszystkie budzące się narody kresowe były społeczeństwami chłopskimi, stosunkowo niedawno wyzwolonymi z pańszczyzny, natomiast warstwa ziemiańska, nadająca ton życiu kulturalnemu i gospodarczemu była przeważnie lub w znacznej części polska. Tworzenie państw buforowych z liczną mniejszością polską stawiało narodowościom kresowym dylemat: albo poddać się wpływom kulturalnym polskim, oddać Polakom miejsce przodujące jako elementowi wyższemu cywilizacyjnie, albo w obronie swej indywidualności narodowej, swych praw do rządzenia państwem i tworzenia własnej kultury - starać się zawczasu złamać górujące stanowisko Polaków. Dlatego samorzutne chęci do federacji z Polską wykazali stosunkowo najsilniej Estończycy, pozbawieni mniejszości polskiej. Już Łotysze natomiast odnieśli się do nas nieufnie, Litwini zaś byli i są zbyt biedni kulturalnie i zbyt olśnieni, zwłaszcza w starym pokoleniu urokiem kultury polskiej, aby móc ocalić swą niepodległość duchową w inny sposób niż przez rozżarzanie nienawiści plemiennej.

Odrębna była pozycja Ukraińców. Nie należą oni do rzędu małych narodów. Ale ich tradycje państwowe, aczkolwiek wspaniałe, przerwane zostały już w końcu wieku XIII, ich spadek przejęła Polska, Litwa i Moskwa. Poczucie przerwy w tradycji jest u Ukraińców tak silne, że odradzający się w końcu XIX wieku naród zarzucił starożytną nazwę Rusi, łączącą się z wizją wspaniałego mocarstwa Włodzimierzów na rzecz polskiego terminu „Ukrainy”, oznaczającego ziemie kresowe, a wiążącego się z insurekcjami XVII wieku, które do niezawisłości nie doprowadziły.

W roku 1920 zachodnia część narodu ukraińskiego krwawiła jeszcze po niedawnych walkach z Polakami, wschodnia - chwiała się między ideologią narodową i klasową. Ukraina nie poparła Petlury, tak jak w XVIII stuleciu nie poparła Mazepy. I gdy Budienny dokonał ze swą konnicą rajdu głęboko na tyły wojsk polskich, zmuszając je do opuszczenia Kijowa - ludność ukraińska nie zareagowała powstaniem przeciw czerwonym. Rozpoczął się zwycięski marsz wojsk bolszewickich aż pod Warszawę; pod kopytami armii konnej runęła w pył idea federacji. Nie zdołał jej ocalić Piłsudski. Ocalił jednak swym zwycięstwem znad Wieprza niepodległość odradzającej się Polski, a swym triumfalnym marszem za Niemen zrealizował w głównych zarysach koncepcję polityczną - Dmowskiego.

W owych dniach przełomowych najlepiej okazała się wielkość Naczelnego Wodza. Prawda, poczynił on w początkach lipca błędy, których sam nie neguje, później uległ nawet chwilowemu załamaniu, ale szybko otrząsnął się z niego, umiając wykrzesać z siebie to, czego brak zgubił tyłu już wodzów naczelnych: decyzję. Zdobył tytuł do stania się bohaterem narodowym. Odmówiono mu tego: zapamiętano omyłki, zasługę zaś zwycięstwa próbowano przerzucić na podwładnych oraz na oficerów obcych, którzy nawet w swym własnym mniemaniu (świadek Weygand) roli decydującej nie odegrali. W ten sposób obaj ludzie wyrastający wysoko ponad miarę swych współczesnych: Piłsudski i Dmowski, doznali od nich niewdzięczności. Małość zwyciężyła wszędzie, zwyciężyła nawet w ocenie stosunku tych dwóch wielkich postaci.

Walka między inkorporacjonizmem i federalizmem rozstrzygnęła się na korzyść pierwszej koncepcji, ale jej dogasanie na terenie wileńskim zakłóciło normalny bieg spraw państwowych, zatrzymało stosunki wewnętrzne nieufnością i podejrzeniami. Im bardziej kurczył się obszar dyktatorskiej władzy Piłsudskiego, który w roku 1919 i 1920 ciągnął się od Bugu daleko na wschód, a w 1921 r. ograniczył jedynie do „Litwy Środkowej”, tym bardziej dążyła Narodowa Demokracja do uniemożliwienia dyktatury na przyszłość. W tym leży geneza ograniczeń władzy prezydenta w konstytucji marcowej. Była to jednak praca czysto negatywna, refleks przeszłości, nie rozstrzygnięcie podstawowych zagadnień na przyszłość. Walczące obozy spełniły z najwyższą chwałą zadanie, do którego przygotowywały się przed wojną: wszechpolacy dali nam Polskę jednolitą z dostępem do morza i najważniejszą częścią Śląska, piłsudczycy - armię, która odniosła zwycięstwo na miarę

największych triumfów w przeszłości. Zanim czołowe mózgi polskie zdobyły się na nowe syntezы, nastąpił okres impasu myśli politycznej.

Łatwo jest dziś potępiać jej niedołęstwo, która poza wymienionymi - najważniejszymi zresztą - dziedzinami zaznaczała się od początku powstania państwa. Ale pamiętać należy, że problemy, które Polska miała do rozwiązania stawały się aktualne po stuletniej co najmniej przerwie. Jeszcze w polityce gospodarczej można było nawiązywać do Lubeckiego, lecz już w dziedzinie ustroju politycznego mogła Polska powoływać się dopiero na rok 1791 z jego konstytucją, która swych wad i zalet w życiu wykazała nie zdążyła. W innych dziedzinach cofać się musiano jeszcze dalej: poza epokę saską. Czy można się dziwić, że w tych warunkach silniej od nauk przeszłości oddziaływały wzory zagraniczne? A przecież od roku 1918 szedł przez Europę wiew nowej jakby Wiosny Ludów, renesans hasel 1848 roku. Wiosna ta jak się później okazało była raczej babim latem, ale w roku 1918 i następnych nie mogli tego przewidzieć ani jej zwolennicy, ani przeciwnicy. Wszyscy też - wszystkie obozy polityczne w Polsce - przejęły się, często zupełnie nieświadomie, sugestiami, które głośniki w Waszyngtonie, Wersalu, Wejmarze i Genewie transmitowały z łóż wolnomularskich.

Wpływ ich objawiał się nie tylko w dziedzinie myśli. Była to siła, z którą Polska musiała się liczyć, gdyż przemawiała ustami ambasadorów mocarstw, kursami marki, a później złotego na giełdach światowych, wewnątrz zaś kraju poprzez czynniki skądinąd sobie przeciwstawne: z jednej strony przez „sfery gospodarcze”, z drugiej - przez zjednoczoną lewicę. Historia wpływów masonskich w Polsce odrodzonej jest dziełem, które w przyszłości musi być napisane. Wystarczy zaznaczyć, że nawet najwięksi wrogowie wolnomularstwa - narodowi demokraci, musieli uginać się przed tą potęgą. W 1919 r. zmusiła ona Dmowskiego do podpisania traktatu o mniejszościach. W kilka lat później przy uchwalaniu konstytucji, wszechpolacy walczyli o narodowy charakter państwa drogą forsowania papierowych deklaracji, gęstego odmieniania słowa „naród”, kłopotali się o groźbę bloku mniejszości narodowych, potrafili nawet poruszyć ulicę w obronie „większości polskiej” przy wyborze prezydenta, ale nie kusili się o konstytucyjne pozbawienie Żydów praw obywatelskich, a nawet, bodaj, myśli takie nie przechodziły im przez głowy. Jeszcze lat kilka - i czołowy przedstawiciel Związku Ludowo - Narodowego zawierał ugodę z Żydami. Była to kapitulacja. Trzeba było dopiero klęski w maju 1926 roku, a potem narośnięcia młodych, innym duchem przejętych roczników, aby Narodowa Demokracja zdobyła się na rozpoczęcie walki z Żydami, walki, która do wieńca zasług wszechpolaków dodała nowe zdobycze myśli i nowe jej zwycięstwa. Jeżeli takim załamaniem ulegali ludzie, najlepiej rozumiejący niebezpieczeństwo żydowskie i masonskie, cóż mówić o innych obozach politycznych?

Kopiuwany na francuskim parlamentarzm polski cierpiał na tę samą chorobę, nie umiał zaś tak zręcznie jej maskować jak tamten. Zresztą we Francji istnieje od czasów Gambetty stała większość, a walki parlamentarne są w istocie wewnętrznymi utarczkami masonerii. Różnica

między wyborcą prawicowym i lewicowym polega głównie na tym, że pierwszy jest właścicielem bądź nieruchomości, bądź walorów giełdowych, bądź zakładów przemysłowych i ponosi cięż-

żar podatków bezpośrednich, gdy drugi jest w tej czy w innej formie materialnym odbiorcą państwa, a świadczenia swe składa drogą podatków pośrednich. Pierwszy dąży do państwa liberalno - konserwatywnego, faworyzującego produkcję, mało biorącego i mało dającego, drugi, przeciwnie, pragnie powiększenia budżetu i możliwie dużych świadczeń państwowych na rzecz konsumenta, dąży do tak zwanej „republique alimentaire”. Pierwszy głosi za wzmocnieniem siły wojennej kraju, która ma bronić warsztatów produkcji, a przez to samo kursu papierów giełdowych, drugi obawia się, aby wydatki na armię nie zmniejszyły reszty rozchodów państwowych, idących na podwyższanie stopy życiowej szerokich mas. Dlatego pierwszy popiera kierunki nacjonalistyczne, drugi - pacyfistyczne. Obaj silnie zmaterializowani, rozswawoleni republikańskim liberalizmem i nonszalancko indywidualistyczni, posiadają jednak w podświadomości tresurę wieków, która w chwilach groźnych np. w czasie najazdu zamienia ich w bohaterkich żołnierzy. Te nieoczekiwane w narodzie rentierów wybuchy prężności narodowej, które tak zdziwiły Niemców w wojnie światowej, to jeszcze puścizna Ludwika XIV i jego żelaznej choć nie tyrańskiej dłoni.

Francją republikańską rządzi w istocie biurokracja, nadzorowana przez masonerię, kalejdoskopowe zaś zmiany gabinetów są tylko oscylacjami, niewiele w gruncie rzeczy większymi, niż te, których widownią była Polska w dziesięcioleciu 1926 - 1936. Różnica streszcza się głównie w tym, że okres walki z opozycją zakończył się we Francji już bardzo dawno: główna rozprawa przeprowadzona została po ustąpieniu Mac Mahona, resztki oporu wytępiono przy sprawie Dreyfusa. Od tej pory władztwo „radykałów społecznych” i grup sprzymierzonych z nimi ustalone zostało definitywnie, bogacący się kraj zażywał spokoju, jeśli nie liczyć zaburzeń na tle skandali finansowych. W Polsce natomiast trwał od 1905 roku stan zamaskowanej wojny domowej. Dlatego parlamentaryzm polski nie mógł przetrwać próby życia. Bezładność i nieudolność sejmów wynikała z faktu, iż naród polski nie posiadał wspólnego języka. Poza momentami grozy jak w 1920 roku nie mógł on zdobyć się na syntezę, a jedynie na nietrwałe kompromisy.

W tych warunkach zaczęły nabierać popularności koncepcje antyparlamentarne. Nurtowały one od lat kilku w obozie wszechpolskim, nie dochodząc jednak do głosu w kołach kierowniczych, które pragnęły na gruncie kompromisu sklecić stałą, czysto polską większość parlamentarną. Ale wobec nieudolności, którą wykazał rząd Witosa w 1923 roku koncepcja ta nie była w społeczeństwie popularna. Piłsudski, który zmuszony został uprzednio do usunięcia się w cień polityczny, ale nie stracił oparcia w znacznej większości swych dawnych zwolenników, uznał, że nadeszła chwila działania: postanowił zbrojną demonstracją wymusić usunięcie nowego gabinetu Witosa. Natrafił na opór większy, niż sądził, demonstracja zamieniła się w krwawą walkę. W oporze tym jedyną siłę poważniejszą odegrały elementy wszechpolskie. Poznańskie stanęło ławą za rządem, w Warszawie

młodzież akademicka usiłowała chwycić za broń. Nie ruszyły się jednak masy ludowe, których przywódca został zaatakowany, wykazała bezsilność Narodowa Partia Robotnicza. Ta wreszcie część armii, która stanęła po stronie rządu uczyniła to nie z wiary weni, lecz tylko z wierności dla złożonej przysięgi.

Stosunek sił był jednak taki, że wywalczone po trzydniowych bojach zwycięstwo Piłsudskiego nie było całkowite. Nastąpiło pacyfikowanie stosunków na podstawie uznanej formalnie za obowiązującą dawnej konstytucji marcowej. Ośrodek władzy przeniósł się z ulicy Wiejskiej do Belwederu, lecz w ustroju prawnym zmiana ta nie została uwidoczniiona. Z szeregu przyczyn, które się na ten fakt złożyły, nieostatnią była okoliczność, że Piłsudski (w przeciwieństwie do Mussoliniego, a później Hitlera) nie opierał się o szerokie masy zorganizowanych zwolenników, lecz o zespół stronnictw i organizacji, które poparły zamach majowy ze względów czysto negatywnych: nienawiści do Narodowej Demokracji. Odsunięcie jej od władzy żywiły te uznały za wystarczający zabieg chirurgiczny, po którym wszystko wrócić powinno do poprzednich stosunków. Konflikt piłsudczyków z niedawnymi sojusznikami, sygnalizowany wejściem do rządu konserwatystów, a następnie kongresem Centrolewu w Krakowie i Brześciem oznaczał, iż ludzie rządzący Polską pragną dokończyć przewrotu zaczętego w maju przez uzgodnienie litery prawa z ustrojem istniejącym *via facti*.

Walki te przeciągnęły się niezmiernie długo, wypełniły sobą całe dziesięciolecie. Absorbowały one w ogromnym stopniu uwagę rządu, utrudniając mu pracę, zapędzwały do wspólnego bloku opozycyjnego żywiły całkowicie sobie przeciwstawne, które dzieliła przepaść ideologiczna.

W pewnej chwili najwięksi wrogowie masonerii, wszechpolacy znaleźli się w jednym szeregu z działaczami Wielkiego Wschodu. Sojusz ten, krótkotrwały i nienaturalny był symptomem chaosu myślowego w Polsce. Nie można zresztą, jak czynią niektórzy, wyciągać stąd wniosków, potępiających Narodową Demokrację. Wołała kolegować z Liebermanem i Pragierem niż z Wiślickim i Kirszbraunem. Zresztą nie dano jej nawet możliwości wyboru; ostrze taktyki obozu rządzącego nie przestało mimo rozgrywki brzeskiej kierować się przeciw wszechpolakom. Cały okres Jędrzejewicza był tego dowodem.

Zmagania się rządu z opozycją były dziesięcioletnią walką o formę, nie o treść. Rzecz prosta, iż zarówno metody rządzenia jak i jego mechanika ustrojowa posiadają ogromne znaczenie, zwłaszcza wychowawcze. Prawidłowe rozwiązanie tych problemów jest warunkiem skutecznej działalności państwa. Nie przesądza jednak i nie może przesądzać o kierunku polityki państwowej. Decydują o niej inne elementy: zasadnicza linia ideowa oraz dokładna orientacja w rzeczywistości i warunkach rozwoju narodu. Z tych dwóch elementów wykuwa się program polityczny. Programu tego brakło zarówno czynnikom rządzącym jak opozycyjnym.

Walka o konstytucję zakończyła się zwycięstwem rządu. Uchylono starą ustawę z marca 1921 roku, która przez pierwsze lat pięć obowiązywała faktycznie, zaś przez następnych dziewięć – formalnie, zastąpiono ją inną, która miała być uniwersalnym lekiem dla Polski. Niewątpliwie konstytucja 1935 roku jest pod wieloma względami znacznie lepsza od swej poprzedniczki. Oskarżenia niektórych obrońców dawnego stanu, że reforma pozbawiła państwo polskie charakteru narodowego są niesłuszne z tego powodu, że i konstytucja poprzednia bynajmniej tego charakteru nie zabezpieczała. Aczkolwiek bowiem rozpoczynała się deklaracją w imieniu narodu, to jednak, jak wynikało z dalszych paragrafów przez „naród” rozumiała „wszystkich obywateli”. Duch liberalizmu, który skłonił sejm ustawodawczy do przyznania praw politycznych Żydom, opanował pod tym względem także i reformatorów mimo wypowiedzenia traktatu o mniejszościach.

Ten sam duch nie pozwolił na skasowanie parlamentarnej odpowiedzialności rządu. Uzależnienie zaś (w ordynacji wyborczej) składu sejmu od politycznego oblicza ciał samorządowych zabiło możliwości swobodnego rozwoju samorządu, zmuszając władzę państwową do czynnej, stałej ingerencji w tę tak ważną dla wykształcenia ducha obywatelskiego dziedzinę, do nacisku wyborczego i rządów komisarycznych. Niezależność samorządu nie jest postulatem liberalnym; kwitła ona na znacznie większą skalę przed „Deklaracją praw człowieka i obywatela”, niż po niej. Pomieszczenie kompetencji rządu i samorządu, będące głównym błędem Monteskiusza i Rousseau przeżyło w ten sposób konstytucję marcową, zmieniły się tylko proporcje wpływów. Gdy przed majem 1926 r. samorząd poprzez swój organ najwyższy: sejm – posiadał nieproporcjonalną przewagę nad rządem, utrudniając prawidłowy rozwój polityki państwowej, jedenasto- lecie następne przyniosło nieproporcjonalną przewagę rządu nad samorządem, uniemożliwiającą prawidłowe szkolenie się społeczeństwa do zadań obywatelskich.

Fakt, iż samorząd w prawdziwym znaczeniu tego słowa nie istnieje w Polsce, dowodzi, że rozbieżność między ustrojem faktycznym i formalnym nie została usunięta. Jest to niewątpliwie brak bardzo poważny jednakże nie on stanowi główny minus naszego rozwoju państwowego. Złowrogą wymowę posiada raczej fakt, że ogromny szmat czasu i wielki zasób energii został zmarnowany na rozstrzyganie formalnych zagadnień ustrojowych. Zaperzeni walkami o rozmiar i kompetencję władzy rządowej nie zwróciliśmy dostatecznej uwagi na niepokojące, groźne zagadnienia w dziedzinie socjalno-gospodarczej.

Dziedzina ta była od chwili odbudowania państwa traktowana z lekkomyślnością i nonszalancją. Wszystkim bez wyjątku ugrupowaniom, wszystkim bez mała ekonomistom i działaczom społecznym zdawało się, że warunkiem prawidłowej polityki gospodarczej jest wzorowanie się na przykładach zachodnio-europejskich. Spór toczył się o to tylko, które z tych wzorów naśladować. Prawica kładła nacisk na nieskrępowany rozwój produkcji kapitalistycznej, która przyniosła wielkim państwom europejskim potęgę i dobrobyt. Lewica walczyła o naprawę podziału

społecznego i te wszystkie zdobycze, które klasom uboższym przyniósł t. zw. „okres późnego kapitalizmu”. Pierwsi uważali dobro narodu i państwa za identyczne lub przynajmniej zgodne z prywatnym interesem kapitalistów, drudzy - z prywatnym interesem proletariatu, szczególnie miejskiego. Poglądy takie, przeniesione na grunt ustroju parlamentarnego wytwarzały atmosferę walki klasowej i stwarzały skłóconym warstwom możliwości wymuszania na rządach posunięć, dyktowanych egoistycznym i krótkowzrocznym interesem części społeczeństwa (często niezmiernie drobnej), ale bardzo dalekich od bezstronnie pojętego dobra narodowego.

Byłoby niesprawiedliwością odmawiać zarówno prawicy jak lewicy wszelkiej w ogóle słuszności w ich rozumowaniu. Ale słuszność owa ograniczała się do trafnej krytyki strony przeciwnej. Socjaliści i ich radykalni sprzymierzeńcy mieli dużo racji, demaskując dążenia fabrykantów do wyzysku, zgubnego fizycznie i moralnie dla warstw proletariackich, broniąc godności chłopów - fernali przed traktowaniem ich na wzór pańszczyźniany, oskarżając całość warstw posiadających o życie na luksusowej stopie za cenę rabunkowej, ekstensywnej gospodarki. Prawica wszechpolska i konserwatywna krytykowała z dużą słusznością naiwność idealizmu lewicowego, który w kraju ubogim, zrujnowanym przez wojnę, nie nauczoną wydajnie pracować, bezradnym wobec przybywających rok rocznie setek tysięcy ust do żywienia, usiłował być najpojętniejszym w świecie uczniem zaleceń Biura Pracy w Genewie, silił się na natychmiastowe realizowanie zdobyczy robotniczych (wprowadzanych nawet w bogatych od kilku stuleci państwach Europy zachodniej stopniowo, w miarę coraz silniejszego wzrostu dobrobytu). Zależne od fluktuacji sejmowych rządy nie umiały narzucić żadnej ze stron swej woli; lawirowały między naciskiem obu egoizmów klasowych, cofając się przed tym, który w danej chwili przedstawiał większą siłę; w rezultacie zasoby społeczne wylewały się dwoma strumieniami: przez rozbudowane nad miarę ubezpieczenia socjalne i skracanie czasu pracy z jednej strony, z drugiej zaś przez praktyki kapitalistów, marnotrawiących dochody lub wywożących je za granicę. Groźny ten stan odbijał się konsekwencjami w dziedzinie waluty, podobnie jak stopień ciśnienia pary przejawia się na manometrze. Sprawy walutowe od czasów katastrofy hiperinflacyjnej budziły uwagę społeczeństwa; aby umożliwić reformę pieniężną sejm zdobył się nawet na pełnomocnictwa rządowe w roku 1924. Ale ścisłej łączności między problemami socjalnymi, gospodarczymi i finansowymi nie rozumiano w Polsce poza nielicznymi ludźmi. Lada poprawa wywoływała falę taniego optymizmu i wzmożonego parcia egoizmów klasowych.

Nietrudno jest na podstawie faktów obarczać system parlamentarny winą za ten stan rzeczy. Ale stwierdzić trzeba, że przewrót majowy nie wprowadził na tym polu zmian na lepsze. Rządy pomajowe uległy sugestii znacznej poprawy koniunkturalnej, która rozpoczęła się w 1926 roku. Wszystkie problemy wydawały się łatwe. Zdawało się, że Polska wypłynie na czyste wody rozwoju gospodarczego przez przyciągnięcie do kraju kapitałów zagranicznych. Doradcy amerykańscy, odurzeni wzrostem „prosperity” w ich kraju macierzystym podtrzymywali nastrój optymizmu.



Ponieważ dopływ kapitału w formie pożyczek okazał się po początkowych powodzeniach dość trudny, zaś koniunktura stwarzała warunki dla rozwoju produkcji, nastąpił okres wyprzedawania obiektów przemysłowych w ręce obce. Zasoby, które tą drogą napłynęły stworzyły złudzenie bogactwa, utwierdzone efektem Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Budowano na wielką skalę gmachy reprezentacyjne, twierdzono, iż stać nas na ujemny bilans handlowy. Wobec takiego nastroju brakło warunków do nałożenia wędzidła na egoizmy klasowe. Zresztą rząd, nie posiadając w społeczeństwie oparcia ideowego zmuszony był do pozyskania zwolenników przez popieranie interesów warstw i grup społecznych. Z drugiej strony złudzenie powodzenia gospodarczego odwodziło od śmiałych, rewolucyjnych reform, skłaniało do polityki konserwatywnej, niewymagającej ofiar, bezbolesnej dla chwilowego interesu społeczeństwa<sup>8</sup>. Zahamowano nawet reformę rolną w wyniku paktów nieświesko - dzikowskich, rzucono natomiast na intensyfikację wielkich gospodarstw rolnych ogromne (i wysoko oprocentowane) kredyty, które zainteresowani obrócili w znacznej, czasem przeważnej mierze na podniesienie swej stopy życiowej...

Cały kraj żył nad stan za pożyczane za granicą pieniądze. Powoli jednak przyptyw kapitałów zaczął ustawać, natomiast zwiększył się odpływ w postaci spłacania procentów, zwrotu kredytów krótkoterminowych oraz wywożenia dochodu przedsiębiorstw wykupionych przez kapitalistów zagranicznych. Już w 1928 roku bilans płatniczy przyniósł deficyt na sumę 1.103 milionów zł. W roku następnym wypłynęła za granicę połowa zapasu dolarów, stanowiących w tym czasie drugą walutę w Polsce. Gdy w lecie 1930 roku zwałił się na nas obuch kryzysu światowego, polski organizm gospodarczy ujawnił nagle swą słabą odporność, ukrytą pod pozorami zdrowia.

Pod wrażeniem tych ciosów polityka gospodarcza władz państwowych stała się jeszcze bardziej konserwatywna, niż przedtem. Padło hasło „przetrwania” kryzysu, hasło zadziwiająco zgodne z biernością charakteru polskiego. Ponieważ lata hiperinflacji pozostawiły w społeczeństwie polskim i w mózgach działaczy gospodarczych zrozumiałą uraz psychiczny, naczelnym problemem gospodarczym stało się utrzymanie kursu złotego choćby za cenę największych ofiar i kosztów.

---

<sup>8</sup> Jedynym śmielszym i mądrzejszym posunięciem w tym okresie było stworzenie portu gdyńskiego. W ogóle jednak pierwszy okres rządów pomajowych nie tylko nie stanowił polepszenia, lecz przeciwnie był znacznym pogorszeniem w porównaniu z polityką gospodarczą Władysława Grabskiego i Jerzego Zdziechowskiego, którzy - mimo działania w trudnych warunkach parlamentarnych - strzegli czujnie i bezkompromisowo niezależności gospodarczej Polski. Grabski wołał narazić się na załamanie kursu złotego, upadek swych rządów i utratę osobistej popularności, niż dopuścić do obcej kuratelii nad Bankiem Polskim. Nastąpiła ona (Ch. Dewey) za ministerstwa G. Czechowicza, w wyniku uzyskanej przez prof. Krzyżanowskiego pożyczki amerykańskiej.

Kanonem stała się deflacja, która w ustroju kapitalistycznym wskazana jest w okresie wzrostu koniunktury jako lekarstwo na zbyt ni optywizm i jako wytwórnia rezerw budżetowych, lecz w czasie kryzysu wyniszcza do reszty organizm gospodarczy. Pod jej mrozącym wpływem polska polityka ekonomiczna grzesząca dotąd lekkomyślnością, grzeszyć poczęła lęklivością. W obu wypadkach była to polityka z dnia na dzień.

Tymczasem sytuacja socjalna pogarszała się z roku na rok przez prosty fakt przyrostu ludności, nie łagodzony już jak przed wojną ogromną emigracją zarobkową.

Problem ten, tragiczny w swej wymowie, zagrażający nam wręcz katastrofą, nie spędzał snu z powiek ani czynnikom rządzącym, ani opozycyjnym. Opozycja, pozbawiona nadziei dojścia do władzy, przerzucała całkowitą odpowiedzialność na rząd i raczej cieszyła się z ubożenia Polski, wierząc, iż „kryzys obali sanację”. Elita rządząca z kolei zwała ciężar odpowiedzialności na barki Józefa Piłsudskiego, w przekonaniu, że dopóki on żyje, nic złego w Polsce stać się nie może. Poczucie bezpieczeństwa w cieniu wielkiego człowieka, do którego czuła mistyczne zaufanie, rozgrzeszało ją z dokonywania samodzielnego wysiłku umysłowego, napawało przekonaniem, że spełnianie codziennych czynności władzy i przeprowadzanie zmian w ustroju prawnym wyczerpuje zakres obowiązków rządzących. Przyszedł jednak czas, kiedy potężna indywidualność przestała dawać oparcie rządzącym i trzymać w postrachu opozycję. Śmierć Piłsudskiego odsłoniła ogrom trudności, stojących przed Polską. Jednocześnie zaczęło się zmieniać oblicze polityczne kraju. Zamiast mechanicznego podziału na obóz rządzący i opozycyjny poczęło kształtowanie się dwóch bloków światopoglądowych, czynniki ideowe i ideologiczne wróciły znów na należne im miejsce.

Takim pierwszorzędym czynnikiem ideowym stało się zagadnienie żydowskie. Stosunek do Żydów przesądza dziś o przynależności do jednego z walczących obozów, dowodzi nieomylnie tego jakie składniki przeważają w duszy człowieka: poczucie narodowe czy międzynarodowe, miłość Ojczyzny czy zamiłowanie w stylu życia i kultury końca XIX wieku. Zrozumienie wagi sprawy żydowskiej i wychowanie w tym duchu całego społeczeństwa jest dziełem wielkiego nauczyciela narodu polskiego: Romana Dmowskiego. Jego to pracy zawdzięczamy, że w stosunku do Żydów nie jesteśmy tak naiwni jak dawne pokolenie i to również, że walka z Żydami wyszła ze stadium teoretycznych opracowań, że toczyć się poczyna jak Polska długa i szeroka w miastach, miasteczkach, we wszystkich warsztatach i na wszystkich polach. Dziś przynajmniej w tej tak ważnej dziedzinie ogromna większość społeczeństwa nie zna wahań i wątpliwości.

Ale trudności, stojące przed Polską zasięgiem swym wybiegają daleko poza kwestię żydowską. Za wschodnią i zachodnią naszą ścianą wyrosły potężne kolosy militarne, fascynujące urokiem swych idei nie tylko poszczególnych ludzi, ale całe kraje. Stosunek liczbowy Polski do obu sąsiadów pod względem ludności jest jak 1 do 7, podczas gdy w wieku XVIII był jak 1 do 2. Wewnątrz kraju nabrzmiewa boleśnie ciężki problem ukraiński. Sytuacja demograficzna i gospodarcza kładzie

się ponurym znakiem zapytania na naszą przyszłość. Jest o czym myśleć w Polsce, myśleć odważnie, do końca, strzegąc się zarówno zwątpienia jak lekkomyślnego optymizmu. Czasy stojące przed nami są czasami próby i walki. Na ich progu w obawie zabłąkania i klęski musimy zdobyć się na orientację. Musimy zdobyć model do przekuwania dusz naszych, aby zdolne się stały do dźwignięcia odpowiedzialności. Od nas i tylko od nas zależy czy przyszłe pokolenia mówić będą o naszym z dumą czy przekleństwem!

## U źródeł

*Zagadnienie cywilizacji zachodniej zrobiło na mnie wrażenie zagadki do rozwiązania, albo węzła do rozplatania. Trzeba go rozplątać... Trzeba zaczynać od początku, trzeba powrócić do pierwszych początków naszych w dziejach zarówno jak do pierwszych zasad w filozofii.*

Gilbert Keith Chesterton.

Z roku na rok rośnie poczucie chaosu na świecie, chaosu, w którym uczestniczymy i my, Polacy, z naszym, ubożuchnym w porównaniu do skali światowej, kryzysem, ale z równą największej skali światowej - dezorientacją. Chorujemy wraz z całą cywilizacją. Gdy obserwujemy ów chaos, staje nam przed oczami chestertonowski obraz niesamowicie splątanego węzła, który trzeba rozwiązać. Wielu ludzi uważających się za praktycznych i trzeźwych cofa się przed ogromem zadania; woli ograniczyć się do dziedziny najbliższej: gospodarczej lub politycznej, szukać rozwiązań na bieżącą chwilę i próbować reform powierzchownych. Sięgających głębiej oskarża się o bujanie w obłokach, o oderwane spekulacje... W obronie przed takimi krytykami wystarczy zacytować głębokie słowa Mickiewicza:

*„Mówisz: Niech sobie ludzie nie kochają Boga,*

*Byle im była cnota i Ojczyzna droga.*

*Głupiec mówi: Niech sobie źródło wyschnie w górach,*

*Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach”.*

Istnieją epoki syte i spokojne, zadowolone z siebie, epoki, w których jedynym żywym uczuciem jest egoistyczny hedonizm, jedyną filozofią - materializm, jedyną wiarą - sceptycyzm lub relatywizm. Ale ilekroć ludzkość czuła muśnięcie skrzydeł historii - a taka chwila jest dzisiaj - zawsze stawiała sobie pytanie: o co warto walczyć, za co umierać, zawsze szukała poza blichtrzem codziennych wydarzeń - wartości bezwzględnych, niezależnych od materialnego świata, niezależnych również od subiektywizmu psychiki ludzkiej.

Próbą sięgnięcia w głąb są niniejsze rozważania. Ich autor przed kilkoma jeszcze laty zaliczał się do t. zw. młodzieży, a i dziś, choć przekroczył już próg lat dojrzałych, wyraża poglądy, nurtujące

w młodym pokoleniu polskim. Pokolenie to nie przestanie być odrębne nawet wówczas, gdy przestanie być młode. Oto bowiem u jego dzieciństwa zbiegły się dwa fakty niezwyklej wagi: odzyskanie przez Polskę niepodległości i załamanie się systemu, w którym przez lat pół tysiąca rozwijał się duch europejski. Można śmiało nazwać to pokolenie - niezwykłym. Niezwykłym pod względem zadań, które na nie spadły, niezwykłym - da Bóg - pod względem wartości, jeśli tym zadaniom sprosta.

Nie odrazu, oczywiście, zdaliśmy sobie sprawę z ogromu przewrotu. Na ławie szkolnej zazwyczaj odkrywa się Amerykę, przerabia na bardziej naiwny język cudze myśli, a wartość tej pracy polega głównie na samym wysiłku myślenia, na gimnastyce umysłowej, na wdrażaniu się do własnych sformułowań, na buncie myśli wreszcie, która nie mogąc jeszcze sama tworzyć, przynajmniej wzorów szuka samodzielnie, nie trawiąc bezmyślnie tego, co podsuwa autorytet szkolny. Pierwsze zdobycze młodości polegają na instynktownym ustosunkowywaniu się do poglądów poprzedników, zanim przyjdą nowe poglądy - własne. Ale nie zawsze jest się do czego ustosunkowywać...

Im bardziej posuwa się młode polskie pokolenie w latach, im bardziej rozszerzają się jego podstawy przez dopływ nowych roczników, tym mniej znajduje potwierdzenia swych myśli w twórczości swych poprzedników. Nie wynika to bynajmniej z tendencji wyrzucenia za burtę wszystkiego co dawne, ale po prostu z samego życia. Przemiany dziejowe idą dziś krokami olbrzyma. Co za różnica w porównaniu z czasami, w których byle Przybyszewski potrafił narobić piekielnej wrzawy, swymi, dziś już zapomnianymi, elukubracjami!

Różnica między współczesnymi pokoleniami polega nie tylko na biologicznej różnicy między wiekiem młodzieńczym a dojrzałym, ale na całkowicie różnym materiale doświadczeń, którym syciła się młodość jednych i drugich. Dwie poprzedzające nas generacje wychowały się w poczuciu już nie stabilizacji, ale wręcz stałości stosunków, których nie zachwiały najsilniejsze podówczas fakty: wojna japońska i rewolucja 1905 roku. Nasze roczniki, rozwijające się w okresie gwałtownych przemian we wszystkich dziedzinach i na wszystkich polach, posiadają zgoła inne podejście do zagadnień, niż poprzednie.

Zważmy tylko co pozostało niezakwestionowane z dorobku dawnych lat i stuleci? Począwszy od rewolucyjnych przewrotów w poglądach na fizykę, poprzez zakwestionowanie niewzruszonego - zdawało się - dorobku biologii i medycyny aż do zgoła nowych i odrębnych poglądów na rozwój człowieka i ras ludzkich - podminowany został świat przyrody. W dziedzinie ducha - nie mniejsze zmiany. W oczach naszych tuż za naszą granicą powstaje świat, oparty na religii ateizmu, urzeczywistnia się „utopia” socjalistyczna... Wszędzie załamuje się ustrój społeczny (kapitalizm) i polityczny (demokracja), z których w myśl również zbankrutowanej teorii postępu mieliśmy być tak dumni! Tak stały miernik wartości materialnych, jakim był pieniądz, wyprawia w oczach naszych

niesamowite skoki, niby gumowy metr, zmieniający co chwila swą długość. Ani życie ludzkie, ani zasoby materialne nie są bardziej pewne, niż w epoce czarnej zarazy i raubritterów, ale owe plagi były przynajmniej określone, podczas gdy dziś wyłania się wciąż coś nowego. Nie tylko zresztą trapiące nas plagi, ale i twórczość ludzka przełamała zaporę między rzeczywistością, a baśnią. Najbardziej fantastyczne wynalazki, zarówno dobroczynne, jak i złowrogie, stają się możliwe. Dynamika życia straciła już wszelką obliczalność.

I właśnie wobec tej dynamiki całkiem odrębny jest stosunek dwóch pokoleń. Niedobitki starszego czują się, jak stary szlachcic z epoki dylizansu, któremu po raz pierwszy kazano jechać pociągami: bezradnie mrugając oczami, na próżno usiłują zdać sobie sprawę z tempa wydarzeń, chowając w głębi duszy irracjonalną wiarę, że przecież te szaleństwa skończyć się muszą, i wszystko powróci mniej więcej do dawnych stosunków.

Nas - przeciwnie: nic nie dziwi, ani nic nie przeraża. Nie mając zastarzałych nałogów myślenia, wszczepionych przez oglądanie jednej tylko nieskomplikowanej rzeczywistości, widząc wokół chaos form i poglądów, widząc załamanie się wszystkiego, co ojcowie nasi uważali za dogmat - jesteśmy rozbrojeni z wszelkich oporów myślowych. „Nie ma nic niemożliwego, co by zająć nie mogło” - oto milczące, instynktowne założenie każdego z nas. Nie znaczy to jednak - o nie! - abyśmy chcieli jak korek na falach dać się unosić wypadkom. Czujemy w sobie siłę życiowego imperializmu, pragniemy zmóc chaos zagadnień, opanować je, jak motocykl lub samolot opanowuje przestrzeń! Sceptyczne snobowanie się delikatnymi drgnieniami duszy jest nam obce po prostu dlatego, że wielkość zagadnień każę nam wstydić się wszelkiej pozy, wszelkiego dekadentyzmu.

Stąd owe odwrócenie się - również i w literaturze - od tematów „wyższej kultury” do pierwotnych zbiorowisk ludzkich, świata pracy fizycznej. Jest to odwrót od intelektualizmu do zbiorowiska niezgłuszonych instynktów. Wynika z tego wielkiej doniosłości zjawisko: pęd do zrzeszania się. Rozum dzieli ludzi, uczucia łączą. Nas w szczególności łączyć rozum nie może, skoro szablony myślenia leżą rozbite u naszych stóp. Żeglujemy ze zbyt nawet dużą łatwością od portu do portu przez najsłabsze przeciwieństwa, ot tak, jednym tchem: od tradycjonalizmu do komunizmu i z powrotem. A przecież postawa uczuciowa jest wciąż ta sama, co więcej, jest wspólna wielkim masom. Gdy dawniej ambicją młodych było indywidualizowanie pojęć, tworzenie osobistych doktryn i arystokratyczne odcinanie się od zakrzepłego ogółu, dziś tęsknimy raczej do wspólnego wysiłku, który by łatwiej pozwolił znaleźć prawdę. Przy pięknym dniu lepiej iść osobno, niż łykać kurz, wzniesiony nogami współtowarzyszy drogi, ale podczas zadymki śnieżnej, gdy świata nie widać, lepiej skupić się razem, zdać się na instynkt i na przewodników. Tak rozumiem owo charakterystyczne dla naszych czasów dążenie do wspólnego światopoglądu, ów pęd do koordynacji, do tworzenia wielkich ruchów politycznych, tęsknoty za wodzem, zamiast dawnego indywidualizowania.

Ma się poczucie, że jeśli warto walczyć, to o wielkie cele, nie o drobne różnice w programie, ma się poczucie, że walka ideowa toczy się o całość zagadnień, nie tylko o wąski wycinek, ściśle - jak to dawniej bywało - polityczny. Czyż takie zjawiska jak bolszewizm lub hitlerizm nie spełniają już trochę przepowiedni Chestertona, że nadchodząca epoka będzie epoką wojen religijnych? Czyż w nowych zawołaniach nie czujemy fanatyzmu, równego niemal temu, z jakim pierwsi kalifowie Islamu wyruszyli na podbój świata, albo takiego chociaż, jaki ożywił wojujące w Niemczech zastępy Gustawa Adolfa, lub jazdę Oliviera Cromwella?

Jesteśmy fanatykami - tylko fanatycy umieją dokonać wielkich rzeczy. Nienawidzimy kompromisu: jest to nie tylko cechą młodości naszej, ale ducha czasów, w których żyjemy. Kto walczy o swe lub cudze interesy, ten zawsze skłonny jest do „rozsądnego” kompromisu, bo kalkulacja poucza go, że lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu. Kto walczy o czysto abstrakcyjne teorie, ten również dla świętego spokoju, gotów jest ustąpić. Ale kto walczy o wartości moralne, ten gotów jest, bez względu na wysokość ofiar, niszczyć przeszkody, stojące na drodze.

„Nie należy mieszać z sobą - mówi Mickiewicz - dwóch rzeczy zupełnie różnych: prawd zewnętrznych, fizycznych, cząstkowych, z prawdami istotnymi i całkowitymi. Prawdy czysto rozumowe nie obowiązują nas do niczego: nikt nie czuje się obowiązany dać się ukrzyżować za to, że takie lub owakie przypuszczenie matematyczne lub fizyczne jest prawdziwe. W prawdach moralnych, przeciwnie, każde słowo wkłada na nas obowiązek, zaciąga nas w rachunek. W przedmiocie prawd moralnych cokolwiek kto stawia, cokolwiek podaje, obowiązany jest realizować i prędzej czy później będzie musiał doświadczyć tego na sobie, aby pokazało się, czy miał wolę i siłę w czyn to wprowadzić”.

Dla nas taką prawdą moralną, pierwszą, którą odczuliśmy w sobie była idea służby dla narodu jako największego spośród dóbr ziemskich. Znaliśmy nakaz służby i wiedzieliśmy, że nie może być w niej żadnych kompromisów. Szczęśliwsi, niż starsi bracia, nie znaliśmy już męki wahania z kim iść podczas szalejącej wojny, gdy każde postąpienie było kompromisem, z którymś z zaborców. Ale mimo wyzwolenia Polski nie czuliśmy jeszcze pełnej niepodległości. Czwarty zaborca pozostał na naszych ziemiach, widzieliśmy go wszędzie wokół siebie. Obcy świat, niezrozumiały i wrogi, wciskał się między nasze szeregi. Mówię oczywiście o Żydach.

Być może, a nawet na pewno, starsze pokolenie nie czuło w tym stopniu obcości elementu żydowskiego, co my. Inny wróg - Moskal i Niemiec - skupiał na sobie całą uwagę i nienawiść. Nam w niepodległym kraju pozostały jedynie wspomnienia o starych zaborcach. Jednocześnie wzrastało dręczące poczucie obecności „czwartego zaboru”.

Stosunek do Żydów stał się jedynym probierzem antyugodowej postawy, tak drogiej każdemu młodemu. Toteż wkrótce już potem walki o numerus clausus na uniwersytecie zlikwidowały niemal doszczętnie wszystkie ugrupowania, głoszące ugodę z Żydami.

Ta postawa antyugodowa określiła nasze stanowisko nie tylko w sprawie żydowskiej. Pchnęła nas ona ku walce z wszelkimi czynnikami obcymi, które uzależniać chciały od siebie naród polski. Walczyliśmy z socjalizmem, głoszącym solidarność proletariatu polskiego z żydowskim i niemieckim, likwidowaliśmy siłą komunizm, jako awangardę obcego imperializmu, zwalczyliśmy wytwarzane na obcym gruncie przez masonerię ideologie pacyfizmu i genewskiego humanitaryzmu, które osłabiały energię narodową. Słowem - i tu tkwiła analogia z przedwojennym ruchem demokratyczno - narodowym - staliśmy na stanowisku obronnym, nie wychodząc chwilowo poza nie, ; mniej troszcząc się o to, jaka powinna być Polska, niż o to, jaka nie powinna być. Był to, dziś już przewyższony, konieczny szczebel w naszym rozwoju duchowym. Odcieśliśmy nasze pokolenie od wszelkich wpływów obcych, utrzymaliśmy je w laboratoryjnej wprost czystości ideowej i to zadanie obronne zajęło naszą wyłączną uwagę aż do chwili, gdy warstwa narastających roczników tak zgrubiała i wierzchołkiem swym sięgnęła takiego wieku, że stanęło przed nami zagadnienie już nie przygotowywania się do życia narodowego, ale bezpośredniego jego kształtowania.

Wtedy rozpoczął się ruch rewizjonistyczny. Spostrzegliśmy, że nasza myślowa podstawa jest mocna, ale wąska, że zainteresowania trzeba poszerzyć, uzasadnienia pogłębić. Biologiczny nacjonalizm z jego tragicznym, pesymistycznym poglądem na świat, spełnił swą rolę: uchronił nas od marzycielstwa kosztem Polski, ale nie wystarczał już jako podstawa duchowa. Jednocześnie, im więcej wychodziło ze szkół nowych roczników naszego pokolenia, im dalsi byliśmy upływem czasu od okresu pozytywistycznego, czasów Darwina, Spencera, Haeckla i Nietzschego, tym silniej wpływał na nas w kierunku uniwersalistycznym (co wcale nie jest równoznaczne z kosmopolityzmem) coraz potężniejszy prąd odrodzenia religijnego. Dziś już wszyscy niemal rozumiemy znaczenie wiary zarówno dla naszej postawy moralnej, jak i dla naszego poglądu na świat.

Będę szczery. Nie odrazu - ja przynajmniej - doszedłem do tego stanowiska, a i dziś, sędzę, z katolickiego punktu widzenia można mi nie jedno zarzucić. Z początku, porzucając czysto pogański nacjonalizm, do którego byłem głęboko przywiązany, ulegałem wahaniom, bojąc się wręcz o czystość swego narodowego stanowiska. Zacząłem podchodzić do katolicyzmu od strony socjologicznej, traktowałem go utylitarnie, nie w wulgarnym, oczywiście znaczeniu tego słowa, polegającym na korzyści sojuszu z klerem, ale w tym szerszym, maurrasowskim, uznającym pozytywne walory doktryny i ustroju Kościoła dla wychowywania społeczeństwa. Później dopiero zrozumiałem, że wchodzi tu w grę problemy duchowe niezależne w ogóle od stosunku jednostki do społeczeństwa, problemy natury moralnej o charakterze najzupętniej osobistym. Ale nie miejsce tu,



by je poruszać. Wystarczy powiedzieć sumarycznie, że dogoniłem młodszych od siebie, nie ja jeden zresztą i że całe młode pokolenie patrzy mniej więcej jednakowo na problem wiary naszej.

Jesteśmy katolikami nie tylko dlatego, że Polska jest katolicka, bo gdyby nawet była muzułmańska, prawda nie przestałaby być prawdą, tylko trudniejszy - i boleśniejszy - byłby dla nas, Polaków, dostęp do niej. Jesteśmy katolikami nie tylko dlatego, że doktryna katolicka lepiej rozstrzyga trudności a dyscyplina - konflikty, ani dlatego, że imponuje nam organizacja hierarchiczna Kościoła, zwycięska poprzez stulecia, ani dlatego wreszcie, że Kościół ocalił i przekazał nam w spuściźnie wszystko to, co w cywilizacji antycznej było jeszcze zdrowe i niespodłone, ale dlatego, że wierzymy, iż jest Kościołem ustanowionym przez Boga. Gdyby Kościół nie spełnił nigdy żadnego z wielkich czynów politycznych, gdyby nie wydał z siebie ani Augustyna, ani Tomasza z Akwinu, gdyby nie ochrzcił i nie wychował Polski, nie wprowadził jej w X wieku w krąg narodów cywilizowanych, a w XIII nie pomógł do zjednoczenia - wówczas dla nas, młodego pokolenia polskiego, istniałby ciężki konflikt duchowy, podobny do tych, które szarpia duszę niejednego Niemca - hitlerowca, ale to by nic nie zmieniło faktu prawdziwości wiary katolickiej, tylko uczyniło znaki Opatrzności bardziej niezrozumiałe i trudne do odczytania.

Jeśli mówi się dzisiaj o powrocie młodego pokolenia do religii, to nie należy tego traktować ani jako akt polityczny, ani nawet jako pietyzm dla tradycji narodowej, ale jako powrót do źródeł mocy duchowej, do trwałej przystani wśród szalejącej burzy. I powrót ten odbywa się nie przez skomplikowane rozumowanie, ale aktem woli i nakazem musu wewnętrznego. Bez tego powrotu nie zdołalibyśmy nic zrozumieć z pędzących niesamowicie wypadków na zewnątrz nas i w nas samych. Credo ut intelligam. Wierzę, aby rozumieć.

Rozumieć...

Ale przecież rozum dzieli ludzi, a uczucia łączą? Przecież widzimy dziś i uważamy za słuszny odwrót od intelektualizmu ku zbiorowisku niezgłuszonych instynktów? Oczywiście. Jest wyższością współczesnych ruchów politycznych, że nie opierają swej ideologii na podstawie „naukowej”, to znaczy na przesądzie, że aktualny stan nauki europejskiej wystarcza sam przez się do stworzenia systemu. Nauka bowiem często błądzi bądź przez obranie fałszywej metody, bądź przez uznanie części prawdy za całą prawdę. Tak w kleszczach „naukowego” przesądu szamocą się dziś wyznawcy Marxa. Ale nie znaczy to, aby wpadać w przeciwną przesadę, w mistycyzm Rosenberga, irracjonalizm Bergsona lub pragmatyzm Jamesa, aby lekceważyć rozum, nie tworzyć rozumowego światopoglądu. W obecnym chaosie zagadnień nie zrzeszymy się bez przyjęcia za podstawę instynktów i uczuć, ale już zrzeszeni nie opanujemy chaosu, jeśli nie zwyciężymy go myślą.

Ale czyż nie wystarczy wrócić do tego, co ludzkość ongi porzuciła, a co przypomniał Leon XIII, do wspinałej myśli świętego Tomasza z Akwinu, uzupełnionej komentarzami kompetentnych

czynników od XIV wieku aż po dzień dzisiejszy? Jeżeli chodzi o Tomasza, to geniusz jego objął szersze horyzonty i stworzył pełniejszy system, niż jakikolwiek myśliciel epoki późniejszej, ale filozofia jego obok szeregu tez wiecznych posiada szereg cech związanych z epoką, ówczesnym stanem wiedzy, ustrojem społecznym i ówczesnym podejściem do zagadnień. „Choćby się było jak najbardziej przywiązaniem do ideału chrześcijaństwa średniowiecznego, trzeba uznać jego upadek” - mówi Jakób Maritain. Późniejsi zaś od Tomasza myśliciele katoliccy niewiele wnieśli do skarbcza myśli ludzkiej.

Gdy po załamaniu się syntezy średniowiecznej ludzkość wstąpiła na ciężką i bolesną drogę odkrywania kolejnych prawd fragmentarycznych, myśliciele katoliccy często nie umieli wpaść w rytm maszerujących szeregów, często, zazwyczaj nawet, postęp myślowy odbywał się poza nimi. Mówi się i słusznie o Galileuszu, że bez niego nie byłoby Newtona i Laplace'a, bez nich - zarozumiałości materializmu i płytkości pozytywizmu; ale jednocześnie nie byłoby możliwe dzisiejsze odrodzenie myśli przyrodniczej. Rzecz zrozumiała, że hierarchia duchowna nie mogła uganiać się za niesforną myślą ludzką po wertepach herezji, musiała surowo oceniać podobne odchylenia i czekać bez pobłażliwości na powrót marnotrawnych dzieci, ale nie było to złe (nawet w odległej konsekwencji i dla katolicyzmu), że znaleźli się ludzie, którzy, ryzykując prawowierność, często mieszając bez złej woli prawdę z fałszem, pchnęli myśl ludzką na dalsze tory, jak ów alchemik na dworze Augusta II, który nie stworzył złota, ale odkrył tajemnicę wyrobu porcelany. Ostatecznie myśl ludzka tryska, gdzie chce; obowiązkiem i prawem hierarchii kościelnej jest ująć to źródło w ocembrowanie i sprawdzić jego lecznicze - lub trujące - właściwości, ale nie każde źródło, wytrysłe poza obrębem zabudowań świątyni musi być od razu trujące. Istotne jest to, czy myśl ludzka, o której katolicy mają sąd wydać, w działaniu swym prowadzi niewierzących w kierunku wiary, czy wiernych w kierunku niewiary. Tu pora wspomnieć Kopernika, oczywiście nie dla tanich szyderstw wolnomyślicielskich. Cenzura kościelna wciągnęła dzieła astronoma na indeks i uczyniła to słusznie z punktu widzenia swej roli, bo szerokie rozpowszechnienie się poglądów o obrocie ziemi wokół słońca mogło w ówczesnym stanie umysłów spowodować zamęt i spustoszenie moralne. Ale z drugiej strony, czy byłoby rzeczą dobrą, gdyby lojalny syn Kościoła, Kopernik, dożywszy wyroku, wycofał i spalił swą książkę? Lub gdyby spalił swą „Summę” św. Tomasz, potępiony przez arcybiskupa paryskiego?

Oczywiście, trudno się dziwić podejrzliwości Kościoła. Między dziedziną ortodoksji i heterodoksji leży strefa graniczna - niewiedzy. Gdy w strefę tę zapuszcza się ustalony autorytet, jakiś znany ze swej wiedzy i uzdolnień dostojnik kościelny w typie Newmana czy Merciera wolno mu podejść do samych granic herezji, aby wytknąć linię demarkacyjną, można mu bowiem ufać, że jej nie przekroczy. Na harce po tej krainie osób mniej powołanych musi hierarchia duchowna patrzeć z troską i trwogą. To jej prawo i obowiązek. Ale niech Bóg wybaczy zuchwałym konkwistadorom tej strefy, bo choć dużo grzeszą, dużo też dają dobrego.

Epoka dzisiejsza to dopiero nikły brzask odrodzenia myśli chrześcijańskiej wśród mroków, zmuszających do błędzenia po omacku. Jak mówi Maritain „nowa cywilizacja chrześcijańska będzie się musiała kształtować i przygotowywać powoli w katakumbach historii”. Ale brzask ów - wiemy to dobrze - nie jest ani błędnym ognikiem, ani sztuczną latarnią. Wiemy, że w jego kierunku trzeba iść, aby znaleźć prawdę, a nie, jak sądzono do niedawna - w odwrotnym.

Olbrzymi przewrót w naukach ścisłych, który dokonał się w naszym stuleciu, potwierdza tę wiarę i tę pewność.

Człowiek, który chciał w drugiej połowie XIX wieku bronić argumentami naukowymi podstawowych zasad wiary, mógł snadnie załamać ręce. Wszystkie dziedziny nauki zdawały się wielkim głosem dowodzić słuszności metod pozytywistycznych, prawdziwości poglądów materializmu, determinizmu, ewolucjonizmu, hedonizmu... Zdawało się rzeczą oczywistą, że nie istnieje nic poza materią, którą rządzą żelazne prawa przyrodnicze. Z tej martwej materii drogą różniczkowania się i wzbogacania powstać miało zjawisko życia, a życie owo przez ewolucję od ameby do ssaka - wytworzyć w końcu człowieka, który mimo całego skomplikowania jest też materią - niczym więcej. Stąd wniosek logiczny, że człowiek w postępowaniu swym kieruje się wyłącznie i w sposób konieczny względem na własną przyjemność, a komplikuje sobie jedynie życie wytworami swej wyobraźni, jak Bóg, dusza, wolność woli.

W naszych czasach jeden po drugim walą się filary tego poglądu. Już sama metoda badania okazała się błędna: wierzono w wieku XIX, że to tylko jest naukowe, co można objąć zmysłami: dojrzeć, zmierzyć lub zważyć. Dziś najbardziej twórcza gałąź nauk przyrodniczych, fizyka, przekroczyła granice poznania zmysłowego i odkrywa nowe światy w obrębie niepoznawalnych zmysłami atomów.

A te odkrycia wstrząsają podwalinami całej nauki europejskiej, takiej, jaką wytworzyli poprzednicy nasi. Jej kamieniem węgielnym była zasada: każda rzecz ma swoją przyczynę, a każda przyczyna wywołuje ściśle określony skutek. Laplace wierzył, że dokładne poznanie wszystkich sił natury pozwoli na ujęcie w jednolitą formułę całości praw świata i to tak ściśle, że wszystko stanie się całkowicie pewne, a przyszłość tak jasna jak przeszłość. Ale w takim razie i postępowanie ludzkie jest ściśle określone przez prawo przyczynowości: każdy czyn nasz wyznaczony jest niejako z góry przez zespół przyczyn od stanu organizmu poczynając, a na działaniu środowiska społecznego kończąc. W praktyce pogląd taki przeczył wszelkiej odpowiedzialności człowieka i prowadził np. w dziedzinie obyczajowej do usprawiedliwiania zbrodni seksualnych, do traktowania wszelkich w ogóle przestępców jako ludzi chorych, do zamiany kary śmierci na osadzenie w zakładach neuropatycznych. Oponenti, broniący tezy o wolności woli ludzkiej mieli, naukowo biorąc, zadanie wprost beznadziejne, musieli bowiem przeczyć prawu, które jak szeroka i długa dziedzina nauki, nigdzie nie dopuszczało wyjątków.

Cios, zadany determinizmowi, wyszedł z nauki, która przez kilka wieków stanowiła najmocniejsze jego oparcie: z fizyki. Przy analizie zjawisk wewnątrz atomu okazało się, że zasada przyczynowości jest na tym terenie niesprawdzalna i to nie wskutek niedokładności naszych przyrządów badawczych, lecz niesprawdzalna zasadniczo i wobec tego bez wartości naukowej. Jedyne, co można ściśle określić w dziedzinie t. zw. fizyki kwantowej, to prawdopodobieństwo ujęte statystycznie; być może, iż wszystkie w ogóle prawa fizyki mają ten statystyczny charakter. A prawdopodobieństwo jest przeciwieństwem konieczności.

W obliczu takich wyników wiedzy przyrodniczej, determiniści psychologiczni przestali być stroną atakującą, przeciwnie, ciąży na nich obowiązek dowodzenia - zaiste bardzo trudnego - że wbrew prawom świata fizycznego, jedna jedyna dziedzina czynów ludzkich ulega prawu przyczynowości.

Gdziekolwiek zwrócimy wzrok na obszarze wiedzy, wszędzie widzimy cofanie się poglądów materialistycznych. Przestrzeń trójwymiarowa, odczuwana przez zmysły nasze, okazała się w świetle badań Einsteina i Minkowskiego - zwykłym złudzeniem. Świat, który w wyobraźni człowieka XIX wieku przedstawiał się jako skomplikowany mechanizm, w pojęciu dzisiejszych uczonych przejawia się raczej w postaci myśli wyrażonej matematycznie. „Umysł - pisze Jeans - nie wydaje się już przypadkowym intruzem w dziedzinie materii, przeciwnie, zaczynamy podejrzewać, iż należałoby go przywitać jako stwórcę i kierownika jej królestwa, oczywiście nie nasz indywidualny umysł, lecz ten, w którym atomy, będące składnikami naszych umysłów tkwią jako jego myśli”. A Eddington dodaje: „Idea powszechnego ducha czy Logosu byłaby, jak sądzę, zupełnie rozsądnym wnioskiem z obecnego stanu teorii naukowych; a w każdym razie znajduje się z nią w harmonii”. Fizycy, którzy w wieku XIX podtrzymywali na swych barkach gmach materializmu, dzisiaj gotowi są - właśnie oni - zapędzić się aż przesadnie w przeciwnym kierunku i głosić teorie, przy których poglądy neoplatoników, Giordana Bruna, Leibniza czy Berkeleya tracą swój paradoksalny charakter.

Nie miejsce tu na zapuszczanie się w szczegóły, rozdzielanie aprobat i zastrzeżeń; chodzi o wskazanie drogi, po której kroczy myśl współczesna. Rozwój nauk fizycznych nie ograniczył się na tych przewrotach; doprowadził do sensacyjnych wniosków i w innych jeszcze dziedzinach.

Zasadniczym kanonem materializmu XIX wieku było odwieczne istnienie materii i jej nieustanny rozwój, polegający na różniczkowaniu się składników i ich związaniu w coraz bogatszą całość; tak drogą ewolucyjną od przypadkowego, chaotycznego zbiorowiska luźnych atomów świat przeszedł do form coraz pełniejszych i bogatszych, aż wreszcie wydał z siebie życie. Dziś okazuje się, że wyrażające ten pogląd teorie ewolucyjne były od chwili swego powstania w konflikcie ze stanem wiedzy przyrodniczej, ale ani ich autorzy, ani zafascynowany ich teoriami ogół nie zdawał sobie z tego sprawy. A przecież już w pierwszej połowie ubiegłego stulecia wykryto w tak ważnym dziale fizyki jak termodynamika proces wręcz odwrotny, inwolucyjny, polegający na

upodobnianiu się i wyrównywaniu stanów fizykalnych. Możemy za pomocą pozornie tylko prostych a w istocie nader kunsztownych zabiegów przelać energię zawartą w kawałku węgla w energię ciepłą gotowanej wody, ale skoro woda ostygnie, czyli odda swą energię otaczającemu powietrzu, żadna siła nie skupi tej energii z powrotem: woda nie zacznie wrzeć na nowo, aby to osiągnąć, trzeba na nowo dostarczyć z zewnątrz energii. Również węgiel nie odrodzi się z popiołu. Energia ciepła słońca powoduje parowanie wód ziemskich czyli wykonywa pewną pracę; para, oziębiona w górnych warstwach atmosfery skrapla się i pod postacią deszczu zasila energię rzek, porusza koła młyńskie i turbiny - ale olbrzymia większość energii cieplnej rozprasza się po drodze i ginie w przestrzeniach międzyplanetarnych. Również poruszone przez różnice temperatur masy powietrza wytwarzają energię poruszającą wiatraki, ale zjawisko to możliwe jest tylko za cenę wciąż nowych zapasów energii cieplnej, dostarczanej przez słońce; w ich braku ruch powietrza ustałby raz na zawsze.

Zjawiska te pozwoliły na sformułowanie drugiego prawa termodynamiki, które, popularnie wyłożone, brzmi:

1. Istnieje pewien kierunek naturalny, w którym podążają samorzutnie zjawiska fizyczne.
2. Kierunkiem naturalnym jest ten, który zmniejsza różnice, w szczególności nierówności istniejące w rozmieszczeniu energii w stosunku do mas.

Prawo to, które odkryć można również w spadku rzek, w kruszeniu się skał i we wszelkich zjawiskach odkrył jeszcze w 1826 roku Carnot, zaś w 1857 Clausius ujął je w ścisłą formułę matematyczną, określając je stałym dziś terminem: „entropia”. W naszym zaś stuleciu ustalono drugie prawo, które podkreśliło wagę pierwszego. Brzmi ono: wszelkie zjawiska są wynikiem różnic w stanach energii. Bez różnic energii nic dzieć się nie może. Jeśli więc nastąpi całkowite wyrównanie tych różnic, znikną wszelkie w ogóle procesy i zjawiska fizyczne.

Twierdzenia te mogły przejść niezauważone w umysłach materialistów przywykłych do ścisłego rozróżniania materii i energii. Ale z chwilą gdy fizyka atomowa zburzyła to rozróżnienie - wystąpiła w całej nagości prawda: wszechświat rozpada się i dąży do zagłady.

Obserwacja zjawisk potwierdza te teoretyczne wywody. Źródłem wszelkich zjawisk na ziemi jest energia słoneczna. Ale zaledwie znikomy ułamek tej energii udziela się ziemi i innym ciałom niebieskim; reszta rozprasza się w przestrzeniach międzyplanetarnych. A gdyby energię ciepłą wszystkich w ogóle ciał niebieskich rozłożyć równomiernie w przestrzeni (jak nas uczy prawo entropii jest to konieczny i nieuchronny skutek promieniowania) - temperatura wszechświata niewiele różnić się będzie od zera absolutnego.

Ale skąd słońce i inne ciała niebieskie biorą swą energię? Astrofizyka współczesna tłumaczy to w sposób następujący: Każdy atom składa się z jądra protonowego i pewnej liczby elektronów. W pewnych warunkach proton i elektrony zlewają się razem i wówczas atom materii przemienia się w

promień energii. Im więcej promieni, tym mniej materii; im dłużej promieniuje gwiazda, tym mniejsza jest jej masa. Słońca starzeją się, czyli zanikają. Jeans obrazowo mówi, że słońce topnieje niby bryła lodu w dzień upalny. Tak więc we wszechświecie odbywa się nieustanny rozpad materii, a produktem tego rozpadu, dodajmy, mają być pono owe badane przez Piccarda tajemnicze promienie kosmiczne. Najbardziej prawdopodobną hipotezą końca wszechświata jest więc zupełne unicestwienie materii, owej materii, która według Spencera i innych ewolucjonistów miała bezustanku rozwijać się, różnicować i bogacić.

„Wszystko w przyrodzie - pisze prof. Białobrzeski - ostatecznie rozplywa się w nicość: materia unicestwia się przeobrażając w energię promienistą... tej zaś losem jest coraz większe rozproszenie i towarzyszące mu ciągłe ubywanie jej ilości. Pozostanie w końcu przestrzeń niezmiernie rozległa i w niej ślady promieniowania niknące z niedostępną wyobraźni powolnością”.

Ale jeżeli wszechświat rozpada się bez ustanku, jeżeli, jak mówi Eddington, jest czymś w rodzaju nieustannie rozkręcającego się zegara, to narzuca się nieodparcie wniosek, że ktoś musiał ten zegar nakręcić. Upada w ten sposób teza o praistnieniu materii, która od pierwotnego chaosu przechodzi samorzutnie do coraz wyższych stanów organizacji; stworzenie świata przez Boga, stworzenie go z niczego i w określonej chwili przestaje być „śmiesznym przesądem, sprzecznym z poglądami nauki”<sup>9</sup>.

---

<sup>9</sup> Pragnę położyć nacisk na to ostatnie zdanie. Zbyt pochopny byłby bowiem wniosek, iż przytoczone fakty są prawidłowym filozoficznie dowodem istnienia Boga. „Rzeczy ziemskie - mówi Max Scheier - są okazją, a nie środkiem poznania Boga”. Jest kwestią czy możemy pojęcie przyczyny utworzone na zasadzie danych empirycznych (i to tylko ze zjawisk makrokosmosu) stosować przy przejściu ze świata empirii do całkiem innej kategorii bytu. Poza tym niektórzy przyrodnicy, nie kwestionując prawa entropii tworzą spekulację umysłową, wedle której wszechświat kolejno sam nakręca się i rozkręca, rozszerza i kurczy - w nieskończoność. W obecnej więc fazie istotą zjawisk byłby ustawiczny rozpad, lecz okres ten poprzedzony byłby przez fazę zespalandia się, bogacenia, komplikowania. Jest to czysta spekulacja myślowa, która stwierdza, że materializm nigdy broni nie złoży. Radykalną postacią tego twierdzenia jest pogląd tych, którzy „zakładając nieskończoną ilość czasu, a skończoną ilość elektronów i protonów tudzież skończoną liczbę możliwych odległości pomiędzy cząsteczkami materii, twierdzą, że wszystkie możliwe układy cząsteczek materii i energii we wszechświecie muszą się powtarzać nieskończoną ilość razy”, oczywiście w ogromnych odstępach czasu. Z obliczeń jednego z przedstawicieli tego poglądu, J. Haldane'a wynika, że np. za lat 10.000.000.000<sup>oo</sup> Jan Mosdorf napisze książkę p. t. „Wczoraj i Jutro” i wyda ją w bibliotece „Prosto z mostu”. Można, oczywiście bronić i takiego poglądu, ale jedno jest oczywiste: że dziś jest rzeczą dość beznadziejną przeciwstawianie materializmu jako nauki „trzeźwej i opartej na niewzruszonych podstawach” - „przesądom teologicznym”, opierającym się na „nienaukowej” postawie dogmatycznej. Szturm materializmu na spirytualizm, do niedawna zwycięski załamał się; obecnie materializm, osaczony przez argumenty fizyków, zmuszony został do postawy obronnej.

Nie dość jednak na tym. Nowe, olśniewające prawdy odsłaniają się, gdy od świata przyrody martwej przejść do świata przyrody żywej. Jest rzeczą jasną i oczywistą, że skoro ciało istot żyjących (od prymitywnych ameb i drożdży aż do najwyższych okazów flory i fauny) złożone jest z pierwiastków chemicznych: węgla, wodoru, żelaza itd., a więc z tych samych protonów i elektronów, które spotykamy w świecie fizyki - musi ono podlegać tym samym procesom, tej samej fatalnej konieczności ustawicznego rozpadu, rozpraszania się energii. Jakże więc wytłumaczyć rozwój, który jest istotą życia? Jak zrozumieć czemu małe, zagrzebane w ziemi nasiono nie rozkłada się w myśl praw, którym podlega, na prostsze, chemiczne składniki, lecz wydaje z siebie skomplikowany organizm wielkiego drzewa z jego pniem, konarami, liśćmi, asymilującymi energię słoneczną, korzeniami,, absorbującymi niezbędne składniki chemiczne z gleby, kwiatami, wydającymi w końcu lata tysiące nasion, gotowych do nowej reprodukcji? Życie jest cudem, przeciwnym prawom natury, jeśli przez naturę rozumiemy przyrodę martwą<sup>10</sup>, a jako rzecz nienaturalna nie mogło powstać drogą naturalną. Jakimże naturalnym sposobem rozpadające się bezustannie składniki przyrody martwej mogły bez zewnętrznego impulsu ułożyć się nagle we wprost przeciwną drogę odbywające organizmy żywe? Teoria samoródtwa jest równie niemożliwa jak teoria perpetum mobile. Życie musiało zjawić się na ziemi drogą nadnaturalną: osobnym aktem stworzenia. Bez Boga nie byłoby życia.

Istota żywa opiera się ogólnemu prawu entropii, prawu, któremu skądinąd, jak i cała reszta natury, podlega, prawu, które określić można jako ustawiczne zdążanie ku niespójnej, bezładnej jednostronności. Wbrew niemu życie dąży do możliwie spójnej różno- litości, do rozwijania się w pełne bogactwo składników przy zachowaniu swojej jedności. Przez zasadniczą swą czynność życie dokonywa pracy nie lada: zwalnia nieuchronne tempo rozpraszania energii we wszechświecie. Czymże jest kawał węgla, którym palę w piecu, jak nie ocaloną od rozproszenia w przestrzeniach międzyplanetarnych energią słoneczną, energią schwytaną i uwięzioną przez cudowny organizm olbrzymiego skrzypu czy widłaka epoki węglowej? A owa wyzwolona energia węglowa rozgrzeje

---

<sup>10</sup> Mamy prawo tak ją nazwać wobec niesłychanej dysproporcji ilościowej między ogromem martwego wszechświata a nikłym płomykiem życia, który tli się od stosunkowo niedawnego czasu na naszej planecie i nie wiadomo czy powtarza się gdziekolwiek indziej.

nasze zziębnięte członki i w ten sposób życie sprzed setek tysięcy lat umożliwi życie po tysiącach stuleci.

Francuski myśliciel Andre Lalande poświęcił tym objawom wnikliwą książkę: „Les illusions evolutionistes”, która dostarczyła mi wielu argumentów. „Istota żywa - pisze w niej - przez swą ewolucję, czyli przez ciągłe różnicowanie i scalanie, opóźnia w bardziej lub mniej widoczny sposób marsz natury ku jednostajności. Robi to jednak drugorzędnie w tym sensie, że pożyczka od istniejących przed nią różnorodności wszechświata to, z czego tworzy swą istotę i swą indywidualność. Podczas gdy np. kawał metalu, wchłonawszy ciepło słoneczne, oddaje je samorzutnie ciałom mniej ciepłym, z którymi się styka, zwierzę, przeciwnie, zatrzymuje uzyskaną w ten sposób energię i robi z niej użytek przez rzucenie się na swą zdobycz i wzmożenie tą drogą swej materii organicznej... Ta właśnie tendencja do tworzenia, obrony, utrzymania i reprodukcji swej indywidualności ujawnia w widoczny sposób dualizm natury w istotach żywych”. Sens życia oddałaby fantastyczna maszyna, która, ustawiona w korycie rzeki, zużywałaby część nurtu wodnego na zawrót biegu drugiej jego części, lub rozpędzona lokomotywa, przerabiająca część oporu powietrza na własną siłę popędową. Z mechaniki wiemy, że podobne maszyny nie istnieją i w myśl praw fizyki istnieć nie mogą, a jednak życie istnieje, co więcej, przejawia rozpęd, rozmach, to jednym słowem co nazywamy ekspansją.

Ale ta ekspansja życiowa, wzrost, wzbogacanie swych składników i jednoczenie ich w spójną całość, jest niejako gwałceniem natury i bezkarnie się nie odbywa. Ceną, którą życie płaci prawu entropii jest śmierć indywidualna. Mniej rzucająca się w oczy przy pierwotniakach, prawda ta staje się wyraźna przy wszystkich ustrojach wyższych. Chlorofil w liściach roślin przerabia energię słoneczną na siłę życiową drzewa, ale bez ustawicznego odnawiania swych zdolności przez czerpane z ziemi soki, zamarłby i nie spełnił swych funkcji. Komórki ciała ludzkiego bezustannie zamierają, wyczerpane pracą, bezustannie luzować je muszą nowe, niezmęczone; w ten sposób organizm kilka razy w ciągu życia całkowicie się odnawia. Ani jedna cząsteczka nie zostaje ta sama, ciało zmienia się na inne, a jednak takie same; oczywiste potwierdzenie prawdy, że nie materia jest istotą życia.

Rozwój i wzrost, przeciwne ze swej istoty prawu entropii, nie mogą trwać wiecznie. Dziecko w ciągu pierwszego miesiąca życia powiększa swą wagę o  $\frac{1}{3}$ , w ciągu drugiego - o  $\frac{1}{4}$ , w ciągu trzeciego - o  $\frac{1}{6}$  i tak wciąż mniej, aż do chwili, gdy staje się człowiekiem dojrzałym. Wówczas organizm przestaje rosnąć i ogranicza się do naprawy strat. Potem przychodzą chwile, kiedy i naprawa ta nie jest wystarczająca, człowiek starzeje się, niezliczone komórki zamierając, nie znajdują już następców swej pracy; zamiast żywych komórek w ścianach naczyń krwionośnych osadza się martwe wapno, mięśnie wiotczeją, wzrok i słuch się przytępia, włosy martwieją, tworząc zjawisko siwizny i wreszcie po najbardziej higienicznym, wolnym od infekcji życiu, umiera się na uwiad starczy.



A wówczas prawa natury rozpoczynają swój marsz. Następuje rozkład ciała: ginie jedność, zespalająca bogactwo tkanek i komórek w celową całość, po niedługim czasie poczyną się również zatracać ich różnorodność; wspaniały zespół precyzyjnych narządów zmienia się powoli w jednostajną i jednolitą masę, aby wreszcie obrócić się w proch, nie różniący się niczym od otaczającej gleby, prostą kompozycję atomów. Następuje powrót do natury, której naczelnym prawem jest ustawiczny rozpad. Dlatego śmierć jest naturalna, życie - nienaturalne. Dlatego śmierć jest nieuchronną konsekwencją życia, ono zaś nie tylko cudem, ale i sztuką nie lada. Życie, to ekwilibrystyka na linie grożącej bezustannie pęknięciem. Rzadko który organizm umiera ze starości, przeważnie pada ofiarą gwałtu, przemocy, zabójstwa, bądź z zewnątrz, jak i przy chorobach infekcyjnych, nieszczęśliwych wypadkach, morderstwach, bądź z wewnątrz, jak przy chorobach organicznych. Wystarczy nieznaczne podwyższenie lub obniżenie ciepłoty środowiska, aby zniszczyć zjawisko życia. Wystarczą niewielkie, niezbadane dotąd, bo niedostrzegalne zmiany warunków życiowych, aby spowodować straszliwe zwyrodnienie tkanki, zwane rakiem, które w niedługim czasie zabija żywy organizm. Albowiem stan chorobowy bardziej jest naturalny od tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, który nazywamy zdrowiem.

Gdybyż przynajmniej nierozzerwalny związek życia ze śmiercią wyczerpywał się w tych nieubłaganych konsekwencjach. Ale życie osobiste związane jest nie tylko ze swoją śmiercią: jest ono splecione w przerażający swym fatalizmem sposób ze śmiercią innych. Rośliny zabijają przynajmniej mimowolnie: przez zagłuszanie, ale zwierzęta, a i człowiek wraz z nimi żyją tylko za cenę niszczenia życia. Żyjemy śmiercią: nie tylko mięso, ale nasz chleb powszedni jest produktem śmierci, brutalnego rozbicia żywych, zdolnych do reprodukcji ziaren na martwą mąkę. Nasze odzienie, nasze meble, czasem i ściany nasze dają świadectwo zmarłemu, bujnemu ongi życiu. Wewnątrz organizmu naszego toczy się ta sama walka: żywe bakterie atakują, żywe leukocyty odpierają napad niby czujni żołnierze zbiegający się zewsząd na sygnał alarmu; zadaniem ich jest niszczenie, zwycięstwo daje im siłę i zdrowie, jak tego dowodzą szczepienia ochronne. Gdziekolwiek rzucimy okiem, widzimy ślepa, konieczną, nieubłaganą walkę o byt.

Walka toczy się nie tylko między osobnikami. Toczą ją również zespoły: od leukocytów poprzez mrowiska i ule aż do biologicznie pojmowanych zespołów ludzkich. Bo społeczeństwa mają swą cechę biologiczną, a błąd pozytywistów XIX stulecia polegał jedynie na tym, że nie widzieli w nich nic poza zjawiskiem biologicznym. Tę samą ekspansję co u pożerających się nawzajem bakterii, co u duszącego swe ofiary tygrysa i u pana Kowalskiego czy Kozłowskiego, zjadającego ze smakiem rybę w majonezie - widzimy w walce dwóch szczepów o dobre pastwiska, w wędrówce ludów, lub w rywalizacji mocarstw o naftę. Człowiek musi zabijać, aby jeść, a dopóki nie wymyśli innych zabezpieczeń, musi również zabijać, aby nie zostać zabity.

Jest to stwierdzenie biologicznej konieczności, które bynajmniej nie jest równoznaczne z jej apologią.

Przeciwnie. To, że organizm żywy skazany jest nieubłaganie na śmierć i to, że jedynym sposobem jej odrzucania na czas jakiś jest przyspieszanie śmierci innych organizmów jest dowodem niedoskonałości świata biologii. Przyroda martwa i jej procesy zwyciężają w ten sposób przyrodę żywą i jej beznadziejne usiłowania. I dlatego, gdyby - wzorem materialistów - przyjąć za dogmat, że człowiek nie jest niczym więcej, niż organizmem żywym, musielibyśmy wpaść w rozpacz podobną do tej, jaką chrześcijaństwo przypisuje szatanowi.

Jeżeli to nie następuje, jeżeli materialści grzeszą raczej płytkim optymizmem niż beznadziejnym pesymizmem, przyczyna tego leży zarówno w dogmatycznej wierze w ewolucję jak w nieprzemysłieniu materializmu do końca. Jeżeli Haeckel głosił jako „religię monistyczną” kult ideałów prawdy, dobra i piękna, to wtłaczał w swój system materialistyczny obce mu pierwiastki idealistyczne. Jest to błąd niezwykle rozpowszechniony wśród myślicieli XIX wieku. Już Mili popełnił tego rodzaju myślowe hara-kiri: uzasadniając subtelnie, że jedynym dobrem dla każdego jest jego własne szczęście, dodał swe sławne zastrzeżenie, że jednak „lepiej być niezadowolonym Sokratesem niż zadowoloną świnią”, gdyż nawet niepełne szczęście Sokratesa jest wyższe od pełnego szczęścia świni. Ale wprowadzenie podziału według kryterium wyższości i niższości jest już zerwaniem z naturalizmem i materializmem, jest przyznaniem, że człowiek jest nie tylko organizmem żywym, ale również - i przede wszystkim - istotą duchową, że czynniki: duchowy i cielesny są w nim zespolone w sposób konieczny wprawdzie i nie przypadkowy, ale daleki od utożsamienia, że wreszcie - w przeciwieństwie do biologicznej strony człowieka, skazanej na beznadziejną i ograniczoną ramami czasu walkę ze śmiercią - jego strona duchowa nie ulega ani śmierci, ani rozkładowi.

Przyjęcie tych twierdzeń za pewnik jest dziś bardziej niezbędne niż kiedykolwiek. Jedynie bowiem wiara w nieprzemijalność wartości idealnych, w realizowanie przez nas w życiu naszym wartości, które trwać będą i wówczas, gdy nasz organizm cielesny rozpadnie się na zespoły atomów - ratuje nas przed beznadziejnością. Jeżeli świat, życie i nasze istnienie ma jakkolwiek sens - a wiara w sens życia jest podstawą myślenia i działania ludzkiego - to musimy przyjąć za prawdę tezę o nieśmiertelności duszy.

I teraz dopiero uzyskujemy podstawę do budowania swego światopoglądu, do wypowiedania swego credo w dziedzinie, której poświęcone są niniejsze rozważania: dziedzinie społecznej. Przy jej analizowaniu zajdzie nieraz potrzeba uciekania się do analogii z przyrodą martwą lub żywą, ale analogie te mają na celu wyłącznie ułatwienie rozumowania a nie - jak ongiś u Spencera - sprowadzanie do wspólnego mianownika zjawisk z dziedzin zasadniczo różnych. Społeczeństwo nie jest organizmem, tak jak i człowiek nie jest organizmem. Co więcej, przy porównywaniu tych dwóch

zjawisk pamiętać należy o innej różnicy: komórki ciała istnienie swe i swe zadania wyczerpują bez reszty w tym, iż są częścią całości, podczas gdy człowiek, podstawa społeczeństwa, jest sam w sobie całością. Sens jego istnienia, ostateczny cel jego życia leży poza społeczeństwem. Człowiek każdy ma swoje osobiste obowiązki wobec Boga - oto prawda, o której nie chcą wiedzieć nie tylko ateistyczni marksiści, nie tylko tego typu uczeni jak Durkheim, ale i przedstawiciele kierunków bynajmniej niematerialistycznych jak teoretycy hitleryzmu, lub w Polsce, Zygmunt Balicki.

A więc ostateczny cel życia ludzkiego leży poza społeczeństwem. To sprawia, że nigdy i w żadnym wypadku dusza ludzka nie może być stawką w grze o dobro zbiorowości. Wolno społeczeństwu żądać od swych członków ofiary ze szczęścia osobistego, wolno wymagać ofiary ze swego życia, a nawet żądać odebrania życia członkowi wrogiej społeczności, bo życie nie jest najwyższym dobrem człowieka. Ale tak jak człowiek obok prawa zaspakajania swych potrzeb życiowych posiada obowiązki duchowe wobec zbiorowości, tak społeczeństwo, w pełni uprawnione do rozwijania swych potrzeb biologicznych, posiada swój duchowy obowiązek wobec człowieka: musi tworzyć takie warunki, aby duchowa strona człowieka - jednostki mogła się w pełni rozwinąć. Dlatego niemoralny jest system niewolnictwa, choć system ten przyczynił się waleśnie do rozwoju naszej cywilizacji; cywilizacja bowiem, zarówno jak życie ludzkie - nie jest dobrem najwyższym.

Jakże wyglądać będzie człowiek w pełni rozwinięty pod względem duchowym? Jakiego wyróżnimy pod względem wartości? Takiego, który połączy wszechstronność uzdolnień z silną, zwartą indywidualnością. Połączenie to niezwykle trudne. Zazwyczaj ludzie wszechstronnie utalentowani są - przykładem Leonardo da Vinci - chwiejni i rozstrzeleni, jak gdyby natłok zdolności rozsądzał ich jedność wewnętrzną. Natomiast tytani woli są zwykle jednostronni, często ciaśni. Prawdziwą wielkość daje dopiero proporcjonalne, harmonijne zespolenie bogactwa składników duchowych w jednolitą całość. Tam, gdzie harmonia ta jest zakłócona, mamy w wyniku albo obniżenie poziomu, albo osłabienie jedności.

Jest to ta sama zasada harmonii, która rządzi wszystkimi dziedzinami zjawisk duchowych i która pozwala oceniać również zjawiska świata materialnego pod kątem wyższości i niższości. Znają ją dobrze muzycy, wiążący tony w akordy i umiejący uchwycić ich proporcje w ścisłe formuły matematyczne: wiedzą, że zakłócenie proporcji daje w wyniku albo monotonię czyli osłabienie bogactwa, albo kakofonię, czyli niezłożenie się całości. Znają tę zasadę plastycy i styliści, wiedząc już w greckich czasach, że harmonia to „jedność w wielości”, czyli takie wzajemne ustosunkowanie się części składowych, że ich proporcja daje w wyniku spójną i bogatą całość. Zespolenie ubogich, jednostajnych składników jest rzeczą stosunkowo łatwą, ale koordynacja całego bogactwa różnorodnych elementów, tak jak światło słoneczne jednoczy nieskończoną różnorodność barw była i jest wzorem niedościgłym, w którym słusznie pitagorejczycy widzieli zasadę metafizyczną wszechświata.

Ale dlaczego niedoścignym? Co sprawia, że nie widzimy na świecie dzieł prawdziwie doskonałych! Co sprawia, że człowiek i ludzkość cała szarpie się w bezowocnych usiłowaniach wlecenia w sferę ideału, jak ptak o podciętych skrzydłach? Skąd ta rozbieżność między tym, co realizujemy, a tym, co według głębokiego naszego poczucia powinno być realizowane?

Podobnie jak życie przewycięża przyrodę martwą, ale jej w końcu ulega, nie mogąc przekroczyć określonych granic, podobnie duch ludzki wlecze za sobą obciążenie światem materialnym. Podobnie - nie znaczy: tak samo. Życie ginie w starciu ze śmiercią, zostawiając po sobie jedynie nowe życie; twórczość duchowa nie ginie przez konflikt z materią, a tylko ogranicza swoje możliwości. To co twórcze pozostaje w dziedzinie wartości, choćby nieznanie innym ludziom lub przez nich zapomniane. Tak jak życie jest nienaturalne w stosunku do naturalnej przyrody martwej tak twórczość duchowa jest nienaturalna w tym sensie, że przeciwstawia się zarówno naturze martwej jak żywej. Przeciwstawia się nie w postaci niszczenia, ale okiełznywania, wyciskania na niej swego piętna duchowego, walczenia tak, jak walczył Michał Anioł z niekształnym blokiem marmuru, zmuszając martwy kamień do przybrania idealnej formy, wywołującej w ludziach przeżycia duchowe. Ten wytwór geniuszu artysty jest, oczywista, obciążony materiałem, musi liczyć się z czynnikami naturalnymi: ciężkością, kruchością i t. d. Nigdy największy nawet rzeźbiarz nie odtworzy w marmurze postaci konia stojącego dęba, ani tym bardziej zawieszonoego w przestworzach orła, a przedstawiając postać w ruchu, czy to będzie dyskobol czy Coleoni, może wyrazić tylko jedną chwilę tego ruchu; ale mimo tych ograniczeń duch panuje nad materiałem, nie odwrotnie i przy oglądaniu rzeźby Michała Anioła pamięta się przede wszystkim, że jest to Dawid, a nie - ziarnista odmiana minerału o wzorze  $CaCo_3$ .

Stajemy tu wobec dualizmu ducha i materii martwej, wobec ich zasadniczej przeciwstawności. Zasadniczą cechą materii, materii rozumianej w myśl dzisiejszych poglądów, energetycznie, jest bezustanny proces utraty energii, ubożenie składników, rozpadu całości i wyrównywania się różnic na coraz niższym poziomie, słowem utrata harmonii. Zasadniczą cechą ducha jest przeciwnie, ustawiczne tworzenie harmonii: wzbogacanie składników i tworzenie coraz pełniejszych całości. Trud ten - to twórczość.

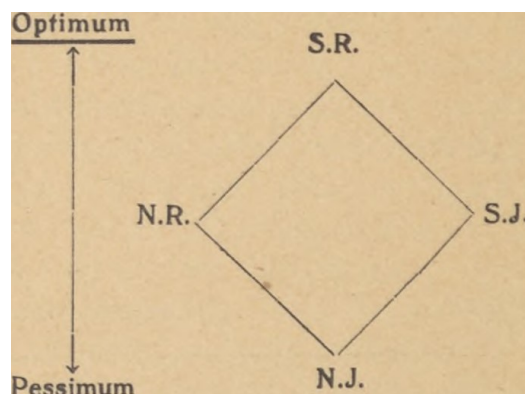
My sami jako indywidua ludzkie czujemy zarówno swą jedność duchową jak i duchową - różnorodność. Naszą pełnię, naszą harmonię zdobywać musimy ustawicznym trudem, gdyż nasze obciążenia naturą materialną stawiają nam ustawiczny opór. Nie tylko losem naszym nieuchronnym jest brutalne przerwanie naszej twórczości ziemskiej, dokonane jak gdyby przez zemstę zawistnych sił przyrody martwej, ale przez życie całe odwodzeni jesteśmy od celów duchowych przez naszą stronę biologiczną, kuszeni jesteśmy niejako do skierowania energii naszej w walce z przyrodą martwą na płaszczyznę czysto zwierzęcej ekspansji cielesnej, upatrywania celu w osobistej walce o byt, walce koniecznej do utrzymania życia, ale będącej jego warunkiem, nie celem. Nie po

to się żyje, aby jeść, lecz po to je, aby żyć, żyje zaś po aby tworzyć. Ale łatwiej hierarchię tę formułować, niż się nią w życiu kierować. To antynaturalne podporządkowanie aspiracji niższych aspiracjom wyższym jest istotą heroizmu.

Nie każdemu dane jest zwycięstwo, a wielu nawet nie chce walczyć, grzęznąc w sybarytyzmie duchowym i zadowolonej rezygnacji. Wówczas życie nabiera charakteru wegetacyjnego, motorem działania stają się hedonistyczne odruchy, psychika - biernym tworzywem, które niby plastyczna glina odkształca się i zniekształca pod wpływem przyczyn zewnętrznych, wola w braku wewnętrznej sprężystości albo poddaje się biernie, albo opancerza nieobliczalnym uporem. W tym ostatnim wypadku zachodzi zjawisko, dobrze znane w Polsce, zjawisko biernego indywidualizmu. Podczas gdy indywidualizm czynny manifestuje się chęcią kształtowania innych według swojej woli, przerośnięcia swego środowiska, indywidualizm bierny wyraża się w ciągłej obawie, aby nie ulec cudzej woli i w strzeżeniu, aby nikt nie przerósł swego środowiska. Tego rodzaju indywidualizm był najbardziej charakterystyczną cechą stanowego demokratyzmu szlacheckiego w dawnej Rzeczypospolitej i pozostał po dziś dzień jedną z najgłębiej tkwiących wad charakteru polskiego.

Człowiek nieskoordynowany zewnętrznie a jednocześnie ubogi w składniki duchowe jest najniższym typem, jaki można sobie wyobrazić, zbliżając się swą dolną granicą do typu patologicznego. Przeciwnością jego będzie - jak o tym była mowa - człowiek. łączący bogactwo składników z ich związaniem w spójną całość. Ale takie połączenie jest udziałem wyłącznie postaci wyjątkowych. Bogactwo składników to znaczy ich różnorodność, a różnorodność z trudem sprowadzić można do spójni.

Niespójna jednostajność i spójna różnorodność stanowią dwa krańce ludzkiego ducha, jego optimum i pessimium. Między tymi skrajnościami istnieją typy pośrednie, przybierające jedną z dwóch możliwych postaci: bądź spójnej jednostajności, bądź niespójnej różnorodności. Można to sobie uzmysłowić graficznie:



- S. R. - Spójna różnorodność
- N. J. - Niespójna jednostajność
- N. R. - Niespójna różnorodność
- S. J. - Spójna jednostajność.

Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzymy na poszczególne fazy życia ludzkiego, znajdziemy w jego rozwoju duchowym potwierdzenie powyższych zasad, oczywiście, o tyle, o ile niebываłe bogactwo indywidualności daje się sprowadzić do ogólnego mianownika. Podczas gdy niemowlęstwo łączy ubóstwo składników duchowych z ich niezwiązaniem w całość (niespójna jednostajność), młodość przedstawia ich wielkie bogactwo, rozsadzające ramy koordynacji (niespójna różnorodność). Życie, przytłumiając jedne składniki duchowe, wyrabiając zaś inne, prowadzi z upływem wieku do coraz bardziej zrównoważonej, lecz stopniowo i coraz uboższej całości (spójna jednostajność). Wiek sędziwy, zubożając coraz bardziej różnorodność składników, prowadzi wreszcie i do rozpadu całości duchowej, wracając do niespójnej jednostajności, określanej mianem dzieciństwa. Tylko wyjątkowe natury nie podlegają temu procesowi.

Wielu spośród ludzi zatrzymuje się jak gdyby w fazie młodzieńczej. Umysł ich chłonie wciąż z zewnątrz bogactwo wrażeń, faktów i podniet, ale nie umie przerobić ich na jednolity kruszec; w duszy ich walczą sprzeczne uczucia, powodując niekonsekwencje i nieprzewidziane odruchy. Jest to typ romantyczny i cygański, typ wiecznego i wiecznie obiecującego młodzieńca, a - w najmniej wartościowej odmianie - typ człowieka, którego określamy nazwą: inteligentny a głupi. Niespójna różnorodność przetwarza się tu w kakofonię duchową. Typ to również dobrze znany w rzeczywistości polskiej.

Przeciwstawia mu się typ człowieka zrutynowanego. Zwarty duchowo, ale ciasny, niepodatny do wchłaniania nowych wrażeń i z trudem oswajający się ze zmienioną rzeczywistością, zakrzepły w szablonach raz wytworzonych pojęć, wygrywający, jak gdyby jedną tylko nutę swej duszy. Spójna jednolitość jest tu jednoznaczna z monotonią. W mniej skrajnym ujęciu typ taki nazwalibyśmy w przeciwieństwie do romantycznego - klasycznym, w bardziej skrajnym - biurokratycznym. Tego rodzaju zakrzepnięcie przychodzi zazwyczaj około trzydziestego roku życia, roku, który jest niejako kamieniem probierczym sił duchowych człowieka. Ulegają temu efektowi ludzie, którzy często zapowiadali się za młodu jako ciekawe indywidualności, a jednak pod wpływem życia abdykują z tego, co dla usprawiedliwienia samych siebie skłonni są nazywać młodzieńczymi marzeniami.

Oczywiście przedstawione tu schematy typów nie wyczerpują pełni różnic indywidualnych. Charakteryzują natomiast ogrom wysiłków, które ponosić musi człowiek, aby rozwijać twórczość duchową, aby odbudowywać wciąż na nowo rozsypującą się nieustannie harmonię wewnętrzną. Zaprzestanie na chwilę wysiłku powoduje natychmiastowy rozpad całości lub ubożenie elementów. Wobec zmieniających się bezustannie wydarzeń świata zewnętrznego, wobec wciąż nowego materiału doświadczeń, nowych, wyłaniających się zagadnień, trzeba wciąż na nowo zajmować stanowisko - inaczej grozi wpadnięcie w szablon lub dezorientacja. Co dzień jesteśmy inni, a jeśli nie zrobimy wysiłku, aby odbudować się na wyższym poziomie, nie pozostaniemy nawet na poziomie z dnia wczorajszego. Człowiek podobny jest do turysty, wspinającego się po piargach:

wysiłkiem swoim pokonywać musi nie tylko własny ciężar, ale i osypujące się kamienie. Dlatego kto nie idzie naprzód, ten się cofa, a kto zaufa swoim wczorajszym wysiłkom, ten zrzeka się możliwości jutra.

Trudno, oczywiście, zaprzeczyć, że i owe niedoskonałe, jednostronne pótharmonie duchowe posiadają swoją wartość. Stan idealnej doskonałości nie daje się w życiu osiągnąć, nawet nie znamy jego granic, nie wiemy, dokąd może iść w swym rozwoju duch ludzki; toteż wartość leży więcej jeszcze w wysiłku i w kierunku, w którym ów wysiłek jest skierowany, niż w samym wyniku. Nie można odrzucać rozwiązań niedoskonałych, ale trzeba umieć wyciągać z nich maksimum. Typ romantyczny niewiele potrafi zbudować, ale okupuje tę wadę zdolnością duchowego zapładniania następców. Typ klasyczny jest raczej jałowy, ale sam przez się w ograniczonym zakresie potrafi zbudować dzieła solidne. Jeden i drugi, odpowiednio pokierowany, stanowią cenne składniki w budowie społecznej.

Spółceństwo składa się z ludzi, obdarzonych nieskończonym bogactwem odmian i odcieniów duchowych. Nie jest ono mechanicznym zlepkiem abstrakcyjnych jednostek, jak o tym sądziła epoka demoliberalna, ani też całością, która logicznie i genetycznie poprzedza i warunkuje człowieka jak wierzył Durkheim lub Balicki. Trzeba o tym pamiętać wówczas, gdy dla łatwości rozumowania ujawnia się analogie społeczeństwa bądź (jak w XVIII w.) ze spółką, bądź też, jak w końcu XIX stulecia, z organizmem. Czasem przyrównywa się społeczeństwo do kupy piasku, akcentując niepoehlebnosć takiej analogii. Istotnie. Kupa piasku, to brak wszelkiej spójni przy ubóstwie elementów wewnętrznych. Poszczególne ziarenka nie różnią się niemal od siebie, posiadają minimalną odrębność budowy, pozbawione zaś są wszelkiej odrębności funkcjonalnej. Całość jest tak nieskładna, że silniejszy wiatr lub strumień wody niszczy ją i roznosi bez trudu. Piasek - to produkt rozkładu, rzecz martwa, pozbawiona zarówno energii jak formy. To najbardziej krańcowy przykład niespójnej jednostajności.

Tak nadużywane przez Spencera i jego naśladowców przyrównanie społeczeństwa do organizmu żywego jest, mimo wszystkich, koniecznych zastrzeżeń, równie pouczające i cenne.

Są różne rodzaje organizmów. Wiedza zoologiczna szereguje je według pewnej skali od najniższych do najwyższych. Czym różni się organizm niższego rzędu od organizmu wyższego rzędu np. ameba od ssaka? Tym przede wszystkim, że ameba stanowi jedną niezróżnicowaną komórkę, podczas gdy człowiek składa się z ogromnej ilości najbardziej różnorodnych zarówno pod względem budowy jak funkcji. Tym następnie, że organizm ameba jest jednością niespójną i to tak dalece, że rozcięcie go na części powoduje bez żadnych wstrząsów powstanie odrębnych ameb, podczas gdy rozczłonkowanie ssaka powoduje natychmiastową śmierć organizmu. I znowu możemy określić organizm ameba jako niespójną jednostajność, organizm zaś ssaka - jako spójną różnorodność.

Toute proportion gardee, można podobne różnice znaleźć w zjawiskach życia społecznego. Najprostszą budowę posiada tłum zebrany przypadkiem. Zapewne każdy człowiek i wśród tłumu posiada swe życie prywatne, odrębne od życia innych, ale w danej chwili, jako uczestnik zbiegowiska, zajęty jest tą samą myślą i poruszany tym samym uczuciem, co inni, jakby przejściowo tracił swą indywidualność na rzecz jednostajnej postawy zbiorowej. Jednocześnie spójnia ta jest tak nietrwała, że przeminięcie chwilowej podniety powoduje rozpad całości. Cóż innego przedstawia tłum niż niespójną jednostajność? Któż nie przyzna, że przeciwieństwo jej: spójna różnorodność, a więc zorganizowane, spójne społeczeństwo, opierające się na bogactwie indywidualności ludzkich, różnorodność składników, skierowana ku wspólnemu celowi, różnorodność funkcji i jednolitość osiągnięć - stanowi ideał, najwyższą formę życia społecznego, wcielającego w pełni zasadę harmonii.

Ale tak jak poszczególny człowiek, tak i społeczeństwo z trudem niezmiernym budować musi swą harmonię, podobnie jak człowiek obciążone jest swoją niedoskonałością. Społeczeństwo - jak już było wspomniane - posiada swą stronę biologiczną. Walka o byt toczy się nie tylko między jednostkami. Istotny charakter życia powoduje w sposób konieczny walkę o życie. *Primum vivere deinde philosophari*. Celem społeczeństwa podobnie jak celem człowieka jest twórczość, ale warunkiem twórczości jest istnienie.

Aby być twórczym, musi naród podporządkowywać swe dążenia ekspansyjne celom kulturalnym, ale nie w tym stopniu, by niszczyło to źródła jego mocy. Naród nie jest zwierzęciem drapieżnym, ale musi wywalczać sobie egzystencję. Pacyfizm jest równie doktrynerski jak wegetarianizm, ale nierównie od niego szkodliwszy. Gotowość do ekspansji nie jest celem narodu, ale jest warunkiem jego istnienia. Społeczeństwa niechętnie wojnie ginęły zawsze w ciągu dziejów i zawsze ginąć będą.

Zaniedbywanie biologicznych potrzeb społeczeństwa na rzecz twórczości kulturalnej jest polityką rabunkową. Kultura jest w tym samym stopniu nienaturalna, w jakim naturalne jest barbarzyństwo. Naturę należy opanowywać w imię kultury, ale jej nie wolno rujnować. Intelktualista o wyrafinowanej kulturze jest mniej przygotowany do walki życiowej, niż kierujący się biologicznymi popędami barbarzyńca. W świecie narodów, gdzie dominuje walka biologiczna, wysoka kultura duchowa stanowi raczej minus życiowy, kultura duchowa oczywiście, a nie mechaniczna cywilizacja, produkująca tanki i gazy trujące. Nosiciel wysokiej kultury może łącznie zostać zgładzony ze świata wraz ze swą kulturą. Przykładów historycznych, obrazujących upadek takich społeczeństw pod ciosami barbarzyńców nie trzeba przytaczać, każdy ma je dobrze w pamięci. Toteż naród musi być tak tworzony, aby, wydając z siebie możliwe maksimum kulturalne nie osłabiał przez to swej siły biologicznej, aby zachował ją na przyszłość jako podglebie dla dalszej twórczości. Zbyt obfite owocowanie młodego drzewka osłabia jego późniejszą płodność, przedwczesny rozwój



cudownego dziecka wyczerpuje jego organizm, tworząc w wieku dojrzałym neurasteniczny schyłkowca.

Gospodarując oszczędnie swymi siłami biologicznymi musi jednak społeczeństwo narodowe mieć wzrok utkwiony w swój cel, t. j. w twórczość kulturalną, musi wysiłkiem wielkim budować i przebudowywać wciąż swoją harmonię duchową. Celem idealnym jest spójna różnorodność, sprowadzenie całego bogactwa różnic indywidualnych do pełnej jedności tak, aby nic z ich wartości nie uronić, o jedną nawet nutę nie zubożyć, a jednak zespolić w doskonałej komunii duchowej. Cel to - jak wszelka doskonałość - niedościgły, ale dążenie do niego w ramach realizmu jest zadaniem tych wszystkich, którzy na swe barki biorą budowanie społeczeństwa.

W dziejach ludzkich - rzecz zrozumiała - nie spotykamy przykładu pełnej harmonii społecznej. Przeważna ilość form ustrojowych zarówno na polu gospodarczym jak politycznym balansuje między optimum a pessimum, między spójną różnorodnością, będącą najwyższym, nieosiągalnym wzlotem ducha, a niespójną jednostajnością, czyli całkowitym rozkładem. W wyniku tych błędzeń ustroje przybierają mniej mniej lub więcej wyraźnie jedną z form pośredniej: bądź spójną jednorodność (monotonię), bądź niespójną różnorodność (kakofonię). W pierwszym wypadku następuje ubożenie składników na rzecz spójnej całości, w drugim - rozsadzanie całości na rzecz bogactwa składników. W obu wypadkach proporcja między całością a jej składnikami jest zachwiana, co sprawia, że naturalnym biegiem rzeczy obie formy rozkładają się na jeszcze prostsze postaci. Monotonia (spójna jednostajność) potrafi wytworzyć imponującą siłę zbiorową, ale z biegiem czasu wyniszcza tak dalece tworzące ją składniki (tzn. bogactwo ludzkich indywidualności), że w końcu braknie im sił na podtrzymywanie spójności i całość rozpada się w proch. Rozliczne warianty takiego procesu obserwujemy w dziejach Sparty, Bizancjum, Złotej Hordy, Imperium Rosyjskiego oraz wszędzie tam, gdzie przez czas dłuższy panował kapitalizm państwowy. Kakofonia (niespójna różnorodność) błyszczy przez czas jakiś bogactwem zdobyczy kulturalnych, po czym bardzo szybko załamuje się i upada; składniki zaś całości (jednostki ludzkie) niekierowane i niekierowane z góry, wpadają w gnuśny sybarytyzm, zubożając tym samym swą treść duchową. (Ateny, Polska szlachecka, Francja współczesna, kraje, oparte o kapitalizm prywatny). Tak więc proces rozkładu obu form pośrednich prowadzi do jednakowego wyniku: niespójnej jednostajności, a drogą do tego jest nadużycie swych istotnych i dobrych cech. W tym sensie uznać można za słuszne twierdzenie Monteskiusza, że każdy ustrój upada z winy tych samych zasad, które go powołały do życia.

Im prędzej odczuje społeczeństwo złe skutki jednostronności ustrojowej, tym szybciej, drogą reakcji, przerzuca się ku przeciwnej przesadzie i tak widzimy w dziejach ciągle oscylacje między monotonią i kakofonią, między spójną jednostajnością a niespójną różnorodnością. Miarkowanie tych wahań, przypominanie celu jakim niezmiennie pozostaje spójna różnorodność, powinno być zadaniem pisarzy politycznych, teoretyków i myślicieli. Jednak i oni przeważnie nie umieją się

wyłamać spod uczuciowych reakcji i w chwilowych dążeniach współczesnych do naprawy jednostronności poprzedników upatrują zasad ponadczasowych zamiast widzieć w nich czasowe reakcje<sup>11</sup>. Jedynie w dziełach genialnych myślicieli i to zaledwie ich części znaleźć możemy zarysy harmonijnego społeczeństwa. W twórczości myśli europejskiej spotykamy zaledwie dwa takie nazwiska: Arystoteles i św. Tomasz; wszyscy inni w mniejszym lub większym stopniu grzeszą jednostronnością.

W zrozumieniu tej wszechstronności tomizmu chcieliby oprzeć się na nim liczni politycy i działacze społeczni, chcieliby oszczędzić sobie wysiłku przez oparcie się o jego wysiłek. Daremne to próby. Najgenialniejsze wzory przeszłości nie zastąpią oryginalnej twórczości. Trzeba się z nimi liczyć, można z nich nawet czerpać - nie podobna do nich się ograniczać. Nie ma i nigdy nie będzie recepty wiecznej, wobec coraz to nowego materiału doświadczeń społecznych. Wśród nich nacisk położyć trzeba na przemiany gospodarcze i techniczne. Ich wielką rolę zauważył Marx, ale, jednostronny, jak tyłu innych, uznał je błędnie za jedyny czynnik dziejów.

\*\*\*

Każde pokolenie musi własnym wysiłkiem z materiałów pozostawionych przez przodków i tych, które zmieniona rzeczywistość jemu dopiero udostępniła, budować na nowo swą własną syntezę, tak jak poszczególny człowiek ustawicznym trudem musi co dzień budować na nowo swą harmonię wewnętrzną. Nawet gdyby wyjątkowe jakieś pokolenie zbudowało syntezę niezmiernie bliską harmonii społecznej, praca jego, choć płodna w skutkach, nie uchroniłaby następców od trudów i niebezpieczeństw. Pozwoliłaby może na długoletnie korzystanie z jej owoców, ale w końcu doskonałe wzory skrzepłyby w duszach epigonów w świetne lecz martwe schematy, niezdolne do opanowania wciąż falującej rzeczywistości.

Dlatego nie należy przeceniać tradycji. Dążność do oparcia się o nią jest niejednokrotnie przejawem kwiatyzmu myślowego, pragnącego wyręczać się wysiłkiem dawnych pokoleń. Oczywiście, skoro kogoś nie stać na twórczość własną, to już lepiej żeby naśladował rodzime wzory, niż bezmyślnie małpował prądy modne za granicą, co tak razi we wszelkich ruchach

---

<sup>11</sup> W miniaturze podobne zjawisko możemy obserwować obecnie w dziedzinie polskiego ustroju politycznego. Praktyka ustrojowa w latach 1919-1926 wywołała reakcję anty-liberalną i antyparlamentarną, którą do godności dogmatu podniosła publicystyka pierwotnie narod.-demokratyczna, po maju zaś 1926 r. - „sanacyjna”. Ta ostatnia przeżywa reakcję antyliberalną aż po dzień dzisiejszy. Jednocześnie przybiera na sile nowa reakcja, reakcja przeciw praktyce lat 1926 - 1936, odżywają argumenty liberalne sprzed lat 20 z czasów okupacji niemieckiej, a wraz z nimi odżywają na-dzieje ludzi z tej epoki.

„faszystowskich”<sup>1</sup>, organizacjach ze swastyką w herbie i tak dalej. Ale nie wszystko co rodzime jest cenne i nie wszystko co dawne lepsze jest od współczesnego. Tradycja jest rzeczą cenną, zwłaszcza o ile jest żywa i o ile wypływa z trwałych i zdrowych cech narodu czy środowiska cywilizacyjnego, a nie jest powierzchownym nalotem lub manierą. W przeszłości znaleźć można dużo doświadczeń, z przeszłością łączą nas więzy duchowe, ślady, których wyprać doszczętnie nie podobna i nie należy, ale pamiętać trzeba zawsze, że twórczość historyczna nie skończyła się na naszych przodkach, że my również jesteśmy nie tylko potomkami, lecz i przodkami. Epigonizm jest zaprzeczeniem twórczości. Zupełnie zaś chybione byłoby sztuczne odgrzewanie tradycji. Bal kostiumowy może być miłą rozrywką w karnawale, ale do pracy nie chodzi się w zbroi przodka z czasu wojen krzyżowych.

Możemy uznać wielkie korzyści duchowe, jakie odniosło w X wieku ówczesne państwo polskie przez wejście w krąg cywilizacji po - rzymskiej, ale nie jest to powód do jakiejś szczególnej dumy. Jeżeli słusznie buntuje się nasza duma przeciw nazywaniu nas Francuzami północy, to nie należy również stawiać się w postawie klienta cywilizacji rzymskiej. Mamy powód szczycić się Kochanowskim, Skargą, Mickiewiczem, ale nie Cynceronem, Horacym czy Wergiliuszem, bo nie nasz naród ich wydał. Jesteśmy narodem na dorobku, nasza wielkość leży raczej przed nami, niż za nami, nie dziwota więc, że wiele rzeczy nam imponuje, ale czemuż z tego tworzyć ideologię? Oczywiście, bardziej czujemy się związani z Cezarem niż z Dżengis-Chanem i z Ulpianem niż Konfucjuszem, ale nie rywalizujemy ze świętym Pawłem w dumie z obywatelstwa rzymskiego.

Dziś zresztą tradycje starożytnej Romy nie cieszą się już taką popularnością, jak pół wieku temu. Z wielu natomiast ust słyszymy o powrocie do średniowiecza. Czy jest to stanowisko słuszne?

Oczywiście, był objawem zwyczajnej głupoty frazes o „ciemnym średniowieczu”. Sama nazwa, którą określono tę epokę dowodzi, że nie rozumieliśmy historii. Wieki „średnie” znaczą bowiem tyle, co p r zejść i o w e między dwiema twórczymi epokami. Wiemy dzisiaj, że tak nie było, że wiek XIII wydał syntezę cywilizacyjną wyższą i od rzymskiej i od tych mizernych pod względem duchowym usiłowań, których pragnął dokonać okres kapitalistyczny, owe prawdziwe „średnie” wieki między XIII a XX wiekiem.

Ale nie znaczy to, aby zwracać wstecz. Powrotu do średniowiecza nie trzeba brać dosłownie. Jest to hasło negatywne raczej, niż pozytywne. Czujemy potrzebę zrzucenia balastów, którymi nas obarczyła era kapitalistyczna; przy tej czynności okazuje się słuszne niejedno, co ta era uważała za przesąd, głupstwo lub hańbę. Powracamy do sprawiedliwej oceny średniowiecza, ale nie do niego samego. Możemy i powinniśmy czerpać z tej epoki wiele cennych rad, ale tworzyć należy z ich pomocą nowe rzeczy, nie kopie.

„Jeżeli ktoś chce szukać wzorów w przeszłości - mówi słusznie Leon Chwistek - to nie znaczy, żeby miał zrobić to samo, co robiono w przeszłości, ale żeby robił co innego na równie

wielkim poziomie. Jeżeli generał bierze sobie za wzór Cezara, to nie znaczy wcale, że ma używać drewnianych wież oblężniczych i kuszy mechanicznych do wyrzucania kamieni - chodzi o to, żeby działać z równie jasnym planem, żeby mieć równie błyskawiczną zdolność decyzji i równie wielką odwagę”.

Weźmy przykład z innego zakresu: sztuki. Przypomnijmy sobie czasy pełnego romantyzmu, kiedy istniał kult średniowiecza, najfałszywiej często pojętego. Był to okres, w którym rzucono się do budowy pseudo-gotyckich gmachów, co, przeciągnąwszy się niemal na pół wieku zasypało wieś polską setkami spiczastych, bezdusznych kościołów z czerwonej cegły w stylu św. Floriana na Pradze lub św. Elżbiety we Lwowie. Czy okres ten dowodził swego pokrewieństwa duchowego z czasami św. Franciszka z Assyżu? Bynajmniej, dowiódł tylko swej jałowości twórczej. Nawet tak wysoce szlachetny ruch plastyczny jak prerafaelicki, pragnący zerwać z naturalizmem XVI wieku w malarstwie nie stworzył nowej epoki, gdyż w braku siły wewnętrznej i odwagi rewolucyjnej począł naśladować. I choć prerafaelici naśladowali istotnie najszlachetniejsze wzory Fra Angelica i Botticellego, pozostali bezpłodnym epizodem. Dużo większe zasługi położył tak skądinąd płytki ruch, jak futurizm włoski. A dopiero kubizm i ekspresjonizm, brnąc przez dziwactwa i padając często ich ofiarą - rzuciły podwaliny pod rozwój nowej sztuki; nie wytworzyły, co prawda, same przez się dzieł wielkich, ale umożliwiły ich tworzenie w przyszłości. Otóż kubizm i ekspresjonizm nawiązały, nieświadomie zresztą i przypadkowo, do sztuki średniowiecznej: do zagadnień kompozycyjnych, do ornamentu, do fantazji nie skrepowanej naturalizmem i anatomizmem, do deformacji.

Naśladownictwo, to rzecz powierzchowna. Kto widział sławną ohydę berlińską, owych w stal zakutych rycerzy w Siegesallee, typowy produkt tandety naturalistycznej XIX wieku, niech ich porówna z twórczością Skoczylasa, która tematów średniowiecza nie dotyka, ale duchowo jest mu o niebo bliższa, niż wspomniane potwory berlińskie. Dlaczego? Bo Skoczylas czerpał swe natchnienie w wielkiej mierze z kultury góralskiej, którą nalot epoki kapitalistycznej musnął tylko powierzchownie, która w duchowej swej istocie pozostała niemal średniowieczną.

Ale łatwiej nawiązać kontakt ze średniowieczem artyście na terenie sztuki, niż politykom na terenie życia. Możemy surowo oceniać epokę „nowożytną”, dzielącą nas od średniowiecza, ale jesteśmy mimo wszystko jej spadkobiercami. Trzeba ten spadek brać z dobrodziejstwem inwentarza, ale zrzeczenie się go całkowite nie byłoby ani słuszne, ani nawet możliwe. „Nie zechcemy chyba - pyta ironicznie Chwistek - zamieniać naszych lamp elektrycznych na łuczywo, naszych stacji telegrafu bez drutu na sygnały świetlne, naszych aeroplanów na łopatę czarownic, a naszej neurastenii i depresji na histerię i obłąd panów feudalnych”. Oczywiście. Ze średniowieczem różni nas przede wszystkim dynamika życia. Dynamika średniowiecza polegała na wielkich ruchach mas ludzkich, na zmianach terytorialnych, w których ginęły całe narody, na wielkiej płodności i niemal

równie wielkiej śmiertelności. Dynamika współczesna polega na ciągłych zmianach w sposobie życia, na nowych wynalazkach technicznych, a przede wszystkim na wzmożonym tempie. Jesteśmy zaprzeczeniem średniowiecznej cierpliwości. Nawet wieś nasza powoli przestaje być średniowieczna, a najbardziej duchowo tkwiący w średniowieczu Poleszcy z jego tempem życia i pracy objawia się nam wraz z bobrem i łosiem jako nęcący egzotyzm, lecz nie jako wzór do naśladowania. Dziś szerzy się wprawdzie moda na potępianie w czambuł zdobyczy technicznych, ale przecież nasza psychika kształtuje się pod ich wpływem. Można je pchnąć w innym kierunku, niż dotychczas, ale nie ma racji od nich się odcinać.

Czemuż nie latać samolotem? Wystarczy zdawać sobie sprawę, że samolot jest tylko narzędziem, nie wpadać na jego widok w zachwyt typu B. Winawera, nie uważać postępu technicznego za postęp duchowy, nie sądzić naiwnie, że usprawnienia techniczne sprowadzą erę szczęśliwości powszechnej. Nie można dowolnie wracać do przeszłości, nie wrócimy więc do średniowiecza. Jeżeli sięgamy do niego myślą, to dlatego, że wiemy - i to jest naszą wielką zdobyczą - że są wartości stałe, niezależne od epok, nie ulegające zmianom, ponadczasowe i ponadludzkie, że znajomość tych wartości tak powszechna w wiekach średnich, została zagubiona przez ducha ery kapitalistycznej.

Materializm cywilizacji współczesnej, jej niwelujące i standaryzujące działanie, narzucające, lub przynajmniej grożące narzuceniem wszystkim jednakowego stylu życia, moda, nakazująca wzorowanie się na współczesnym, ale dalekim geograficznie obyczaju, w czym tak celują zeuropeizowani Żydzi, drogą reakcji skłania wielu ludzi do tęsknoty za przeszłymi latami i przeciwstawiania modzie, czyli naśladownictwu w przestrzeni - tradycji, czyli naśladownictwa w czasie, podtrzymywania dawnych obyczajów, dawnego sposobu życia, dawnych form i dawnych wierzeń („I to, w co twe pobożne wierzyły pradziady... Ach, najpiękniejsze święto, bo święto pamiątek... czemu zniósłeś odwiecznie obchodzone Dziady?” - mówi Gustaw - tradycjonalista, na co ksiądz, patrzący z ponadczasowego, metafizycznego stanowiska odpowiada surowo: „Ta uroczystość bierze z pogaństwa początek”). Tradycje, zależnie od swego zakresu podzielić można na rodzinne, regionalne, klasowe (ściślej: stanowe) i narodowe. Przy budowaniu nowego życia społecznego największą wartość mają te ostatnie. Ale jakie są nasze tradycje narodowe?

W każdym Polaku żyją jego przeszłe pokolenia i żyje cała przeszłość narodowa. „Naród - mówi Zygmunt Wasilewski - jest istotnością duchową ponad jednostką i pokoleniami. Żyją w nim duchy ludzi, którzy już zeszli ze świata, tych, którzy teraz są na ziemi i tych, którzy jeszcze się nie narodzili. Przejmujemy robotę dziejową od poprzedników i dajemy ją następcom”. Ale z tego słusznego ujęcia nie wynika jednak konieczność tradycjonalizmu, lecz tylko łączności duchowej z narodem, nie odrzucania pozytywnych jego zdobyczy historycznych. Doskonale precyzuje to Dmowski w „Myślach Nowoczesnego Polaka”: „Jestem Polakiem - to znaczy, że należę do narodu

polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości; to znaczy, że czuję swą ścisłą łączność z całą Polską; z dzisiejszą... i z tą, która przed tysiącleciem dźwigała się dopiero, skupiając koło siebie pierwotne, pozbawione indywidualności szczepy i z tą, która w połowie przebytej drogi rozpościerała się szeroko, groziła sąsiadom swą potęgą i kroczyła szybko po drodze cywilizacyjnego postępu, i z tą, która później staczała się ku upadkowi, grzęzła w cywilizacyjnym zastoju, gotując sobie rozkład sił narodowych i upadek państwa, i z tą, która później walczyła bezskutecznie o wolność i niezawisły byt państwowy, z przyszłą wreszcie bez względu na to, czy zmarnuje ona pracę poprzednich pokoleń, czy wywalczy sobie własne państwo, czy zdobędzie stanowisko w pierwszym szeregu narodów. Wszystko, co polskie jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne”.

Z wielkich, budzących dumę tradycji, jakaż żyje aż po dzień dzisiejszy? Jedna tylko: tradycja polskiej kawalerii. Od Płowic i Grunwaldu poprzez Obertyn, Kłuszyn, Kircholm, Wiedeń, Samosierę snuje się barwna nić aż po Rokitnę, Krechowce i rok 1920. Inne tradycje są albo zamarłe, albo błahe, albo sięgają wstecz niewiele dalej, niż na jedno stulecie. Tak jest przede wszystkim z naszymi powstaniem. 1863 rok żyje jeszcze wśród nas przez swych ostatnich reprezentantów, ale tradycja powstańcza, tak żywa jeszcze dla ludzi wychowanych w niewoli, młodym, narastającym pokoleniom mówi dużo mniej. Toż dzisiaj studiuje na wyższych uczelniach generacja, która z własnych przeżyć nie pamięta nawet 1920 roku, a już rok 1920 nie był walką powstańczą, lecz wojną niepodległego państwa. Jeszcze lat kilkadziesiąt, a rok 1863 będzie znaczył mało co więcej, niż konfederacja Dzikowska, a z pewnością mniej, niż Zbaraż i Częstochowa, chyba że znajdzie swego Sienkiewicza, co jest więcej niż wątpliwe.

Publicystyka współczesna, zwłaszcza narodowo - demokratyczna podkreślała często konieczność oderwania się duchowego od czasów niewoli, przypomnienia sobie, że Polska rozpoczyna się nie od Nocy Listopadowej, lecz blisko dziewięćset lat wcześniej. Hasło to słuszne, bo niepodległe państwo, żyjące wspomnieniami okresu, kiedy go nie było, byłoby czymś paradoksalnym. Ale w hasle tym dźwięczy nieco nuta walk orientacyjnych, dźwięczy ona i w stanowisku przeciwnego obozu, który święci wciąż w kółko obchody: listopadowy i styczniowy. Spór to przemijający. Niewątpliwie poczucie związania z całością historii narodowej zwycięży nad wspomnieniami niewoli. Ale co robić, jeśli z prawdziwych tradycji „przedrozbiorowych” poza kawalerią nic prawie nie przetrwało? Czy sztucznie hodować tradycjonalizm?

Usiłowania takie istnieją. A ponieważ trudno nawiązać tradycję do całości ośmiuset lat życia państwowego, ponieważ dotąd nie umieliśmy wyciągnąć syn- tezy z dziejów Polski, a tym bardziej uchwycić cech charakterystycznych narodu w jego wszechstanowej i wielowiekowej całości, ludzie, których kwietyzm myślowy skłania do pójsia linią najmniejszego oporu poddają się urokowi

Rzeczypospolitej szlacheckiej XVI i XVII stulecia. Zapewne dużo jest istotnego bohaterstwa w walkach Rzeczypospolitej, każdy pochyli z czią głowę przed wielkimi duchami Żółkiewskich i Czarnieckich, a krytyka szkoły krakowskiej, mogąca nas zatruć zwątpieniem musiała obudzić reakcję. Sienkiewicz pisał Trylogię dla pokrzepienia serc i spełnił przez to - cokolwiek by o nim pisano - wielkie zadanie w czasach niewoli a i dziś nie przeszła je być pożytecznym źródłem wzruszeń patriotycznych jako sui generis psychiczne przysposobienie wojskowe. Ale nie wynika stąd, aby na dzieje Polski patrzeć przez pryzmat Sienkiewicza.

Dużo jest istotnego uroku w życiu ziemiańsko-szlacheckim. Któż zaprzeczy estetycznym walorom dworku szlacheckiego i owej „swojszczyzny”, którą nadyszeć się można przy lekturze „Pana Tadeusza” lub pamiętników Paska. Są to trwałe pozycje cywilizacji polskiej, ale - zapytać trzeba - czy nie zostały one zdobyte wielką, straszliwą ceną? Przeczytajmy następujący sielankowy opis: „Nie ma na świecie mocarza, który by mógł nie pozazdrościć doli szlacheckiej. Była ona oparta na niezależności materialnej, wynikającej z posiadania własnej ziemi i na zdrowiu i pogodzie moralnej. A te zawdzięczał szlachcic pracy na ziemi i obcowaniu z przyrodą w prostocie i umiarkowaniu, jakiego uczy ona swe dzieci, gdy żyją z nią w miłującym zjednoczeniu... Ziemianin był jedynym prawdziwym „panem na świecie w myśl słów Kochanowskiego: „Ten pan, zdaniem moim, co przestał na swoim”. Był panem swego domu i ziemi... I nie było w tym „państwie szlachcica, przewagi uczuć niskich i gminnych. Nie było bezserdecznego hołdowania korzyściom materialnym...” Kiedy czytam te słowa, napisane (mniejsza o to przez kogo) anno Domini 1934, przecieram oczy. Owa „pogoda moralna”, z którą szlachcic patrzył na zgięte karki chłopów pańszczyźnianych, wlewających w siebie po ciężkim dniu darmowej pracy kwaśne piwo z żydowsko - dworskiego browaru, bo tak pan kazał, aby móc więcej zarobić! Owa „prostota i umiarkowanie”, w myśl której szlachcic wypijał oceany węgryzna (bez cła), - stroił się w bezcłowe jedwabie, złotogłowie, adamaszki! Owo przestawanie na „swoim”, polegające na bogaceniu się cudzą pracą, odmawianiu podatków, rozdrapywaniu królewsczyzn... Nie było uczuć „niskich i gminnych”, ani „bezserdecznego hołdowania korzyściom materialnym”, tylko stałe uniemożliwianie reformy ustroju, naprawy skarbu, tylko rujnowanie miast polskich w sojuszu z Żydami, wydrwienie ślubów lwowskich Jana Kazimierza, podarcie statutów Jędrzeja Zamoyskiego, drapieżne bronienie pańszczyzny, wreszcie hańba sejmów rozbiorowych. Historia trzech wieków Rzeczypospolitej elekcyjnej, to jedna wielka zbrodnia, dokonywana przez szlachtę na narodzie polskim ręką w rękę z Żydami.

Kto chce się opierać o tradycję narodową powinien wiedzieć i pamiętać, co to jest naród polski. Trzeba pamiętać, że 4/5 tego narodu to warstwy bez historii, gdzie dziesiątkami lat nic się nie działo, tylko wciąż ta sama nędza i wciąż ta sama krzywda. Analizując dawny ustrój Polski nasi tradycjoniści gotowi są w drodze reakcji przeciwko szkole krakowskiej idealizować go za to jedynie, że był polski, ba szukać w jego prawach ducha narodu polskiego, zapominając, że dla 4/a

naszych przodków prawem konstytucyjnym była nie wolna elekcja, nie Pacta Conventa, lecz pańszczyzna i sądy patrymonialne. Niejeden apologeta dawnej Polski wierzy, iż żyje w nim tradycja narodowa i nie zdaje sobie sprawy, że to tylko tradycja warstwy, z której pochodzi.

„Ustrój Polski - mówi Mickiewicz - polega na wewnętrznym popędzie i dobrowolności”, innymi słowy był ustrojem demokratycznym. Tylko, że ta demokracja była w stylu ateńskim: jak tamta opierała się na tyranii wobec klasy niższej, której w ogóle nie zaliczano do narodu. Tam niewolnicy - tu chłopci.

Nie był takim, jak to starałem się wykazać w pierwszej części mej książki - ustrój Polski średniowiecznej. Dopiero czasy Renesansu, asymilacji rzymskich pojęć prawnych z jednej strony, a rozdzwieniu między koroną i społeczeństwem z drugiej - przyniosły ową fatalną przewagę szlachty, która w swym egoizmie klasowym podeptała nawet najszlachetniejsze tradycje, tytuły do chwały swojej i swych przodków. Mówię o ograniczeniach skartabellatu, coraz bardziej rygorystycznych.

Sama zasada szlachectwa wywodzi się od daniny krwi. Szlachcic - to rycerz, to przedstawiciel warstwy, która posiada prawo polityczne, ziemię i wolność od podatków za cenę posługi wojennej. Trudno negować, że wielka część szlachty ten obowiązek spełniała w sposób bohaterski, niosła na ostrzach szabel honor Rzeczypospolitej. Ale ogół daleki był od tego. Zawsze prawie sejm odmawiał podatków na wojnę i spychał obronę granic na głowy hetmanów, którzy własnym i swych przyjaciół kosztem ekwipo- wali skromne, bohaterskie hufce i dokazywali cudów waleczności, wygrywając beznadziejne bitwy, lub z największą chwałą kładąc siwe głowy na pobojuwiskach. Ale era wielkich hetmanów skończyła się szybko, a obojętność ogółu pozostała. Pospolite ruszenie prawie zawsze zawodziło. Honoru Polski i jej granic, jak słusznie przypomniał Olgierd Górka - bronili przede wszystkim kwarciarz i łanowi, czyli owe „chamy” bez klejnotu, pomiatane przez „dobrze urodzonych”, którzy pokazywali jak uciekać z pod Pilawiec, jak zdradzać pod Ujściem, którzy wciągali ich w wojny domowe, związki „święcone”, bunty magnackie... A już, co było najpotworniejsze, to podwójna miara stosowana do chłopów i... Żydów. Żyd chrzczony dostawał bez trudności, niemal automatycznie - szlachectwo<sup>12</sup>. Chłop polski, autochton, żywiciel społeczeństwa, nie mógł, niestety, zdobyć klejnotu przez chrzest, bo... był już ochrzczony. On mógł tylko, o ile był z królewskiej lub z włości hetmańskich, łąć swą krew na polach bitew, osłaniać swą pierś Recz- pospolitą w nadziei, że może w wyniku jakiegoś wyjątkowego, bijącego w oczy bohaterstwa, uzyska łaskę

---

<sup>12</sup> Na podstawie Statutu Litewskiego.



skartabellatu, o ile sejm sześćo-niedzielny nie będzie zerwany i o ile większych kłopotów na jego sesjach nie będzie.

Żyd nie potrzebował takiej legitymacji szlachectwa...

Jeżeli piszę o tych haniebnych faktach, to nie po to, aby rozżarzać nienawiść klasową, aby ów tragiczny podział narodu pogłębiać, aby karać dzisiejszych potomków szlachty za winy ich przodków, za które pokutowała przez sto pięćdziesiąt lat niewoli. Niewzruszoną linię zbrodniczego egoizmu z bardzo nielicznymi wyjątkami zachowały jedynie rody magnackie, które po doprowadzeniu Rzeczypospolitej do upadku otworzyły okres niewoli przyjęciem od zaborców tytułów arystokratycznych, zakończyły zaś służbę u żydowskich bankierów i kapitalistów. Plutokratyczne podłoże złączyło duchowo międzynarodówkę arystokracji z międzynarodowym żydowstwem; bez najmniejszych więc skrupułów dali się kupić jeszcze jednemu zaborcy, aby mieć czym pozłocić na nowo swe wytarte mitry. Toteż czas już, aby warstwa ta uległa całkowitej likwidacji. Fortuny jej nie są zdobyte uczciwiej, niż bogactwa plutokracji żydowskiej.

W przeciwieństwie do magnatów, średnia i drobna szlachta zapłaciła strasznie za swe dawne winy. Każdy poryw zbrojny w okresie porozbiorowym przynosił w wyniku najofiarniejszym jednostkom utratę ziemi, jedyne warsztatu pracy, do którego były dostosowane. Takie same skutki ekonomiczne wywołało zniesienie pańszczyzny oraz przemiany w światowej gospodarce rolnej. Dziś przeżywamy zakończenie tego okresu. Resztki szlachty wegetują na roli w nad wyraz ciężkich warunkach, z fatalizmem oczekując ruiny, większość przeszła ten okres w poprzednich pokoleniach i walczy ciężko o byt w kadrach inteligencji pracującej. Szlachta, jako warstwa przestała właściwie istnieć, pozostała tylko - nie tradycja, ale cień tradycji - wspomnienie.

Niemniej przez swoją licznosc i przez masowy od połowy XIX w. napływ do miast, szlachta narzuciła swój styl życia miejskiemu, w którym stare tradycje mieszczańskie wygasły już w XVII wieku. Styl ten, dziś mniej już zresztą czysty, bo zbrukany manierą żydowską odróżnia Polskę, a zwłaszcza b. zabór rosyjski od życia miejskiego innych krajów. Gdy np. we Francji styl „stanu trzeciego” wyparł niemal doszczętnie tradycje Wersalu, u nas przeciwnie, szlachecki sposób bycia asymiluje nawet ludzi pochodzenia chłopskiego. Nie wszędzie co prawda. W byłym zaborze pruskim powstał specjalny styl inteligencji miejscowej pochodzenia chłopskiego, przefiltrowane- go przez dwa pokolenia życia mieszczańskiego, styl, który tak drażni inteligencję „królewiacką”. Z tego samego źródła wypływa niechęć przesiąkniętego szlachetczyzną społeczeństwa polskiego wobec chłopskiego społeczeństwa czeskiego. Ale jest to stan przejściowy. Dziś zaczyna przemawiać silnym głosem polska wieś pochodzenia chłopskiego. Jest to zjawisko dość nowe. W czasach największej „chłopomanii” inteligencja, pochodzenia szlacheckiego, szła jak na posterunek społeczny do pracy nad bezwładną, odrętwiałą jeszcze po czterystu latach pańszczyzny masą ludową, a wybijające się jednostki chłopskie jak Kasprowicz lub Reymont zrywały wkrótce kontakt ze swoim środowiskiem

społecznym. Dzisiaj wieś polska poczyną ruszać na miasta, przejmować w swe ręce coraz większy odcinek życia narodowego. Jest to jedno z najjaśniejszych zjawisk rzeczywistości polskiej. Oczywiście, straci na tym powierzchowna „kultura” salonowa, ale struktura społeczeństwa stanie się na koniec normalna. Dawnego poluru, dawnego „façon d'etre” można melancholijnie żałować jako waloru czysto estetycznego, ale martwić się i biadać nie należy, więcej, byłoby to wręcz grzechem wobec narodu.

Jedno jest jasne: nawiązywanie tradycji do tej fazy dziejowej Polski, kiedy była ona podzielona na dwa odrębne światy, nie jest myśleniem prawdziwie narodowym: Nie wpadajmy w przesadę z „polskością” Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ostatecznie to tylko trzy stulecia wobec pięciu, które je poprzedziły, a które jednak były inne i bardziej zwarte społecznie. Popęlniamy tu podobny błąd jak w architekturze, gdy wielbimy „polski” styl dworków i, protestując przeciw modernizmowi, chcemy każdy domek Żoliborza zdobić w kolumnienki i czerwone, łamane dachy. Skąd ten „polski” styl w architekturze? Nieporozumienie płynie stąd, że wojny kozackie, moskiewskie, szwedzkie zniszczyły doszczętnie dawniejsze, przeważnie drewniane budownictwo, po czym pobudowano się w stylu współczesnym, t. j. w baroku. Styl ten zróśł się z naszym krajobrazem, nabrał cech dość odrębnych i stał się istotnie polskim stylem, ale tylko w znaczeniu jednego z możliwych polskich stylów. Nie popełniamy w innej dziedzinie tego samego błędu; nie uważajmy baroku ustrojowego i obyczajowego za jedyny polski styl w tych dziedzinach. Można wytworzyć polski styl budowlany z betonu, polonizując powoli kanony modernizmu, można też samodzielnie stworzyć polski ustrój, lub ustrój, który stanie się polskim, nie stosując przesadnie tradycji. Trzeba mieć więcej wiary w siebie jako produkt ducha polskiego, wówczas nie trzeba będzie legitymować się tradycją. Nie jesteśmy chyba mniej Polakami niż Ostroróg, Frycz-Modrzewski, Skarga. Nie należy chodzić linią najmniejszego oporu; tworzyć jest trudniej niż kopiować. Nie kopiujemy bezmyślnie zagranicą, lecz i nie naśladujemy mechanicznie dawnych, swojskich dekoracji. Jeśli duch narodu jest twórczy, wymodeluje on każdy pomysł. Ostatecznie w Rosji nawet komunizm poczyną stawać się kacapskim. Nasz ustrój narodowy tym ma się różnić od międzynarodowego bolszewizmu, że nie wbrew woli twórców, ale właśnie przez ich wysiłek torować sobie będzie drogę tysiącletni duch narodu, tak jeszcze mało przez nas znany, a tak jednak silny, że przetrzymał i zwyrodnienie i niewolę.

## Chleb i twórczość

*Trzeba obalić wszelkie stosunki, w  
których człowiek jest upodlony, ujarzmiony,  
opuszczony i wzgardzony.*

Karol Marx

*Usunęłyby się najwyższą piękność  
rzeczy, gdyby się usunęło od nich porządek,  
polegający na rozróżnieniu i nierówności.*

Św. Tomasz z Akwinu

Kilka lat temu rozmawiałem z pewnym wybitnym uczonym francuskim. Niemłody już ten człowiek, dowiedziawszy się, iż studiuję filozofię, roześmiał się lekceważąco:

- Młodzińcze - rzekł - pozwól, że dam Panu radę doświadczonego człowieka. W filozofii łatwo zablądzić, uwierzyć w istnienie chimer. Pamiętaj Pan, że prawdziwa filozofia dotyczy jedynej rzeczywistości, to jest tego...

Tu wskazał na żołądek i na genitalia.

Trudno ująć brutalniej i lapidarniej ducha epoki kapitalistycznej. Instynkt zaspakajania głodu i instynkt rozrodczy są zapewne, ważnymi i niezbędnymi motorami życia ludzkiego: pierwszy utrzymuje przy życiu człowieka, drugi - generację; ale życie ludzkie bynajmniej w nich się nie streszcza. Są to funkcje biologicznej natury ludzkiej, a chociaż fatalną siłą ciężkości natura nasza spycha nas w dół ustawicznie, choć kusi nas do zdrady i upadku, to jednak w duszy każdego człowieka tkwią siły oporu i sprzeciwu, tkwi poczucie wartości wyższych, będących wartościami prawdziwymi. Ten dualizm, powodujący dramatyczną walkę wewnątrz nas rodzi teorie, sprzyjające przeważeniu szali na rzecz jednej lub drugiej strony. Skrajny antynaturalizm, traktujący ciało jako więzienie duszy, prowadzi do ascetyzmu typu jogów indyjskich, ascetyzmu ponurego i bezpłodnego, gardzącego tym, co dla olbrzymiej większości winno stanowić cel życia na ziemi: doskonalenie siebie przez udoskonalanie świata, innymi słowy - twórczość duchową. Ale ten omam myśli ludzkiej przestał od czasu herezji gnostyckich gnębić cywilizację zachodnio-europejską, opanował ją natomiast naturalizm, stanowiący filozoficzne uzasadnienie zdrady duchowej Europy, wyładowującej swą energię w użyciu.

„Troskę o bezustanne doskonalenie się - mówi Daniel Rops - zastąpił człowiek brutalną żądzą zadowolenia materialnego. Beżład gospodarczy istnieje wskutek oparcia całego systemu na pierwiastku wy-łącznie materialnym: na dążeniu do rozkoszy życiowych”. Zapewne, nawet w najbardziej idealistycznej epoce średniowiecza nie brakło ludzi, oddanych rozkoszom biologicznym; chciwość, pijaństwo i rozpusta kwitły w najlepsze nawet wśród duchownych, na-wet wśród krzyżowców u stóp Jerozolimy, ale ci ludzie, grzesząc, posiadali poczucie upadku i nikt im nie tłumaczył, jak dziś freudyści, że wszelka „cenzura moralna” paczy rozwój duchowy, że człowiek, igraszka od pierwszych chwil życia swych popędów seksualnych, nie odpowiada moralnie za swe czyny, że „wy-życie się” jest najlepszą drogą do osiągnięcia pełni człowieczeństwa. Zapewne, pierwsi nowożytni kapitaliści, owi amsterdamscy Żydzi i londyńscy purytanie byli na ogół cnotliwsi od rycerstwa średniowiecznego, można ich nawet nazwać ascetami, ale ascetyzm ich był zazwyczaj postacią posuniętej do maksimum celowości, przy czym celem było gromadzenie bogactw i uzyskiwanie materialnej potęgi. Ascetyzm skąpca, konającego z wycieńczenia na barłogu, wypchanym złotem jest zwyrodniałą odmianą tego samego ducha, który spotykamy u używających życia utracjuszy na Rivierze czy Florydzie. Żądza zysku i żądza użycia to dwa oblicza społeczeństw kapitalistycznych, a „homo oeconomicus” Smitha i „homo sexualis” Freuda są ich odbiciem w dziedzinie teorii. Spaczone zostało pojęcie głównych zadań człowieka na ziemi: twórczość zastąpił kapitalizm wytwórczością, a ciągły wzrost potrzeb duchowych czyli dążenie do doskonałości - ciągłym wzrostem potrzeb cielesnych czyli dążeniem do luksusu.

Mówiąc, że twórczość zastąpiono w hierarchii celów wytwórczością, nie chcę przez to bynajmniej rozróżniać w sposób jaskrawy i sztuczny t. zw. pracy umysłowej od fizycznej, traktując tę drugą jako oznakę niższości duchowej, pochodzącej od zetknięcia się z materią. Ostatecznie bowiem każda praca - nie wyłączając nawet niezapisanych improwizacji Mickiewicza - jest odciskaniem swego ducha w tworzy-wie materii. Istotny jest przy tym nie stopień materialności tworzywa (malarstwo akwarelowe np. nie jest bardziej uduchowioną formą pracy od rzeźby w granicie), lecz stopień psychicznego stosunku twórcy do przedmiotu tworzonego, stopień wysiłku duchowego w realizowaniu wartości kulturalnych. Dlatego np. praca osadnika, karczującego prasłowiańską puszcę pod uprawę była pewnym - i to dość wysokim - gatunkiem twórczości, portrety zaś Tadeusza Styki reprezentują jedynie wytwórczość.

Pogarda dla pracy fizycznej, jak to już Marx zauważył, wywodzi się z cywilizacji antycznej, opartej na niewolnictwie. Operujący słowem poeci byli szanowani i to tak dalece, że np. Sofoklesowi ofiarowano w dowód uznania za „Antygonę” dowództwo eskadry w wojnie samijskiej: wielki zaszczyt w wojskowo - żeglarskim społeczeństwie. Ale w tym samym czasie rzeźbiarze, operujący dłutem stali w hierarchii socjalnej niezmiernie nisko: Perykles, mimo całej swej życzliwości i przyjaźni dla Fidiasza nie mógł przyjmować go w swym domu. Ta pogarda pozamilitarnego wysiłku fizycznego istniała również w Rzymie i w całym świecie antycznym.

Utrzymała się ona po części i w średniowieczu, ale jako już bardzo blady odbłask pogardy antycznej. Chrześcijaństwo nobilitowało pracę rąk ludzkich, uznawszy Boga w cieśli, a władcę duchowego w rybaku; pamiętał o tym nie tylko chłop pańszczyźniany i czynszowy, nie tylko dumny ze swych wolności mieszczanin, ale (choć z trudem i niechęcią) również szlachcic i pan feudalny, a już najlepiej wiedział o tym ówczesny intelektualista, obowiązany obok studiów i modłów do pracy ręcznej w zakonie. Nie znaczy to oczywiście, aby czasy te były idyllą: pycha ludzka istniała zawsze - ale nie miała podówczas poważnego argumentu teoretycznego, pozwalającego, jak dawniej, z dobrą wiarą pogardzać pracą fizyczną. Dopiero w epoce kapitalistycznej rozżarzył się na nowo przygasły płomień pogardy, a jeśli zawinił tu humanizm, wpatrzony ślepo we wzory starożytne, to równie silnie zaważył wpływ judaizmu, zrodzony z Talmudu i ukształcony w wiekowej szkole praktyki bankiersko - lichwiarskiej. I we współczesnej niechęci towarzyskiej do rąk grubych i twardych oń pracy żyje może nie tyle duch feudała (który wśród bitwy równie znośnie obracał toporem jak prosty drwał w jego lesie) ile duch pierwszego barona Rotszylda, który w obawie strefnienia swych dłoni nigdy nie dotknął kłamki, zanim nie wytarł jej (i nie odkaził rytualnie) biegle w tych sprawach lokaj - specjalista.

Ta pogarda pracy fizycznej uzyskiwała coraz głębsze podłoże w miarę postępów kapitalizmu. W średniowieczu (mówiąc: średniowiecze - myślę o wieku XIII) trzy niezbędne elementy produkcji: przetwarzany materiał (i możliwość jego nabycia), fizyczny trud przetwarzania materiału i myślo- w y trud celowości tej pracy - jednoczyły się w jednym i tym samym człowieku. Kapitalizm rozbił ów proces między trzy odrębne grupy społeczne: pracowników fizycznych, obrabiających materiał, kierowników, troszczących się o celowość tej pracy i finansistów, umożliwiających zakup materiału, stosunki zaś między tymi grupami oparł na zasadzie wymiany towarowej. Maszyna parowa, koncentrująca produkcję i zmniejszająca zapotrzebowanie pracy fizycznej zakończyła ów proces gospodarczy i wytworzyła typ robotnika, skazanego na trud czysto wytwórczy, pozbawionego zarówno swobody urządzania sobie warunków pracy jak i swobody w pracy samej.

Z istoty tych przemian wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy. Na jednym ze zjazdów filozoficznych usłyszałem z ust pewnego socjalisty zdanie pełne goryczki: „Ceni się wysoko pracę artystów Renesansu, ale nikt nie ocenia współczesnego artysty-robotnika, tworzącego piękną linię karoserii samochodowej”. Otóż krzywdą robotnika polega nie na niedocenianiu jego pracy, lecz na odebraniu mu możliwości pracy prawdziwie twórczej. Technika produkcji samochodowej nie pozwala robotnikowi nawet w najmniejszej mierze być artystą. Linię karoserii tworzy inżynier, architekt, technik; - robotnik pilnuje tylko maszyn odlewniczych, a potem czysto mechanicznie montuje odlane części. Podobnie w fabryce mebli robotnik wytwarza z drzewa formy, które stworzył w swym mózgu nieznanym mu, często odległym o cały kontynent - architekt. W tym

utożsamieniu twórczości z pracą umysłową a pracy fizycznej ze zwykłą wytwórczością leży siła trwania przesądu o niższości warstw, oddanych tej pracy, wyższości zaś warstw nie oddających się jej<sup>13</sup>.

Podział ten idealnie wprost odpowiada nawykom, które ludzie wynieśli z wielowiekowego współżycia w ustroju, opartym na niewolnictwie i które nigdy - nawet w średniowieczu - nie przestały odgrywać roli. Spod ich sugestii nie wyzwolił się nawet ruch socjalistyczny, szczególnie w osobach swych reprezentantów, którzy społecznie rekrutują się z warstw „wyższych”. Myślę tu przede wszystkim o Bertrandzie Russelu i jego wizji socjalistycznego świata, w którym praca dzienna trwałaby cztery godziny, resztę zaś czasu poświęcałby człowiek zainteresowaniom kulturalnym, nie mającym nic wspólnego z jego czysto mechanicznym zajęciem. Trudno o bardziej arystokratyczną pogardę dla pracy niż ta, która przebija z dzieł potomka książąt Bedford, w szczególności z jego „Pochwały próżniactwa” i „Perspektyw cywilizacji przemysłowej”. Obywatel przyszłości socjalistycznej dzieliłby swój dzień na godziny, poświęcone wytwórczości materialnej i (nierównie liczniejsze) godziny, poświęcone konsumpcji duchowej. Ale aby konsumować dobra kulturalne trzeba je przed tym tworzyć.

Bertranda Russela oburzyłoby, oczywiście, podobne streszczenie jego poglądów. Nie sądzi on, aby godziny wolne od pracy miały charakter konsumpcyjny. Sądzi, że wzrosną zamiłowania, pozwalające na inteligentne wyzyskanie wolnego czasu: ludzie zajęliby się „przyjemnościami, w których odgrywaliby rolę czynną”. Jako przykład daje on zanikające dziś tańce ludowe. Ale tańce ludowe powstały przy dniu pracy dłuższym nieco niż cztery godziny, dłuższym nawet niż dzisiejsze miejskie osiem godzin, a zabija je nie co innego, niż właśnie cywilizacja przemysłowa, z której Russel jest tak dumny.

Młodzież wiejska po osiemdziesięciogodzinnym tygodniu pracy znajduje w sobie siły do tańca i śpiewu, bo (powyżej pewnego minimum egzystencji) nawet ciężka, ale twórcza praca na swoim daje satysfakcję duchową i ochotę do czynnej zabawy. Robotnik wielkoprzemysłowy po dwunastu godzinach pracy wychodził śmiertelnie zmęczony, po ośmiu wychodzi ogłupiały, po czterech - będzie wychodził zirytowany i pójdzie najwyżej do kina, albo kopać piłkę na boisku. Gdyby ograniczanie pracy wzmacniało twórczość duchową - najbardziej twórczymi ludźmi byłiby polscy arystokraci żyjący z zasiadania w radach nadzorczych na Śląsku. Dobra kulturalne tworzy się

---

<sup>13</sup> „Inwencja twórcza - pisze Stanisław Piasecki - w sporządzaniu najzwyczajszego drobiazgu użytkowego stawała się coraz bardziej wyłączną domeną garstki speców od projektowania maszyn i stanc, z których maszyny odbijały w setkach tysięcy standaryzowane, jednakowe przedmioty”.

w trudzie i obowiązku, a człowiek wypowiada się duchowo w pracy, nie w kulturalnych rozrywkach i beztróskim dyletantyzmie.

Skąd pochodzi w człowieku wewnętrzny pęd do twórczości, pęd, który jest motorem dziejów i dźwigaczem cywilizacji? Myślę, że istotną jego pobudką jest przyrodzone człowiekowi niezadowolenie z siebie. Człowiek, istota upadła, posiada pojęcie doskonałości, nie umie zaś być doskonały. Stąd owe dramatyczne i piękne dążenie wzwyż, tęsknota do doskonałości i nakaz metafizyczny ustawicznego doskonalenia się. Jest to dążenie do harmonii wewnętrznej, której nigdy w pełni osiągnąć nie można. Owa męka ducha ludzkiego wypowiada się najpiękniej w sztuce, ale w każdej dziedzinie odnaleźć można jej ślady. Twórczość to doskonalenie siebie przez udoskonalanie świata zewnętrznego. Toteż praca jako zdobywanie chleba jest przekleństwem, ale praca jako twórczość ma w sobie coś ze świętości. „Praca - mówi pisarz z XIII wieku, Wincenty z Beauvais - wyzwala nas od konieczności, której poddane jest nasze ciało od chwili grzechu pierworodnego”. Rozumieli to jego współcześni: cechy średniowieczne były zarazem organizacjami gospodarczymi i bractwami religijnymi.

Pozbawiona cech twórczości praca jest istotnie przekleństwem i będzie nim zawsze, niezależnie od systemu ekonomicznego. Fakt ten posiada doniosłe konsekwencje w dziedzinie kultury społecznej. Kultura nie jest tylko spadkiem pokoleń, z którego się czerpie, lecz i wartością, którą musi tworzyć każde pokolenie. Tyle warte jest społeczeństwo, ile warta jest jego kultura. Społeczeństwo, w którym wszelka praca jest pracą wytwórczą, zaś charakter duchowy posiadają jedynie rozrywki i nieobowiązujący dyletantyzm (a do tego sprowadza się wizja russellowska) albo cofnęłoby się pod względem cywilizacyjnym, albo zmuszone by było zapożyczać się kulturalnie u obcych. Pewne cechy tego rodzaju posiadają Stany Zjednoczone Ameryki Północnej z ich stanem kultury odwrotnie proporcjonalnym do rozmachu technicznego, co łatwo stwierdzić może każdy widz w kinematografie<sup>14</sup>. Fatalności tej ulega i Rosja sowiecka.

Zwolennik Russella, polemizując ze mną może mi zarzucić złą wolę. Przecież nikt nie powiedział, że w socjalistycznym społeczeństwie przyszłości nie będzie produkcji dóbr kulturalnych. Obok uświadomionych proletariuszy - robotników istnieć będą uświadomieni proletariusze - inżynierowie, kierownicy produkcji, twórcy i kontrolerzy planu gospodarczego, teoretycy, publicyści, artyści. Zgoda. Ale w takim razie zagraża inne, niemniej groźne niebezpieczeństwo: powrót klasowości. U podstaw jego bowiem leży nie tylko rozdział na własność bez pracy i pracę bez

---

<sup>14</sup> Prof A. Heydel w swych „Myślach o kulturze” robi ciekawe spostrzeżenie, że Jankesi, posiadając u siebie wspaniałą przyrodę, nie wytworzyli dotąd niczego godnego uwagi w dziedzinie pejzażu.

własności, ale w równym stopniu rozdział między intelektualną pracę kierownika i fizyczną pracę wykonawcy z nieodłącznym poniżeniem pracy fizycznej w hierarchii wartości kulturalnych. Klasa twórców - intelektualistów mimo swego „proletariackiego” pochodzenia pocznie odcinać się od klasy wy-twórców - wyrobników i albo zaczną boleśnie odczuwać równość proletariacką, albo (co na dalszą metę prawdopodobniejsze) wyzyska swe wpływy i swą niezbędność dla zapewnienia sobie i swym dzieciom wyższej stopy życiowej, a to jest możliwe tylko na drodze prawnych lub pieniężnych przywilejów. W ten sposób wytworzyć się musi albo stan neoszlachecki, albo klasa neoburżuazyjna. Widzimy to po części w Sowietach, gdzie mimo szczerych dążeń do bezklasowości, opartej o zbiorowy entuzjizm społeczny, porzucono system „urawniłowki” na rzecz wyodrębnienia klasy wyższej: kierowniczej.

Każdy ustrój, oparty o rozdział pracy na twórczą i wytwórczą, musi prowadzić do odrodzenia klas społecznych<sup>15</sup>. Ponurą wizję takiego ustroju dał Huxley w „Nowym wspaniałym świecie”, gdzie rozgraniczenie już nie klas lecz kast przeprowadzone jest w sposób idealnie dokładny od twórczych Alfa Plusów, aż do czysto wytwórczych Ypsilonów półkretynów, którym wpojono zresztą wiarę, że ich klasa jest najszlachetniejsza, a ich zajęcie najważniejsze. Rozdział klasowy utrwała się, oczywiście przez złączenie wyższości socjalnej nie tylko z wyższymi do chodami, lecz i z prawami majątkowymi, ale ten ostatni składnik nie jest konieczny. Raz zaznaczone różnice socjalne i raz rozbudzona pogarda klasowa potrafi zbudować chiński mur w społeczeństwie bez wprawiania z powrotem w ruch maszyny kapitalizmu. Wystarczy odrębny „façon d'être”, akcentujący wyższą kulturę środowiska, choćby tak bezwartościowy społecznie jak przedwojenna znajomość francuszczyzny i umiejętność gry fortepianowej mieszczańskich wyznawczyń Griega i Gypsa.

Powtarzano mi niedawno charakterystyczną rozmowę zasłyszaną w czynszowej kamienicy warszawskiej. Rozmówczyniami były dwie siostry ze sfery, jakby marksściści powiedzieli: drobnomieszczańskiej; jedna była akuszerką, druga - żoną mechanika z warsztatów lotniczych. Akuszerka nacierała ostro na siostrę:

- Jak ci nie wstyd przyjaźnić się z tą służącą z drugiego piętra? Czy już nie masz innych sąsiadek do rozmowy?
- Czego ty chcesz od niej? Porządna kobieta i ja ją lubię...

---

<sup>15</sup> Henryk de Man w „L'Idée socialiste” pisze: „W ustroju kapitalistycznym rozdział pracy na kierowniczą, pracę umysłową i wykonawczą pracę fizyczną przemienia się w podział klasowy”. Sądzę, że proces taki nieuchronny jest w każdym ustroju.



- Tak, ale nie mieszka u siebie! Nie figuruje na liście lokatorów!

Powie ktoś: typowy przykład dla stosunków kapitalistycznych i ich wpływu na drobnomieszczaństwo. Zapewne... zapewne... Ale gdy czytam, że w Sowietach po skasowaniu „urawniłowki” intelektualiści wynajmują sobie wille podmiejskie, podczas gdy proletariat wyrobniczy (co tak zachwyca Russella) mieszka przy fabrykach, celowo tam koncentrowany dla usprawnienia pracy zespołowej - przychodzi mi na myśl, czy za lat kilka podobna rozmowa nie będzie możliwa w Moskwie?...

Tendencje odradzania się klasowości istnieć będą zawsze bez względu na ustrój, bo zawsze istnieć będą jej motory w indywidualnej duszy ludzkiej: pycha i próżność człowieka. Przywar tych nie usunie się środkami społecznymi; aby je wykorzenić, trzeba nie reformować ustrój, lecz leczyć dusze. Praca to dla kaznodziei i spowiednika. Ale istnieją warunki społeczne, faworyzujące rozwój owych przywar. Są nimi:

1. rozdział między siłami produkcyjnymi a własnością, ściślej mówiąc między ludźmi produkującymi i ludźmi posiadającymi narzędzia produkcji;
2. rozdział między pracą wytwórczą i twórczą, t. j. między ludźmi pracującymi wytwórczo i twórczo.

Socjalizm we wszelkich jego odmianach utrzymuje w całości rozdział drugiego typu, natomiast rozwarcie między siłami produkcyjnymi a własnością usunąć pragnie przez zniesienie własności prywatnej. Ale jest to reforma nie sięgająca istoty rzeczy, szczególnie przy takim rozwiązaniu, do jakiego doszła w wyniku dwudziestoletniego doświadczenia Rosja Sowiecka: przy kapitalizmie państwowym. Teoretycznie rozdział między siłami produkcyjnymi a własnością jest tam zniesiony, gdyż wszelka własność należy do państwa, państwo zaś - do sił wytwórczych (proletariuszy), ale w praktyce własnością tą dysponują przecież żywi ludzie, ludzie różni od produkujących proletariuszy. Zapewne, i ten rezultat jest zdobyczą niemałą, ponieważ przyrost wartości dokonuje się (co najmniej w teorii) na korzyść ogółu, nie - jak w kapitalizmie - pewnej liczby uprzywilejowanych ludzi, ale problem nie jest przez to rozwiązany. Skoro zaś jednocześnie utrzymuje się rozdział między pracą wytwórczą i twórczą, cała reforma wygląda dosyć nieszczerólnie<sup>16</sup>.

---

<sup>16</sup> Stanisław Piasecki, którego książka: „Prawo do twórczości” nauczyła mnie wiele, stwierdza wprost, iż „stworzony przez ustrój zarówno prywatno-kapitalistyczny jak i państwowo-kapitalistyczny podział na twórców i wytwórców jest równie wielką krzywdą społeczną, jak podział na bogatych i biednych”.

Czyż więc na tej drodze nie można dojść do względnej chociaż bezklasowości? Owszem, można, ale za cenę komunizmu w jego najskrajniejszej postaci i najdalej posuniętych konsekwencjach. Musiałby to być ustrój, znoszący całkowicie łączność między pracą i dochodem, wprowadzający przymusową, darmową pracę i darmowy, niczym z nią nie związany, a równy dla każdego człowieka przydział przez państwo wszystkich bez wyjątku produktów. To z kolei wymagałoby przerwania na państwo całkowitej produkcji i zakazu wytwarzania własnymi rękoma najniewinniejszych nawet, na własny użytek przeznaczonych przedmiotów, poczynając od zabawek, struganych z drzewa przez dzieci. Jest to możliwe za cenę ścisłej kontroli, uniemożliwiającej jakąkolwiek wymianę między ludźmi przydzielonych produktów, co wymaga w pierwszym rzędzie wspólnego zamieszkiwania ludzi pod czujnym okiem władzy i zupełnego odseparowania dzieci od rodziców. Podobny ustrój nie jest bynajmniej utopią: zrealizowała go Rosja Sowiecka, niestety, w jednej tylko i to nieznacznej części swego terytorium, a ironia losu sprawiła, że jest on dostępny jedynie dla wrogów regime'u. Myślę o Wyspach Sołowieckich.

Być może, że istnieją ludzie, których nie zraża tego rodzaju cena, płacona za ideał bezklasowości. Z takimi dyskusja jest w ogóle niemożliwa. Najostrzejsza nawet polemika wymaga bowiem zgodności przynajmniej w jednym punkcie, z którego się wspólnie wychodzi. A z jakiegokolwiek kryterium wyjdziemy: czy zadań moralnych, czy dobra społeczeństwa, czy szczęścia jednostki, nigdy nie dojdziemy do wizji obozu koncentracyjnego lub więzienia jako ideału społecznego<sup>17</sup>.

Skoro jednak odrzucamy tego rodzaju rozwiązanie, trwamy zaś w przeświadczeniu, że klasowość i płynąca z niej walka klas jest rzeczą moralnie i społecznie szkodliwą, musimy szukać Innego wyjścia z trudności.

Usunąć rozpięcie między siłami produkcyjnymi a własnością i zarazem między pracą twórczą a wytwórczą można jedynie przez skupienie w jednych i tych samych rękach wszystkich czterech elementów. Jeżeli ten sam człowiek będzie pracował produkcyjnie i posiadał narzędzia produkcji, jeżeli praca jego będzie zarazem twórcza i wytwórcza, jeżeli zniknie typ właściciela produkującego siłami innych ludzi oraz typ człowieka, pracującego nietwórczo, mechanicznie na cudzym

---

<sup>17</sup> Można wprawdzie twierdzić, że ustrój ściśle komunistyczny ze wszystkimi przytoczonymi przeze mnie cechami urzeczywistniają klasztory chrześcijańskie. Ustrój klasztorny polega jednak na dobrowolnym spełnianiu obowiązków. Ustrój społeczny natomiast nigdy nie jest w pełni dobrowolny: do społeczeństwa nie wstępuje się, tylko się w nim rodzi.

warsztacie pracy - wówczas ustrój klasowy przestanie istnieć, straci bowiem swe podstawy gospodarcze. Ale jak dojść do takiego stanu?

Stajemy tu przed zagadnieniem niesłychanie ważnym, które nie dość jest jeszcze w społeczeństwie zrozumiane: zagadnienie dekoncentracji produkcji. Wiąże się z nim problem maszynizmu i stworzonej przezeń współczesnej odmiany naszej cywilizacji europejskiej.

Poglądy w tej dziedzinie były i są sprzeczne. Po entuzjastycznym podziwie wobec maszynizmu przy-szła szeroką falą reakcja: zwątpiono, czy postęp techniczny jest w konsekwencji pożyteczny dla ludzi. Prawda jednak, jak słusznie zauważył Daniel Rops, leży po środku. Niekoniecznie im maszyna mądrzej-sza, tym człowiek głupszy. Maszyna jest wspaniałym okazem inteligencji ludzkiej. Trudno zaprzeczyć, że przez cały wiek XIX rozwój maszyn przyczyniał się do stałego wzrostu przeciętnej stopy życiowej i jest kwestią czy bez maszyn olbrzymi przyrost ludności Europy nie wytworzyłby nędzy podobnej do chińskiej. Narzeka się i słusznie na standaryzację i spustoszenia duchowe, wywoływane przez maszynizm, ale nie każda różnorodność towarów jest dobra. Pomijając nawet kwestię normalizacji, zauważyć trzeba, że indywidualizowanie produktów bywa często i bywało - luksusem, możliwym za cenę nierówności, ba, przepaści między wyrafinowaną kulturalnie mniejszością a tonącą w nędzy, brudzie i ciemności olbrzymią większością.

Standaryzacja ma swoje granice, w których obrębie nie szkodzi kulturze i nie zabija twórczości: nikt nie ma żalu do grafików, że swe litografie lub drzeworyty odbijają mechanicznie w pewnej ilości egzemplarzy. W tego jednak rodzaju prymitywnej technicznie produkcji nie istnieje (i może nie istnieć) podział pracy. Tam, gdzie on już zachodzi, tam wraz z maszyną zjawia się koncentracja sił produkcyjnych tzn. skupienie żywych ludzi, z których jedni obejmują twórcze, inni zaś - nierównie liczniejsi - nietwórcze, mechaniczne funkcje produkowania.

Nie ma nic bardziej bezmyślnego niż odzywające się tu i tam rady powrotu do stanu przedmaszynowego. Tak jakby kto chciał wrócić do okresu przed wprowadzeniem kartofli, ponieważ ludzie, żywiący się wyłącznie kartoflami są słabi. Nic zwłaszcza bardziej bezmyślnego, gdy rady takie słyszy się na naszym, polskim gruncie, w kraju cierpiącym na niedoprodukcję, na prymitywizm techniczny, na żółtowość tempa pracy, na nędzę, wynikającą nie tyle z niesprawiedliwego podziału bogactw, ile z braku tych bogactw w całym społeczeństwie. Mówienie o fatalnych skutkach postępu technicznego w kraju, w którym ogół pracowników (fizycznych i umysłowych) zatrudnionych w przemyśle i górnictwie nie przekracza 11% ludności, a w zakładach, zmechanizowanych na wzór amerykański, bodaj czy sięga 5% jest nieporozumieniem lub, co gorsza, schlebaniem narodowej gnuśności. Jeżeli chce się mówić z sensem, to chodzić może jedynie o to, aby przy postępie technicznym nie wpadać w błędy, typowe dla krajów przemysłowych zachodniej Europy i północnej Ameryki, aby ów postęp nie pociągał za sobą koncentracji produkcji.

Rzecz to nie łatwa. Szereg podstawowych materiałów produkcyjnych z góry przesądza skoncentrowaną technikę ich eksploatacji. Dotyczy to przede wszystkim surowców podziemnych, których wydobywanie (węgiel) lub przerabianie (metale) dyktuje z konieczności koncentrację przemysłową pod grozą cofnięcia się do niedołęznego prymitywu. W reszcie produkcji tę samą rolę koncentracyjną odgrywa maszyna parowa. Ale na szczęście, maszyna parowa powiedziała, zdaje się, swe ostatnie słowo i wszystko wskazuje na to, że jej epoka będzie w przyszłości nazwana niemowlęcym okresem maszynizmu.

Niestety, myśl ludzka nie dotrzymuje kroku możliwościom rozwoju technicznego, a, co gorsza, przejawia skłonność do deterministycznego, więcej, fatalistycznego ujmowania tego rodzaju zagadnień. Tymczasem uprzytomnić sobie trzeba, że warsztat poruszany parą jest tylko etapem rozwoju i to etapem by-najmniej nie koniecznym. Najlepiej świadczy o tym historia maszyny parowej. Nie wynaleźli jej fabrykanci dumający nad udoskonaleniem produkcji. Równie dawno jak para bo w starożytności, znana była i elektryczność, ale wieki minęły nim zwrócono na nie uwagę; pierwszeństwo zaś pary jako środka energii, pierwszeństwo bynajmniej nie konieczne, wynikało z przyczyn całkowicie drugorzędnych: oto w miarę wyczerpywania się wierzchnich pokładów węgla kamiennego i potrzeby pogłębiania kopalń zjawiała się woda zaskórna. Konieczność osuszania kopalń po-budziła myśl wznoszenia wody w górę za pomocą ognia. Następują prymitywne wynalazki w r. 1699 i 1705, ale dopiero Watt swymi udoskonaleniami zwraca w pół wieku później uwagę kapitalistów na możliwość szerokiego stosowania maszyny parowej do produkcji. Nie było bynajmniej rzeczą niemożliwą, aby w tego rodzaju karierze elektryczność wyprzedziła maszynę parową; gdyby nie woda w kopalniach angielskich, tak by się może i stało.

Trzeba jednak zwrócić uwagę na drugi, obok ściśle technicznego czynnik koncentracji produkcji: interes kapitalistów i wynikające z niego świadome działanie. Koncentracja produkcji rozpoczęła się wcześniej, niż zastosowanie maszyny parowej, tylko nie rozwinęła się na wielką skalę wobec ręcznego systemu produkcji. Historycznie pierwsza jest koncentracja kapitału finansowego, następnie powstają manufaktury, w których koncentracja robotników umożliwia podział pracy, oszczędności transportu i wzmożenie kontroli, wreszcie wraz z maszyną parową zjawia się oszczędność na siłach roboczych i zwiększenie możliwości produkcyjnych. Toteż wynalazki ułatwiające koncentrację są faworyzowane na niekorzyść innych. W produkcji tekstylnej np. powstają w Anglii w trzeciej ćwierci XVIII w. dwa wynalazki: tzw. „spinning jenny” i t. zw. „mule-jenny”. Pierwszy z nich został zduszony przez skoncentrowany kapitał, ponieważ ułatwiał tkactwo ręczne, drugi - znalazł szerokie zastosowanie, ponieważ koncentrował produkcję. Nie ma tu, jak widać, żadnego fatalizmu technicznego, lecz działanie świadomej woli ludzkiej. A wola ludzka może działać i w innym, wręcz odwrotnym kierunku...

Działanie to utrudnia jedna rzecz: konserwatyzm ludzkiego myślenia. Dotychczas posługujemy się maszyną parową mimo jej niedoskonałości i nawet inne, nowsze typy energii zamiast szukać całkowicie odrębnych, właściwych swemu charakterowi rozwiązań technicznych, przeważnie wytwarzają warianty maszyn parowych, podobnie jak prymitywny samochód udawał konną dorożkę bez konia. Zamiast dróg elektrycznych np. mamy jedynie zelektryfikowane drogi kolejowe z zachowaniem prawie nieruszonej konstrukcji kolei parowozowej. Maszyna parowa modeluje wciąż jeszcze mózgi techników, inżynierów, wynalazców.

Działa tu jeszcze inna przyczyna. Interes kapitalistów przemysłowych popycha ich dziś, zarówno jak przed półtora wiekiem w kierunku koncentracji. Dziś jest to nie tylko kwestią zwiększenia zysku, ale wobec uwięzienia w maszynach olbrzymich kapitałów, nierzadko wręcz bytu kapitalistów. Tym silniej dusić muszą wszelki postęp techniczny, narażający na szwank ich monopol, przy czym najczęściej posługują się formą zakupu patentu niebezpiecznego wynalazku i schowania go pod sukno. Tak bywa nawet z wynalazkami nie bijącymi bezpośrednio w zasadę koncentracji jak np. film dźwiękowy lub „wieczna zapalniczka” - tym silniej działa się to musi przy wynalazkach, ułatwiających produkcję małych warsztatów.

Aby więc postęp techniczny skierować ku dekoncentracji produkcji, musimy dokonać wysiłku myśli, wyzwolonej z konserwatyizmu myślenia i z opartych na nim teorii (m. in. marksizmu), musimy dokonać wysiłku woli, wyzwalającej się z pod przewagi interesów kapitalistycznych. Tylko niezależna myśl i silna wola może - nie „przybliżyć nas do społeczeństwa przyszłości”, bo nie istnieje żaden deterministycznym rozwojem wyznaczony stan przyszły - ale stworzyć przyszłość taką, jaką ją chcemy widzieć. Środki techniczne, umożliwiające dekoncentrację częściowo już istnieją (elektryczność), częściowo zarysowują się na widnokręgu (energia atomowa). Wymaga to jednak zupełnego przewrotu w systemie nauczania technicznego, w szczególności całkowitej zmiany programów politechnik, stojących pod sugestią coraz większych i potężniejszych maszyn. Należy pobudzać twórczość umysłów wynalazczych w kierunku wytwarzania małych, tanich i łatwo przenośnych warsztatów, które by wydajnością swą i opłacalnością pobiły wielkie maszyny. Dziś jest to jeszcze niemożliwe (współczesny kryzys wielkich fabryk jest skutkiem ich zbyt dużej, nie zbyt małej wydajności i ci, którzy się cieszą z triumfu małego producenta milcząco propagują cofnięcie się techniczne), lecz jutro - może się stać prawdopodobne, pojutrze - realne.

Zapewne, perspektywy to jeszcze odległe, dziś jeszcze nie można powiedzieć czy wszelka produkcja da się skoncentrować, choćby dlatego, że nie wiemy, czy surowce, zdobywane dziś drogą kopalnianą dadzą się kiedykolwiek zastąpić lub produkować w inny sposób (np. na drodze przemiany atomowej). Jedno jest pewne: do dekoncentracji (jeśli nie całkowitej, to przynajmniej bardzo rozległej) dojść można tylko wówczas, jeżeli społeczeństwo całe mieć będzie stale przed oczami wizję ustroju zdekoncentrowanego. Jeżeli się wizji tej nie weźmie na serio, jeśli się nie rozpali

nią wyobraźni i nie skryształizuje w upartych wysiłkach - pozostanie ona utopią, nie- wyzyskaną możliwością, a wówczas przemiany gospodarcze doprowadzą albo do komunizmu, albo do cofnięcia się technicznego, co wróży w pierwszym wypadku niewolę duchową, w drugim - głód fizyczny, w obu zaś - upadek kultury i cywilizacji.

Dekoncentracja techniczna umożliwi usunięcie rozdziału między pracą twórczą i wytwórczą, między siłami produkcyjnymi a własnością środków produkcji, a nawet między współczesną wsią i współczesnym miastem. Miasto bowiem, które w starożytności istniało jako siedlisko targowe i warownia, z rozwojem komunikacji (trakcja samochodowa) i zmianą systemu wojowania - traci ten podwójny charakter i rację bytu swego potwornego rozrostu czerpie przede wszystkim z koncentracji przemysłowej. Nigdzie może bardziej niż w Polsce nie rzuca się w oczy bezsensowny kontrast między miastem przemysłowym jak Łódź, lub chociaż Warszawa, miastem duszącym się w dymie i sadzy, huczącym hałasem mechanicznych pojazdów, błyszczącym światłem żarowym i neonowym, a wsią cichą, senną, drewniano - słomianą, tonącą wieczorem w ciemnościach, a trzy czwarte roku w błocie. Zniesienie fabryk, rozsypanie warsztatów motorowych równomiernie po całym kraju zaciera granicę między wsią a miastem, między psychiką wieśniaka i mieszczanina, urbanizuje wieś i dezurbanizuje miasto, nie rozrywa - tak jak obecnie - rodzinnych i sąsiedzkich stosunków między rolnikiem i pracownikiem przemysłowym i rozwiązuje w sposób najprostszy, a zarazem najskuteczniejszy problem braku ziemi dla narastającej ludności.

Byłoby jednak wielkim błędem, gdyby, upajając się różowymi perspektywami dekoncentracji i jej olbrzymich plusów w dziedzinie duchowej, uważać przez to samo cały problem za rozwiązany. Pozostaje bowiem obok socjalnej strony zagadnienia jego strona gospodarcza, którą mało interesuje wartość duchowa producenta, bardzo natomiast - wartość materialna produktu. Ktokolwiek zaś w poglądach swych ogranicza się wyłącznie do strony socjalnej, ten ma może kwalifikacje na franciszkanina lub na poetę romantycznego, ale w dziedzinie politycznej byłby okazem szkodliwym.

Praca ludzka posiada tę właściwość, że powoduje przyrost dóbr materialnych, przyrost nie ilościowy wprawdzie, lecz jakościowy, wzrost tego, co określamy mianem wartości. Produkcja nie jest, oczywiście celem sama w sobie, ale jest środkiem umożliwiającym przez przyrost bogactwa zaspokojenie niezbędnych potrzeb materialnych coraz to większej liczbie ludzi, a tym samym stwarza pierwsze warunki twórczości duchowej. Brak minimum dobrobytu uniemożliwia wszelkie działanie poza szukaniem środków na przetrwanie do dnia następnego; nędza i niepewność jutra zabijają w człowieku wszelkie aspiracje, są czynnikami antyduchowymi i antyspołecznymi.

Aby spełnić swoje zadania produkcja musi tworzyć na zapas, musi być czynnikiem rozwoju, nie równowagi statycznej. Dlatego wyprzedzać musi ona zaspokojenie potrzeb. Jest to najistotniejsza cecha gospodarczej strony wytwarzania, cecha, która niezmiernie komplikuje problem

sprawiedliwości społecznej. Dlatego pojawiają się czasem pokusy niezwracania uwagi na ów czynnik. „Wiele ludów - pisze prof. Koneczny - uważa za obowiązek etyczny czuć, aby praca nie była wydatniejsza, by owoce jej nie sięgały ponad zaspokojenie potrzeb. Skutek oczywiście taki, że cała społeczność grzęźnie na wieki w potrzebach minimalnych. W epoce Rousseau upudrowane markizy idealizowały podobny stan społeczny, dziś takie same sugestie narzuca nam - o ironio - zmechanizowana i przeinwestowana filmowa produkcja amerykańska. Ale są to w najlepszym wypadku snobistyczne wzdychania ludzi, pozbawionych poczucia odpowiedzialności za to, co głoszą. Kto sięga myślą poza współczesne pokolenie, kto pragnie tworzyć przyszłość, ten musi dążyć do takich warunków, w których tempo produkcyjne nie tylko nie będzie mniejsze niż w kapitalizmie, ale, przeciwnie, znacznie je przewyższy.

Dobro społeczne, które wytwarza produkcja gospodarcza powinno narastać w takim tempie, aby nie tylko w normalnych warunkach zapewniało każdemu minimum dobrobytu, nie tylko wzrastało proporcjonalnie do nieskrępowanego przyrostu ludności, ale ponadto odkładało pewien zapas dóbr na „czarną godzinę”, to znaczy, aby dzięki niemu społeczeństwo przetrwać mogło bez katastrofy okresy szczególnie trudne, jak wojny lub światowe kryzysy gospodarcze.

Jeżeli z tego punktu widzenia spojrzymy na dekoncentrację produkcji, nasuną się nowe zagadnienia i nowe wątpliwości. Była już mowa o tym, że drobne warsztaty przyszłości o tyle spełnią swe zadanie, o ile staną się wydajniejsze od wielkich zespołów maszynowych. Ale nie jest to tylko problem techniczny, ale i organizacyjny. Przy technice skoncentrowanej, takiej jaka istnieje w kapitalizmie współczesnym zarówno prywatnym jak państwowym (Rosja Sowiecka) duża część trudności odpada sama przez się: koncentracja techniczna jest w dużym stopniu również koncentracją organizacyjną. Resztę rozwiązuje kapitalizm państwowy systemem biurokratycznym, prywatny - systemem porozumień kartelowych. W ustroju dekoncentracji owa reszta wymagająca regulacji obejmować musi teren dużo szerszy. Dekoncentracja produkcji wymaga jako niezbędnego uzupełnienia - ostrej koncentracji aparatu wymiany, czyli handlu oraz kapitału czyli finansowości, wreszcie - rozumnego planu gospodarczego, kierującego całością produkcji. Bez tej korektywy wytworzylibyśmy tylko chaos o nieobliczalnych następstwach.

Koncentracja handlowa polegać musi na wyrugowaniu pośrednictwa prywatnego wszędzie tam gdzie wprowadza ono bezład konkurencyjny i w konsekwencji - bo takie jest paradoksalne prawo walki konkurencyjnej - prowadzi do dzikiej koncentracji. Ostatecznie można nie upatrywać szkody w drobnych domokrążcach (pod warunkiem, że nie będą to Żydzi) docierających ruchliwie do najbardziej zapadłych zakątków kraju z drobnymi wyrobami rzemieślniczymi, choć i tutaj system spółdzielni wiejskich jest niewątpliwie dużo lepszy. Śmiesznym i szkodliwym don Kichotem byłby również każdy, kto by rozpoczynał reformę - nawet przy daleko już posuniętej dekoncentracji - od kasowania zawodu kupieckiego. Ale całe pośrednictwo hurtowe i znaczna część detalicznego

muszą w ustroju przyszłości ustąpić handlowi spółdzielczemu, inaczej zresztą ujętemu, niż to dziś rozumieją kooperatywiści, w niektórych zaś dziedzinach - nawet państwowemu.

Jeszcze silniej rysuje się ta konieczność w dziedzinie finansów. Dekoncentracja produkcji przy utrzymaniu w rękach prywatnych kapitału finansowego zmieniałaby stan obecny na gorszy, nie na lepszy. Uniknęlibyśmy złych skutków mechanizacji przemysłowej, zabijającej twórczość duchową przez bezduszny podział pracy, lecz wrócilibyśmy do fatalnego systemu, zabijającego twórczość przez wyzysk materialny. Drobny wytwórca stałby się chałupnikiem, pozbawionym wszelkich możliwości obrony przed zatrudniającym go monopolistą, pozbawionym faktycznej możliwości zrzeszania się dla obrony swych interesów, zmuszonym obawą głodu do rujnującej zdrowie fizyczne i duchowe pracy akordowej. Toteż o ile uspołecznienie pośrednictwa jest koniecznym następstwem dekoncentracji technicznej, o tyle upaństwowienie prywatnego kapitału finansowego jest niezbędnym warunkiem wstępnym reformy ustroju gospodarczego w oczekiwaniu aż rozwój spółdzielczości pozwoli - kiedyś - na stopniowe zastępowanie banków państwowych zorganizowanymi kapitałami spółdzielczymi.

Ale zarówno proces przeprowadzania tych reform jak i dalszy proces funkcjonowania życia gospodarczego wymaga istnienia ośrodka kierowniczego, obejmującego całość gospodarki społecznej jednolitym planem, skierowanym celowo ku racjonalnemu rozwojowi społeczeństwa. Oczywiście tego rodzaju planowość gospodarcza, mająca zadanie wzmaganie produkcji, nie ma nic wspólnego z planowością skierowaną ku hamowaniu nadprodukcji, jak to czynił np. Roosevelt ze swoim „New Deal”. Plan gospodarczy wymaga podziału terenów produkcji oraz podziału zadań producentów, wymaga stawiania przez ośrodki kierownicze celowo obmyślanych wymagań, skierowanych do poszczególnych producentów.

Ekonomistów ze szkoły liberalnej i półliberalnej program gospodarki planowej pobudza do pełnego ironii sceptycyzmu. Nie przeczą oni konieczności pewnego planu, uważają jednak politykę podatkową i celną za jedyne jego narzędzia. Ideę zorganizowania handlu w ramach spółdzielczości uważają za fikcję, wszelkie zaś upaństwowienie - za utrudnianie swobodnego narastania kapitałów, a tym samym - dochodu społecznego. „Zwolennik socjalizacji - pisze prof. Rybarski - powinien powoływać się na dotychczasowe wyniki przedsiębiorczości państwowej, powinien wykazać, że etatyzacji a już dała dobre rezultaty... Socjalizacja nie jest zdolna w naszych warunkach do pomnożenia kapitalizacji”. Otóż powoływanie się na nasze stosunki dla zwalczania gospodarki planowej jest grubym nieporozumieniem. W tym, co się dzieje dziś w Polsce nie ma nawet śladu gospodarki planowej. Istnieje jakiś dziwaczny stan hybrydalny, równie daleki od konsekwentnej gospodarki etatystycznej jak gospodarki opartej o nieskrępowaną własność prywatną i prywatną inicjatywę, jakaś dzika mieszanina sprzecznych elementów. Ciągle i uparcie pragnie się budować na inicjatywie prywatnej, a zarazem podcina się ją przez uprzykrzanie życia fiskalizmem i



biurokracyzmem. Prawda, że owa sławiona inicjatywa prywatna okazuje dziwny brak żywotności nawet tam, gdzie posiada warunki rozwoju: nie istnieje np. w Polsce wytwórnia kos, ponieważ rzekomo nasz konserwatywnie usposobiony chłop nie chce słyszeć o innych ostrzach, niż wiedeńskie. Zacołanie wsi naszej jest istotnie duże, ale gdzież owa rzekoma pionierskość inicjatywy prywatnej? U nas działa ona najlepiej w ramach... prywatnego monopolu, uzyskiwanego na drodze koncesji państwowej, o której przede wszystkim marzą nasi, pozał się Boże, „grynderzyi. Niemniej demoralizacja ta jest w dużej mierze wynikiem fatalnej gospodarki władz państwowych. I tak dzieje się we wszystkich dziedzinach.

Jak z jednej strony nałogi biurokracyzmo-etatystyczne paraliżują gospodarkę prywatną, tak z drugiej - przesady liberalno-kapitalistyczne obezwładniają gospodarkę państwową. Etacyzm nasz wstydi się sam siebie. Przedsiębiorstwa państwowe nie interesują się swą wydajnością i sprawnością organizacyjną, lecz jej rzekomym objawem zewnętrznym: rentownością, ujmowaną całkiem po kapitalistycznym. Zwraca na to uwagę dr. Tadeusz Bernadzikiowicz: „Przedsiębiorstwa państwowe - pisze - posiadają zdecydowanych przeciwników zarówno wśród przedstawicieli nauki jak i ogółu płaćącego podatki. Stąd naturalna tendencja państwa, aby wyniki swych przedsiębiorstw przedstawić w możliwie jak najkorzystniejszym świetle'i. Stąd „poprawianieii bilansów jak obniżanie ex post ceny surowca dostarczanego własnym tartakom z własnych lasów przez Dyrekcję Lasów Państwowych, jak niedawno jeszcze stosowane przez Ministerstwo Komunikacji utrudnianie transportów wodnych na rzecz kolejowych, ponieważ transport wodny jako tańszy zmniejsza efektywność bilansów skomercjalizowanego przedsiębiorstwa P. K. P. Warto wreszcie zaznaczyć, że dobra połowa przedsiębiorstw prowadzona jest przez państwo nie z racji ustalonego uprzednio planu, lecz z przypadku: wali się przedsiębiorstwo naszpikowane bez sensu i celu kredytami państwowymi - trzeba je z musu przejmować, aby nie zwiększać zastoju, bezrobocia, nie zaogniać kwestii socjalnej. Od ustroju opartego na takim chaosie i bezmyślności lepszy jest dosłownie każdy. Nawet sowiecki. Nawet starokapitalistyczny, byle nie wywoził pieniędzy za granicę. Wyzyskiwany lichą płaćą i wielogodzinną pracą robotnik mógłby mieć chociaż tę satysfakcję, że przyczynia się do przyrostu bogactw i nadzieję, że syn jego wobec wzmożonego dobrobytu społecznego wywalczy sobie lepsze warunki. Polski robotnik, chroniony ustawodawstwem pracy: dniem ośmiogodzinnym, umową zbiorową, ubezpieczeniami, ma w perspektywie wobec nieustannego ubożenia kraju - bezrobocie swoje, swego syna i wnuka. Obarczać zasadę gospodarki planowej odpowiedzialnością za nasz obecny stan rzeczy, to tyle co wojować z regulowaniem ruchu ulicznego przez policję z tej racji, że w Nowym

Yorku jest wielka liczba przejechań, większa niż na całym obszarze naszego Polesia, gdzie nikt ruchu nie reguluje<sup>18</sup>.

Przeciwnicy gospodarki planowej posiadają jednak argumenty bardziej istotne i głębiej sięgające niż powoływanie się na dzisiejszą rzeczywistość polską. Wskazują oni na biurokratyczną sztywność i formalistykę, nieodłączną w znacznej mierze od najsprawniejszego nawet aparatu państwowego. Twierdzą, że w bezplanowej gospodarce, regulowanej podażą i popytem rozprasza się wprawdzie wiele wysiłków pozytywnych, ale jednocześnie temu samemu rozproszeniu ulegają działania błędne. Zła kalkulacja wywraca szybko prywatnego przedsiębiorcę, pozbawia go możliwości dalszej produkcji, wycofuje z obiegu. Natomiast w gospodarce planowej błędy sumują się zamiast rozpraszać: kilka nieznaczących błędów kalkulacji spowodowało na Sowiety już kilkakrotnie głód i nędzę.

Są to zarzuty istotne. Godzą one jednak głównie w ustrój etatystyczny, szczególnie zaś w połączenie etatyzmu z koncentracją techniczną. Ociążałość, brak inicjatywy, biurokratyzm okazują wszystkie prawie przedsiębiorstwa, w których koncentracja przekroczyła pewne granice. Nie ma jej tam tylko, gdzie na czele stoi wybitna jednostka, która własnymi siłami stworzyła zaród przedsiębiorstwa i od małego zaczynając samodzielnie, doszła do kolosa przemysłowego. Tak było z Fordem, tak było po części z Batą. Twórcy przedsiębiorstwa rozwijali się z nim razem i nie przestali nigdy panować nad swym dziełem. Czy z ich śmiercią sytuacja nie ulegnie zmianie? W innych skoncentrowanych przedsiębiorstwach, zwłaszcza opartych o kapitały anonimowe nie widać już tych zalet prywatnej inicjatywy, dążenie do zysku wyraża się raczej w rabunkowej gospodarce niż w rzetelnej twórczości przemysłowej (Żyrardów). Oczywiście w zakładach zetatyzowanych bywa jeszcze gorzej. Bywa, ale nie koniecznie być musi. A już szczególnie słaby jest ten zarzut w stosunku do planowego ustroju, opartego na dekoncentracji.

Bardziej poważny jest zarzut sumowania się błędów. W ustroju, w którym z centrali gospodarczej wychodzą sugestie i wymagania, skierowane do producentów w celu

---

<sup>18</sup> „Planowość - pisze Rybarski - która by usunęła wszelkie ryzyko, która by wykluczyła wszelkie marnotrawstwo energii i uwolniła gospodarstwo od strat, jest mitem”. Oczywiście. Ale równym mitem jest społeczeństwo, rozwijające się harmonijnie na podstawie swobodnej gry podaży i popytu. Cała bezpłodność dyskusji przedstawicieli przeciwstawnych sobie kierunków polega na tym, że walczą oni z tymi właśnie mitami i wykazują ich nieżywołność, przez co zdaje się im, że zapewnią triumf swemu stanowisku. A tymczasem chodzi tu tylko o to, aby z dwóch niedoskonałych rozwiązań wybrać to, które w konkretnych warunkach geograficznych, historycznych, politycznych i psychicznych będzie możliwie najlepsze dla gospodarczych i pozagospodarczych celów zbiorowości.

przetwarzania produkcji w określonym celu, straty gospodarcze, wynikające z błędnej kalkulacji mogą być dosyć duże. Ale już dzisiaj zachodzą tego rodzaju niebezpieczeństwa i to tam, gdzie władze państwowe dalekie są od ingerencji. Ich rolę spełniają giełda oraz prasa, tam zwłaszcza, gdzie w braku ustalonego planu nie może działać odpowiedzialnie. Gdy około roku 1926 w Europie zaznaczyło się zapotrzebowanie na chmiel, giełda rolnicza w Polsce zareagowała zwyżką cen, prasa rolnicza poczęła pisać o tym i pod wpływem wytworzonej sugestii większe rolnictwo rzuciło się masowo na produkcję chmielu. Zanim minął okres konieczny na uzyskanie pierwszych zdatnych do sprzedaży płodów, koniunktura minęła, gdyż dobrze poinformowani zawodowi producenci za granicą nie czekali aż wieści rozejdą się po całej Europie i o rok wcześniej pokryli zapotrzebowanie. Zmarnowała się duża ilość pracy ludzkiej zarówno przez nieumiejętność gorączkowej produkcji jak i przez zupełny brak zbytu; trzy czwarte chmielami zaorano, prymitywne suszarnie rozebrano. Nie wiem czy planowa gospodarka powiększyłaby błędy. Sądzę raczej, że przyczyniłaby się do ich zmniejszenia<sup>19</sup>.

Wszystkie przytoczone argumenty przeciwników gospodarki planowej zaledwie ubocznie drasnąć mogą ustroj zdekoncentrowany. W sedno trafia jeden tylko, bardzo poważny, który wysunął ś. p. Jan Wortman. Twierdzi on, że ustroj ten nie zapewnia producentom warunków swobodnej twórczości, że tylko pozornie góruje nad ustrojem kolektywistycznym. Kolektywizm (w swym wydaniu rosyjskim zwłaszcza) stabilizuje raz na zawsze typ proletariusza pracującego niesamodzielnie na rachunek zbiorowego fabrykanta: władzy państwowej. Zaś program planowej gospodarki zdekoncentrowanej stabilizuje raz na zawsze typ chałupnika, pracującego równie niesamodzielnie na rachunek zbiorowego nakładcy: tych samych władz państwowych.

Istotnie niebezpieczeństwo takie może grozić. Ale jest dużo mniejsze niż w ustroju kolektywistycznym. Kto nie jest indywidualnością twórczą, ten w każdym ustroju wyglądać będzie dosyć beznadziejnie. Kwestia ustroju dotyczy przecież form społecznych, nie treści społecznej. Jeżeli ktoś minął się z powołaniem lub, co gorsza, nie ma powołania, tego najlepsze formy zbiorowości nie uczynią Giottem lub Quentin Massisem. Ale łatwiej wybić się człowiekowi twórczemu w ustroju zdekoncentrowanym niż skoncentrowanym, łatwiej stworzyć rzecz wartościową, wynalazek techniczny, dzieło artystyczne itp. drobnemu producentowi, łączącemu w rozsądny sposób swój warsztat ze swym mieszkaniem, czującym się u siebie, na własnych śmieciach i ogarniającemu

---

<sup>19</sup> Mimo wielu błędów gospodarczych, okupionych strasznymi ofiarami, Sowiety kapitalizują więcej, niż kraje zachodnie, przynajmniej w dziedzinie przemysłowej. Przyjawszy stan z 1928 r. za 100, wskaźnik produkcji przemysłowej w 1936 r. przedstawia się: dla Anglii - 123, Francji - 78, Polski - 72, ZSSR - 481. Aczkolwiek dynamika produkcji rolnej obniża tę dysproporcję, to jednak nie zmienia jej na niekorzyść Sowietów, mimo różnicy w kosztach utrzymania.

umysłem całość swego narzędzia, niż robotnikowi ogłuszonemu łoskotem obcej i wrogiej maszyny, przy której czuje się zmechanizowaną częstką, z którą styka się tylko w czasie gorączkowej, absorbującej pracy.

Gdy rozmyślałem nad problemem koncentracji, przypominają mi się słowa, kończące Sienkiewiczowskiego „Janka Muzykanta”. Państwo ze dworu rozmawiają o swym świeżym pobycie we Włoszech.

„ Quel beau pays que l'Italie! Et quel monde d'artistes! On est heureux de chercher là-bas des talents et de les protéger”<sup>20</sup>.

Setki tysięcy ludzi czytały i czytają te słowa, dziesiątki tysięcy przejmują się dołą polskiego talentu muzycznego, ginącego w konkurencji z dalekimi cudzoziemcami, po czym idą do kina i w taki sam bez mała sposób jak to opisał Sienkiewicz popierają talenty z Illinois, Ohio, Luizjany czy Kalifornii ze szkodą dla polskich muzyków, a na swoje usprawiedliwienie mają bezsilność wobec wszechpotężnego kapitału.

Janko Muzykant dzisiejszej wsi polskiej nie różniłby się prawie niczym od Janka z epoki Sienkiewicza, Janko ustroju kolektywnego zatraciłby swą muzykalność, ogłupiał mechaniczną pracą, ogłuszony mechanicznym radiem. Janko Muzykant ustroju zdekoncentrowanego, żyjący we wsi zelektryfikowanej, pomagający przy ojcowskim warsztacie, wciągnięty zawczasu do organizacji młodzieży, później - do samorządu gospodarczego - będzie miał łatwiejszy wylot w świat twórczości kulturalnej niż w jakimkolwiek innym ustroju.

Dekoncentracja produkcji stwarza warunki gospodarcze rozwoju duchowego. Ale teraz trzeba odwrócić problem i poszukać warunków duchowych rozwoju gospodarczego.

Na dnie działania gospodarczego leży pęd człowieka do doskonalenia siebie przez doskonalenie świata, innymi słowy - przez twórczość duchową. Ale pęd ten jest przeważnie nieświadomy, wyładowujący się często w formach zwyrodniałych, często tak słaby, że wręcz niedostrzegalny pod zwałami przyrodzonego wszystkim ludziom lenistwa. I podobnie jak dochodząca do odbiorników energia radiowa musi być wzmacniana przez lampy, aby móc rozbrzmiewać w głośnikach, tak impuls tworzenia musi być wzmocniony dodatkowymi, potężnymi prądami, aby móc od-działać na postępowanie ludzkie. Samo poczucie doskonalenia, sama rozkosz

---

<sup>20</sup> (wł.) – Jakże pięknym krajem są Włochy. I co to za lud artystów. Szczęściem jest wyszukiwać tam talenty i je popierać. [red.]

twórczości może wystarczać ludziom szczególnie czułym od strony estetycznej, ale nie wystarcza jako bodziec powszechny, szczególnie w produkcji gospodarczej. Gdzie więc szukać owych prądów wzmacniających?

Wielu ekonomistów, nawet dalekich od materializmu i smithowskiej fikcji „homo oeconomicus” uważa za jedyny realny impuls gospodarczy-dążenie do zysku. Niektórzy sądzą, że każdy w ogóle człowiek kieruje się motywem zysku w działaniu gospodarczym. Jest to, obiektywnie biorąc, nieprawda. Nie tylko szereg ludzi działa z tzw. „motywów pozagospodarczych”, ale i większość motywów „ściśle gospodarczych” nie jest jednoznacznych z zyskiem. „Całe warstwy ludności - pisze słusznie Doboszyński - nie wiedzą o tym, że według terminologii ekonomicznej pracują jakoby dla zysku. Chłop, rzemieślnik, sklepikarz, lekarz czy inżynier, pracują na swe utrzymanie” i tylko towarowy pogląd na pracę (sformułowany przez szkołę kapitalistyczną a utrzymany przez Marxa) powoduje utożsamianie tych dwóch odrębnych motywów.

Nie dość na tym. Rozróżnianie motywów gospodarczych i pozagospodarczych, teoretycznie nieszkodliwe, w praktyce przyczynia się raczej do pomieszania pojęć niż do ich rozgraniczenia. Zapewne, w teorii jeden malarz tworzy z myślą o sztuce (motyw pozagospodarczy), drugi - z myślą o korzystnej sprzedaży obrazu (motyw gospodarczy). Ale w życiu motywy te nie są możliwe do oddzielenia, zazwyczaj bowiem występują jednocześnie. Bywa i tak, że malarz pracuje z zapalem, gdyż np. ukończenie i dostarczenie zamówionego za dobrą sumę cyklu umożliwi mu wyjazd do Włoch i udoskonalenie swej twórczości. Ma-luje tedy, a w marzeniach jawi mu się Florencja, Rzym, Wenecja i dopingują jego energię. Jakiż motyw wchodzi tu w grę? Gospodarczy czy pozagospodarczy? I jaki cel miałyby roztrząsanie tej kwestii?

Realnie biorąc wyróżnić można cztery motywy pracy ludzkiej i zależnie od nich cztery rodzaje ludzi:

- 1) pracujących dla zadowolenia swych osobistych aspiracji twórczych („sztuka dla sztuki”),
- 2) pracujących na utrzymanie w granicach pewnej stopy życiowej,
- 3) pracujących dla zysku,
- 4) pracujących dla idei.

Pierwsza kategoria obejmuje przeważnie artystów i uczonych, drugą reprezentują w najczystszej formie urzędnicy, trzecią - kupcy i finansisci. Czwarta kategoria słabo dziś występuje, ale ongiś ona to kształtowała fizjonomię naszego kraju kryjąc pod habitem benedyktyńskim lub cysterskim zdolności i umiejętności nieznanne prymitywnym szczepom słowiańskim.

Ze wszystkich typów wytwórczości najmniej wydajną jest ta, której motorem jest utrzymanie stopy życiowej, wydajniejszą - ta, którą wprawia w ruch motor zysku. Najwydajniejsza staje się praca

dla zadowolenia aspiracji twórczych oraz praca ideowa. Ta ostatnia zawiera zresztą prawie zawsze czynnik rozkoszy twórczej, zaś praca dla zadowolenia aspiracji twórczych często łączy się z czynnikami ideowymi, czego dowodem - problem sztuki narodowej, proletariackiej, nauki katolickiej itd.

Wiadomo z jakim nadludzkiem wysiłkiem potrafią pracować uczeni i artyści, wiadomo jak nie oblicza swych godzin pracy człowiek opętany nakazem moralnym służenia ukochanej idei. W zakonach, w pracy społecznej i politycznej nieznanym jest ośmiogodzinny dzień pracy, nieznaną zapłatą lub zyski - i nikt nie uważa się za wyzyskiwanego, z zastrzeżeniem, że ci, którzy tej pracy wymagają sami pracują niemniej ofiarnie. W życiu gospodarczym cała trudność polega na tym, że praca ideowa możliwa jest tylko w zasięgu działania wielkiej idei. Motor pracy ludzkiej ruszy skoro mu się dostarczy źródła energii. Idee istnieją zawsze, ale są trudne do objęcia myślą. Podobnie elektryczność istnieje w powietrzu, ale nie umie-my jej chwycić i wprzeżyć do pracy. Trudność polega na tym, że skoro się raz nauczymy wyczuć elektryczność, nikt nam tej umiejętności nie odbierze, natomiast do idei trzeba podchodzić z trudem i wciąż na nowo, trzeba rozbudowywać ją w system rozumowy i wizję uczuciową. I - w przeciwieństwie do elektryczności - nie można jej uważać za narzędzie.

Trzeba samemu w nią wierzyć, być gotowym do ofiar dla niej.

Byłoby oczywiście naiwnością sądzić, że całe społeczeństwo da się przesycić do głębi ideowością jako motywem postępowania w codziennych sprawach gospodarczych. Wielu ludzi pozbawionych zarówno wyobraźni jak wyższego polotu myśli, nawet zasugerowanych ideowo, nie potrafi związać wyznawanej idei ze swym postępowaniem, dla nich motyw stopy życiowej będzie zawsze decydujący. Ten duży odłam społeczeństwa da się wciągnąć w rytm produkcyjny przez szczególną odmianę ideowości jaką jest praca dla dobra rodziny i dla ambicji rodzinnej<sup>21</sup>.

Praca ta może być rozumiana bardzo rozmaicie i błędem byłoby sądzić, że miłość rodzinna sama przez się wystarczy. W naszym, słabo produkcyjnym i snobistycznym społeczeństwie dążenie do zapewnienia rodzinie tej samej lub wyższej stopy życiowej, a zwłaszcza pozycji życiowej wyraża się nie we wzmożeniu swej produktywności, lecz w ograniczaniu swych potrzeb w celu dania dzieciom teoretycznego szkolnego wykształcenia, co ma im umożliwić zdobycie posady urzędniczej. Mimo godnych szacunku objawów bohaterskiego samozaparcia, towarzyszących często takiemu

---

<sup>21</sup> Taką szczególną formą ideowości jest np. spotykana na Zachodzie дума producentów z solidności wyrobów firmy, która od wielu pokoleń jest w rękach tej samej rodziny.

postępowaniu, trudno nie uznać jego społecznej szkodliwości. Ideał urzędniczy, czysto konsumpcyjny, z reguły nietwórczy, niesamodzielność myślenia i działania - wszystkie te cechy pogłębiają nasze zasadnicze wady społeczne.

Inny, ale również w głębi konsumpcyjny typ pracy dla rodziny przedstawiają stosunki zachodnio i północno - europejskie. Zdawałoby się, iż jest paradoksem mówić o słabej produktywności i spadku energii twórczej u francuskiego drobnomieszczanina, a tym bardziej u duńskiego, lub szwedzkiego chłopca. Ale nie zawsze wysoki poziom gospodarczy jest wiernym objawem prężności duchowej współczesnego pokolenia, nierzadko jest on kuponem od pracy przodków. Duński warsztat pracy rolnej - wspominam o Danii, gdyż szerzy się u nas tu i ówdzie przekonanie, że stosunki duńskie są jakimś ideałem - produkuje wprawdzie niezmiernie wydajnie, ale kapitalizacja jest stosunkowo niewielka z powodu wysokiej stopy życiowej. Zadowolony ze swego losu rolnik duński traci swą energię twórczą bez widomych oznak tej utraty w życiu gospodarczym kraju, ale z niepokojącymi objawami na manometrze demograficznym. Przeciętna roczna liczba urodzin na 100 kobiet duńskich wynosiła w roku 1878 - 13; w 1920 - 9,3; w 1934 - 6,7, czyli spada szybciej niż we Francji (r. 1896 - 8,6; 1925 - 6,9; 1934 - 6,7) i tylko niska śmiertelność pozwala na niedocenywanie powagi sytuacji. Okazuje się, że chłop duński, podobnie jak Francuz miłość rodzinną pojmuje bardzo wygodnym sposobem: pragnienie dobrobytu dla dziecka rozwiązuje nie przez wysiłek produkcyjny, lecz przez ograniczenie ilości dzieci. Występują tu wszystkie ujemne objawy ideologii stopy życiowej.

Jedynym korzystnym społecznie typem pracy dla dobra rodziny jest ten, który nie myśli o przystosowywaniu swej rodziny do warunków społecznych, lecz warunków społecznych do swej rodziny, to znaczy nieskrępowanego jej rozrostu i wyprzedzającej ją kapitalizacji. W ustroju wczesnokapitalistycznym charakteryzującym się swobodną grą podaży i popytu oraz walką konkurencyjną, ta odmiana rodzinnego motywu produkcji zbliżała się do motywu zysku osobistego ze wszystkimi jego ujemnymi pod względem moralnym i społecznym konsekwencjami. W ustroju zdekoncentrowanym i planowym jedyną drogą do zwiększania tempa kapitalizacji ponad tempo przyrostu rodziny będzie wzmożenie wysiłku produkcyjnego bądź przez przedłużanie sobie samemu i współpracującej rodzinie dnia pracy i jego uwydajnianie, bądź przez ulepszanie narzędzi produkcji. System dopingu społecznego czy to pod postacią premii czy odznaczeń, podniecających współzawodnictwo ma tu również dużą rolę do odegrania.

Ale aby ten zdrowy typ pracy dla rodziny nie wyrodnił w filisterski typ pracy dla utrzymania stopy życiowej-potrzeba i tu hasła i sugestii ideowych, tak aby w społeczeństwie wytworzyły się dwie warstwy ludzi, obie wydajne produkcyjnie: warstwa o cechach elitarnych, kierująca się w dynamice pracy miłością dobra narodowego i warstwa o mniej rozległych horyzontach, kierująca się w życiu codziennym miłością rodzinną, ale kierowana i dopingowana w swej pracy ideą narodową. Obie te

warstwy, nawzajem zresztą na siebie zachodzące należy traktować jako jedynie wartościowe, dążąc do likwidowania wszystkich innych typów psychicznych.

Jeżeli teraz spojrzeć na zagadnienie nie od strony psychologii poszczególnych ludzi czy typów ludzkich, lecz od strony całości społecznej, ustroj zdekcentrowanej gospodarki planowej okaże się stosunkowo najbardziej bliski kryteriom harmonijnego społeczeństwa. Harmonia społeczna - przypominam - to jedność w mnogości, to zwarta całość, złożona z bogactwa i pełni składników, a więc - bogatych duchowo ludzi. Swą pełnię i bogactwo duchowe osiąga człowiek przez twórczość samodzielną. Mechaniczne stworzenie możliwości dla organicznego rozwoju twórczości jest zadaniem ustroju społecznego, który zarazem mechanicznie (bo ustroj jest tylko mechanizmem i niczym innym być nie może) zespała ludzkie elementy duchowe w całość społeczną. Ale prawdziwą trwałość temu złączeniu, prawdziwą więź i spójność duchową nadaje miłość społeczna. Bez miłości i bez rozpalającej miłości idei najlepiej zmontowana całość rozpaść się musi. Odkrycie to nie jest nowością, ale nowością jest zrozumienie, że odnosi się ono również do życia gospodarczego.

Trzeba więc rozbudzać w duszach tęsknotę za niedościgłym, rzucić hasło doskonalenia się przez twórczość, skierować tęsknoty metafizyczne człowieka w stronę tętniącego życiem aktywizmu. Tylko wielka idea może tego dokonać, idea służby dla narodu i idea służby narodu. Człowiek twórczy musi zdawać sobie sprawę z tego, co wnosi przez swoją twórczość do dorobku narodowego i co w konsekwencji, na skutek jego i jego rodaków twórczości - wnosi naród do dorobku świata. Idea służby przeniknąć musi całe życie nasze. Musimy wiedzieć, że nie ma czynności moralnie obojętnych, że każda czynność nasza jest w konsekwencji dobra lub zła, udoskonala nas lub rozkłada. Idea potęgi narodu przez wypełnienie jego wielkich zadań, idea wielkości moralnej i politycznej winna być owym potężnym mitem, który porwie i zespoli w heroicznym wysiłku całość społeczną, złożoną z podniesionych moralnie i materialnie jednostek. Trzeba zestroić szare życie codzienne poszczególnego człowieka z rytmem społeczności. Trzeba z narodu całego utworzyć zakon rycerski, podobny do tych, które ogarnięte wizją olbrzymią szły krew przelewać na pustyniach syryjskich, poświęcenie i heroizm równy temu, jaki pozwolił Żółkiewskiemu klęskę cecorską przemienić w najdumniejszą rocznicę!



## Chleb i żelazo

*Nie tylko jednostki są kapitalistami i proletariuszami, ale istnieją również kapitalistyczne i proletariackie narody.*

Bertrand Russel

*Kraj najgęściej zaludniony może jeszcze nie być przeludnionym, jeżeli ma środki do wyżywienia swej ludności leżące w rozwoju przemysłu i w ogóle w wysokiej wytwórczości.*

Roman Dmowski

Od rzeczywistości społecznej do wizji przyszłości odległość jest olbrzymia. Jak ją zmierzyć? I jak ją przebyć?

Przede wszystkim trzeba tę rzeczywistość znać.

Zdawałoby się, iż na tym polu poczyniliśmy znaczne postępy. Świadczy o tym choćby rekordowy i z roku na rok zwiększający się nakład „Małego rocznika statystycznego”. Ale ta znajomość rzeczywistości nie jest jej prawdziwym poznaniem. Przypominamy pod tym względem człowieka, który wie ile kieliszków wódki codziennie wypija, ale nie wie nic o stanie swych nerek, wątroby, żołądka, a co najważniejsza nie zdaje sobie sprawy, że jest pijakiem. Przypominamy bankruta, który wie wprawdzie ile długów zaciągnął, ale nie ma odwagi myśleć o przyszłości i nie zdaje sobie sprawy z nadciągającej katastrofy. Przypominamy kobietę, której lustro ukazuje co dzień nowe zmarszczki, a która uważa się wciąż za młodą i do swej rzekomej młodości stosuje swe suknie i szminki, bardziej wierząc żurnalom mód, niż swemu odbiciu.

My również nie zdajemy sobie sprawy z rozmiarów dysproporcji między poziomem socjalnym i gospodarczym, niezbędnym dla siły politycznej Polski a stanem obecnym. Wciąż jeszcze skłonni jesteśmy czerpać mądrość naszą w gotowej formie z prac ekonomistów zachodnio-europejskich, żyjących w całkowicie innych warunkach i wśród całkowicie różnych problemów, wciąż gotowi jesteśmy do dyskusji na tematy gospodarki światowej, światowych kryzysów, złych i dobrych koniunktur, wciąż usiłujemy myśleć kategoriami stworzonymi przez innych, a całkowicie

bezużytecznymi na naszym gruncie. Nawet najbardziej „międzynarodowi” ekonomiści jak Smith czy Ricardo czerpali tworzywo do swych myśli z obserwacji rzeczywistości angielskiej; my, zagłębiając się w zagadnienia ekonomii, myślimy bardziej o Wallstreet, niż o Polesiu.

A przecież u podstaw naszego myślenia gospodarczego powinno leżeć tych kilka przeraźliwie prostych cyfr:

Dochód społeczny na głowę wyniósł w 1929 roku:

	w złotych	w stosunku po Polski
Polska	900 <sup>22</sup>	1
Rumunia	600	0,7
Czechosłowacja	1700	1,9
Francja	2100	2,3
Niemcy	2500	2,8
Anglia	4200	4,7
U. S. A.	5800	6,4

---

<sup>22</sup> Zaznaczyć należy, iż zdaniem niektórych polskich ekonomistów cyfra 900 zł na głowę jest obliczona błędnie, a faktyczny dochód społeczny - znacznie niższy. Według niemieckiego badacza, Woytinsky'ego był on w latach dobrej koniunktury 1927-29 niższy od analogicznego dochodu w Sowietach (Rosja 325 marek, Polska - 317).

Nie jest to bynajmniej sprzeczne ze stwierdzoną ciężką sytuacją ludności rosyjskiej. Jej dochód konsumowany jest mniejszy od polskiego, ale całość wyprodukowanego dochodu - większa. Znaczy to, że Rosja więcej pracuje i odkłada dla przyszłych pokoleń, my zaś lepiej trochę jemy (przynajmniej w niektórych klasach), ale ponieważ mniej produkujemy, więc tym mniej pozostaje dla przyszłych Polaków. Stopa życiowa Rosjan będzie rosła, Polaków - spadała.

Dochód brutto z hektara ziemi chłopskiej, czyli dochód z górą połowy Polaków wyniósł w roku 1931/32 w porównaniu z innymi państwami:

	w złotych	w stosunku do Polski
Polska	297	1
Litwa	218	0,7
Niemcy	761	2,6
Dania	1014	3,4

Brak danych co do Rumunii i Rosji utrudnia porównanie z resztą naszych sąsiadów. Z tabeli wynika, iż Polska ze swymi Kujawami i Wielkopolską niewiele przewyższa pogardzaną Litwę, wykazuje zaś dochód dwa i pół raza niższy od znacznie mniej żyznych Niemiec. Porównanie z Danią nie wymaga komentarzy.

Cyfry te nabrałyby jeszcze większego wyrazu, gdyby przeliczyć je na głowę ludności wiejskiej. Wiadomo, iż ze wszystkich krajów na północ od Alp, Polska posiada wieś najbardziej przeludnioną.

W zakresie produkcji przemysłowej nie znajdujemy w „Małym roczniku statystycznym” obliczeń porównawczych. Natomiast dynamikę tej produkcji uzmysławia poniższa tabela:

Przyjąwszy dla „szczęśliwego” roku 1928 cyfrę 100. otrzymamy:

	1928	1932	Różnica	1936	Różnica
Polska	100	54	-46%	72	-28%
Rumunia	100	95	-5%	131	+31%
Czechosłowacja	100	66	-34%	84	-16%
Niemcy	100	54	-46%	108	+8%
Rosja Sow.	100	231	+131%	481	+381%

Czyli: wszyscy nasi ważniejsi sąsiedzi z wyjątkiem Czechosłowacji przekroczyli już poziom z 1928 roku. Uczyniły to nawet Niemcy, bez porównania silniej od nas związane z kryzysem światowym, mimo iż w roku 1932, przed dojściem Hitlera do władzy wykazywały na równi z Polską spadek o 46%.

Cyfry sowieckie są już wręcz przygnębiające. Oczywiście daleko jeszcze Rosji do poziomu produkcji przemysłowej na zachodzie Europy, zarówno pod względem rozmiarów jak zwłaszcza jakości. Słyszy się głosy, że wobec niskiego uprzemysłowienia Rosji przed wojną najbardziej

imponujące cyfry wzrostu procentowego niewiele znaczą. Ale jeżeli zaczynanie od zera jest takie łatwe, to czemu Polska liczona bez Śląska nie wykazuje równie fantastycznego wzrostu?

Co prawda w ostatnich latach polska produkcja przemysłowa ustawicznie wzrasta. Ale gdyby nawet wróciła ona w roku 1938 do kwot roku 1928 - nie będzie to powrót do poziomu „dobrobytu” z tego okresu, gdyż w ciągu dziesięciolecia przybyło nam coś około czterech milionów ust do żywienia, czyli niewiele mniej niż cała ludność Szwajcarii, Irlandii z Ulsterem lub Litwy i Łotwy razem. Nie tylko więc nie dźwigamy się w górę, lecz, przeciwnie, staczamy się stale w dół, a rzekome poprawy są tylko zwalnianiem tempa upadku - niczym więcej.

Całość dochodu społecznego Polski spadła między rokiem 1929 a 1933 z 28.300 milionów na 15.500 milionów. Według obliczeń prof. Rybarskiego niezbędny przyrost roczny majątku narodowego, proporcjonalny do przyrostu ludności winien wynosić

750 milionów. Licząc mechanicznie należałoby wskazać na cyfrę około 31 miliardów dla roku 1933, zaś 35 miliardów dla roku 1939 jako dochód, utrzymujący poziom z 1929 r. Tak oczywiście nie jest, gdyż siła nabywcza pieniądza wzrosła w latach deflacji. Spadek realny między 1929 a 1933 r. wynosi nie 45%, lecz 18%. Niemniej jest rzeczą jasną, iż poziom 1928- 1929 roku jest w przeliczeniu na głowę ludności daleki do osiągnięcia. A przecież ten wyśniony rok 1928 nie był niczym innym, niż złagodzoną nieco biedą. W najważniejszej dziedzinie: przemysłu i górnictwa stan z 1928 roku był niższy od poziomu przedwojennego, kiedy liczba ludności na obszarze dzisiejszego państwa polskiego nie przekraczała 27 milionów<sup>23</sup>. A czy można za stan bogactwa uważać sytuację okresu przed wojną, kiedy ziemie polskie wyrzucały rok rocznie kilkaset tysięcy ludzi na emigrację?

Jednym słowem jesteśmy biedakami, jesteśmy narodem - proletariuszem. Podkreśla to z wielką mocą Jan Stachniuk w „Heroicznej wspólnotce narodu”.

---

<sup>23</sup> Uzmystawia to poniższa tabela:

Na ziemiach dzisiejszego Państwa Polskiego wyprodukowano w tysiącach ton:

	rok 1913	rok 1928
Węgla kamiennego	40,972	40.616
Ropy naftowej	1.114	743
Rudy cynkowej	502	325
Surowca żelaza	1.055	684
Stali	1.677	1.438

„Utarł się u nas pogląd–pisze on–że jesteśmy krajem kapitalistycznym. Zachodzi tu zbiorowy błąd myślowy, powstały pod wpływem sugestii. Nasza rzeczywistość nie jest produktem kapitalizmu i nie jest kapitalistyczna. Nasza rola w światowym gospodarstwie kapitalistycznym była zasadniczo bierna, jesteśmy obiektem wyzysku na modłę kolonialną. Kapitalizm był u nas rośliną obcą, przez obcego ogrodnika na nasz grunt przeszczepioną”.

Bardzo dobitnie ocenia naszą rzeczywistość gospodarczą prof. Stanisław Grabski: „Ustrój, który się u nas przed wojną wytworzył, to ustrój biernego kapitalizmu. Szliśmy coraz bardziej od gospodarki naturalnej do pieniężnej, od produkcji dla rynków lokalnych do produkcji dla rynków światowych, od rękodziela do fabryki... Ale wszystkie czynniki rozwoju u nas kapitalizmu były poza Polską. Od innych narodów przyływały do nas kapitały zakładowe i inicjatywy przedsiębiorcze. W zagranicznych fabrykach i kopalniach znajdował zarobek cały niemal nasz przyrost ludności. Po wojnie po-zostaliśmy tak samo bierni. Ale współpraca gospodarcza z nami krajów bogatych coraz bardziej się kurczyła. A wskutek tego od pierwszej chwili odzyskania niepodległości po dziś dzień dochód nasz społeczny, przypadający na głowę ludności nie powiększa się, lecz maleje”.

Tak przedstawia się rzeczywistość polska. Jakże stąd wypływają wnioski?

Po pierwsze staje się rzeczą jasną, że nasze niedomagania gospodarcze są w nikłym tylko stopniu wynikiem kryzysu światowego, polegającego na załamaniu się struktury kapitalistycznej. Tym samym środki zaradcze, jakie kraje bogate i kapitalistyczne stosują dla pokonania swych trudności, nie mogą być dla nas wzorem, ani źródłem mądrości. Musimy wy-pracować własną koncepcję gospodarczą.

Po drugie: głównym problemem, jaki ma Polska do rozwiązania jest podniesienie globalnej sumy dochodu społecznego i to w tempie takim, aby przy wzrastającej wciąż liczbie ludności dochód ten liczony na głowę wzrastał, zamiast zmniejszać się jak dotychczas.

Jak tego dokonać?

Nasza bierność podsuwa nam pokusę chodzenia po linii najmniejszego oporu: powrotu do stanu przedwojennego. Gdyby jak wówczas płynęły do nas kapitały obce, a odpływał cały niemal przyrost ludności, spadłaby nam duża część kłopotu z głowy. Tak rozumowano przez długi czas po odzyskaniu niepodległości. Eksportowano naszych robotników do Francji i marzono o pożyczkach zagranicznych. Do dziś dnia czytać i słyszeć można u czołowych mężów stanu i ekonomistów argumenty przeciw monopolizacji złota, przeciw ograniczeniom emigracyjnym, a za uniwersalizmem gospodarki światowej, wolnym handlem i wolną migracją kapitałów. Przez wszystkie te uczone wywody przebija niesformułowane pragnienie, aby dziś, tak jak dawniej obcy wykonali za nas pracę podniesienia gospodarstwa narodowego. Zapomina się jednak o tym, że nikt tego nie zechce uczynić za darmo i nikt nie jest do tego obowiązany.

Zapewne, po zakończeniu wojny światowej Stany Zjednoczone wyręczały nas bezpłatnie w żywieniu naszych dzieci. Nie bierzemy jednak pod uwagę tego, że nagromadzonych w magazynach wojskowych zapasów kakao i ryżu nie opłacało się wieźć z powrotem za ocean i że głównym celem misji Hoovera była nie filantropia, lecz wywiad handlowy, zbadanie stosunków gospodarczych Europy środkowej i wschodniej jako nowego rynku zbytu dla rozbudowanego w czasie wojny przemysłu amerykańskiego. Usługa bezpłatna to nie znaczy jeszcze usługa bezinteresowna.

Jest oczywiście rzeczą jasną, że przez międzynarodowy podział pracy ogólna suma bogactwa światowego wzrasta i że powszechne dziś dążenie do autarkii pogłębia kryzys światowy. Truizmem jest również, że migracja kapitałów z krajów o niskiej stopie procentowej do krajów biednych i tanich pod względem siły roboczej powoduje najszybszą kapitalizację. Ale czy wolno stąd wyciągać wnioski, że droga taka jest wskazana dla Polski?

Gdybyśmy stanęli na tym stanowisku, to myśląc konsekwentnie, powinniśmy za nieszczęście uważać odzyskanie przez nas bytu państwowego. Niewątpliwie lepsze warunki rozwoju gospodarczego miała Polska będąca z jednej strony spizarnią Rzeszy Niemieckiej, z drugiej - najbardziej uprzemysłowionym okręgiem Cesarstwa Rosyjskiego. Róża Luksemburg pisała na ten temat bardzo przenikliwie i mądrze. Rozumowanie niektórych naszych autorytetów gospodarczych przypomina sposób myślenia Róży Luksemburg; brak im jedynie odwagi myślenia do końca.

Jeżeli jednak uznaje się wyższość motywów ideowych nad gospodarczymi, to trzeba również i z tego wyciągnąć konsekwencje. Niepodległość musi kosztować. Kosztuje nas ona - i to bardzo - w formie budżetu wojskowego. Przecież gdyby nie konieczność posiadania armii, nie mielibyśmy nawet połowy tych trudności, które nas gnębią. Kraje przywiązane bardziej do dobrobytu, niż do niepodległości, nie zagrożone bezpośrednio i pozbawione ambicji mocarstwowych, łagodzą kryzys przez rozbrajanie się, jak to czyni na przykład Dania. Polska jednak, płacąc zmniejszeniem dochodu społecznego za miejsce na mapie Europy, płacić musi dodatkowo i w ten sam sposób za swoją niepodległość gospodarczą.

Czy znaczy to, że podniesienie tego dochodu przestaje być głównym problemem jaki Polska ma do rozwiązania? Bynajmniej. Ale pozostaje ono głównym problemem gospodarczym. A problemy gospodarcze mieścić się muszą w granicach problemów politycznych, tak jak problemy polityczne w ostatecznym rachunku mieścić się muszą w zakresie problemów moralnych.

Ale nawet w płaszczyźnie czysto gospodarczej łatwo wykazać nicość argumentów, dyktowanych przez psychozę biernego wyczekiwania na pomoc z zagranicy. Współdziałanie krajów kapitałowych z krajami bogatymi tylko w surowce i tanią siłą roboczą wzmaga ogólną sumę bogactwa światowego, ale czy dzieje się to przez wzrost dochodu społecznego krajów ubogich? Czy naprawdę wzrasta dobrobyt takich krajów jak Wenezuela, Kolumbia, Boliwia czy Paragwaj przez

fakt ich niewątpliwie owocnej współpracy z kapitalizmem światowym? Owoce tej współpracy spożywają mocarstwa anglosaskie, odrzucając państwu kreolskim odpadki, zbierane przez cienką warstwę klasy uprzywilejowanej jako nagrodę za „wierną służbę”. I my posiadamy tego rodzaju element; z tego przede wszystkim środowiska wychodzą sugestie „odbudowania gospodarstwa światowego”. Ale zdrowe wyczucie społeczeństwa orientuje się już dobrze (lepiej od naszej biurokracji) w wartości owych „sfer gospodarczych”.

Kraj nasz nie od dziś jest terenem działalności kapitału obcego. Cały nasz kapitalizm od swego zarania jest pochodzenia zagranicznego jeśli pominąć sporadyczną inicjatywę kilku magnatów epoki Stanisława Augusta. Ale obcy kapitał napływający w czasach Lubeckiego i Steinkellera nie był w gruncie rzeczy kapitałem finansowym: były to warsztaty pracy, tworzone przez mieszczan niemieckich, zwabionych możliwością szybkiego dorobku, zarazem nakładców i producentów, którzy przenosili się wraz z rodzinami do Polski i ulegali wolniejszej lub szybszej asymilacji<sup>24</sup>.

Dziś sytuacja jest odmienna: kapitał obcy zachowuje po przybyciu do Polski charakter kapitału zagranicznego, pozostaje filią, której centrala mieści się w obcym państwie, przy czym interesy tej centrali kierują postępowaniem agentury, działającej na terenie Polski.

Jest rzeczą znamionną, że (jak wynika z opracowanej przez Z. Chełstowskiego statystyki emisji akcji), kapitał zagraniczny ulokował u nas do r. 1930 zaledwie 11 milionów złotych w akcjach nowo założonych spółek, natomiast w akcjach spółek dawniej istniejących - 94 miliony, czyli niemal 9 razy więcej. Znaczy to, że kapitał obcy po prostu wykupuje te przedsiębiorstwa, które dają szanse zysków bez większego ryzyka, natomiast nie kwapi się wyręczać nas w pionierstwie. Ale i w wykupywaniu już istniejących zakładów kapitał obcy jest bardzo przezorny: opanowuje on najchętniej te przedsiębiorstwa, które nie mają wolnej konkurencji jak elektrownie, gazownie, wodociągi, tramwaje, telefony, monopol zapalczany, lub te, które konkurencji się nie obawiają z racji patentów, licencji itd. Dodać należy, że przedsiębiorstwa opanowane nie są przeważnie wyłączną własnością kapitału obcego, natomiast znajdują się w całkowitej jego dyspozycji: blisko

---

<sup>24</sup> Inna rzecz, że to sprowadzanie obcych elementów było wynikiem poważnej choroby naszego ustroju gospodarczego oraz przejawem klasowej, szlacheckiej polityki ludzi, rządzących Królestwem. W tym samym okresie dziejów sąsiednie Prusy stworzyły u siebie (również i w polskich prowincjach) silne mieszczaństwo dzięki uwłaszczeniu chłopów. Część ich bowiem odpływała do miast i miasteczek, zasobna w kapitał, otrzymany drogą działań rodzinnych lub sprzedaży gruntu. Włóścianie w Kongresówce - przypomina słusznie Wł. Grabski - „nie przyczynili się do rozwoju przemysłu i handlu, bo nie otrzymawszy ziemi byli do tego za słabi, by zapładniać miasta czym innym jak prostą pracą roboczą”. Stąd konieczność sprowadzania obcych.

połowa, czasem większość akcji należy do wielkiej ilości drobnych i całkowicie bezsilnych akcjonariuszy krajowych, systematycznie wywłaszczanych z dochodu na rzecz decydujących potęg. Sposoby są zbyt znane, aby je trzeba było opisywać.

„Minimum nakładów, maksimum zysków”, oto hasło z jakim kapitał obcy ściągał i ściąga do Polski. Proces ten, widoczny już przed wojną, odnowił się w czasach inflacji, największe zaś rozmiary przybrał w latach pseudoprosperity 1926-1929, kiedy wyprzedawaliśmy się jak bankruci zamiast pracować i oszczędzać jak ludzie na dorobku. Doszliśmy do takiego stanu, iż w końcu 1935 roku udział zagranicy wynosił: w górnictwie 83% (w przemyśle naftowym nawet 88,6%), w hutnictwie 88,2%, w gazie, wodzie i elektryczności 87,9%, w przemyśle drzewnym 81,5%, chemicznym 74,4%, elektrotechnicznym 77,1%, w handlu towarowym 68,2%, w przemyśle budowlanym 61,3%, włókienniczym 50,5%. Udział kapitału obcego w ubezpieczeniach wyrażał się w 79%, a w ubezpieczeniach i bankowości razem z Bankiem Polskim - w 66,3%. Zaznaczyć należy, że dane te, to rezultat ankiety, wypełnianej przez zainteresowane towarzystwa, które częstokroć nie były poinformowane o losach znacznej części swych akcji bezimiennych. Można śmiało przypuścić, że te akcje o niepewnej przynależności znajdują się z reguły w rękach zagranicy, toteż cyfry przytoczone są zapewne jeszcze zbyt optymistyczne.

Olbrzymie sumy, wywożone z Polski do swych ojczyzn kapitalistycznych przyczyniają się do ich dobrobytu. Dostarczają im kapitału obrotowego, obniżają stopę procentową, a w konsekwencji zwiększają zarobki nie tylko warstw kapitalistycznych, lecz i miejscowego proletariatu. Robotnicy bowiem korzystając z dobrej sytuacji gospodarczej przemysłu, wywalczają sobie poziom płac, o jakim polskiemu robotnikowi nigdy się nie śniło. Stosunki te są jakby ilustracją słów M. Bucharina, którymi ów pisarz bolszewicki maluje wyzysk kolonialny:

„Polityka kolonialna przynosi wielkim mocarstwom, to znaczy ich klasom uprzywilejowanym „trustowi państwowo - kapitalistycznemu” olbrzymie zyski. Jeśli tak jest, wynika z tego możliwość podwyższenia płacy robotników kosztem wyzysku ludności kolonii i podległych narodów. Taki też jest rezultat polityki kolonialnej wielkich mocarstw. Nie robotnicy kontynentu i nie robotnicy Anglii ponoszą koszty tej polityki lecz narody kolonii”.

Jesteśmy jako Polska proletariuszem zbiorowym. Sprawiedliwość społeczna wymaga, abyśmy nim być przestali. Podpisując się pod słowami Marxa: „Trzeba obalić wszelkie stosunki, w których człowiek jest upodlony, ujarzmiony, opuszczony i wzgardzony”, należy uzupełnić je parafrazą: „Trzeba obalić wszelkie stosunki, w których naród jest upodlony, ujarzmiony, opuszczony i wzgardzony”.

Zdaniem marksistów, eksploatacja narodu przez naród jest jednym z naturalnych przejawów gospodarstwa kapitalistycznego, co więcej, ustrój kapitalistyczny jest jej jedyną przyczyną.



„Przyszłość - pisze Bucharin - należy (o ile kapitalizm w ogóle będzie istniał) do form gospodarczych, zbliżonych do kapitalizmu państwowego. Walka konkurencyjna w końcu XIX i na początku XX wieku w znacznej mierze przesunęła się na konkurencję na rynku światowym. Tym samym miejsce pojedynczego przedsiębiorstwa zajęła organizacja państwowa kapitału „Ojczyzna”, która przekształciła się w państwowo - kapitalistyczny trust i wkroczyła na międzynarodową arenę walki z całym swym aparatem”.

Wprowadzenie światowej gospodarki socjalistycznej, likwidacja „Ojczyzn” na rzecz międzynarodowej solidarności wyzwolonego proletariatu, skasowanie gospodarki towarowej i rynku światowego - skończyć miało z wyzyskiem typu kolonialnego, czyli zachować korzyści gospodarcze podziału pracy, uchylić zaś jego ujemne strony. W myśl tych założeń, w myśl solidarności z uciskanymi ludami III międzynarodówka rozbudzała ksenofobię i nacjonalizm wśród ludów kolorowych Afryki, a przede wszystkim Azji. Ale - rzecz ciekawa - nigdy tego rodzaju propagandy nie zaczynała nawet szerzyć w Polsce między Polakami. Zostaliśmy z lekkiej ręki kominternu zaliczeni - o ironio - do rządu państw kapitalistycznych!

Rzuca to światło na wartość argumentów bolszewickich. Rzuca to również światło na ewolucję myśli bolszewickiej. W obliczu jej przemian dawniejsze wypowiedzi stają się niewygodne, a nawet kompromitujące. Może dla tego właśnie niełaska spotkała Bucharina. Książka jego, pisana w roku 1915 daje kapitalną definicję imperialistycznego kapitalizmu państwowego, przy czym definicja ta pasuje jak ulał do obecnych Sowietów. Są one dziś klasycznym po prostu „państwowo - kapitalistycznym trustem, wkraczającym na międzynarodową arenę walki z całym swym aparatem”, biorącym czynny udział w gospodarce towarowej na rynku światowym (aż do dumpingu włącznie<sup>25</sup>). Poprzez coraz częstsze operowanie pojęciem Ojczyzny, poprzez wzmagający się wciąż militarizm realizuje się gigantyczny gmach państwa „bezklasowego”. („w społeczeństwie przyszłości - wywodził przed dwudziestu laty Bucharin - nie będzie państwa już z tego jedynie powodu, że nie będzie w nim również klas”). Coraz silniej występują w psychice sowieckiej imperialistyczne zamiary wyzysku innych na modłę kolonialną. Któż obliczy ile w poparciu hiszpańskich rządów Azany i Caballera było procentowo ideologii międzynarodowo - proletariackiej, ile zaś (choćby na drugim planie)

---

<sup>25</sup> A oto dalsze określenia Bucharina: „Kapitalizm państwowy uznaje niemal wszystkie gałęzie przemysłu za „niezbędne do życia”, za „instytucje pierwszej użyteczności publicznej”, jeśli służą one bezpośrednio interesom wojny i rozciąga prawo karne na całą prawie produkcję. Robotnicy tracą możliwość wolnego przesiedlania się, prawo strajku, prawo należenia do t. zw. „wrogich państwu” partii, prawo wolnego wyboru miejsca pracy i t. d. Stają się niewolnikami (podkreślenie Bucharina) przykutymi nie do ziemi, lecz do fabryki. Stają się białymi niewolnikami imperialistycznego państwa, które wtłacza całą produkcję w ramy swej organizacji”.

imperialistycznych planów kapitalistycznych np. troski o rynek zbytu dla nafty kaukaskiej lub o monopol eksploatacji hiszpańskiej rtęci, rudy cynkowej i ołowianej.

Jeżeli od frazeologii braterstwa międzynarodowego przejść do trzeźwej analizy rzeczywistości, stanie się rzeczą jasną, że Polska komunistyczna nie byłaby niczym innym niż kolonią Imperium Sowieckiego, Birobidżanem numer 2, w którym przeprowadzono by kolonizację żydowską na miejsce niepewnego elementu chłopskiego, wysiedlanego masowo na Syberię, krajem drugorzędnym, którego rolnictwo, przemysł, bogactwa kopalniane musiałyby ustępować pierwszeństwa bogatym i lepiej, bezpieczniej położonym ośrodkom gospodarstwa rosyjskiego. Poprawy losu doznałby jedynie proletariats żydowski, dopuszczony bez przeszkód do urzędów państwowych oraz do skolektywizowanych fabryk i warsztatów rolnych - polskie warstwy robotnicza i włościańska poznałyby nędzę już nie na polską miarę, lecz chińską.

Tak przedstawiałby się los zbiorowego proletariusza: narodu polskiego w oczekiwaniu (zapewne nieskończonym) idealnego stanu, kiedy miejsce nacjonalizmów i organizacji państwowych zająć by miało utopijne społeczeństwo światowe międzynarodowego proletariatu. Ale nie lepszy w gruncie rzeczy los czekałby Polskę przy realizacji światowej federacji ludów, tak jak ją pojmuje druga międzynarodówka, stworzona i kierowana przez socjalistów zachodnioeuropejskich. Łatwo to sobie uświadomić, analizując zagadnienie produkcji, konsumpcji i stopy życiowej.

1. Konsumuje się to, co się uprzednio wytworzyło. Normalnie biorąc (nie mówię w tej chwili o odchyleniach ustroju kapitalistycznego) im kto więcej wytwarza, tym więcej może konsumować, tym wyższa jest jego stopa życiowa; przykładem chłop duński i polski. Komunizm utopijny, widząc w tej nierówności źródło różnicowań klasowych, dążyć chce do ustroju, przystosowującego produkcję do konsumpcji, konsumpcję zaś ująć pragnie w jednakowe dla wszystkich kwoty konsumpcyjne, przydzielane poszczególnym ludziom z wyeliminowaniem pieniądza z rynku. Ale taki ustrój nie został urzeczywistniony nawet w Rosji, tym mniej możliwe jest światowe gospodarstwo komunistyczne. Zresztą gospodarstwo takie nie jest w ogóle ideałem dla reformistów z II międzynarodówki, a przynajmniej ideałem na najbliższe stulecia.
2. Stopa życiowa jest rzeczą bardzo różną w różnych częściach globu. Różnica klimatu i związanych z nim konieczności są tak znaczne, wiekowe przyzwyczajenia i realne potrzeby tak odrębne, że niemożliwe jest podciągnięcie ich pod jeden strychulec. Robotnik angielski głoduje o ile nie zje befsztyka; raptowne obniżenie jego standardu życiowego do potrzeb kulisa chińskiego lub choćby naszego poleszuka pociągnęłoby za sobą wymarcie połowy Anglików: ani ryż, ani lebiada nie wystarczą w XX wieku europejskim żołądkom poddanych Jego Królewskiej Mości. To samo dotyczy zmiany londyńskiego mieszkania robotniczego na kurną chatę lub. szałas Jawa języka.

3. Proletariat w każdym państwie pragnie przewrotu przede wszystkim w nadziei polepszenia, nie pogorszenia swego bytu. Marksizm swą teorią nadwartości oraz swą siedemdziesięcioletnią praktyką reformistyczną starannie wychowywał go w tym kierunku. Zagadnienie bezklasowości i jej pozytywnej strony i w ogóle idealistyczne momenty socjalizmu - dla przeciętnego marksisty zaledwie rysują się na horyzoncie.
4. Praktyka wykazuje, że proletariat krajów kapitalistycznych z reguły skłania się do polityki, którą Bucharin określa nazwą protekcjonizmu robotniczego. „Znaczna część - pisze on - robotników australijskich i amerykańskich pozostaje pod wpływem następującej ideologii: my (t. j. kapitaliści i robotnicy) zainteresowani jesteśmy w jednakowej mierze rozwojem naszego krajowego przemysłu, ponieważ im wyższe będą „nasze” zyski, tym więcej podniesie się płaca robocza”. Dodajmy, iż identyczną postawę wykazują robotnicy angielscy, belgijscy i te wszystkie masy, które dają socjalistyczną większość w parlamentach skandynawskich. Dzieje się tak mimo istnienia w wymienionych państwach ustroju kapitalistycznego i antagonizmów klasowych.

Jest więc rzeczą jasną, że w razie światowego przewrotu socjalistycznego robotnicy krajów kapitalistycznych i w ogóle krajów, gdzie panuje dobrobyt nie zawahają się ani na chwilę przed zaciętą obroną swej stopy życiowej wobec roszczeń krajów eksploatowanych na modłę kolonialną i raczej stać będą na stanowisku, że kraje te same muszą wzmóc swą produkcję i tą dopiero drogą podnieść konsumpcję, nie zaś zabierać krajom wyżej gospodarczo stojącym wytworzoną przez nie „nadwartość”. W ustroju socjalistycznym kraje Europy zachodniej stać będą równie twardo jak ich kapitalistyczni poprzednicy na zasadzie Europy A i B, użyją zaś całej socjalistycznej frazeologii o planowym podziale produkcji i jednolitej gospodarce światowej dla skłonienia swych polskich towarzyszy do zniesienia granic celnych i skierowania się ku gospodarce monokultur owej, przede wszystkim zbożowej i hodowlanej. Unikniemy wówczas losu Gruzji wobec Z.S.S.R., ale ulegniemy losowi Albanii wobec Włoch.

Toteż światowe rozwiązanie w duchu marksizmu nie ma dla Polski żadnego znaczenia, bo nie przestaniemy być przez to narodem - proletariuszem. Jest rzeczą oczywistą, że nasze trudności, nasze bolączki, nasze niesprawiedliwości socjalne musimy rozwiązywać samodzielnie, nie oglądając się ani na wschód, ani na zachód. Staje się wreszcie jasne (nie zamazując bynajmniej istniejących i istotnych przeciwieństw klasowych w obrębie narodu polskiego), że sprzeczność o skali naprawdę tragicznej istnieje między Polską jako całością a kapitałem zagranicznym i międzynarodowym.

Ów kapitał zagraniczny nie jest to tylko międzynarodowa finansjera, „międzynarodówka złota”, o której, uproszczając nieco zagadnienie pisze się w popularnych broszurkach narodowych. Międzynarodówka ta rzeczywiście istnieje jako zespół finansistów, kierujących się przede wszystkim motywem zysku (czasem również urokiem hazardu), wyzwolonych z „przesądów narodowych i

wyznaniowych”. Ich główną centralą geograficzną jest Nowy York, w mniejszym stopniu - Londyn, ich formą organizacyjną - loże masonskie z ekspozyturami Rotary Clubów, ich ideologią - liberalizm Rewolucji Francuskiej. Ukrytym podłożem duchowym ich działalności, tam gdzie wznosi się ona ponad wulgarną żądzę złota jest interes polityczny żydostwa.

Jest to najważniejszy - do niedawna jedynie ważny - ośrodek, grożący nam podbojem kolonialnym. Do niego zaliczyć trzeba, oczywiście, cały „krajowy” kapitał żydowski, związany z Polską jedynie węzłami geograficznymi, natomiast finansowo, duchowo, wreszcie rodzinnie zespolony bądź z Palestyną, bądź z centrami żydowskimi w Europie i Ameryce Północnej<sup>26</sup>.

Ów kameleonowy kapitalizm światowy, który szczyt swej potęgi osiągnął bezpośrednio po pokoju wersalskim, znajduje się dziś w defensywie. W stosunku do Polski reprezentuje on, oczywiście, jeszcze wielką potęgę zarówno przez nacisk zewnętrzny jak przez sugestie wewnętrzne. Nacisk zewnętrzny polega na pośredniczeniu w umowach handlowych i udostępnianiu nam lichwiarskich przeważnie pożyczek oraz na stałej groźbie szantażu, polegającej na możliwości atakowania polskiej waluty w centrach handlowych świata<sup>27</sup>. Nacisk wewnętrzny wyraża się bądź w bezpośrednim uzależnieniu kierowników życia gospodarczego złotem i przysięgą wolnomularską, bądź na szerzonych sugestiach quasi - naukowych i wytwarzaniu specyficznego snobizmu t. zw. postępowości gospodarczej. Wszystkie te środki do niedawna wszechpotężne, dziś pod naporem życia działają coraz słabiej.

---

<sup>26</sup> Działa podobno w Polsce pewien kapitalista żydowski, który wyspecjalizował się w eksporcie świeżych wiśni. Jako dzielny bojownik o polski bilans handlowy korzysta on z wielu udogodnień, m. in. z transportu pociągami pośpiesznymi za cenę ulgowej taryfy towarowej. Kupiec ten płaci producentom za wiadro świeżych wiśni w wyborowym gatunku - 5 groszy. Sprzedając w kraju tę część towaru, która nie wytrzymałaby drogi za granicę w stanie zupełnej świeżości - uzyskuje 15 groszy za kilo. Jeśli się zważy, iż w wiadrze mieści się przeciętnie 6 kilo wiśni, kupiec ów otrzymuje zysk osiemnastokrotny, zanim jeszcze zdążył spełnić rolę eksportera. Żyd ten jest jednocześnie właścicielem obiektów przemysłowych w Palestynie. Oto jeden z przykładów świadczących o tym, jak ściśle związana jest „prosperity” polestyńska z biedą polskiego chłopca!

<sup>27</sup> Niezmiernie charakterystyczny jest apel, jaki żydostwo amerykańskie wystosowało w sierpniu 1937 r. do rządu polskiego, sformułowany lapidarnie w depeszy Samuela Untermayera z Nowego Yorku na konferencję Związku Żydów polskich za granicą.

„Jeśli Żydzi W Polsce otrzymają całkowite równouprawnienie i opiekę, jaka należy im się od rządu polskiego na podstawie Traktatu Wersalskiego - Ameryka gotowa jest dopomóc Polsce gospodarczo tak dalece, aby dla Polski zaczęła się era „prosperity”. Może to być osiągnięte przez wzajemne umowy handlowe, w których Polska jest mocno zainteresowana”. („Nasz Przegląd” 25. VIII. 1937 r.).

Obok imperializmu „złotej międzynarodówki” zaczynają jednak na arenie świata, a tym bardziej w Europie środkowej działać coraz silniej dwa nowe centra imperializmu gospodarczego, nawzajem sobie wrogie, rywalizujące jak ongiś Pitt z Napoleonem. Ich środki geograficzne znajdują się w Berlinie i Moskwie, ich językiem ideowym jest w jednym wypadku rasizm, w drugim - komunizm, ich formą organizacyjną - z jednej strony międzynarodowy ruch nordycki i antysemityczny, z drugiej - III międzynarodówka. Imperializmy te są dla nas groźne; wprawdzie nie panują one nad polskim życiem gospodarczym w tym stopniu co imperializm złotej międzynarodówki, lecz dynamika ich jest dużo większa. Oprócz środków nacisku wewnętrznego, polegającego zarówno na bezpośrednim uzależnianiu ludzi jak na szerzeniu snobizmu „faszystowskiego”, bądź „jednolitofrontowego”, imperializmy te rozporządzają dziś jeszcze dość słabym, jutro może realnym środkiem zewnętrznego nacisku: groźbą wojenną. Szanse nasze w dniach próby będą odwrotnie proporcjonalne do uzależnienia naszego życia gospodarczego w czasie pokoju: od Niemiec w zakresie maszyn produkcyjnych, od Rosji w dziedzinie poglądów mas robotniczych.

Wrogie zamiary trzech obcych imperializmów gospodarczych: złotej międzynarodówki, hitleryzmu i bolszewizmu ujawniać się zaczną wobec Polski tym silniej i prędzej, im energiczniej i mądrzej pocnie ona reformować swój ustrój ekonomiczno-socjalny, im lepsze perspektywy przyszłości otworzą się przed naszymi oczami. Rzeczpospolita stała nierządem w okresie saskim w tym sensie, że siły zaborcze czekały spokojnie na dojrzewanie owocu. Prawdziwym casus belli stała się próba reformy ustroju w 1791, a potem próba odrodzenia moralnego w 1794 r.

Toteż warunkiem wstępnym rozwiązania naszego problemu gospodarczego musi być całkowite uniezależnienie się od zagranicy w najlepszym tego słowa znaczeniu. Trzeba konsekwentnie realizować zasadę, iż ośrodki dyspozycji gospodarczej nie mogą leżeć poza narodem.

Odcięcie się od imperializmów gospodarczych to przede wszystkim oderwanie się możliwie najpełniejsze od gospodarki światowej, aby nie być jej biernym obiektem, lecz wkraczać na jej arenę jako niezależny, czynny podmiot gospodarczy. Innymi słowy mówiąc polska polityka ekonomiczna powinna mieć orientację autarkiczną.

Oczywiście pełna autarkia jest fikcją i nie ma kierunku, który by ją głosił. Istotny jest jednak nie stan krańcowy, lecz zasadniczy kierunek polityki gospodarczej. Pod tym względem praktyka polska przedstawia się źle. Zdążamy wprawdzie ku autarkii ale nie planowo, lecz pod naciskiem okoliczności, decydując się na każdy krok z musu i w ostatniej chwili. Toż właśnie Polska, nie kto inny była w międzynarodowych rokowaniach gospodarczych jednym z ostatnich heroldów klauzuli najwyższego uprzywilejowania, a wielu działaczy gospodarczych, nawet na oficjalnych stanowiskach uważa clearing i kompensatę towarową za malum necessarium, przeciągające się w niepokojący

sposób. Podobnie za zło konieczne uważa się centralę dewiz i dobitnie zaznacza jej tymczasowy charakter.

Program autarkii atakowany jest czasem w imię zasady, która właśnie autarkię nakazuje: zasady niezależności gospodarczej. „Program samowystarczalności - pisze Ignacy Matuszewski - może być równoznaczny z programem zupełnej niezawisłości od innych, tylko dla wyjątkowo wielkich i bogatych krajów. Dla krajów innych rozluźnienie ich związków ze światem jako całością doprowadziłoby w skutku do zacieśnienia związku z tą czy ową częścią owej całości, z tym czy z owym krajem... Polska nie ma samowystarczalności rozwojowej. Tam zaś gdzie nie ma nie tylko samowystarczalności, lecz i perspektywy pełnej samowystarczalności - tam „gospodarka planowa\* przestaje być niezawisłością. Za kauczuk trzeba będzie płacić tyle, wiele to wy- padnie z „planu\*\* syndykatu kauczukowego, a nie z „planu\*\* kraju sprowadzającego. Niezawisłość za-mieni się w zawisłość. Dziś dolega nam konieczność liczenia się z kapitałem zagranicznym, bo istotnie Polsce potrzebny jest kapitał do uruchomienia jej sił wytwórczych. Ale monopolista zagraniczny jest stokroć niebezpieczniejszy niż zagraniczny kapitalista. Bowiem kapitał jest to taki surowiec, który można wyprodukować w każdym kraju, zatem można wcześniej czy później uniezależnić się od obcych. Ale nikiel leży tam, gdzie leży... Polska jako kraj niesamowystarczalny, musiałaby wejść w skład jakiegoś większego konglomeratu i nie „planować”, lecz wykonywać część cudzego planu - bądź zależeć od swych dostawców i odbiorców”.

Czytając powyższe słowa, sądzić by można, że w ustroju wolnego handlu międzynarodowego Polska zapewnioną ma niezawisłość, która „zmeni się w zawisłość” dopiero przy przejściu na system autarkii! Ale przecież trusty monopolowe np. International Nickel Company dyktowała, dyktuje i dyktować będzie ceny niezależnie od ustroju swych odbiorców i ich stosunku do handlu światowego. Ceny nie są stopniami, wymierzanymi za pojętność i pilność w liberalizmie gospodarczym! Sądząc po dzisiejszych praktykach międzynarodowego kapitału Polska prędeż zdoła wynaleźć i wyprodukować namiastkę niklu, niż uniezależnić się finansowo metodami gospodarczego liberalizmu. Znacznie uboższe od Polski w surowce Włochy nie zostały bynajmniej przez dążenie do autarkii zmuszone do wejścia w skład większego konglomeratu; przeciwnie, uzyskały na międzynarodowej arenie gospodarczej swobodę ruchów i możliwość nieskrępowanego planowania. Dowiodła tego wojna abisyńska i zwycięskie przełamanie sankcji.

Gospodarka polska, stojąc oko w oko z ekspansją imperializmów obcych, musi w przewidywaniu ciężkich zmagania posiadać cechy gospodarki wojennej. Tymczasem np. w „Dysproporcjach” Eugeniusza Kwiatkowskiego czytać można na str. 235: „Istnieją działy produkcji, które tak ściśle są związane z miejscowymi warunkami i surowcami lub też wymagają tak szerokiego nastawienia się na rynek światowy, że usiłowania rozwinięcia ich wbrew tym naturalnym przesłankom jedynie w imię teoretycznej tendencji samowystarczalności jest zmarnowaniem sił i

zasobów społecznych. Jeżeli ponadto dąży się do przyspieszenia procesu uprzemysłowienia kraju, znajdującego się w początkowej fazie rozwoju, to oczywiście trzeba z góry przyjąć do rachunku, że w okresach tej rozbudowy musi silnie wzrastać natężenie importu. Naturalnym dążeniem każdego państwa jest by niezbędny import pokryć przede wszystkim przez wywóz własnych towarów. Polska ma ponadto specjalne powody, aby uznać ten problemat dla siebie za wyjątkowo ważny. Nie posiadamy żadnych poważniejszych aktywów i kapitałów ulokowanych za granicą, które by równoważyły pozycje pasywne w bilansie płatniczym... Natomiast wobec olbrzymich potrzeb inwestycyjnych naszego gospodarstwa, sumy, wychodzące z kraju zarówno w postaci oprocentowania jak też i zysków przedsiębiorstw opartych na kapitale obcym wykazywać będą tendencję wzrastającą. Wszystkie te argumenty podkreślają wagę zagadnienia eksportu towarowego dla Polski oraz wskazują, że wszelka jednostronność krańcowego nastawienia polityki gospodarczej na rynek wewnętrzny, albo na rynki za-graniczne byłaby błędna.

Jest rzeczą jasną, że żadne państwo nie może sobie pozwolić na marnowanie sił i zasobów społecznych dla teoretycznej tendencji samowystarczalności. Ale kalkulacja opłacalności tych sił i zasobów nie jest tak prosta jak to sugerują ceny oparte o złoto jako o miernik wartości. Operując cenami światowymi łatwo wykazać nieopłacalność szeregu zamierzeń gospodarczych. Mówi się, że bawełna jest tańsza, niż len, że wełny nie opłaca się produkować w kraju, że samochód krajowy byłby niewspółmiernie droższy od zagranicznego, że większość naszych rud żelaznych jako zbyt nisko procentowych nie warto eksploatować. Otóż prawidłowe obliczanie musi oprzeć się na innej zasadzie.

Musimy przede wszystkim wliczać do kalkulacji importowych koszty naszego dumpingu we wszystkich jego jawnych i ukrytych formach. Jak to obliczyć - w tym już głowa specjalistów. Ale dla zrozumienia istoty rzeczy wystarczy zdrowy rozum nie-fachowców. Oto przykład najbardziej prosty:

Sprowadzamy ze Szwecji: maszyny, rudy żelazne i miedziane, papier, tłuszcze roślinne i zwierzęce. Z Francji: maszyny, środki transportu, wełnę, odzież, futra, perfumy. Z Austrii: maszyny i narzędzia (m. in. kosy), wełnę, odzież, papier. Z Włoch: maszyny, środki transportowe, tytoń i owoce. Za wszystkie te artykuły płacimy przede wszystkim węglem. Węgiel ten osiąga na rynkach zagranicznych przeciętną cenę 5 zł. za tonę. Do przewozu tego węgla na trasie Śląsk- Gdynia koleje polskie dopłacają około 70 milionów złotych rocznie. Jeżeli wkalkulujemy te cyfry w odpowiedniej proporcji w koszt importowanych towarów, cena ich okaże się zawrotnie wysoka.

Zapewne niektórych z wymienionych artykułów nie możemy w Polsce wytwarzać. Dotyczy to np. owoców południowych i lepszych gatunków tytoniu. Produkcja innych, np. wełny, niektórych maszyn wymaga wieloletniego przygotowywania. Ale czy w świetle przytoczonych faktów można twierdzić, że np. wobec niższych cen szwedzkiego żelaza i miedzi nie opłaca się rozszerzanie

eksploatacji polskich rud? A przecież jak twierdzą znawcy „obecnie pod względem zawartości procentowej żelaza w rudach prowadzimy gospodarkę luksusową”, np. rudy starachowickie poniżej 40% zawartości żelaza są odrzucane jako nieopłacalne. „Miedź w Polsce istnieje... na ogół eksploatacja miedzi nie opłaca się. Rudy miedziane kieleckie są to drobne gniazda mało procentowe. Niemcy eksploatują jednak swe łupki bitumenowe zaledwie 15 cm. zawierające do 1% miedzi”. (Zb. Sujkowski). Nie sądzą przy tym, aby ich postępowanie było „marnotrawieniem sił i zasobów”.

Bywają jeszcze inne podstawy opłacalności.

Myślenie gospodarcze nie może operować chwilą bieżącą, lecz szerokimi okresami czasu. Wojny, nieuchronne w naszym położeniu geograficznym muszą być brane pod uwagę w opracowywaniu planu gospodarczego jako realne prawdopodobieństwo. Musi o tym pamiętać szczególnie Polska przeprowadzająca w rewolucyjnym tempie przebudowę społeczno-gospodarczą już choćby dla tego, że przewrót gospodarczy jest w życiu narodu tym, czym np. dla skorupiaków zrzucanie ciasnego pancerza. Pozostanie w starej skorupie grozi uduszeniem, zrzucenie - osłabia obronność organizmu do czasu kiedy nowy pancerz nie okrzepnie.

Położenie Polski na mapie świata ułatwia blokadę gospodarczą. Brak nam szeregu surowców niezbędnych do wygrania wojny: cyny, manganu, chromu, antymonu, wolframu, niklu, platyny, rtęci, kauczuku, fosforytu, bawełny. O miedzi była już mowa. Po-siadamy zupełnie niewystarczającą produkcję wełny (około 16% konsumpcji), zbyt słabą - lnu i konopi, a tym samym tłuszczów roślinnych, niedostateczną - siarki. Wśród wszystkich tych produktów część daje się za cenę „marnotrawienia sił i zasobów” wytwarzać w kraju, część można w ten sam sposób zastąpić surogatami. Oczywiście istnieje inna możliwość: magazynowanie już w czasie pokoju olbrzymich zapasów. Wymagałoby to jednak wywożenia ogromnych sum za granicę, w konsekwencji - dalszego wzmagania eksportu za wszelką cenę, aby odpływ dewiz skompensować, inaczej mówiąc, dalszego marnotrawstwa dumpingowego. Natomiast rozbudowanie produkcji krajowej, pozornie, licząc w zlocie, kosztowniejsze, ułatwia walkę z bezrobociem, powoduje żywszy i większy obrót gospodarczy, pozwala na śmielszą politykę emisyjną, co z kolei znów pobudza gospodarstwo narodowe. Dotyczy to wprawdzie nie samych zbrojeń, bo broń i amunicja jest z punktu widzenia gospodarczego wytworem czysto konsumpcyjnym, ale produkcji przygotowawczej: wytapiania metali, hodowli owiec, uprawy lnu, fabrykacji maszyn i środków transportu.

Są to prawdy tak oczywiste, że pisanie o nich wyda je się wyważaniem drzwi otwartych. A jednak ich zrozumienie nie wyprzedza u nas życia, przeciwnie, dopiero napór nieodzownych konieczności kruszy zastarzałe pojęcia. Po dwudziestu bez mała latach istnienia niepodległego państwa i nieustannego odpływu naszych bogactw za granicę, odpływu wywołującego stan ciężkiej anemii gospodarczej - nie rozwiązaliśmy nawet zagadnienia kotonizacji lnu, urentownienia hodowli owiec i szeregu innych, będących wstępem do przebudowy gospodarczej w kierunku



autarkii. Powoli poczynamy pojmować powagę sytuacji, ale nie zdajemy sobie sprawy z rozległości problemu. Chcemy osiągnąć cel np. w dziedzinie krajowej produkcji wełny przez preferencje przy dostawach dla armii i urzędów publicznych. W tych granicach osiągnąć można zaledwie nikłe rezultaty. „Środkiem działającym na wzrost produkcji wełny byłoby wzmoczenie spożycia wełny krajowej przez całą ludność państwa... dałoby się ono osiągnąć na drodze przymusu przymieszki wełny krajowej w stosunku do konsumpcji tego artykułu przez odnośne zakłady przemysłowe, a dalej w miarę rozwoju produkcji na drodze przymusu używania wełny wyłącznie krajowej. Dalej, środkiem wzmocnienia produkcji byłoby centralne zagospodarowanie obrotu tym artykułem, obejmujące zarówno import jak skup na rynku wewnętrznym, oraz dystrybucję omawianego surowca\*<sup>28</sup>. (Gryziewicz)<sup>28</sup>. Pogląd ten słuszny jest nie tylko w odniesieniu do wełny, ale do wszystkich dziedzin, ważnych dla naszej niezależności wojskowej i gospodarczej, umożliwiającej wygrywanie wojen zarówno militarnych jak celnych.

Pełny i konsekwentny program planowej autarkizacji Polski jest warunkiem naszego istnienia. Jego bardzo istotną częścią musi być wprowadzenie państwowego monopolu handlu zagranicznego. Jest to tym niezbędniejsze, że w dziedzinie eksportu i importu wyjątkami są solidne firmy handlowe, że jest ona żerowiskiem kapitału spekulacyjnego, przeważnie żydowskiego, operującego korupcją i wyzyskiem na wewnątrz a oszustwem na zewnątrz, a korzystającego bezpłatnie z sieci naszych placówek konsularnych. Nieuniknione przy monopolizacji zeszytnienie biurokratyczne będzie sownie okupione ładem i przejrzyością planu, wybiciem interesów Państwa na czoło i usunięciem nadużyć. Centralizacja handlu zagranicznego i stopniowe centralizowanie (drogą spółdzielczości) handlu hurtowego jest zresztą zgodne z dążeniem do przyszłego stanu: planowego ustroju zdekoncentrowanej produkcji.

Oczywiście, co wynika z samej koncepcji monopolowej handlu zagranicznego, stan całkowitej izolacji nie może być celem naszej polityki ekonomicznej. Nie jest to ani możliwe, ani potrzebne<sup>29</sup>. Zewnętrzne oddziaływania na organizm gospodarczy działają jak diatermia: w małych

---

<sup>28</sup> Dziedzina wełny, a zwłaszcza lnu jest stosunkowo wdzięcznym terenem dla dekoncentracji produkcji w przeciwieństwie do dziedziny metalurgicznej lub chemicznej.

<sup>29</sup> Zagraniczne rynki zbytu będą nam potrzebne przy lokowaniu wytworów rozwijającego się w szybkim tempie przemysłu. Nasz rynek wewnętrzny, dziś niemal nieistniejący, może wprawdzie stanowić podstawę dla przemysłu, jest jednak podwójnie ograniczony:

- 1) liczbą ludności,
- 2) rodzajem jej zajęcia. (Rolnicy nie mogą wzmagać wydajności gleby w tym stopniu, co przemysłowcy - wydajności maszyn; znaczną część swych wytworów konsumują sami, więc na zakup wyrobów przemysłu zostaje

dawkach pobudzają krążenie soków żywotnych i goją lokalne schorzenia; w dużych - niszczą organizm. Pacjent w klinice pozostawia regulację czasu i natężenia diatermii - wiedzy i uczciwości lekarskiej. Ale w międzynarodowym życiu gospodarczym lekarze są zbyt kosztowni i, co gorsza, nie kierują się etyką lekarską. Naród musi sam siebie leczyć, a podstawowym warunkiem leczenia jest możliwość nieskrępowanego dawkowania wpływów zagranicznych.

Dotyczy to-rzecz prosta-nie tylko importu towarów, lecz i kapitałów, szczególnie angażowanych bezpośrednio w produkcję krajową. Ta forma zależności jest, wbrew sądom Ignacego Matuszewskiego, jeszcze bardziej niebezpieczna niż towarowa. Producentom obcym, o ile nie są monopolistami, zależy na rynkach zbytu, zabiegają o nie, czynią ustępstwa. Kapitały trzeba ściągać obietnicą zysków tak dużych, aby prze-ważyły powojenną nieufność, trzeba sztucznie tworzyć dla nich warunki cieplarniane, udzielać przywilejów na szkodę rodzimych elementów. O dotychczasowych wynikach tego rodzaju polityki była już mowa. Przy systemie bezimiennosci akcji grozi inne jeszcze niebezpieczeństwo. Dokonywane na giełdach światowych transakcje mogą w każdej chwili oddać dyspozycję ważnych działów naszej produkcji w ręce wrogich nam politycznie potęg. Mogą również dla celów polityki kartelowej świadomie niszczyć naszą wytwórczość, tak jak to było z Żyrardowem.

Ośrodki dyspozycji gospodarczej nie mogą leżeć poza narodem. W myśl tego hasła Polska przejść musi w swoje ręce ogół przedsiębiorstw, opanowanych przez kapitał obcy. Rzecz prosta, nie można tego dokonać drogą wykupu. Ani budżet państwowy nie wytrzyma podobnego obciążenia, ani społeczeństwo nie wyda z siebie tak wielu i tak wielkich kapitalistów<sup>30</sup>. Wywłaszczenie obcych kapitalistów musi zasadniczo dokonać się bez odszkodowania.

Aczkolwiek świadomość konieczności tej drogi poczyniła w ciągu lat ostatnich duże postępy, znajdują się ludzie, których stwierdzenie to zgorszy, ba, oburzy. Przypomną, iż hasło wywłaszczenia bez odszkodowania głosi w szeregu krajów „front ludowy”, postawią zarzut światopoglądu materialistycznego. Własność prywatna - powiedzą - to rzecz święta, to fundament cywilizacji chrześcijańskiej. Kto wprowadza niepewność do tej dziedziny, ten wkracza na drogę, której końca

---

im kwota dość skromna). Aby więc przemysł naprawdę rozwinąć, trzeba szukać terenów zbytu poza Polską, ale zbyt ten musi być opłacalny i nie może pociągać za sobą szkodliwego importu. Takie rynki zbytu można znaleźć w krajach pozaeuropejskich. Ale zdobywa się je dwoma sposobami: taniością produkcji i rozwojem floty handlowej. Dzisiejsza mania eksportu za wszelką cenę - zabija te możliwości; wywozimy ze stratą surowce podstawowe, opłacając to wysokością cen w kraju i szukamy rynków zbytu jak najbliżej, co zwalnia nas o troski o flotę.

<sup>30</sup> To drugie rozwiązanie byłoby zresztą sprzeczne z zasadniczą koncepcją niniejszej książki.

nie widać, lub gorzej nawet - na równię pochyłą, po której stoczyć się musi do anarchii i bolszewizmu! Własność prywatna jest, albo jej nie ma: podkop jej zasadę na jednym choćby odcinku, a runie natychmiast cała. Półdziewica nie jest dziewicą, półwłasność nie jest własnością.

Ostatnia analogia chyba celu, gdyż wiemy dobrze co to jest dziewica i zgadzamy się wszyscy na jednakowe jej określenie, natomiast w dziedzinie własności prywatnej zachodzi różnica pojęć. Poglądy w tej materii zmieniały się w ciągu wieków. Stoję na stanowisku, że własność jest funkcją społeczną, a to pojęcie zbliża się do średniowiecznego - epoki największego nasycenia duchem chrześcijańskim; pojęcie tych, którzy mówią o „świętym\*\* prawie własności - do koncepcji pogańskiego prawa rzymskiego. Zapominają, że owe prawo rzymskie sankcjonowało własność prywatną w postaci niewolnictwa. A własność to res sacra - mawiał zapewne wówczas posiadacz niewolników.

Mamy zresztą i bliższe przykłady - polskie. Doprawdy zabawni są ludzie, którzy głoszą święte prawo własności, a jednocześnie potępiają pańszczyznę. Powinni raczej potępiać uwłaszczenie chłopów, boć ziemia, na której siedzieli była własnością dziedziców. Prawda, dostali oni odszkodowanie - ówczesne państwa stać było na to - ale że nie było ono pełne, tego dowodzi ruina gospodarcza szlachty naszej po 1863 roku. Uwłaszczenie było zamachem na własność prywatną i te same dosłownie argumenty co dziś przeciw wywłaszczeniu kapitału obcego lub przeciw reformie rolnej wytaczano w obronie pańszczyzny lub czynszów. Ba - powiedzą - ale pańszczyzna była niesprawiedliwa. Oczywiście, ale w takim razie dyskusja przenosi się na zupełnie inny grunt. Już nie wolno mówić o świętym prawie własności, lecz o prawie własności sprawiedliwej. A czy można do niej zaliczać własność nabytą oszustwem, utrzymywaną przez wyzysk, a taki jest z reguły charakter posiadania obcego kapitału. Jakże interesująca jest np. geneza własności kopalni górnośląskich! U źródła jej leżą nadania władców Śląska prawem feudalnym. Prawo to dotyczyło, jak wiadomo, użytkowania powierzchni ziemi; eksploatacja kopalni była regałem monarszym. Obdarzeni ziemią wasale osadzali na niej kmieci w zamian za czynsz, lub pańszczyznę. Jak wiadomo jednak przemiana pojęć własności wyprzedziła uwłaszczenie. Rzymskie pojęcie własności jako iuris utendi, fruendi et abutendi okazało się wielce przydatne z chwilą gdy węgiel kamienny począł odgrywać rolę gospodarczą. Chłopów siedzących wieki na roli spędzono z niej i obrócono w proletariat górniczy, bogactwa kopalniane, będące własnością państwa i nie objęte nadaniem - zawłaszczono i oparto na nich wielokrotny, bezprawny wzrost fortuny. Czy tego rodzaju tytuł moralny może uświęcać własność?

Oczywiście w praktyce konieczne będzie przy wywłaszczeniu pewne indywidualizowanie. Trudno stosować pospolitą grabież, a tak by było, gdybyśmy konfiskowali np. fabrykę świeżo wybudowaną przez kapitał, który w całości przybył z zagranicy. Można dopuścić zasadę zwrotu efektywnie poniesionych kosztów, o ile nie zostały jeszcze pokryte przez zyski. Sądząc po praktykach

kapitalistów obcych, będą to sumy raczej nikłe. Że spłata ich może się odbywać jedynie towarami, tego uzasadniać nie trzeba. Jest to maksymalny wydatek na jaki Polska - dla nie obrażania sprawiedliwości społecznej - może sobie pozwolić. Państwo nasze i bez tego będzie miało dość kłopotów z uruchomieniem dostatecznie dużych kapitałów obrotowych dla poprowadzenia wywłaszczonych przedsiębiorstw.

Wszystkie omawiane tu środki mają charakter dość drastyczny. A jednak są one zaledwie wstępnym warunkiem rozwiązania problemu gospodarczego Polski. Byłyby one niemal wystarczającą poprawką ustroju socjalno - ekonomicznego, gdybyśmy posiadali przyrost ludności zbliżony do francuskiego lub szwedzkiego. Reszty do-konałaby reforma rolna, przeprowadzana za pełnym odszkodowaniem, co dałoby części chłopów ziemię, a ziemianom środki na rozszerzenie przemysłu. Inna część zbędnej ludności wiejskiej dostarczyłaby kontyngentu robotników fabrycznych oraz straganiarzy i kupców w odebranych Żydom handlu. Popieranie rzemiosła i unikanie zbytnej racjonalizacji maszyn dopełniłoby retuszu naszego społeczeństwa kapitalistycznego, stwarzając wdzięczne pole dla stosowania zasad katolickiej sprawiedliwości społecznej. Ale - i trzeba to zaznaczyć z całym naciskiem - program taki byłby wystarczający gdybyśmy w ciągu najbliższych lat piętnastu mieli do czynienia z 34 milionami ludności. Według obliczeń prof. Szulca będziemy jej mieli w 1950 roku - 40 milionów. Tym sześciu milionom trzeba dać chleb, by nie umarły z głodu.

Jeżeli utrzymamy się w granicach dzisiejszej polityki gospodarczej i założymy, że koniunktura będzie przez czas dłuższy ciągle się poprawiała, dojdziemy w r. 1950 - według obliczeń M. Grzegorzycy - do cyfry 6 milionów 250 tysięcy ludzi dorosłych (bez dzieci i starców) nie mających utrzymania. Już za lat 5-7, bo w roku 1943 - 5, połowa młodzieży między 20 a 30 rokiem życia będzie bezrobotna, w roku 1950 bezrobocie obejmie % młodego pokolenia. Tak będzie w razie ciągłego wzrostu dobrej koniunktury. A jeśli powróci fala depresji?

Położenie nasze jest tak odrębne od sytuacji innych narodów i państw, że nic nam lub prawie nic nie da czerpanie wzorów z zagranicy. Możemy w szczegółach korzystać z doświadczeń innych, ale trudno o fałszywszy pogląd niż ten, który w obawie eksperymentowania każe ostrożnie czekać na wyniki eksperymentów obcych. Na czekanie mamy mniej czasu niż ktokolwiek na świecie.

Niewiele również wskazań znajdziemy w historii. Od chwili bodaj kiedy zaczęto ją pisać nie zdarzyło się, aby jakikolwiek naród, ściśnięty sztywno obszarem swego państwa, pozbawiony

możliwości emigracji, powiększył się w ciągu 30 lat o 50%<sup>31</sup>. Ogromny przyrost naturalny wykazują od lat dwustu Chiny, ale też kraj ten mimo skolonizowania Mandżurii i rozsiania kilku milionów wychodźców po wszystkich częściach świata cierpi na przeludnienie i nędzę. Wielki przyrost naturalny wykazuje w XIX w. Europa, ale w stuleciu tym wywędrowało poza jej granice około 30 milionów ludzi, resztę zaś wchłonął rozwijający się w szybkim tempie przemysł. Jego podstawą finansową były strumienie bogactw, płynące z eksploatacji krajów zamorskich. Strumienie te zaczynają powoli wysychać. Polska powróciła do rzędu państw niepodległych zbyt późno, aby móc uczestniczyć w tej międzynarodowej grabieży. Nasze perspektywy kolonialne gdyby nawet nie były mirażami otworzyłyby jedynie pole do inwestycji kapitałów polskich. A przecież cała trudność naszego położenia wynika z braku tych kapitałów. Musimy wytworzyć je sami, polskimi dłońmi na polskiej ziemi.

Jak tego dokonać?

Świat zna jak dotąd dwie tylko metody kapitalizacji. Można oprzeć się o zalążek kapitałów już istniejących i rozwijać je przez troskliwą opiekę polegającą na liberalizmie wewnątrz granic państwa a protekcjonizmie na zewnątrz. Taką drogą kroczyli Niemcy. Ludność licząca w 1870 r. 41,4 miliona przez najbliższych lat 30 wzrosła do 56,3 mil. (o 38,6%), a w r. 1910 osiągnęła bez mała 65 milionów. Jeszcze po Sądanie były Niemcy krajem przeważnie rolniczym, dobrze zagospodarowanym. W 1883 r. liczba ludzi zatrudnionych poza rolnictwem zrównała się z liczbą rolników. W 1907 r. osiągnęła ona cyfrę 34,7 mil., podczas gdy rolnicy spadli do 17,7 miliona. Produkcja węgla wzrosła przez niecałe 30 lat o 240%, produkcja żelaza o 344%. Takie wyniki osiągnął rozmach inicjatywy prywatnej. Ale Niemcy już przed 1870 rokiem były krajem zamożnym, choć przeważnie chłopsko - rzemieślniczym, posiadały znaczne, choć rozdrobnione kapitały, silny

---

<sup>31</sup> W początku r. 1919 Polska liczyła 26 milionów, do roku 1949 narośnie około 13 milionów. Są to cyfry zaokrąglone w granicach 1 miliona i nie uwzględniają różniczkowania ludności na Polaków, Żydów, Ukraińców itd. ściśle mówiąc nie naród zwiększa się o 50%, lecz ludność państwa.

Silny przyrost naturalny jest zjawiskiem niezwykle pożądanym i to nie tylko pod względem militarnym. Tylko narody szybko rosnące posiadają warunki ekspansji, mogą wybić się swą dynamicznością ponad inne. Ale jak słusznie mówi St. Grabski-aby ten szybki przyrost ludności stał się źródłem naszej potęgi, nie słabości-trzeba, by szybszy odeń był przyrost również naszego bogactwa.

Statystyki ostatnich lat wykazują co prawda znaczny spadek przyrostu naturalnego. Jest to prawdopodobnie skutek pesymizmu ogarniającego szerokie masy w obliczu stałego pogarszania się warunków. Złowrogie to zjawisko godzi w naszą dalszą przyszłość jako narodu, nie przynosi natomiast prawie żadnej ulgi w naszej bezpośredniej przyszłości gospodarczej. Przez najbliższych lat piętnaście dorastać będzie pokolenie już urodzone, pokolenie bardzo liczne - i jemu trzeba dać chleb i pracę.

ośrodek bankowy we Frankfurcie. Od 1834 roku na straży gospodarstwa narodowego Niemiec stał związek celny. Kilkadziesiąt lat spokojnej, twórczej pracy poprzedziło więc rozkwit gospodarczy, a co najważniejsze, swą wielką karierę przemysłową zaczęły Niemcy 5 miliardami franków kontrybucji francuskiej. O analogii sytuacji polskiej z niemiecką nie może być tedy mowy. Odmienne warunki odmiennych wymagają środków działania.

Skoro oparcie o kapitały już istniejące nie rozwiąże sprawy i nie uchroni przed groźną dla bytu Polski tragedią głodu w ciągu najbliższego dwudziestolecia musimy dla wzmożenia kapitalizacji wkroczyć na jedyną już drogę jaka nam pozostaje, na drogę trudną i wymagającą ciężkich ofiar. Trzeba zmienić rozdział dotychczasowego dochodu społecznego w ten sposób, aby powstały środki na rozbudowę produkcji, a również warunki zbycia wytworzonych towarów. Trzeba rozszerzyć rynek wewnętrzny tak, aby stał się podstawą dla rozwoju produkcji.

Kapitalizacja, wbrew sugestii, jaką wywiera sam termin, nie jest zjawiskiem zachodzącym wyłącznie w ustroju kapitalistycznym. Dochód skapitalizowany to różnica między całkowitą sumą dochodu a dochodem konsumowanym, a kapitalizacja to proces, wynikający z ograniczenia potrzeb dnia dzisiejszego dla zabezpieczenia potrzeb jutra. Kapitalizacja społeczna, to ograniczenie konsumpcji pokolenia dzisiejszego w celu stworzenia możliwości konsumpcyjnych dla narastających pokoleń.

Ale analogia między oszczędzającą jednostką a kapitalizującym społeczeństwem nie jest ścisła, ani całkowita. Mogę zjeść zaledwie pół obiadu, aby resztę zachować na jutro, mogę chodzić w łatanych butach, zrezygnować z kina czy kawiarni, oszczędzać wieczorami światła, a uciulane w ten sposób pieniądze odkładać na przyszłe kształcenie małego dziś jeszcze dziecka, ale jeżeli robić to będzie całe społeczeństwo, wówczas skurczyć się musi produkcja butów, elektryczności, nafty, zamkną się kina i kawiarnie, wyrzucając na bruk personel, a rolnik nie będzie miał komu zbyć swych wytworów. Przewyżka produkcji nad konsumpcją jest nadprodukcją - nie kapitalizacją.

Taki wniosek jest słuszny - ale tylko częściowo.

Jest on słuszny w dziedzinie konsumpcji bezpośredniej, w dziedzinie artykułów pierwszej potrzeby. Ale gospodarstwo narodowe wytwarza nie tylko artykuły konsumpcyjne, produkuje również narzędzia produkcji, produkuje wytwory ułatwiające konsumpcję. A wreszcie nie można stosunku producenta do konsumenta zacieśniać do wyobrażenia targowiska kupujących i sprzedających. Każdy producent jest konsumentem, a prawie każdy konsument producentem. Wytwórca produkuje tym oszczędniej, im większa jest rozpiętość między poziomem jego produkcji i konsumpcji.

Instaluję nowe narzędzie pracy. W cenie, którą za nie zapłaciłem mieści się konsumpcją ludzi, związanych z jego produkcją: dyrektorów fabryki, radców prawnych, inżynierów, majstrów,

robotników, a dalej – pracowników hut, górników z kopalń rud i węgla, ludzi zajętych przy transporcie i produkcji środków transportu, wreszcie – właścicieli hut, kopalń i fabryk oraz tych wszystkich, którzy żyją z pieniędzy podatkowych. Przez czas pewien narzędzie, które kupiłem, pracuje na spłacenie swej ceny; w końcu przychodzi chwila, kiedy jego produkcja zrównoważyła tkwiącą w cenie konsumpcję. Od tej chwili praca narzędzia jest czystą nadwyżką produkcji. Narzędzie pracuje darmo, jeśli nie liczyć kosztów jego remontu. Mniej oczywiste jest to przy maszynie fabrycznej, ale w całej jasności występuje np. w usługach dostarczanych przez kanały spławne, regulacje rzek i t. p. Kanał Królewski czy Augustowski dostaliśmy niejako w darze od zmarłego dawno pokolenia. Tego rodzaju dary w narzędziach produkcji musimy złożyć narastającemu pokoleniu, jeżeli ma się ono stać dla Polski pożytkiem, nie ciężarem.

Aby móc to uczynić musimy jako społeczeństwo więcej, wydajniej, umiejętniej produkować, natomiast mniej konsumować. Oczywiście różne części społeczeństwa różne mają zadania do spełnienia. Wzmożenie wysiłku pracy jest obowiązkiem każdego Polaka. Ale ograniczenie konsumpcji nie jest ani możliwe, ani celowe dla ogromnej większości społeczeństwa. Nie jest możliwe, gdyż poniżej dzisiejszego poziomu konsumpcji zaczyna się sfera tyfusu głodowego i jaskrawego wyrodnienia rasy, nie jest celowe, gdyż właśnie szerokie masy wobec niewielkich szans zdrowego eksportu są zbiorowiskiem dysponowanym do wchłonięcia wzmożonej produkcji. Natomiast istnieją sfery społeczeństwa, jaskrawo wyróżniające się poziomem stopy życiowej od ogółu i tu istnieje wdzięczne pole do radykalnego ograniczenia konsumpcji.

Jan Stachniuk w swej rewelacyjnej książce<sup>32</sup> przeprowadza następującą analizę zróżnicowania społeczeństwa polskiego: „Dochód społeczny w roku 1933 wynosił według obliczeń b. min. Klarnera 9 miliardów złotych. Jednocześnie budżety publiczne, samorządowe i zakładów ubezpieczeniowych wynoszą w sumie 3,5-4 miliardów złotych. Zdaniem profesora Krzyżanowskiego i innych ekonomistów z budżetów publicznych żyje u nas 6-8% ogółu ludności. Jeśli się uwzględni, że budżety publiczne są u nas wybitnie konsumpcyjnej natury, to okaże się, iż niecałe 3 miliony osób uczestniczy w 40% dochodu społecznego. Dodajmy do tego zawody wolne, które jakkolwiek nieliczne, to jednak partycypują bardzo wysoko w dochodzie społecznym, a otrzymamy obraz zmuszający do głębszego zastanowienia się. Przeciętny, niżej wszelkiego minimum życiowego dochód roczny na jednostkę 270 - 290 złotych ulega przedziwnej zmianie. Nie więcej jak 10% ludności ma w

---

<sup>32</sup> „Heroiczna wspólnota narodu”. Oczywiście, uznanie jakie mam dla tej książki i dla umysłu jej autora nie rozciąga się na wszystkie jego poglądy. Stanowisko, wrogie religii katolickiej i próby jej zwalczania ze strony p. Stachniuka uważam za błędne i szkodliwe.

przybliżeniu dochód roczny około 1.200 zł. (100 zł. mieś.), zaś na udział pozostałych 30 milionów wypada rocznie 190 złotych dochodu, t. j. 16 złotych miesięcznie!”

Jaskrawość tego obrazu wydaje się nieco przesadzona. Obliczenie Klarnera spotyka się z krytyką jako zbyt pesymistyczne. Aby jej uniknąć, lepiej oprzeć się na danych Małego rocznika statystycznego, który jako wydawnictwo instytucji państwowej z pewnością nie pogłębia czarnych tonów na obrazie naszej rzeczywistości.

Dochód społeczny konsumowany wyniósł w r. 1933	12.900 milionów
Z tego dochód pracowników umysłowych	1.800 milionów
Dochód żyjących z zysku	1.400 „
Dochód ziemian	400 „
Razem dochód warstw zamożnych	3.600 milionów
Dochód innych warstw (chłopi, robotnicy, drobnomieszczaństwo)	9.300 „

Liczebność poszczególnych warstw społecznych według Instytutu badania cen i koniunktur wynosi z grubsza jak następuje:

Warstwa posiadająca	680.000
Pracownicy umysłowi	1.450.000
Ziemianie	170.000
Razem	2.300.000
Reszta ludności około	31.300.000

Przyjmując z grubsza tożsamość rubryki „żyjących z zysku” z rubryką „warstwa posiadająca” - otrzymamy:

2 miliony 300 tys. ludności konsumuje dochód 3 miliardów 600 milionów.

31 milionów 300 tys. ludności konsumuje dochód 9 miliardów 300 milionów.

W przeliczeniu zaś na głowę:

7% ludzi w Polsce ma przeciętny dochód miesięczny 130 zł.



93% ludzi w Polsce ma przeciętny dochód miesięczny 25 zł.

W ostatecznej zaś konkluzji: 7% ludności uczestniczy w dochodzie konsumowanym w 28%, 93% ludności - w 72%. Są to dane za rok 1933. Polepszenie się koniunktury w latach następnych podwyższyło globalne sumy dochodu konsumowanego, jednakże ani dochód na głowę, ani rozpiętość cyfr między dwoma warstwami nie uległy zasadniczym zmianom. Pewne poprawki na rzecz klasy uboższej, której ogromną większość stanowią chłopci przyniesie uwzględnienie różnicy cen na wsi i w mieście, zaś na korzyść klasy uprzywilejowanej - wzięcie pod uwagę ubezpieczeń społecznych.

Oczywiście istnieją znaczne rozpiętości w obrębie omawianych warstw. Podobnie jak dniówka robotnika przemysłowego z Katowic różni się od dziennego dochodu bezrobotnego na wsi (najlepiej zarabiające kategorie robotników miejskich wchodzi już w skład warstwy uprzywilejowanej), podobnie zachodzi wielka rozpiętość między płacą drobnego urzędnika a pensją dyrektora banku państwowego lub dochodem Eliasza Mazura. Nie zmienia to faktu, że dwie klasy: uprzywilejowana i nieuprzywilejowana tworzą w Polsce dwa odrębne, nie rozumiejące się nawzajem światy. Dotyczy to przede wszystkim stylu życia. Gdy źle sytuowany członek klasy „wyższej” oszczędzając, od-mawia sobie kina, a żonie pończoch jedwabnych, gdy istotną dla niego zdobyczą jest kartka do teatru lub pociąg popularny w okresie urlopu - członek klasy „niższej” oszczędza na zapałkach i nafcie, a żywotnym dla niego zagadnieniem jest potanie soli (na wsi) lub pewność zjedzenia nazajutrz obiadu (w mieście).

Oczywiście, rozpiętość między klasami istnieje wszędzie na świecie. Ale w krajach bogatych jak Anglia, czy Francja, poziom dolny jest tak wysoki, iż względne wyrównanie obu jest jedynie postulatem sprawiedliwości społecznej, dającym się rozwiązać przez podwyżkę płac robotniczych, skrócenie dnia roboczego, akcjonariat pracy, progresję podatkową, ubezpieczenia. Jest to mechaniczne rozdzielanie już narosłego dochodu społecznego. U nas, gdzie jedynym zagadnieniem naprawdę palącym jest podniesienie całości dochodu społecznego Polski, środki takie pogłębiają tylko nędzę przez hamowanie produkcji. Dlatego takie opłakane wyniki wydał radykalizm konsumpcyjny socjalistów polskich, który przez lata kształtował powierzchnię życia polskiego na wzór zachodnio-europejski. Program socjalistyczny i wszystkie na ogół programy gospodarcze, powstające w środowisku inteligencji naszej, zarówno lewicowe, jak prawicowe, oderwane są od podłoża rzeczywistości polskiej i mniej lub bardziej rzutują na stosunki polskie myśli wyrosłe na innym, całkiem odrębnym gruncie. Ten cały światek inteligencki ze swoimi bólami i zagadnieniami, sposobem życia i myślenia jest równie odległy od reszty społeczeństwa, jak inteligencja rosyjska sprzed rewolucji ze swymi Romanowami, Puryszkiewiczami, Lwowami, Milukowami, Kiereńskimi i Plechanowami.

Program, zasługujący na nazwę narodowego, nie może być odbiciem palących zagadnień dziesięciu czy nawet dwudziestu procent narodu, lecz jego całości. Rozdział dochodu społecznego reformować należy nie pod kątem rozszerzania stylu i poziomu życia warstw zamożnych na coraz liczniejsze sfery, ale pod kątem rozbudowy produkcji i warunków zbycia wytworzonych towarów. Aby móc to uczynić, społeczeństwo musi zaprzestać wszelkiej konsumpcji zbędnej, posiadającej cechę luksusu. Trzeba dokonać takiego przesunięcia dochodu społecznego, aby zasoby społeczne, idące dotychczas na konsumpcję wytworów zbytkownych, ożywiły konsumpcję artykułów pierwszej potrzeby oraz produkcję narzędzi produkcji.

Jest to zagadnienie, wychodzące poza ramy czysto ekonomiczne i wkraczające w dziedzinę imponderabiliów. Pisma konserwatywne niejednokrotnie uznawały za demagogię żądanie obniżki płac dyrektorskich w wielkim przemyśle, powołując się na to, iż udział tych płac w ogólnych kosztach produkcji wynosi zaledwie 5% (prawdopodobnie bez tantiem). Otóż koszty moralne owych płac śląskich, czy łódzkich są niewspółmiernie większe od materialnych.

Będący ich podłożem, hedonistyczny stosunek do życia przepaja hedonizmem całe życie gospodarcze. W naszej epoce i w naszym społeczeństwie, cierpiącym jednocześnie na sklerozę kartelową i na anemię kapitałową, stan taki prowadzi nie do wybijania się ku górze społecznej krzepkich selfmademanów, lecz do tęsknot za synekurą, za emeryturą i do życia nad stan.

Styl życia wytwarzają zawsze warstwy uważane w opinii społecznej za przodujące. Panujący wśród nich snobizm przenika w dół hierarchii społecznej, wzbudzając pęd do naśladownictwa. Ponieważ warstwy „przodujące” żyją ponad stan, nie swych zarobków wprawdzie, lecz polskich możliwości gospodarczych, - ponad stan żyć poczynają wszyscy, którym system weksli i rat to umożliwia. Środowiskiem pośredniczącym w szerzeniu się luksusu są kobiety: jedwab i ondulacja przenika tam, gdzie nie dociera frak lub smoking. Zjawisku temu nie zapobiegnie zgorzenie „dobrze urodzonych”, utyskujących nad lekkomyślnością proletariatu, zniknie ono wówczas, gdy fraki, jedwabie, futra przeniosą się do muzeum dawnych strojów wraz z cylindrem, krynoliną, karocą i salonem. Luksus jest oczywiście rzeczą względną, zależną od klimatu i zamożności kraju: w Anglii mieszkanie z łazienką nie jest luksusem nawet w sferze robotniczej, w Paragwaju luksusem są buty. Nie jest, rzecz prosta, zbytkiem dążenie do higieny, do znośnych warunków mieszkaniowych, do ułatwień życia codziennego, pod warunkiem, że to podwyższenie stopy życiowej odbywać się będzie jako tako równomiernie wśród ogółu społeczeństwa i w skali odpowiadającej wzrostowi dochodu społecznego. Zbytkiem natomiast jest postępowanie, wynikające z żądy wywyższania się ponad innych, zaznaczania swej zamożności; jednym słowem, to wszystko, co wznieca pychę klas bogatszych, a zawiść - uboższych.

W naszej sytuacji luksusem jest wszystko, co nie jest niezbędne biologicznie, kulturalnie lub militarnie. Stwierdzenie to nie jest frazesem; konsekwencje jego - o ile będą naprawdę wyciągnięte -

doprowadzić muszą do całkowitej zmiany stylu życia t. zw. warstw inteligentnych a nawet najlepiej sytuowanej części proletariatu miejskiego.

W dziedzinie odżywiania usunięcie luksusu nie może, oczywiście, w niczym przypominać praktyk hitlerowskich. Ograniczenie w dziedzinie mięsa lub tłuszczów godziłoby w naszą produkcję rolną. Raczej przeciwnie, nasunąć się może konieczność przymusu konsumpcji pewnych artykułów. Swego czasu Litwa Kowieńska, zagrożona na skutek wojny gospodarczej z Niemcami upadkiem produkcji gęsi, poczęła wypłacać część pensji urzędniczych bonami na gęsinę. Przywykli do lekceważenia naszego drobnego sąsiada, słuchaliśmy o tym, jak o lichym dowcipie. A jednak bez narzucenia miastom naszym spożycia baraniny nie rozwiążemy sprawy krajowej produkcji wełny...

Przetwory rolnictwa naszego nie są i nie będą luksusem. Natomiast, właśnie dlatego, że Polska jest samostarczalna pod względem żywności, do zbytku zaliczyć trzeba wszelki import artykułów spożywczych, a więc nie tylko wina czy kawioru, lecz wszystkich rodzajów owoców, a nawet tzw. „artykułów pierwszej potrzeby”, jak ryż, kakao, kawa. W okresie wojny światowej piliśmy kawę zbożową i herbatę z domieszką skórek jabłecznych, a Żórawiny zastępowały nam cytrynę. Tym bardziej możemy i musi- my obejść się bez importu w okresie bezkrwawej wprawdzie lecz ciężkiej wojny o naszą niepodległość gospodarczą. Rodzące się pokolenia nie skarłęją z braku witamin, zawartych w bananach, serca nasze nie przestaną bić od kawy zbożowej, a mleka, kaszy, jabłek i cukru nie zabraknie, chwała Bogu, w Polsce, zagadnienie polega tylko na tym, aby udostępnić je wszystkim.

Znacznej redukcji ulec musi stopa mieszkanie- w a, wciąż jeszcze zbyt wysoka w stosunku do możliwości. Na jej utrzymanie rzucono w ostatnich latach ogromne sumy z pieniędzy podatkowych. Za luksus mieszkań wieloizbowych w nowopowstałych dzielnicach miejskich płaci chłop polski w cenie soli, nafty, butów, płaci ją egzekutorom skarbowym i komornikom sądowym. Za popieranie inicjatywy prywatnej w najmniej twórczej dziedzinie jaką jest budowa i eksploatacja domów czynszowych płacą szerokie rzesze w miastach naszych bezdomnością lub warunkami mieszkaniowymi groźnymi dla zdrowia pokoleń<sup>33</sup>.

Demokratyzacji ulec powinna dziedzina odzieży. Walka ze zbytkiem jest na tym polu bardzo trudna, jak wykazuje historia. Ustawy przeciw luksusowe zjawiają się już w epoce brązu, a

---

<sup>33</sup> W r. 1921 przeciętna ilość mieszkańców na 1 izbę wynosiła w Warszawie 3,7; po dziesięciu latach akcji budowlanej wzrosła do 4. Dziś bez wątpienia przekroczyła tę cyfrę. Myślę, że stosunki te nie wiele różnią się od osławionych sowieckich z tą tylko różnicą, że przeciętny inteligent polski, żyjąc w oazie względnego komfortu mieszkaniowego nie zdaje sobie z nich sprawy.

występują w dziejach wszystkich państw starożytnych z Rzymem na czele. Ich ciągle ponawianie świadczy o oporze klas uprzywilejowanych, dowodzi jednak zarazem, że walka nie była całkiem beznadziejna, jak to usiłują wmówić w nas ekonomiści liberalni. Ustawy przeciw zbytkowi stosowane były-i to nie raz z po-wodzeniem-również w epoce średniowiecza, a nawet później. W czasie przewlekłej wojny z Hiszpanią Richelieu przeforsował zarzucenie przez Francuzów i Francuzki mody kołnierzy koronkowych, bogacących hiszpańską Brabancję.

Nasze ustawodawstwo i nasza praktyka państwowa nie tylko nie walczy ze zbytkiem, ale wręcz doń zachęca. Przez odebranie urzędnikom dodatków rodzinnych skłania się dość liczną klasę ludności do ograniczania liczby dzieci, jednocześnie zaś zwraca się jej zainteresowania ku życiu nad stan. Ubezpieczenia usuwają troski o przyszłość, system ulg we wszystkich dziedzinach ułatwia podwyższanie wymagań, a system wekslowo - ratalny czyni zadłużenie podstawą istnienia całej inteligencji polskiej. To sprawia, że niższe kategorie urzędników nie mogą związać końca z końcem, mimo, że np. w oczach chłopa dochód ich wydaje się bardzo znaczny. Jeżeli jednak zredukujemy styl życia do poziomu odpowiadającego możliwościom polskim, dochód najgorzej zarabiającej inteligencji okaże się zupełnie wystarczający.

Aby zmiana stylu życia stała się realna, nie pozorna, dotrzeć musi ona do szczytów hierarchii państwowej. Władza państwowa ma tylko wówczas prawo zmuszać rządzonych do obniżenia poziomu wymagań, jeśli sama skromnie żyje i oszczędnie gospodaruje. Nic fałszywszego nad mniemanie, że honor Rzeczypospolitej wymaga wysokiej stopy życia jej reprezentantów. Honor Rzeczypospolitej wymaga, aby nie było w niej ludzi chętnych do pracy a głodnych. Myślę, że bardzo dobrym środkiem byłoby zrównanie wynagrodzenia wyższych szczebli urzędniczych przez nieprzekraczalne maksimum, tak iż np. dyrektor departamentu, awansując na wiceministra nie otrzymywałby żadnej podwyżki. System taki tylko pozornie wydaje się niesprawiedliwy.

Wysokie stanowiska państwowe nie są bowiem kuponami od położonych uprzednio zasług, ale posterunkiem pracy, takim jak każdy inny. Dostateczną nagrodą za trudy, dostateczną rekompensatą za ciężar odpowiedzialności jest rozkosz tworzenia w skali trzydziestomilionowego narodu, odciskania swej woli w duszach ludzkich, wypalanie swego wizerunku duchowego w tworzywie historii. Dopłata pieniężna jest tu zgoła zbyteczna.

Nie można, oczywiście, upajać się złudzeniami o przerobieniu w aniołów zjadaczy chleba. Nawet oficer na froncie dostaje żołd wyższy niż żołnierz, nawet bolszewicy skasowali „urawniłowkę” i powrócili do systemu finansowego wynagradzania wyższych zdolności. Ale armia, oparta o najemników, bijących się dla żołdu przegra zawsze w starciu z wojskiem, walczącym z motywów ideowych i doprawdy, oficer, idący do ataku myśli może o wirtuti militari, ale nie zagrzewa się do bohaterstwa perspektywą podwyżki gaży. Bolszewicy skasowali „urawniłowkę”, ponieważ ich okres bohaterski już minął, skasowali ją w poczuciu, że nie da się ludzi utrzymać zbyt długo na tak

wysokim diapazynie moralnym. Ale dla Polski otwiera się obecnie alternatywa: albo okres, w który wkraczamy będzie miał cechę bohaterstwa, albo cechę haniebną kapitulacji przed trudnościami, za czym musi przyjsć kapitulacja przed wrogimi siłami. Dla tego tak ważną jest rzeczą oparcie wysokich stanowisk w państwie na podstawie czysto ideowej. Radykalne obniżenie poziomu życia, związanego ze szczytami hierarchii ma dużo większe znaczenie moralne, niż materialne, wynikające z oszczędności budżetowych, choć i tych lekceważyć nie należy.

Rzecz prosta, że uzupełnieniem redukcji uposażeń na wysokich stopniach administracyjnych musi być znaczne obostrzenie kodeksu karnego, konieczne wszędzie, gdzie ludzie źle płatni stykają się z wielkimi sumami. Ale ważniejszą jeszcze rzeczą jest usunięcie wzorów demoralizujących. Styl życia polskiego musi być jednolicie skromny. Uniemożliwienie zbytku nie rozwiązuje całkowicie problemu, zresztą należy wystrzegać się zamiany rozrzutności na równie szkodliwą tezauryzację. Nasuwa się więc konieczność ustalenia maksimum dochodu z prywatnej własności. Czy drogą właściwą będzie tu polityka podatkowa, czy pożyczki przymusowe, czy jeszcze inne, drastyczniejsze środki - nie miejsce rozstrzygać w tej książce; jest to już dziedzina praktycznego programu, który powstawać musi w konkretnych warunkach realizacyjnych.

Usunięcie luksusu z życia polskiego nie będzie, oczywiście, rzeczą łatwą. Redukcja wydatków reprezentacyjnych jest jeszcze najłatwiejszym zadaniem. Natomiast obniżanie stopy życiowej jest rzeczą bolesną i zawsze spotyka się z oporem. Opór ten ujawniać się będzie tym mocniej, że podstawą polskiego myślenia gospodarczego jest klasowość.

Twierdzenie to będzie dla wielu osłupiające. Przywykliśmy bowiem widzieć klasowość tam tylko gdzie ją świadomie się głosi, a mianowicie u marksistów. Wszystkie inne żywioły inteligencji polskiej wyznają poglądy określane mianem solidarystycznych. Ale właśnie nasze hasła solidarystyczne są wyrazem klasowości w myśleniu, stoją bowiem na straży dotychczasowego podziału dochodu społecznego i cechujących go przywilejów klasowych. Ludzie najszczerzej uważający się za nacjonalistów tak tkwią myślowo w swojej warstwie czy klasie socjalnej, że na całość spraw społecznych patrzą pod jej kątem widzenia i nie przypuszczają nawet, że można patrzeć inaczej. Wynieśli oni swe nałogi myślenia z doświadczeń lat dzieciennych i nimi z całą dobrą wiarą operują. Podobnie nie wiedzą, że są klasowcami, jak pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą.

Oddanie się sprawie narodowej polega nie tylko na gotowości oddania za nią życia w razie wojny, ale do ofiary ze swej pozycji socjalnej. To drugie jest dużo trudniejsze niż pierwsze. Ofiara krwi ma w sobie urok romantycznego bohaterstwa, przemawia do wyobraźni, budzi uczucie dumy - ofiara stopy życiowej wywołuje uczucie poniżenia i to nie tylko swego, lecz i swych bliskich. Gotowość śmierci za Ojczyznę biegnie w duszy naszej szlakami tradycji równie starej jak Polska - gotowość rezygnacji z pozycji socjalnej przebijać się musi przez gąszcz snobizmu społecznego, zwały nałogów i przyzwyczajzeń; musi gwałcić hedonistyczną stronę natury ludzkiej i to w sferze życia

codziennego, tak odgraniczzonego w wyobraźni naszej od sfery obowiązków wobec narodu. W dodatku egoizm klasowy nie ujawnia się nigdy w całej swej nagości, lecz występuje w szacie szczerze zazwyczaj formułowanych argumentów o szczególnej wartości czy zasługach klasy wobec całości społecznej. Robotnicy operują marksowską doktryną nadwartości dla udowodnienia sobie i innym bezgrzeszności swego egoizmu klasowego, warstwy przemysłowo - handlowe głoszą o swoich zasługach na polu gospodarczym, inteligencja - w dziedzinie kultury, ziemiaństwo - na obu tych polach oraz na polu chwały orężnej. Chłopi lubią rozprawiać o przeżyciu się „pańskiej” kultury i o nowej kulturze wsi, która uzdrowi Polskę. Wszystkie te twierdzenia są mniej lub więcej słuszne, co nie zmienia faktu, iż są one rodzajem opium dla sumienia społecznego, tkwiącego w człowieku na pewnym stopniu kultury. Prawdziwy solidaryzm narodowy musi uwolnić się od tych sugestii i spojrzeć w oczy twardej rzeczywistości polskiej, wymagającej od sfer obecnie uprzywilejowanych ciężkich ofiar dla dobra narodu rozumianego jako zespół warstw i pokoleń.

Przed kilku laty pod naporem konieczności życiowych padło w Polsce hasło: wierzyciel musi stracić. Dziś brzmieć ono powinno: stracić muszą klasy posiadające. Nie chodzi tu bynajmniej o akt jakiejś sprawiedliwości dziejowej, o represje kierowane motywem zemsty czy walki klasowej, lecz o zdobycie środków na przebudowę gospodarczą. Rzecz prosta, że zniszczenie warstw uprzywilejowanych przez proste odwrócenie drabiny społecznej spowodowałoby groźny kryzys kultury. Bądź co bądź mają one dla niej pewne zasługi, a gwałtowna redukcja stopy życiowej poniżej pewnego poziomu równa się katastrofie biologicznej. Tą drogą poszła Rosja Sowiecka, narażając się na znaczne straty, z których dziś bodaj zaczyna sobie zdawać sprawę. Bolszewicy traktowali Rosję jak kraj podbity, usadowili się w niej jak Longobardowie wśród Rzymian. Było to zresztą w stylu despoty azjatyckich i trafiało w szlak tradycji kraju, który swe oblicze duchowe zawdzięcza najazdowi Waregów w X, Mongołów w XIII, a poniekąd i Niemców w XVIII stuleciu. Polska nie może i nie potrzebuje naśladować tych wzorów. Mimo krytycznego stosunku do przeszłości naszej czujemy przecież głęboką miłość do tej Polski, która mimo swoich wad i błędów zajęła jednak nieostatnie miejsce w dziejach Europy, która - właśnie przez swe warstwy uprzywilejowane - wniosła poważny dorobek do cywilizacji chrześcijańskiej. Nie jesteśmy w sytuacji Łotyszów czy Estów, rządzonych stuleciami przez obcoplemiennych baronów i zmuszonych od nowa tworzyć wyższe formy kultury. Postulatem zawsze aktualnym jest ścieranie z powierzchni życia polskiego wszelkiego blichtru, fałszu i blagi, papuziego naśladownictwa obcej mody. Postulatem obecnej chwili dziejowej jest ponadto - wobec tragicznej sytuacji demograficzno - gospodarczej - odmówienie sobie wszystkiego, co choć in abstracto nieszkodliwe, a nawet pożyteczne, obciąża nas ponad materialną możliwość. Musimy drogą bolesnej operacji dostosować styl życia do tej możliwości, ale nie mamy powodu wszystkiego, co wyrosło ponad nędzę uważać za szkodliwą narośl, którą trzeba wyciąć.

Nie możemy więc traktować naszej warstwy przodującej materialnie z surowością równą tej z jaką bolszewicy potraktowali swoją. I nie potrzebujemy tego czynić. Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, iż znaczną część ciężaru przebudowy gospodarczej przerzucić możemy na element obcy, a nawet wrogi kulturze polskiej. Mówię oczywiście o Żydach.

Żydzi są w swej ogromnej większości luksusem, na który Polskę nie stać. Wchodzą oni w nieproporcjonalnie dużych rozmiarach w skład klasy uprzywilejowanej, szczególnie posiadającej. Ale i miasteczkowy, pogrążony w biedzie handlarz jest również dla Polski luksusem, albowiem liczba pośredników handlowych jest u nas nadmierna. Przed wojną już była zbyt duża w stosunku do ilości ludzi produkujących. „Dziś - stwierdza Stachniuk - pomimo ogromnego spadku obrotów gospodarczych mamy w handlu o 150.000 więcej handlujących niż w czasie „prosperity” przedwojennej”. A prof. Eugeniusz Romer, konstatując, iż prawidłowy stosunek ilości zakładów przemysłowych i handlowych istnieje jedynie w b. dzielnicy pruskiej (66:100), ale już w Warszawie 132%, a na kresach 200 do 300%, dodaje: „To nadkramarzenie całego wschodu Rzeczypospolitej, nie odpowiadające zgoła jego potrzebom handlowym, to obraz nowotworów społecznych, wyrastających na tle niezdrowych stosunków kredytowych, bujających szczególnie na słabych gospodarczo obszarach rolniczego wschodu”.

Wypieranie Żydów z handlu i drobnej oraz średnie wytwórczości następować może jedynie stopniowo (choć w tempie dość szybkim) przez zreformowanie prawa handlowego, faworyzującego dotychczas Żydów, przez organizowanie walki o stragan, a wreszcie-i to jest może najważniejsze-przez rozwój ideowego, antysemickiego ruchu spółdzielczego. Natomiast w dziedzinie wielkiej wytwórczości, a tym bardziej kredytu oraz nieruchomości miejskiej i wiejskiej wywłaszczenie odbyć się może drogą prostego dekretu bez większych wstrząsów dla gospodarki narodowej. W ten sposób posiadamy możliwość sprowadzenia stopy życiowej Żydów poniżej poziomu bezrobotnych na wsi. Można ich następnie zatrudnić przy co cięższych robotach publicznych, stosując oczywiście minimalne stawki płac. Jest to skądinąd jedyne realne rozwiązanie problemu emigracji. Dopuszczenie bowiem do wywozu za granicę żydowskich kapitałów, powstałych z nędzy naszego chłopca oznaczałoby ruinę Polski, pozostawienie zaś Żydów w znośnej sytuacji na polskich ziemiach odłożyłoby ich exodus w nieskończoność. Natomiast odebranie im możliwości życia i zamknięcie wszelkich nadziei na przyszłość wywoła wprawdzie szturm żydostwa światowego na Polskę, ale po jego załamaniu się zmusi je do szukania innego wyjścia dla swych braci. Wyjście będzie tylko jedno: znaleźć tereny emigracyjne i sfinansować wychodźstwo z Polski. Zarówno siły materialne żydostwa światowego jak i ich wpływy na niektóre rządy są jeszcze dostatecznie duże, aby temu podołać. Jeżeli, jak twierdzi Samuel Untermayer w omawianej już depeszy, wpływy żydowskie zdolne są do stworzenia dla Polski ery „prosperity”, tym łatwiej zdołają oni skłonić szereg państw do otworzenia granic dla emigracji. Jeżeli nie nastąpiło to dotychczas, to tylko dla tego, że Żydzi angielscy i amerykańscy wolą finansować opór Żydów polskich w kraju niż ich emigrację. Zmiana ich polityki

nastąpi dopiero wówczas, gdy zrozumieją, że Żydom lepiej niż w Polsce będzie gdziekolwiek: w Ekwadorze czy Ugandzie, na Madagaskarze czy Celebesie. Są to bez wątpienia metody twarde, ale od czasów Izabelli Katolickiej nie wynaleziono innego sposobu na pozbycie się Żydów wbrew ich woli i bez ruiny finansowej państwa.

Realizm politycznego myślenia przestrzega jednak przed złudzeniem jakoby exodus Żydów przynosił sam przez się rozwiązanie trudności gospodarczych Polski. Trudno przypuścić, aby żydostwo światowe przy największym nawet wysiłku mogło sfinansować osiedlanie w krajach pozaeuropejskich więcej niż 100 tysięcy emigrantów rocznie nawet w razie ponoszenia przez Polskę kosztów komunikacji morskiej. Znaczy to, że okres wychodźstwa trwać musi około lat 40; w pierwszym piętnastoleciu usunie się zaledwie półtora miliona. Zastąpienie kramów i straganów żydowskich polskimi uzdrawia znacznie stosunki polityczne, w małym natomiast stopniu gospodarcze, gdyż ilość handlujących w ogóle jest za wielka, kramarstwo zbyt rozrośnięte, rozpiętość cen między początkiem a końcem procesu pośrednictwa godzi boleśnie i w producenta i w konsumenta. Dla tego, popierając walkę o stragan jako gospodarczy paliatyw, cenny raczej jako kuźnia czynnych, zaradnych charakterów, musimy myśleć o rozwoju spółdzielni jako najzdrowszym rozwiązaniu kwestii pośrednictwa. Oczywiście nie mogą to być kooperatywy oparte na ideologii angielskiej, wysuwającej interes konsumenta na plan pierwszy. Materialistyczne oblicze spółdzielczości prowadzi w kraju takim jak nasz albo do plagi defraudacji, z których wyrastają potem samodzielni kramarze, albo (w najlepszym wypadku) do wiecznego liczenia na pomoc państwa, traktowaną jako obowiązek, do biurokratyzmu i upadku inicjatywy. Tam natomiast, gdzie spółdzielnie oparte zostały o zasadę ideową, gdzie stały się narzędziem walki i ekspansji narodowej - ich oblicze odmienia się całkowicie, ich działalność przynosi skutki pod każdym względem dodatnie. Tak jest z kooperatywami ukraińskimi, skutecznie wypierającymi z Małopolski Wschodniej Żydów i Polaków, tak było ze spółdzielniami wielkopolskimi pod zaborem niemieckim, taką spółdzielczość, stawiającą sobie za cel wypieranie Żydów musimy powołać do życia.

Wszystkie te sposoby, aczkolwiek skutecznie, mają poważną wadę: działają powoli. Bezrobociu ulżą tylko częściowo. A przecież najbliższe piętnastolecie: to, w którym Żydów - w najlepszym wypadku - wemigruje półtora miliona, będzie okresem, w którym liczba rąk do pracy wzrośnie w sposób tragiczny. Mylne są więc nadzieje tych, którzy sądzą, że przerzucenie ciężaru przebudowy na Żydów ochroni przywileje klas finansowo przodujących. W szczególności dotyczy to sprawy reformy rolnej, która staje się koniecznością socjalną bez względu na jej czasowe skutki w dziedzinie produkcji rolnej. Oczywiście, reforma ta jest tylko półśrodkiem na przeludnienie wsi i trudno oczekiwać, aby przyniosła dużo więcej niż upełnorolnienie gospodarstw karłowatych, ale i ten rezultat sprawi poważną ulgę społeczeństwu przynajmniej na okres jednego pokolenia i da czas na wprowadzenie w czyn innych środków zaradczych.



Politycy ludowi, operując częściowo słusznymi argumentami domagają się reformy, posuniętej aż do zupełnego zniszczenia finansowego warstwy ziemiańskiej. „Przeprowadzenie reformy rolnej - pisze Stanisław Miłkowski - musi się dokonać bez wykupu, gdyż w przeciwnym razie stałaby się ona fikcją papierową... Jeżeli chodzi o ziemię - to chłop ma prawo do niej, bo ona jest przepojona potem jego przodków. Po wielokroć razy chłop odrobił nad miarę jej wartość. Oprócz tego wiadomą jest rzeczą w historii, że szlachta w dawnych czasach przeprowadzała wywłaszczenie chłopów z ziemi, odbierała im ją, przekształcając ich w pańszczyźnianych niewolników. Obecnie wywłaszczenie z ziemi bez odszkodowania dla dzisiejszych jej posiadaczy będzie tylko sprawiedliwym wyrównaniem wiekowych krzywd. Wobec tak daleko idącej reformy rolnej wielu z jaśnie panów o błękitnej krwi znajdzie się w pozycji społecznej równej chłopu, będzie się musiało bezpośrednio zetknąć z ziemią - co dla nich samych niewątpliwie okaże się czymś dodatnim<sup>\*</sup>. Stanowisko takie, zupełnie zrozumiałe ze stanowiska klasowego chłopskiego, musi jednak ulec korektywie z punktu widzenia dobra narodu jako całości kulturalnej.

Nagle sprowadzenie ziemiaństwa do skali życiowej chłopów przysporzyłoby Polsce warstwę wykołajeńców, iluzją jest bowiem przypuszczenie, że element przyzwyczajony pokoleniami do życia w wyrafinowaniu kulturalnym potrafi przetrzymać tego rodzaju deklasację. Obniżenie stopy życiowej i stylu życia ziemiaństwa jest koniecznością, nie powinno jednak przebiegać gwałtowniej niż wśród inteligencji miejskiej, zarówno posiadającej, jak utrzymywanej przez państwo. W ustroju przyszłości folwarki powinny zniknąć całkowicie na równi z prywatnymi czynszowymi nieruchomościami miejskimi i prywatnym wielkim przemysłem, ale proces ten powinien odbywać się etapami wraz ze zmianą warunków społecznych, pozwalającą na rozplynięcie się wymienionych klas bez szkody dla kultury polskiej. Celem reformy rolnej dnia dzisiejszego powinno być usunięcie ze wsi posiadaczy folwarcznych gospodarujących nieumiejętnie lub niedbale, a także tych którzy osobiście nie pracują na roli i w ogóle wszelkiego elementu aspołecznego. Reszta powinna mieć prawo pozostania na obszarach, zredukowanych do takich granic, aby tylko osobista dzielność i zmiana stylu życia pozwalała na ich utrzymanie<sup>34</sup>. Można to osiągnąć przez ustanowienie dwóch maksimumów. Dolne maksimum oznaczałoby przyszły obszar gruntów folwarcznych. Maksimum górne natomiast (np. 360 ha dobrych gruntów) byłoby granicą, powyżej której ziemia wywłaszczana byłaby bez odszkodowania. Tak więc np. właściciel 1.800 ha oddawałby 1.440 ha bezpłatnie, z pozostałego zaś obszaru część miałby prawo zatrzymać, część zaś traciłby za pełnym

---

<sup>34</sup> Proces taki odbywa się już gdzie nie gdzie samorzutnie - pod naciskiem konieczności życiowych.

odszkodowaniem. W ten sposób właściciele latyfundiów zrównani zostaliby majątkowo z ogółem mniejszego ziemiaństwa.

Reformę rolną musi w całości przeprowadzać państwo, aby nadać jej kierunek społecznie najzdrowszy, dzika bowiem parcelacja faworyzuje chłopów najsilniejszych finansowo, a tym samym niewiele zmniejsza przeludnienie wsi. Z drugiej strony, jak to przekonywająco udowodnił prof. Władysław Grabski, darmowe przydzielanie ziemi wydałoby skutki ujemne z punktu widzenia społecznego. Państwo musi więc nabywcy, obciążonemu spłatami rat na ziemię a ubogiemu udostępniać tanie, długoterminowe kredyty na inwestycje. W tych warunkach, rzecz prosta, kasa państwowa nie znajdzie środków na odszkodowanie, system obligacji odracza tylko trudność, krzywdzi zaś wywłaszczonych różnicą między ceną nominalną a giełdową. Wyjście znaleźć można przez odszkodowanie ziemian w naturze, mianowicie nieruchomościami miejskimi, skonfiskowanymi Żydom a położonymi w miastach okolicznych. Akcja taka dostarczyłaby prowincji polskiej kadr inteligencji, związanej zarazem z wsią i miastem, opartej o zasoby umożliwiające przystosowanie się do zmienionych warunków i mogącej już w następnym pokoleniu wyzyskać znajomość terenu do rozwinięcia działalności w zakresie wolnych zawodów (medycyna), a także instruktorki rolnej, tworzenia spółdzielni i t. d. Elementy najwartościowsze wśród ziemiaństwa ocalałyby w ten sposób oczywiście za cenę pewnych ofiar, miasteczka zaś nasze zrobiłyby poważny krok ku polszczeniu swej fizjonomii.

Wszystkie omawiane dotąd środki posiadają na ogół charakter deflacyjny, kurczą mianowicie stopę życiową społeczeństwa do granic jego możliwości dochodowych. Zaliczyć tu trzeba jeszcze obniżenie budżetu państwa i samorządów, osiągnięte drogą usprawnień organizacyjnych i zwiększenia wydajności pracy urzędników oraz analogiczne obniżanie strony rozchodowej przedsiębiorstw państwowych. Konieczne będą ogromne uproszczenia machiny biurokratycznej i większa odpowiedzialność osobista kierowników, wkraczająca w pewnych wypadkach w dziedzinę kodeksu karnego. Natomiast popularną w wielu kołach tezę o koniecznej rzekomo redukcji zadań państwa należy stanowczo odrzucić. Jest ona wyrazem światopoglądu deterministycznego i płodem wyobraźni nie umiejącej oderwać się od wizji świata kapitalistycznego. Wyrzeczenie się przez państwo polskie funkcji kierowania życiem zbiorowym równałoby się opuszczeniu rąk i beczynnemu przyglądaniu się ruinie, gdy tymczasem ciężkie warunki naszego bytu wymagają postawy czynnej: zburzenia tego, co ocalić się nie da, a następnie, lub raczej jednocześnie, budowy nowych form, których wymaga życie. Toteż system deflacyjny należy uzupełnić inflacyjnym, czy jak kto woli - reflacyjnym. Przez system ten rozumiem wykonanie przez inicjatywę społeczną wielkich dzieł gospodarczych bez biernego oczekiwania aż samorzutny rozwój obecnych ośrodków gospodarczych dostarczy na nie środków drogą normalną dla świata kapitalistycznego.

Terminy i nazwy szeroko spopularyzowane wywierają zazwyczaj sugestie, utrudniające precyzowanie myśli. Mówiąc o deflacji i inflacji ma się zazwyczaj na myśli operacje walutowe - nic więcej. A jednak pojęcia te są właściwie szersze od zakresu spraw pieniężnych, są wyrazem dwóch przeciwstawnych stanowisk psychicznych, dwóch odmiennych postaw metafizycznych. Polityka deflacyjna opiera się na wierze w niezłomne prawa natury, nieuchronny bieg życia, które zawsze zwycięża. Prowadzi do dokładnej analizy sytuacji bieżącej i do niej dostosowuje postępowanie. Jest to postępowanie trzeźwe i przyziemne, cenne w epoce narastającego dobrobytu, kiedy polityka ekonomiczna sprowadza się do retuszu nieprawidłowości i zapobiegania przesileniom. Natomiast w okresach ubożenia społeczeństwa konsekwentny deflacionizm prowadzi przez swój pesymizm i naturalizm do fatalizmu, a co za tym idzie - do ruiny kraju w jego fundamentach: w warstwie najliczniejszej i najuboższej. Deflacionizm taki wcale nie chroni przed inflacją, bo w pewnej chwili wypadki wydzierają ster z ręki, ale jest to inflacja niekontrolowana, dokonywana z rozpaczy, w poczuciu katastrofy, której niepodobna odwrócić.

Polityka inflacyjna natomiast opiera się na światopoglądzie woluntarystycznym. Próbuje ona stwarzać pożądane fakty gospodarcze przez naginanie życia do swych celów. Skłonna do ryzyka, lekceważy zazwyczaj trudności, stojące na drodze; przez swój optymizm i zamiłowanie efektu przechodzi często w magię, kończącą się - jak u ucznia czarnoksięskiego - utratą panowania nad wypadkami. Następuje panika giełdowa jak we Francji Lawa, „boom” jak w Ameryce Hoovera, piorunująca a ciągła niżka cen jak w Polsce po 1922 roku.

Umyślnie wspominałem o Ameryce, aby stwierdzić na przykładzie, że zjawisko inflacji wybiega poza granice manipulacji walutowych. Rząd Hoovera prowadził normalną politykę walutową unikając poza tym - w myśl zasad liberalnych - wywierania nacisku na życie gospodarcze. Ale rząd Stanów Zjednoczonych aż do czasów Fr. Roosevelta był istotnie tylko stróżem porządku publicznego. Polityką gospodarczą kierowały koncerny bankowe i przemysłowe i one to, nie tykając waluty, przeprowadziły inflację kredytową, polegającą na podniecaniu konsumpcji dla utrzymania rozpędu produkcyjnego. To podwyższanie konsumpcji polegało nie tyle na rozszerzaniu koła konsumentów przez poprawę warunków materialnych, ile na podwyższaniu stopy życiowej ponad te warunki. Była to typowa sztuka magiczna, która musiała skończyć się kryzysem.

Przykłady te ułatwiają rozróżnienie między dwoma odrębnymi postaciami inflacji i deflacji: twórczą i niszczącą i sprowadzenie tą drogą podziału formalnego do odróżnienia odrębnych treści. Celem każdego gospodarstwa narodowego jest ustawiczne powiększanie majątku społecznego w tempie równym lub większym od tempa przyrostu naturalnego. To powiększanie majątku

społecznego odbywać się musi dwojaką drogą: powiększenia dochodu i zmniejszenia rozchodu<sup>35</sup>. Inflacja, taka jaką stosowała Polska przed Grabskim lub Ameryka przed Rooseveltem powiększała rozchód przez doprowadzenie konsumpcji do rozmiarów niewspółmiernych z dochodem społecznym. Deflacja, przeprowadzona w Polsce w okresie rządów prof. Zawadzkiego zmniejszała dochód przez kurczenie produkcji i wyrzucanie poza jej nawias coraz większych mas, zmuszając je do marnotrawienia sił i czasu.

Ostatni kryzys koniunkturalny w Polsce dał zresztą światu ciekawy obraz jednoczesnego działania obu sił niszczących. Podczas gdy ogromna większość narodu cierpi od lat z powodu zbyt niskiej produkcji, nie mogącej zatrudnić narastających pokoleń i związanej z nią znikomej konsumpcji (podobnie dzieje się w krajach bałkańskich i wielu pozaeuropejskich) - nasza warstwa uprzywilejowana odczuwa boleśnie skutki nadkonsumpcji i idącej za nią w ślad nadprodukcji, niczym w najklasyczniejszym kraju kapitalistycznym. Deflacja podgryzała naród u korzenia, podczas gdy szczyty cierpiały na niestrawność inflacji kredytowej, której skutki zwalczać musiano ustawami oddłużeniowymi dla urzędników, ziemian i t. d. Był to stan rzeczy dokładnie odwrotny temu, co Polska potrzebuje. Racjonalna polityka gospodarcza wymaga stosowania u szczytów deflacji, pożerającej wszystko, co zbędne gospodarczo, militarnie lub kulturalnie, u korzeni zaś - stosowania miarkowanej rozsądkiem polityki inflacyjnej, zarówno kredytowej jak walutowej.

Gdy więc Ignacy Matuszewski twierdzi, że inflacja zżera majątek narodowy, gdy mówi, iż „za drukiem pieniędzy musi iść przewyżka spożycia nad produkcją”, to ma na myśli niszczącą formę inflacji, pomija zaś jej postać twórczą. Twórczą jest ona wówczas, gdy rozbudowuje produkcję, niszczącą - gdy ożywia konsumpcję. Niszczącą będzie więc nie tylko wówczas, gdy drukuje się pieniądze na pokrycie pensji urzędniczych, ale i wtedy, gdy jej kosztem wznosi się gmachy reprezentacyjne. Dom taki bowiem daje tylko zarobek ludziom zajęтым przy budowie, z chwilą zaś ukończenia nie wytwarza żadnych dóbr gospodarczych, nie jest narzędziem produkcji. Takim narzędziem są natomiast mury fabryki, zaporą spiętrzająca energię rzeki, doprowadzona do kultury gleba. W drugim rzędzie stoją środki, które bezpośrednio produkcji nie wzmagają, ale ją usprawniają i potaniają, jak szosy, koleje, drogi wodne, motoryzacja ciężarowa.

Polskę czeka na tym polu wysiłek olbrzymi. Wszystkie ofiary, o których mówiłem, pójdą na marne o ile za ich cenę nie wzmożemy produkcji. Musimy dokonać powtórnie na polskich ziemiach

---

<sup>35</sup> W niektórych wypadkach zwiększenie się dochodu jest tak znaczne i szybkie, że zmniejszenie rozchodu schodzi na plan bardzo daleki lub w ogóle przestaje być aktualne. Tak wielki wzrost dobrobytu powstać może jedną tylko drogą: eksploatacji innych krajów. Dla Polski obecnej droga ta jest zamknięta.

rewolucji gospodarczej, jakiej już raz dokonali w XIII stuleciu cystersi, a w której wyniku, mimo niesprzyjających warunków politycznych, półbarbarzyńska, uboga Polska Hermanów i Krzywoustych zmieniła się w bogatą, cywilizowaną Polskę Kazimierza Wielkiego. Tylko tempo tej rewolucji musi i może być znacznie szybsze niż wówczas.

Tempa tego nie wykrzeszemy, rzecz prosta, z inicjatywy prywatnej, kierującej się motywem zysku lub utrzymania swej stopy życiowej. Nie należy jej lekceważyć w wytwarzaniu środków bezpośredniej konsumpcji. Ale produkcją środków produkcji musi zająć się państwo na drodze robót publicznych, finansowanych ze źródeł pozabudżetowych.

Czegóż mają dokonać te roboty publiczne?

Nie miejsce tu na szczegółowe wyliczanie, ani na ustalanie kolejności. Jest to już zadaniem fachowców. Opracowali oni dość dokładnie potrzeby gospodarcze Polski. Potrzeby te są tak olbrzymie, że nie zbraknie pola dla nikogo z bezrobotnych, ani nawet dla hufców powszechnej służby pracy. Jesteśmy pod tym względem w sytuacji całkowicie odwrotnej, niż Niemcy. Cierpią one na przeinwestowanie kraju, na rozbudowanie przemysłu szeroko ponad skalę potrzeb rynku wewnętrznego. Jeżeli im czego brak, to jedynie ziemi ornej i jej płodów, a są to braki, trudne do usunięcia za pomocą robót publicznych. Stan ten zmusza Niemcy do polityki wojennej: bezrobotni produkują narzędzia zniszczenia, które z kolei zdobyć mają dla Rzeszy zarówno nowe obszary produkcji rolnej jak i nowe rynki zbytu dla przemysłu. Wojna jest po prostu najważniejszym ogniwem w planie gospodarczym hitleryzmu. W polskim planie gospodarczym nadchodząca wojna jest ciężką komplikacją, próbą hartowności naszej. Musimy dążyć do osiągnięcia maksymalnych wyników jeszcze przed jej wybuchem, w przeciwnym razie pokrzyżuje nam ona plany.

Dlatego też zakres inwestycji musi być bardzo szeroki, a tempo ich przeprowadzania - szybkie. Przeprowadzane obecnie prace nad utworzeniem centralnego ośrodka przemysłowego, niewątpliwie bardzo pożyteczne, musimy uważać za drobny jedynie fragment zamierzeń. Czekają nas inne jeszcze, wielkie zadania, jak np. intensyfikacja rolnictwa przez melioracje oraz rozszerzenie rodzajów kultur i hodowli. Osobnym zadaniem jest elektryfikacja Polski przez regulacje wód bieżących. Tania siła elektryczna posiada ogromne znaczenie dla naszego gospodarstwa. Pozwoli ona wsi polskiej na wyzyskanie beczynnych z musu miesięcy zimowych, na rozbudowę przemysłu chałupniczego wśród rolników. Taniość napędu i taniość czasu wiejskiego pozwoli nam na zastąpienie eksportu dumpingowego eksportem opłacalnym, a jednak zdolnym do konkurencji na wzór japoński, zwłaszcza przy wyzyskaniu komunikacji rzecznej.

Przykłady naszych zadań w dziedzinie rolnictwa, górnictwa, przemysłu i rękodzieła można by jeszcze mnożyć obficie, lecz nie jest to celem tej książki. Wspomnę tylko na koniec o budowie dróg, do której zmuszają nas również względy wojskowe. Jest to najłatwiejsza do wykonania

dziedzina robót publicznych, wymaga bowiem niewielkiej liczby maszyn. Z góry jednak trzeba powiedzieć, iż jest ona niebezpieczna przy finansowaniu pozabudżetowym. Amortyzacja jest tu niezwykle powolna, wyraża się głównie w oszczędzaniu czasu, konia i wozu przez ludność wiejską. Skutki gospodarcze budowy dróg objawią się nierychło, a szczególnego znaczenia nabiorą dopiero wówczas, gdy chłop nasz zwiększy tempo swego życia, gdy zacznie cenić swój czas i wiedzieć jak go wyzyskać.

Zwiększenie tempa życia, jego aktywności i wydajności oraz skierowanie go od zainteresowań hedonistycznych do twórczych i wytwórczych jest problemem najżywotniejszym dla Polski, jest niezbędnym warunkiem duchowym postępu materialnego.

Ale czy nie jest szyderstwem mówienie o zainteresowaniach hedonistycznych kraju, w którym ogromna większość ludności pogrążona jest w biedzie? Czy nie pracuje ciężko chłop polski, robotnik, urzędnik, nauczyciel? Hedonistycznie nastrojona była szlachta polska epoki saskiej, ale nie Polska dzisiejsza!

Argumentowanie takie byłoby błędne. Hedonizm jest postawą psychiczną, niezależną od warunków życia. Hedonistą był lazarzone włoski, tonący w nędzy i brudzie, póki nie zapędził go do pracy Mussolini. Ściślej mówiąc - był epikurejczykiem. Bo prawdziwi epikurejczycy bynajmniej nie byli takimi, jakimi ich sobie wyobrażamy: tonącymi w rozkoszach biesiadnikami, uczującymi z pucharem falerna na łonie kochanek w pozłocistych pałacach. „Najwięcej przyjemności - mówił Epikur - ma ten, kto ma najmniej potrzeb”. Uczył on wyrzeczenia, tylko niewyrzeczenia dla Boga, który nie interesuje się światem, nie dla Ojczyzny, która jest fikcją. Wyzbywać się trzeba świata i jego rozkoszy, bo rozkosze przynoszą ból i gorycz, bo szczęście nie polega na przyjemnościach, lecz na braku przykrości. Należy rozumnie zadawać się małym, dążyć do cichej przystani, do miłej wegetacji, do życia bez trudu.

Czyż nie jest to ideał współczesności polskiej? Spójrzmy na wieś naszą, ociążałą i senną, choć dla niektórych jest ona jeszcze zbyt dynamiczna, gdyż maści beztroskę rządzenia. Spójrzmy na klasy posiadające, duchem rentierskim przejęte, wiecznie narzekające na podatki i etatyzm, spójrzmy na robotników, bezmyślnie za Francuzami żądających skrócenia dnia pracy, na młodzież naszą garnącą się do urzędniczych posad i wielkich miast, a zostawiającą na pastwę Żydom prowincję polską, jej przemysł i handel. Spójrzmy wreszcie na odżywianie w Polsce prądów liberalnych, głoszących hasła wolności, a rozumiejących ją niejako swobodę tworzenia, lecz jako wyzbycie się obowiązków. Programem politycznym większości Polaków są słowa Epikura: „O ile nie pogwałcisz praw, nie zasmucisz bliźniego, nie nadwyrężysz ciała, nie utracisz środków koniecznych do życia, to używaj jak chcesz swej ochoty!”

Czy epikureizm ten jest czymś specyficznym dla naszych czasów, jakimś koniunkturalnym nalotem zewnętrznym albo zanikającą puścizną niewoli? Niestety, nie. Jest to najlepiej zachowana, najistotniejsza tradycja narodowa. „Nasze opóźnienie rozwojowe - pisze Władysław Grabski - nasze braki i słabe strony w życiu gospodarczym nie są wynikiem ani naszego położenia geograficznego, ani naszej nieudolności rasowej, ani żadnej przyczyny mechanicznej poza nami leżącej, a tylko całego naszego rozwoju historycznego, którego byliśmy sami częściowo twórcami, częściowo jedynie podłożem. Posiadamy, jak słusznie zauważył Stachniuk, niepokojącą skłonność do zadowolenia z siebie, do pobłażliwości wobec siebie samego, a jeśli nie wierzymy (jak nasi przodkowie sprzed lat 200) we własną doskonałość to tylko pod obuchem faktów. Przywołała nas do rzeczywistości historia - rozbiorami. Dziś przywołuje po raz drugi ukazywaniem dysproporcji między osiągnięciami naszymi a naszych sąsiadów. Na doping ten reagujemy - narzekaniem. Czy w takiej postawie psychicznej można tworzyć nowe wartości?

Pęd do tworzenia wyływa - jak już pisałem - z poczucia niedoskonałości i towarzyszącego mu niezadowolenia z siebie, będącego stałym nastrojem dusz głębszych. Człowiek pragnie ustawicznie wydobyć się z tego stanu, poczucie niedoskonałości rodzi w nim wolę do dążenia wzwyż. Ta heroiczna walka z samym sobą zależy od jej napięcia, zależy również od bogactwa złóż duchowych w duszy jednostki wydaje owoce, które składają się na poziom kulturalny i cywilizacyjny społeczeństwa. Niezadowolenie jest twórcze! Społeczeństwo ludzi zadowolonych z siebie, otoczenia, warunków, lub skłonne do zadowolenia w razie nieznaczącej ich zmiany - musi zakrzepnąć w jałowym bezruchu. Dlatego należy budzić sumienia i wole przez odślanianie brutalnej rzeczywistości, trzeba przypierać do muru naszą słabość, gotową do uwalniania się frazesem od odpowiedzialności. Trzeba przeciwstawić się złej kilkunastowiecznej tradycji, złamać w duszach naszych to, co w nich na szkodę naszą wyrosło. Wielka to rewolucja, choćby dokonała się - co daj Boże - bez świstu kul, grzechotu karabinów maszynowych, walki brata przeciw bratu, Polaka przeciw Polakowi. I nie wystarczy tu jednorazowy wstrząs czy przewrót, po którym wszystko samo się zmieni. Walka jest dużo trudniejsza, niż się zdaje, bo wróg nie tylko grozi na granicach, nie tylko wichrzy wśród mas ludowych, wysysa soki żywotne z narodu i fałszuje jego kulturę. Ci wszyscy wrogowie przegrają sprawę skoro zwyciężymy wroga największego: tego, który czai się w duszy naszej, który rozładowuje naszą energię, słyca nasz rozum, usypia serce. Dlatego rewolucja musi trwać długo, a przeprowadzać ją musi każdy przeciw sobie. Zaś ludzie obdarzeni wyższym intelektem lub hartowniejszą od innych wolą muszą dopomóc społeczeństwu do metamorfozy duchowej. Muszą jak dawni cystersi iść doń z nauką i żywym przykładem, muszą przelewać swój żar w inne dusze, muszą podbijać nie pychę, kryjącą słabość i pustkę duchową, lecz dumną pokorą, która jest obliczem siły. Muszą sprząć żyjące dziś pokolenia twardym nakazem, lecz posłuch wymuszać niedeptaniem karków, tylko oczywistością słusznej sprawy, imponującym wysiłkiem własnym i rozżarzeniem

entuzjazmu. Problem ten wchodzi już w dziedzinę wychowania społecznego, inaczej mówiąc - ustroju politycznego.



## Jedność w wielości

*Każdy ustrój powstawał w myśl  
pewnej idei, określającej we właściwy sposób  
cel danego cywilizacyjnego zespołu i  
odpowiadający mu stosunek jednostki do  
zbiorowości.*

Stanisław Grabski

*Zagadnienie polega na tym, by  
uzyskać wszelkie możliwe korzyści  
organizacji, nie poświęcając korzyści  
indywidualnego wysiłku i genialności.*

Andre Siegfried

Celem ludzi, istot niedoskonałych, jest dążenie do Boga. Bóg jest pełnią doskonałości. Dążenie do Boga, to dążenie do doskonałości.

Nasza skażona natura stawia nam na tej drodze opory. Porównywałem już człowieka do turysty, wspinającego się po piargach, który wysiłkiem swoim pokonywać musi nie tylko własny ciężar, lecz i osypujące się kamienie.

Człowiek rodzi się w świecie materii, a i sam jest częściowo materią. Materia i duch są w nim zespolone w sposób konieczny i celowy: razem dopiero tworzą one żywego człowieka. Materia nie jest z istoty swej zła, jak głosili gnostycy; jej niedoskonałość ma swoje zadanie: jest ona jakby areną, na której duch ludzki stacza swą walkę. Doskonalenie się nie polega na wyzwaniu się z materii, ucieczce ze świata materialnego, lecz na opanowywaniu materii. Materię, a szerzej biorąc - naturę, o tyle tylko można nazwać złą, o ile nie jest ona doskonała. Zło bowiem jest jedynie brakiem dobra, niczym więcej. Dlatego nie można osiągnąć dobra przez ucieczkę od zła: brak dobra pokonać można jedynie tworzeniem dobra. Nic nie jest moralnie warta asceza jogów hinduskich, którzy ochrony przed złem szukają w beczynności i apatii: złem jest właśnie beczynność i apatia. Doskonać się można tylko przez pracę i walkę; działanie posiada samo przez się większą wartość moralną, niż zaniechanie. Lepiej błędzić nawet, niż pozostawać biernym.

Dlatego tak absurdalną i szkodliwą jest nauka Tołstoja o niesprzeciwianiu się złu. Sprzeciwiać się trzeba, choćby jedyną skuteczną formą był czyn, oderwanie biorąc, zły, pod warunkiem, rzecz prosta, że zło dokonane nie przewyższy zła, któremu się sprzeciwiamy. Cel nie uszłęca bynajmniej środków: za zło popełnione trzeba zdać sprawę przed Bogiem; ale odpowiedzialność nasza będzie cięższa, jeśli, nie chcąc popełnić zła mniejszego, biernością naszą umożliwimy zło większe<sup>36</sup>.

Jedyną formą doskonalenia się jest działanie, rozumiane jako przeciwieństwo zaniechania. W tym znaczeniu wysiłek myślowy jest również postacią działania. Akt twórczości jest sam przez się zasługą moralną, aczkolwiek owoce twórczości mogą być zarówno złe jak dobre. Podobnie np. mówienie prawdy jest samo przez się dobre, choć powiedzenie jej może nieraz spowodować złe skutki. Zasługa jest tym większa, im większe opory pokonał twórczy, bądź w sobie samym, bądź na zewnątrz. Twórczość polega bowiem na pokonywaniu oporu materii, okiełznywaniu jej, kształtowaniu, wyciskaniu na niej piętna duchowego. Wewnątrz nas walka ta polega na opanowywaniu natury naszej i zaprzęgnięciu jej do służby celom wyższym, na zewnątrz-na urabianiu świata materialnego i oddziaływaniu na innych ludzi. Oba te rodzaje walki są z sobą ściśle związane: doskonaląc siebie, doskonalimy świat, którego częścią jesteśmy; doskonaląc zaś świat - doskonalimy siebie. Ale pierwsza z tych dróg zastrzeżona jest drobnej tylko części ludzi, powołanych przez Boga do ascezy i kontemplacji, do zbawiania swych bliźnich przez akty pokory i modlitwy. Ogromna większość ludzi powołana jest do życia w świecie i do przetwarzania świata<sup>37</sup>.

Twórczość, to żłobienie śladu w tworzywie materii, podobnie jak gąsienica kornika żłobi korytarze w masie drzewnej. Życie ludzkie przemija szybko, po czym dusze ludzkie uskrzydłają się jak korniki i znikają ze świata materii. Ale ślad wyżłobiony zostaje i służy następnym pokoleniom. Żaden człowiek nie zaczyna zupełnie od nowa, nawet najbardziej samodzielny geniusz, nawet najbardziej skrajny rewolucjonista. Od pierwszych lat życia ludzie wchłaniają wraz z mową zasób

---

<sup>36</sup> Oczywiście, decydowanie o tym co jest złem mniejszym nie może być oddane swobodnej ocenie każdego człowieka, prowadziłoby to bowiem do autonomizmu i subiektywizmu etycznego. Tym większa i niezbędniejsza staje się rola kaznodziei i spowiedników jako przedstawicieli i tłumaczy obiektywnych norm moralnych.

<sup>37</sup> Przy przetwarzaniu tym zachodzą kolizje i walki; indywidualności ludzkie ścierają się, wola usiłuje złamać przeciwną wolę. Zjawisko to dowodzi niedoskonałości świata, ale nie uprawnia do wyciągania wniosku, że zaniechanie jest lepsze od działania. Wola obowiązana jest albo łamać wolę przeciwną, albo się jej pod nakazem rozumu - poddać. Zła moralnie jest natomiast postawa obronna, rezygnująca leniwie z narzucenia własnej woli i ograniczająca swą dynamikę do zazdrośnego strzeżenia swej niezależności od woli cudzej. Postawa taka grzeszy zarazem niedołęstwem i pychą.

pojęć, wytworzony przez dawne pokolenia, a przez wychowanie wdrażają się do ustalonego obyczaju. Gdy rozpoczynają własną twórczość duchową, myślą i czynią w znacznej mierze na sposób i modłę swych poprzedników - choćby się im ostro przeciwstawiali. Nie bez racji mówi August Comte, że ludzkość jest coraz bardziej rządzona przez zmarłych.

Wzmaganie twórczości ludzkiej przez współdziałanie zmarłych z żywymi i żywych między sobą jest zasadniczą funkcją społeczeństwa. Istnieje ono po to, aby ludzie zrzeszeni w nim, tworzyli w skali maksymalnej i aby synteza indywidualnych twórczości była jak najwyższa. Poza dziedziną czystej myśli i sztuki, wszystko, co wielkie, powstaje - mniej lub więcej - zbiorowo. Przeciętny człowiek, pozostawiony sam sobie, tworzy zawsze przeciętnie. W zespole, przenikniętym wspólną myślą, w narodzie, opanowanym dążeniem do wielkości - potrafi współtworzyć rzecz wielką.

W czym tkwi tajemnica? Czy przez działanie zbiorowe człowiek odmienia swą naturę, zwiększa swe przyrodzone możliwości? Nie. Nikt nie da z siebie więcej, niż może. Ale pozostawiony sam sobie, człowiek przeciętny z reguły daje z siebie dużo mniej, niż może. Natura, skłonności hedonistyczne, ściągają w dół jego ducha. Społeczeństwo, naród - dopomaga człowiekowi do opanowania własnej natury. Żołnierz na froncie potrafi pod wpływem zapału i poświęcenia wydobyć z siebie trud fizyczny, do którego w normalnych warunkach nie jest zdolny; człowiek, opętany nakazem moralnym służenia wyznawanej idei, wprzęgnięty w rytm życia narodowego, przesycony ambicją wielkości narodu - potrafi wykrzesać z siebie pełnię swych możliwości twórczych. Nigdy by Chopin nie osiągnął tych wyzyn arcyzmu, gdyby tworzył wyłącznie dla rozwiązywania założeń estetycznych lub dla zysku, gdyby nie płonął ogniem służby dla Polski.

Ale najzdrowsze nawet i najbardziej ambitne społeczeństwo nigdy nie zdoła przepoić psychiką heroiczną ogółu swych członków. Na terytorium, ogarniętym granicami państwa żyją dwa, czasem zaś trzy typy społeczne, odróżniające się odmiennymi dyspozycjami psychicznymi do przejmowania się entuzjazmem narodowym. Jedynie najbardziej świadome i ofiarne żywioły zdolne są do wytworzenia w sobie ducha bohaterskiego, do układania całego swego życia i pracy według planu służby narodowej, do ustawicznej walki z samym sobą i pokusami hedonistycznymi. Ogromna większość zdolna jest do poświęcenia i samozaparcia jedynie w chwilach szczególnego porywu patriotycznego, ale w życiu codziennym nie umie wznieść się ponad zagadnienia i troski osobiste oraz najbliższego otoczenia. Wielu ludzi pozbawionych zarówno wyobraźni jak szerszego polotu myśli, nawet zasugerowanych ideowo, nie potrafi związać wyznawanej idei ze swym postępowaniem. Ludzie tacy potrafią być wdzięcznymi słuchaczami na wiecach i szczerze uważać się za patriotów, lecz widmo ofiary ze swej wygody lub dobrobytu dla dobra narodu wywoła w nich odruch niechęci lub nawet oburzenia. Wówczas frazesy patriotyczne idą w ką, a na ich miejsce wkracza hedonistyczne hasło: „raz się żyje!” Wielu wreszcie ludzi, zepchniętych przez stosunki społeczno - gospodarcze w dziedzinę prymitywnej walki o byt swój własny i najbliższych, tępieje na wszystko, co

nie wiąże się bezpośrednio z kwestią biologicznej egzystencji. Rzetelna praca wychowawcza,, towarzysząca uzdrawianiu stosunków socjalnych potrafi te liczne i różnolite żywioły stopniowo włączać do rzędu świadomych sił narodu, trzeba jednak kilku co najmniej pokoleń, aby wyniki wychowania wycisnęły piętno nie tylko na umysłach, lecz i na instynktach większości społecznej.

Trzeci wreszcie typ reprezentują żywioły tak obce duchowo społeczeństwu, wśród którego zamieszkują, tak odrębne swą psychiką, kulturą i interesem, że żadna, najbardziej wytężona akcja wychowawcza, nie przepoi ich duchem narodowym, a najenergiczniejsze zacieranie odrębności nie pozbawi ich charakteru ciała obcego, tkwiącego w organizmie narodowym.

W Polsce typ taki istnieje. Są nim Żydzi. Mogą się nim stać również - niebezpieczeństwo to jest zupełnie realne - nasi słowiańscy pobratymcy na wschodzie kraju. Ale stosunek nasz do nich musi być całkiem inny, niż stosunek do Żydów. Żydów nie chcemy włączać do wspólnoty narodowej: zbrukaliby naszą kulturę. Ukraińcy i Białorusini, w razie zlania się z nami poszerzyliby naszą cywilizację, podobnie jak Szkoci wzbogacili cywilizację angielską. Nie dyskutuję tu problemu w jaki sposób zlanie to mogłoby nastąpić: niekoniecznie wyrazić by się musiało w jednostronnej asymilacji. W każdym razie w polskim interesie narodowym nie leży odcinanie się od naszych współbraci i zamykanie im drogi do wspólnej twórczości duchowej. Żydzi natomiast jako nieuleczalni cudzoziemcy, jako żywioł skazany na usunięcie z Polski, drogę tę muszą mieć całkowicie zamkniętą. W dziedzinie ustroju politycznego oznacza to pozbawienie ich wszelkich uprawnień. Jest to postulat, który w umysłach polskich zdobył już prawo obywatelstwa. Zagadnienie polega jedynie na tym, aby ze sfery myśli przesunąć go w sferę woli.

Konsekwencje ustrojowe rozróżnienia w społeczeństwie dynamicznego typu grupy przodowniczej w narodzie i statycznego typu ludzi zamykających się w kręgu spraw osobistych, rodzimych lub zawodowych nie są już tak łatwe i bezsporne. Prawne uprzywilejowanie grupy przodowniczej stwarza ogromne niebezpieczeństwo jej demoralizacji. W dziejach naszych fakt taki już zaszedł i wynikiem jego było wy-paczenie całej naszej linii rozwojowej: mówię, rzecz prosta, o przemianie szlachty naszej, która w ciągu kilku pokoleń z elity narodu zmieniła się w pasożyta społecznego, stała się - mimo jej rdzennie polskiego charakteru - czynnikiem większego rozstroju, niż plutokracja angielska lub francuska w wieku XIX. Dlatego argumenty naszych antyelitarystów, szczególnie działaczy ludowych, nie są pozbawione pewnej słuszności. Z drugiej jednak strony trudno w sposób odpowiedzialny propagować w naszych warunkach przyjęcie ustroju demokratycznego - parlamentarnego. Ustrój taki - cokolwiek można by powiedzieć przeciw niemu z punktu widzenia heroicznego zadań narodu - może funkcjonować zupełnie nieźle w społeczeństwach, które wysiłkiem zmarłych pokoleń wywalczyły sobie byt spokojny i bezpieczny oraz do-pracowały się do wysokiego poziomu bogactwa, tak iż sprawiedliwy podział owoców wielowiekowej pracy stanowi ich najważniejszy problem.

Polska jest w innej sytuacji. Żadne państwo europejskie (oprócz jednej może Czechosłowacji) nie jest tak zagrożone w swoim niepodległym bycie jak nasze. Nie wiemy w ogóle ile czasu zostało nam na twórczą pracę do chwili zmierzenia się wojennego z naszym najgroźniejszym sąsiadem, być może, że znacznie mniej, niż sobie wszyscy wyobrażamy. Liczenie na pomoc obcą zawodziło nas już nieraz. My sami musimy olbrzymim wysiłkiem dopracować się takiej potęgi moralnej i fizycznej, aby nikomu nie opłacało się nas zaczepiać. Pierwszym tego warunkiem jest włączenie w żywiłowy rytm gospodarczy ogromnej części narodu już żyjącej, lub mającej się narodzić, która w dzisiejszych warunkach skazana jest na bezpłodność twórczą, na bezużyteczność i nędzę. Starłem się wykazać, że zadanie to jest niewykonalne o ile nie dokonamy rewolucyjnych przemian w naszym życiu gospodarczym, przemian, kierowanych jednolitą myślą i zespoloną wolą, według konsekwentnego planu, którego szczegóły można dyskutować, lecz którego potrzeba wydaje się być bezsporna. Otóż przemiany te są z gruntu niemożliwe w ustroju demokratyczno-parlamentarnym. Na przykładzie Belgii widzimy, że nawet bardzo umiarkowany plan gospodarczy Henryka de Mana nie może oblec się w rzeczywistość z powodu oporu plutokracji, która w każdym ustroju parlamentarnym zajmuje miejsce najwplywowszego czynnika. Reformy Bluma we Francji dokonały się za cichą zgodą czynników plutokratycznych, które po prostu podzieliły się z warstwą robotniczą zyskami, osiągniętymi kosztem konkurentów z drobnych placówek przemysłowych i handlowych; bogactwa Francji są dość wielkie, aby tego rodzaju transakcję umożliwić.

Polska, przeprowadzająca w rewolucyjnym tempie swą przebudowę społeczno - gospodarczą, spotka się z bezlitosnym przeciwdziałaniem czynników skądinąd nawzajem sobie wrogich, ale zainteresowanych - jak ongiś mocarstwa „gwarancyjne” - w niedopuszczeniu do wzrostu naszej siły i niezależności. O zachowanie swej pozycji eksploatatorów walczyć będzie żydostwo światowe i kapitał międzynarodowy, o podbój Polski polityczny, ideowy i gospodarczy kusić się będą obaj nasi sąsiedzi. Czy w tych warunkach można sobie wyobrazić funkcjonowanie ustroju demokratyczne - parlamentarnego, uzależnienie władzy państwowej i realizowanego przez nią planu od „wolnych wyborów, których żadna ustawa nie zabezpieczy przed wpływem potęg finansowych, działających z zagranicy! Zapewne, przekupywać można i ludzi sprawujących władzę - dlatego istnieć musi kontrola społeczna nad rządem - ale w systemie autorytatywnym agenci obcy wyszukiwać muszą cynicznych jurgieltników i zdrajców, podczas gdy w chaosie parlamentarnym działać można drogą pośrednią i wciągać w swą orbitę ludzi najzupełniej uczciwych, złudzonych hasłami pozornie niewinnymi i teoretycznie słusznymi, lecz działającymi w konkretnych warunkach na szkodę państwa. Dlatego propagowanie w naszej sytuacji polskiej postulatów liberalizmu parlamentarnego dowodzi zupełnego braku orientacji i przewagi uczuć osobistych lub klasowych nad trzeźwym rozumowaniem i nad poczuciem odpowiedzialności za całość spraw państwowych.

Ustrój autorytatywny, oparty o grupę przodującą jest koniecznością dla Polski współczesnej. Jak jednak uniknąć zwyrodnienia elity rządzącej? Żaden ustrój prawny nie zabezpieczy całkowicie

przed przemianami, zachodzącymi w sferze moralnej. Może je jednak ułatwiać lub utrudniać. Analiza historii państw stanowych w Europie pozwala ustalić dwie przyczyny zwyrodnienia, tkwiące w ustroju samym, nie zaś w przemianach moralnych, umysłowych lub gospodarczych. Pierwszą z nich było zamknięcie dopływu do klasy przodującej świeżych, wybijających się z przeciętności żywiołów, przez co stan stał się kastą, opartą na egoizmie zbiorowym i pysze; zjawisko to wystąpiło szczególnie wyraziście w Polsce, gdyż w krajach zachodnich korona korzystała szeroko z prawa nobilitacji i dobierania sobie współpracowników skąd chciała, czego symbolem była np. kariera Colberta. Druga natomiast przyczyna zwyrodnienia elity tkwiła w zasadzie, właściwej wszystkim odmianom ustroju stanowego: w uprzywilejowaniu elity nie tylko na polu politycznym, lecz i w innych dziedzinach, szczególnie prawa karnego. Że system ten prowadził do rozluźnienia hamulców moralnych, do swawoli i korupcji, tego udowodnić nie trzeba.

Dla uniknięcia podobnych skutków trzeba więc postawić dwie zasady i dbać rygorystycznie o ich przestrzeganie:

1. dopływ świeżych sił do kadr politycznie przodujących powinien być zasadniczo zupełnie swobodny.
2. przodownictwo polityczne musi pociągać za sobą zwiększenie obowiązków oraz odpowiedzialności, dochodzącej aż do upośledzenia na wszystkich polach poza politycznym. W szczególności sankcje za przestępstwa karne i wykroczenia powinny być znacznie surowsze wobec członków warstwy przodującej, niż wobec reszty obywateli państwa.

Przodownictwo nie może być traktowane jako przywilej, lecz jako powinność moralna. W tym tkwi główna różnica między omawianą koncepcją a dawnymi ustrojami stanowymi, jak również (choć brzmi to paradoksalnie) ustrojem demokratycznym - parlamentarnym. W tym ostatnim rządzi również klasa uprzywilejowana, doprowadzająca do rządów wyłącznie ludzi ze swego grona: klasę tę tworzą zawodowi parlamentarzyści i funkcjonariusze stronnictw, organizujący wybory; reszta obywateli, pozbawiona de facto wpływu politycznego, otrzymuje jego surogat w postaci wybierania co lat parę jednego z kilku kandydatów na posła lub głosowania na jeden z kilku numerów partyjnych. Przy dłuższym trwaniu takiego systemu następuje mechanizacja nastrojów wyborczych, uniemożliwiająca przedostanie się do parlamentu świeżych sił, nie podporządkowujących się dyscyplinie sekretarzy starych stronnictw. Szczególnie jaskrawo występuje to zjawisko we Francji, gdzie kandydat niezależny o ile nie uzyska zaraz w pierwszym głosowaniu więcej głosów niż wszyscy inni kandydaci, zostaje w drugim głosowaniu zduszony

koalicją tradycyjnych ugrupowań. Również w Anglii o linii politycznej rządu i doborze rządzących decydują członkowie ekskluzywnych klubów politycznych, oni również kooptują do swego grona według swego swobodnego uznania nowych działaczy politycznych i udzielają im

przywileju posłowania do izby gmin. I tylko dlatego, że uprzywilejowanych jest więcej, niż miejsc w izbie, ogół wyborców decyduje w każdym okręgu, który z dwóch (czasami trzech) wyznaczonych kandydatów wejdzie do izby natychmiast, który zaś musi kilka lat poczekać. I gdyby w Polsce dobrobyt i bezpieczeństwo równe były angielskiemu, a obyczaj i tradycja równie wyrobione i utrwalone, gdyby stan wyrobienia politycznego, umysłowego i moralnego zawodowców politycznych oraz ujednoczenie poglądów były nad Wisłą równie duże jak nad Tamizą - moglibyśmy bez większego ryzyka pozwolić sobie na luksus ustroju parlamentarnego. Ale aby dojść do tego luksusu, trzeba nań zapracować równie rzetelnie, jak to robiła Anglia przez lat 400. Warto przy tym zwrócić uwagę, że morską potęgę Anglii, podstawę jej bogactwa, stworzył absolutyzm Tudorów, zaś jedność myślową Anglików wywalczył krwawo Cromwell. Później zaś rolę wychowania społeczeństwa w jednolitym duchu kapitalistyczno-liberalnym spełniała hierarchiczna organizacja polityczna, jednocząca w swych lożach całą elitę społeczeństwa bez względu na różnice partyjne. Polska natomiast zaznała przez te same lat 400 najpierw sielanki parlamentarnej, która rozprzęgła wszelką władzę i uniemożliwiła jakąkolwiek linię polityczną, później - życia w podziałach i niewoli, w której niszczały wszelkie tradycje państwowe. A wreszcie - działająca na ziemiach polskich masoneria nie tylko nie stała się organizacją narodu polskiego, lecz była od początku kanałem, którym szły dyrektywy obce, dla Polski zgubne, szkołą indyferentyzmu narodowego i asymilacji Polaków na rzecz Żydów.

Miejsce, które w Wielkiej Brytanii zajmuje masoneria, a którego w Polsce nie zdołała zająć Liga Narodowa, musi być przyznane jawnej organizacji narodu, przodującej moralnie i umysłowo, wychowującej ogół społeczeństwa przez przykład i rozszerzającej się w miarę jego dojrzewania. Jawność organizacji i jej oficjalne włączenie w ustrój państwowy jest ważnym postulatem wychowawczym: tylko stosunki, oparte na szczerości i jasności podnieść mogą poziom polityczny narodu. Traktowanie przodownictwa nie jako przywileju, lecz jako powinności moralnej oraz nieskrępowany wstęp do organizacji utrudnia przerażanie się warstwy przodującej w klikę lub kastę. Jeżeli organizacja narodu, co jest jej zadaniem, skupi w swych szeregach istotnie ludzi, kierujących się w całym swym życiu ideą służby Polaków dla Polski a Polski dla Boga - państwo nasze zyska po raz pierwszy od kilkuset lat zdrową strukturę polityczną.

Czy powołanie do wszechstronnej troski o całość problemów narodowych poważnej części społeczeństwa pozbawia przez to samo jego resztę wszelkich uprawnień? Bynajmniej. Obywatele państwa, nie będący członkami organizacji narodu nie powinni być biernymi, apatycznymi widzami jej pracy i rządów, traktowanymi przez przodujących z nieufnością i pogardą. Poza organizacją narodu powinny pozostać żywioły bądź nie ogarniające umysłem i przez to samo - rzetelnym zainteresowaniem całości spraw narodowych, bądź niezdolne do dobrowolnych poświęceń i trwałego entuzjazmu i zamykające się w pracy dla własnej rodziny. Tacy ludzie (nie mówię o typach ujemnych, aspołecznych) mogą oddawać duży pożytek w zakresie spraw lokalnych i zawodowych,

zarówno przez znajomość terenu jak przez fachowość pracy. Ludzie ci (a będą oni, zwłaszcza z początku stanowili znaczną większość społeczeństwa) powinni mieć możliwość uczestniczenia na równych prawach z członkami organizacji narodu w dziedzinie samorządu terytorialnego i gospodarczego.

Rozważania te prowadzą do rozróżnienia trzech funkcji publicznych: władzy państwowej, samorządu i sądownictwa. Nie jest ono bynajmniej identyczne z monteskiuszowskim podziałem władzy na wykonawczą, ustawodawczą i sądową. Monteskiuszowi chodziło przede wszystkim o zabezpieczenie wolności jednostki; nam, żyjącym w Polsce XX wieku zależeć musi w pierwszym rzędzie na sile państwa, jako najważniejszej gwarancji pełnej twórczości narodowej. Francja XVIII wieku była dzięki Ludwikowi XIV potężna i bezpieczna, ale zarazem zmęczona półwiekowym okresem wysiłków ekspansyjnych; dalekosiężna bowiem polityka królewska pracowała dla dobra wielu odległych pokoleń kosztem pokoleń współczesnych.

Szczególnie sarkają na fiskalizm królewski szlachta, której baron de Montesquieu był klasycznym przedstawicielem. Został on jeszcze za życia wielkiego króla członkiem parlamentu w Bordeaux. Nazajutrz po śmierci Ludwika instytucje te odzyskały dawne prawa ustawodawcze. Opór parlamentów przeciw opodatkowaniu szlachty rzucił rząd francuski w ramiona Lawa i skłonił do eksperymentów, które wstrząsnęły wielu fortunami, a Monteskiuszowi wcisnęły pióro do ręki. „Listy perskie” były manifestem opozycji. Autor ich wkrótce potem udał się do Anglii, kwitnącej już wówczas gospodarczo i studiując ją doszedł do przekonania, że wolność jednostki daje w wyniku bogactwo i potęgę, podczas gdy my dziś wiemy, że bieg przyczynowości jest raczej odwrotny: uzyskanie bogactwa i potęgi umożliwia rozszerzenie wolności poszczególnych ludzi. Tak przedstawia się geneza i bieg myśli francuskiego pisarza. Myśli te są bardzo interesujące, ale doprawdy nie wiadomo co wspólnego może mieć z nimi dzisiejsza Polska! Sam Monteskiusz mądrze zauważył, że prawa zależą „od warunków fizycznych kraju, od klimatu, od rodzaju terenu, sposobu życia mieszkańców, od ich religii, skłonności, bogactw, gęstości zaludnienia, od handlu i obyczajów”. Czyż wszystkie te warunki są jednakowe w Polsce XX w. i Francji XVIII? I, co najważniejsze, czy cel życia człowieka upatrujemy w tym samym, co myśliciele epoki oświecenia?

Odmienne przesłanki do odmiennych prowadzą wniosków. Nie widzę potrzeby rozróżniania trzech władz: wykonawczej, ustawodawczej i sądowej, wystarczy rozróżnienie trzech analogicznych funkcji. Myślę, iż władza państwowa powinna zarazem ustanawiać prawa i je wykonywać, słowem - obejmować wszystkie funkcje kierowania państwem jako całością. Samorząd ma za zadanie samodzielne kierowanie sprawami lokalnymi i zawodowymi, oraz reprezentowanie oblicza ogółu obywateli i - w tym charakterze - finansowe kontrolowanie rządu. Sądownictwo zaś powinno skupiać w swym ręku wszystko, co ma związek z wymiarem sprawiedliwości.



Mówiąc o kompetencjach władzy państwowej nie utożsamiam jej z rządem i warstwą urzędniczą. Kierować państwem powinna organizacja narodu, która - jak sama jej nazwa wskazuje - posiada zadania dużo szersze od biurokracji. Biurokracja i stojący na jej czele rząd powołana jest do czuwania nad prawidłowym funkcjonowaniem maszyny administracyjnej i do regulowania w myśl ustalonego planu życia społeczeństwa na wewnątrz i na zewnątrz. Są to zadania aktualne, polityka dnia codziennego. Natomiast zasadniczym zadaniem organizacji narodu jest ustalanie generalnej linii politycznej i opartej o nią dalekosiężnego planu pod kątem widzenia nie jednego, lecz wielu pokoleń<sup>38</sup>.

Skupiając w swych szeregach najofiarniejsze i wyrobione ideowo elementy, organizacja narodu przenikać powinna całe społeczeństwo i kierować nim w myśl swych założeń, powinna obejmować swą działalnością całość życia narodowego. W przeciwieństwie do partii politycznych w ustroju parlamentarnym, werbujących zwolenników dla celów wyborczych i wymagających od swych członków niewiele więcej poza płaceniem składek oraz braniem czynnego udziału w głosowaniu do parlamentu i związanej z tą funkcją agitacji - organizacja narodu realizować powinna zasadę czynnego udziału każdego jej członka we władzy państwowej przez sprawowanie konkretnych funkcji wyższych lub niższych zależnie od zdolności i poziomu umysłowego. Jedną z takich funkcji jest kierowanie aparatem państwowym, inaczej mówiąc, udział w rządzie. Inną - opracowywanie planu gospodarczego, politycznego, wychowawczego i wcielających go w życie ustaw. Inną jeszcze - polityczne kierownictwo odrębnymi częściami kraju. Inną wreszcie - organizowanie życia społecznego, pionierstwo na polu gospodarczym (np. instruktorstwo rolne, ruch spółdzielczy), wychowywanie młodzieży, odżydzanie kraju, wciąganie do współpracy pobratymców słowiańskich itd. Zasadą powinna być ciągłość funkcji od najwyższych do najniższych. W społeczeństwie zorganizowanym nie może istnieć separacja między władzą a ogółem, na skutek

---

<sup>38</sup> Z tych właśnie względów organizacja narodu musi skupiać w swych rękach wychowanie polityczne młodzieży (z zastrzeżeniem oczywiście wszystkich praw, przysługujących rodzinie i Kościołowi). Działalność bowiem na rzecz przyszłych pokoleń sprzeczna jest z doraźnym interesem aktualnie żyjącego pokolenia. Jest zaś rzeczą wielkiej wagi osiągnięcie tego rezultatu nie przez mechaniczny przymus państwowy, lecz przez dobrowolne poświęcenie społeczeństwa. Wymaga to głęboko pojętej akcji wychowawczej, szkolenia charakteru i umysłu w okresie życia najbardziej idealistycznym i najpodatniejszym do urobienia: w wieku młodzieńczym. Odkrycia tego nie dokonały współczesne systemy totalistyczne. U progu XX stulecia zastosowała ten system - oczywiście na swoją modłę - masoneria angielska przez stworzenie skautingu. Pacyfistyczna ta w swym słownictwie organizacja wyrosła z doświadczeń wojny burskiej jako znakomita podpora imperializmu brytyjskiego, a rozprzestrzenienie jej na cały świat i umocnienie periodycznymi „jamboree” było dalszym etapem na tej samej drodze.

której rząd (jak to było za czasów oświeconego absolutyzmu) kieruje państwem poza plecami swych poddanych, bez kontaktu z nimi i bez zrozumienia z ich strony.

Prawnym wyrazem kierowania państwem przez organizację narodu powinno być zjednoczenie w jednej osobie funkcji kierownika organizacji narodu i naczelnika państwa. Naczelnik państwa (unikam świadomie nazwy prezydenta jako obcej pochodzeniem i duchem) nie musiałby i nie powinien z reguły odgrywać roli mistycznego „führera”. Hipnotycznego wpływu na społeczeństwo nie zapewni najlepiej pisana konstytucja; wodzem można się stać tylko w walce, a wówczas wyniki walki, nie reguły prawne, oddaje w ręce przywódcy władzę państwową.

Kierownictwo organizacją narodu zapewnia naczelnikowi państwa prerogatywy znacznie szersze od obecnych uprawnień prezydenta. Nie dość na tym. Uważam, że głowa państwa powinna mieć prawo powoływania rządu i udzielania mu dymisji według osobistego uznania. Wola jego może być w pewnych szczególnych wypadkach ograniczona, ale zasadniczo ona to musi rozstrzygać. W przeciwnym wypadku sprowadzamy najwyższy urząd w państwie do roli czysto reprezentacyjnej, czyniąc zeń panis bene merentium w rodzaju notariatu. Jak wskazuje doświadczenie Trzeciej Republiki Francuskiej system taki jest premią dla miernot politycznych i dawno już spowodowałby całkowity rozkład władzy gdyby nie fakt, że prawdziwym zwierzchnikiem Francji jest nieodpowiedzialny przed nikim kierownik Grand Orient de France.

Zdaję sobie dokładnie sprawę, że koncepcja, którą w przeciwstawieniu do zasad francuskich próbuję uzasadniać, stwarza władzy naczelnika państwa zakres monarchiczny. Można wobec tego postawić mi pytanie, czemu, wyciągając ostateczne konsekwencje, nie opowiadam się za wprowadzeniem w Polsce monarchii dziedzicznej?

Daleki jestem od wszelkich przesądów antymonarchicznych. Dziedziczność władzy najwyższej posiada ogromne zalety. Mniemam jednak, że monarchia wprowadzona sztucznie byłaby jedynie karykaturą idei monarchicznej.

Monarchia jest instytucją w istocie swej mistyczną. Cesarze chińscy tytułowali się Synami Nieba. Mikado wywodzi się z prostej linii od bogini słońca. Cezar, dążąc do korony, podawał się za potomka Wenery i zbudował sobie samemu świątynię, Oktawian uzyskał boski przydomek Augusta. Monarchowie średniowieczni nie mogli już podawać się za bogów, lecz uzyskali od kościoła sakrę przez pomazanie olejami świętymi. Tytuł „Dei gratia” oznaczał, że wraz z namaszczeniem sływa na władcę łaska Boża. Ten czynnik wiary w sakralny charakter monarchii, wiary, wyznawanej zarówno przez pomazańców, jak przez ich poddanych, posiadał swego czasu siłę olbrzymią. Karol VII wówczas dopiero zdobył silną pozycję w walce z Anglikami, gdy Joanna d'Arc otworzyła mu drogę do Reims i umożliwiła koronację. Aż do tej chwili był on nawet w oczach swych stronników jedynie delfinem.

Wypadki i burze dziejowe odarty powoli koronę z nimbu świętości. Nie znaczy to, aby czynnik mistyczny przestał odgrywać rolę w kierowaniu państwem. Ale cechę sakralną posiadają dziś w wyższym stopniu Mussolini, Hitler, Stalin, Kemal, niż Wiktor Emanuel III, Jerzy VI lub Gustaw V. W wieku XIX powstały wprawdzie nowe monarchie: w Belgii i na Bałkanach; powstawały one siłą bezwładu, wobec tego, że z wyjątkiem Francji i Szwajcarii, nie było w Europie republik. Ale nowopowstałe twory były już monarchiami bardziej pod względem nazwy, niż treści; Belgia nie zna nawet namaszczenia i koronacji.

Wynik wojny, niosący upadek trzem cesarstwom, zaś zwycięstwo dwom wielkim republikom jeszcze bardziej obniżył znaczenie korony. Monarchie dzisiejsze trzymają się w kilku wypadkach starodawnością dynastii (po mieczu lub kądzieli), przede wszystkim jednak - przystosowaniem bez protestu do roli czysto reprezentacyjnej. Wprowadzenie w Polsce „monarchii” tego typu przyniosłoby korzyści niewielkie, natomiast otworzyłoby na rozcież drzwi do władzy i wpływów najgorszej, najmniej narodowej warstwie społecznej, jaką jest nasza arystokracja.

Sądzę, że rozumne postępowanie powinno dążyć do zastosowania w Polsce wszystkich możliwych plusów ustroju monarchicznego, uniknięcia zaś jego wad i niedogodności. Tradycje królewskie są u nas zamarte, czemu nie można się dziwić. Ostatnią koronacją w Polsce była koronacja Mikołaja I w katedrze warszawskiej. Poprzednikiem jego był Aleksander I. Ostatnim królem Polski jako całości był Stanisław August, poprzednikami jego - dwaj Sasi. Wspomnienia dwóch stuleci nie budzą w nas żadnych uczuć rojalistycznych, przeciwnie wywołały one zrozumiałe uraz psychiczny na punkcie monarchii. Z urazem tym liczył się niewątpliwie (a może i sam mu ulegał) człowiek, który miał dostateczną siłę do włożenia sobie na skronie korony - Józef Piłsudski. Na podsuwane mu w tym kierunku sugestie pozostał zupełnie głuchy.

Podobnie jak u nas kształtowała się ongiś sytuacja w Rzymie republikańskim. Wobec ogromnego skomplikowania zadań państwa i jego terytorialnego rozrostu, ustrój, oparty o głosowanie ogółu obywateli, o kolegialne rządy senatu i dwoistość władzy konsulów, stał się niemożliwy do utrzymania. Coraz częstsze dyktatury dowodziły konieczności rządów jednostkowych; kraj znużony krwawymi rozruchami tęsknił do silnej władzy, opartej o podstawy prawne. Jednakże tradycje antymonarchiczne były tak silne, że nawet Juliusz Cezar, rządząc wszechwładnie, ogłosił się wprawdzie bóstwem, lecz nie królem. Następca jego, Oktawian, ugruntował swe jedynowładztwo bez porzucania form republikańskich; stworzył on ustrój mieszany, daleki od doskonałości, ale jedynie możliwy na tle ówczesnych stosunków. Ustrój ten, zwany pryncypatem, ewoluując nieznacznie w kierunku monarchii zapewnił Rzymowi (mimo nieszczęśliwego kilkakrotnie doboru władców) dwustupięćdziesięcioletni okres rozrostu terytorialnego i potęgi militarnej.

Sądzę, że również dzisiejsza epoka wymaga ustroju mieszanego. Rzecz prosta, nie należy powtarzać głównego błędu pryncypatu, polegającego na nieuregulowaniu kwestii następstwa u szczytu państwa. Zdaniem moim naczelnik państwa, pełniąc swój urząd dożywotnio, powinien sam wyznaczać swego następcę. System taki, wprowadzony do ustroju rzymskiego w 100 lat po Auguście zapewnił Rzymowi okres największej potęgi i dobrobytu; od Nerwy poczynając cztery bez mała pokolenia luzowały się u szczytu drabiny ustrojowej bez najmniejszych wstrząśnięć i powikłań. System taki mógłby w Polsce doprowadzić z czasem do dziedziczności za pomocą prostej, uznanej przez *communis opinio* ewolucji. Powstałaby w ten sposób monarchia, pozbawiona cech, drażniących dzisiejsze społeczeństwo: konserwatyizmu i arystokratyzmu.

Prawdziwa dynastia narodowa zdobywa władzę nie przez kontrakt, jak Glücksburgowie Grecji, Koburgowie Bułgarscy czy Hohenzollernowie Rumuńscy, lecz przez zasługę jak Karadziordziewice. Karolingowie pracowali ongiś przez lat sto, zanim uzyskali koronę. Kapetyngowie, ci legitymistyczni i arystokratyczni Kapetyngowie wyszli z szeregów miejskiego plebsu, karierę polityczną rozpoczęli od bohaterskich walk z Normanami i przez trzy generacje ze zmiennym powodzeniem dobijali się tronu. I nawet wówczas, gdy z wymarciem Karolingów znikli z areny historycznej groźni, legitymistyczni rywale – korona nie przypadła nowej dynastii w sposób automatyczny. Hugo Kapet został królem z wyboru możnych, a władza jego była silna tylko w małym okręgu ziem dziedzicznych. W oczach potężnych wasali pierwsi Kapetyngowie nie posiadali ani majestatu, ani nawet autorytetu. Gdy Hugo usiłując nakazać posłuszeństwo hr. Perigord spytał go przez herolda: „Kto cię uczynił hrabią?”, – usłyszał odpowiedź: „A kto cię zrobił królem?”.

Przez pięć pokoleń podlegali Kapetyngowie elekcji „*vivente rege*”, zanim nie wyrobiło się we Francji uczucie wierności dynastycznej. Jeżeli z takim trudem zakorzeniła się dziedziczność w czasach, gdy nie znano innej formy rządu, niż monarchiczna, trudno przypuścić, aby współczesna Polska schyliła głowę przed jakimkolwiek cudzoziemcem czy rodakiem, którego jedyną kwalifikacją byłaby arystokratyczność pochodzenia. Toteż sądzę, że koncepcja dożywotniej władzy naczelnika państwa, wyznaczającego swego następcę zawiera maksimum pierwiastka monarchicznego we współczesnych warunkach.

Nie mam zamiaru precyzować szczegółowo sposobu w jaki naczelnik państwa wykonywać miałby swą władzę zarówno na terenie organizacji narodu jakw dziedzinie zarządzania państwem, gdyż nie zamierzam w ogóle obmyślać takiej czy innej konstytucji. Konstytucje naprawdę obowiązujące powstają w życiu, nie w teorii, wyrastają z faktów, nie z prawniczych roztrząsań. Ustrój polityczny nie jest celem sam w sobie, lecz jedynie środkiem do celu. Zależnie od aktualnego położenia, od ustroju społeczno – gospodarczego, od stopnia wyrobienia politycznego ogółu obywateli, a nawet od sytuacji międzynarodowej – praktyczne i szczegółowe koncepcje ustrojowe mogą ulegać zmianom, akcentując silniej bądź czynnik zbiorowy, bądź indywidualny, bądź siłę i

zwartość całości, bądź wolność, rozumianą, oczywiście, jako swobodę tworzenia, nie jako wyzbycie się obowiązków.

Myślę, że w okresie największych trudności demograficznych i rewolucyjnej przebudowy gospodarczej, która nas czeka, władza jednostkowa naczelnika państwa musi być bardzo duża, czego podstawowym warunkiem jest nie tyle ustawowe przyznanie kompetencji, ile wyłonienie przez społeczeństwo odpowiadającego tym kompetencjom człowieka. Sprawując kierownictwo organizacji narodu, zwierzchnictwo nad armią i ścisły nadzór nad ustalaniem a zwłaszcza wykonywaniem planu gospodarczego i politycznego, naczelnik państwa nosiłby na swych barkach odpowiedzialność tak olbrzymią, że byłoby rzeczą ryzykowną obciążanie go ponad to osobistą pracą wykonawczą, aczkolwiek współczesna dyktatura niemiecka (a de facto i włoska) w ten właśnie sposób rozwiązuje problem ustrojowy. Poszczególne działy życia państwowego powinny raczej być oddane nominałom głowy państwa, jakkolwiek zechcemy ich nazwać. Sądzę, że dla polskiego ucha brzmiałaby lepiej nazwa kanclerz, niż „prezes rady ministrów”, hetman, niż „generalny inspektor armii”, żupan lub podskarbi niż „wicepremier do spraw gospodarczych”, a wreszcie namiestnik, niż „zastępca kierownika organizacji narodu”. Sprawy to jednak trzeciorzędnego znaczenia. Natomiast kwestią wielkiej wagi jest wyłonienie z organizacji narodu ciała zbiorowego, elitarnego, stanowiącego jej ogniwo centralne i obciążonego zadaniem ustalania linii wytycznej dla wszystkich agend państwowych. Ciało takie, zbliżone charakterem do dawnego Senatu Rzplitej, Wielkiej Rady w Wenecji lub senatu rzymskiego uważam za niezbędne, jako *sui generis* sztab główny organizacji narodu, spełniający następujące mniej więcej funkcje:

1. opracowywanie planu wychowania politycznego w ramach organizacji narodu,
2. ustalanie zasadniczych wytycznych polityki polskiej,
3. ustalanie i opracowywanie dokładnego planu gospodarczego,
4. uchwalanie ustaw, regulujących życie państwowe,
5. kontrola finansowa rządu i czuwanie nad wykonywaniem przezeń ustalonych wytycznych.

Rzecz oczywista, że instytucja posiadająca tak wszechstronne zadania spełnić je może tylko na drodze rozdzielenia tych funkcji, utworzenia odrębnych działów, grupujących ludzi o pewnym przygotowaniu fachowym, podobnie jak dzieliła się na departamenty Rada Nieustająca okresu stanisławowskiego. Nie mając zamiaru wyliczania wszystkich działów i ich obsady, wspomnę *exempli gratia* o przedstawicielach armii, o znawcach spraw gospodarczych, a również - o czym niżej - o politykach, reprezentujących poszczególne dzielnice Polski.

Zakres władzy państwowej w świetle dotychczasowych wywodów staje się bardzo duży, a swobody poszczególnego obywatela dość nikłe, szczególnie gdy wziąć pod uwagę gospodarcze uprawnienia państwa wraz z przeprowadzaniem planu gospodarczego, z szerokim udziałem państwa w produkcji i z monopolem banków oraz handlu zagranicznego. Oczywiście w miarę polepszania się stosunków społecznych oraz przetwarzania się ustroju gospodarczego w kierunku dekoncentracji produkcji, co prowadziło do stopniowej likwidacji etatyzmu, kompetencje władzy państwowej mogłyby zmniejszać się i zacieśniać. W takim stanie rzeczy można by przewidywać starcie między siłami społecznymi a konserwatywną z reguły i zazdrosną o swe wpływy biurokracją. Wówczas - ale dopiero wówczas -- uzyskałyby pełną rację bytu ruchy, operujące hasłami wolności.

Nie znaczy to, aby być ślepym na niebezpieczeństwa, którymi grozi skupienie w rękach elity i rządu władzy tak szerokiej i tak głęboko wkraczającej w życie prywatne ludzi. Państwo utrzymać można samym tylko strachem, ale istnienie narodu i jego rozwój zależy przede wszystkim od duchowego bogactwa tworzących pokolenia indywidualności ludzkich. Gdy twórczość społeczeństwa wygasa, braknie sił na utrzymywanie spójności i najgenialniej obmyślany mechanizm państwowy rozpada się lub zostaje z łatwością rozbity. Prawda ta została przejawiona przez publicystykę liberalną, mającą siebie i innych, że twórczość duchowa może kwitnąć, a naród być silnym tylko w ustroju, który ustalił się w Anglii po Stuartach i Francji po Napoleonie III. Tak oczywiście nie jest. Prawdą jest tylko, że mechaniczny absolutyzm XVIII wieku nie zdał egzaminu życia, a w naszym już stuleciu Rosja Mikołaja II wykazała wewnętrzną słabość imponującej na pozór budowli Piotra Wielkiego, Katarzyny i Mikołaja I. Natomiast efektowne przykłady innych epok bledną po uważnym zbadaniu. Despotyczne imperium Dioklecjana i Konstantyna Wielkiego przetrwało z górą lat tysięcy, podczas gdy III Republika Francuska istnieje zaledwie lat 68, zaś obecny ustrój angielski - lat 249. A chociaż Bizancjum nie wydało z siebie genialnej literatury czy filozofii, to jednak przechowało znaczną część spuścizny cywilizacyjnej antyku, stworzyło wspaniałą sztukę, pozostawiło po sobie wzorową kodyfikację prawa, a przede wszystkim ocaliło świat przed barbarzyństwem pierwotnego islamu i piersią swoją zasłoniło zachodnie kraje chrześcijańskie.

Niemniej jest rzeczą oczywistą, że ogromna przewaga władzy państwowej nad jednostką jeżeli nie musi, to przynajmniej może doprowadzić do słabnięcia społeczeństwa. Silna władza państwowa stwarza zawsze pokusę nieliczenia się z różnorodnością elementu społecznego, z duchową odrębnością ludzi i zespołów ludzkich; każdy rząd skłonny jest ułatwiać sobie pracę przez działanie według szablonu, a jednolitość osiągnąć pragnie przez jednostajność.

Jednym z przejawów takiej tendencji jest na gruncie polskim coraz silniejszy centralizm. Genezę jego łatwo uzasadnić: odradzające się państwo zrastało się z trzech co najmniej odrębnych części, odpowiadających trzem zaborom; ślady zaborów chciano zatrzeć jak najprędzej. Z drugiej

strony sądzono, że silna centralizacja ułatwi rządzenie pobratymcami słowiańskimi, którzy nie całkiem dobrowolnie weszli w skład naszego państwa.

Pod względem centralizmu wzorujemy się na najgorszych wzorach Francji republikańskiej. Ale w kraju tym wobec słabości władz państwowych centralizm jest poniekąd złem koniecznym, umożliwiającym funkcjonowanie maszyny państwowej: skoro bowiem głowa państwa pozbawiona jest wszelkiego wpływu, a gabinety zmieniają się co kilka miesięcy, rządzić musi fachowa biurokracja, oparta o prefektów i policję. Słynny teoretyk legitymizmu i Restauracji, Ludwik de Bonald pisał w początkach XIX wieku: „Jeżeli konstytucja jest czysto monarchiczna, administracja może i powinna być demokratyczna. Jeśli jednak konstytucja jest demokratyczna, administracja musi opierać się na pierwiastku monarchicznym”. Oczywiście mowa tu o monarchii i demokracji w znaczeniu odmiennym nieco od potocznego. Trafność formuły de Bonalda rzuca się jednak w oczy przy studiowaniu współczesnego ustroju francuskiego, opartego o demokratyczno - republikańską konstytucję i monarchicznie rządzącą administrację. Skutkiem takiego stanu rzeczy Francuz współczesny, a co gorsza, Francja współczesna zdana jest na łaskę i niełaskę przypadkowej większości w parlamencie oraz na kaprysy czynników biurokratycznych. Jeżeli powszechna opinia o ustroju francuskim jest inna, to tylko dzięki istnieniu w tym kraju potężnych hamulców natury pozaustrojowej. Jednym z nich jest typowo francuski duch konserwatyzmu, widoczny nawet u najskrajniejszych lewicowców, drugim - silny już w czasach ancien regime'u wpływ słowa drukowanego na rządy.

Polska nie ma ani możliwości, ani powodu naśladowania wzorów francuskich. Wskazywałem już w tym rozdziale powody, dla których ustrój polski nie może być demokratyczno - republikański. Już ustawa konstytucyjna z kwietnia 1935 roku opiera się na pierwiastkach monarchicznych, jeszcze bardziej monarchiczna (choć nie monarchistyczna) jest koncepcja, szkicowana w niniejszej książce. Ale właśnie dlatego, w myśl formuły de Bonalda, administracja polska posiadać powinna charakter demokratyczny, do czego pierwszym krokiem jest decentralizacja, uwzględniająca odrębności położenia, potrzeb i zadań różnych części kraju.

Zróżnicowanie dzielnic polskich jest bardzo znaczne, znaczniejsze niż w większości państw europejskich. Fakt ten jest notorycznie znany, ale mówienie a nawet myślenie o nim nie jest w naszym zwyczaju; ignorowanie go wydaje się nam najlepszą ochroną spójności państwowej. Jest to błąd bardzo poważny. Droga do zespolenia duchowego nie prowadzi przez szablon. Wiadomo z pedagogiki, że wdrożenie określonego zasobu wiedzy słuchaczom o różnej umysłowości, temperamencie, zamiłowaniach i przygotowaniu osiągnąć można najskuteczniej przez indywidualizację wykładu. Aby osiągnąć wyniki jednakowe, trzeba stosować metody różne. Całkowita indywidualizacja jest, rzecz prosta, niemożliwa ze względów technicznych, można

jednak zgrupować słuchaczy w kilku zespołach i w każdym z nich zastosować inną metodę nauczania, dostosowaną do dominującego w tym zespole typu.

Mutatis mutandis system ten zastosować można i należy w ustroju politycznym naszego kraju. Obecny jego podział posiada charakter czysto mechaniczny i administracyjny; jednakże spod szablonu województw wyzieraą większe całości, ukształtowane zarówno przez przyrodę jak przez człowieka. Przyroda zgromadziła węgiel kamienny w trzech sztucznie przez historię rozdzielonych zagłębiach, skupiła naftę na Podkarpaciu wschodnim, zabagniła Polesie, podzieliła Polskę na pas wyżyn i nizin. Czynniki związane z człowiekiem są nierównie bardziej skomplikowane; kształtowały one dzisiejszą różnorodność Polski przez kilkanaście stuleci. Różnica wiary dzieli nasz kraj na dwie części, nierówne obszarem, liczbą ludności i poziomem cywilizacyjnym, a dalekie stylem kultury. Różnica mowy rozdziela państwo na trzy zasadnicze obszary. Odmienne koleje dziejów w okresie niewoli wyodrębniły trzy, a właściwie cztery dzielnice, wyciskając silne piętno na zamieszkującej je ludności. Jeszcze inaczej przebiega podział Polski na podstawie różnic w gęstości zaludnienia, w stopie życiowej ludności, w jej składzie zawodowym, w na-sileniu kwestii socjalnej w większym lub mniejszym odsetku elementu żydowskiego, w poziomie oświaty, w przygotowaniu do życia politycznego. Jeszcze inaczej ukształtują się dzielnice kraju w zależności od zadań, stawianych im przez wolę kierowniczą narodu<sup>39</sup>.

---

<sup>39</sup> Wymieniając różnorodne kryteria podziału opuściłem świadomie jeden czynnik, który jak dotąd nie był brany pod uwagę: czynnik antropologiczny. Nie zalicza się on do najważniejszych, nadużywanie zaś antropologii do celów politycznych przez, Niemców kompromituje znacznie a niezasłużenie młoda tę gałąź wiedzy. Jednakże wyniki badań składu rasowego Polski nie są całkowicie obojętne, jeśli się zważy ścisłą, choć jeszcze nie zbadaną należycie współzależność między typem rasowym człowieka a jego temperamentem, uzdolnieniami i sposobem myślenia.

Rzut oka na mapę antropologiczną Polski, opracowaną przez Czekanowskiego wykazuje przewagę nordyków na całym obszarze Pomorza, w przeważnej części Wielkopolski i Kujaw i na zachodzie Mazowsza. Tak odmienna od Pomorza temperamentem ludność województw południowo- wschodnich zalicza się, szczególnie w odłamie ukraińskim do typu dynarskiego, niespotykanego w innych częściach kraju (już Wołyń jest przeważnie nordycki). Natomiast Małopolska właściwa jest w pierwszym rzędzie siedzibą typu laponoidalnego i pochodnego odeń - prasłowiańskiego. Zwarty pas tej ludności ciągnie się od Chrzanowa i Krakowa przez Bochnię, Tarnów do Rzeszowa i Łańcuta, wypełniając widły San - Wisła, po czym przekracza obie te rzeki, zagarniając na wschodzie Zamość, Lublin, Garwolin, na zachodzie zaś Radomszczyznę po Pilicę, Kieleckie i Miechowskie. (W kilku zaledwie miejscach obszar ten przerywają niewielkie enklawy, na których typ laponoidalny przestaje nadawać ton, jednak nie zanika; są to powiaty: radomski, konecki, włoszczowski, sandomierski, janowski, puławski). Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że cały ten obszar jest domeną silnego ruchu umysłowego i politycznego mas chłopskich, wyłaniającego z siebie liczną inteligencję i znaczną ilość talentów literackich, co nie powtarza się nigdzie indziej



Operując przytoczonym zespołem kryteriów można stwierdzić istnienie na obszarze państwa polskiego kilku mniej lub bardziej wyodrębnionych dzielnic. Wyraźną całość stanowi zagłębie węglowe (Śląsk wraz z okręgiem dąbrowskim i chrzanowskim) oraz Polesie z błotnistą częścią północnego Wołynia; liczne cechy wspólne łączą b. Galicję wschodnią (Lwów- Tarnopol - Stanisławów) a także ziemie północno- wschodnie (Wilno - Grodno - Nowogródek). Czynniki rasowe, gospodarcze i socjalne łączą dawną Małopolskę (Kraków, Rzeszów, Sandomierz, Kielce, poniekąd Radom), z którą w luźniejszym już kontakcie (brak komunikacji) pozostaje właściwa Lubelszczyzna, związana raczej z Wołyniem szlakami na Chełm i Hrubieszów. Te same czynniki rasowe, wspólna przeszłość historyczna i wspólny typ kultury materialnej i duchowej zespalają Wielkopolskę z Pomorzem oraz z częścią (lub nawet całością) Kujaw. Najmniej wyraźnie rysuje się całość ziem centralnych, mianowicie dawne Mazowsze z Podlasiem (Łódź - Warszawa - Siedlce - Białystok - Mława). Łączy je jednak typ ludności (Mazury), podobieństwo struktury socjalnej, silne zażydzenie oraz trzy duże miasta przemysłowe (Łódź, Warszawa, Białystok). Na takim mniej więcej rozróżnieniu oprócz by można podział kraju na dzielnice, będące czymś więcej, niż okręgami administracyjnymi. Na czele dzielnic stanąć powinni kierownicy polityczni, możliwie odciążeni od czynności czysto urzędniczych i łączący w swych rękach funkcje namiestników lub wielkorządców z kierownictwem dzielnicowej organizacji narodu. Tego rodzaju ustrój istnieje dziś w pewnej mierze na Śląsku, gdzie abstrahując od oceny politycznej obecnego wojewody, wykazał swą żywotność i nie stał się, wbrew obawom, czynnikiem szkodliwym dla jedności i spójności państwa. Przeciwnie, tylko ludzie wrośnięci w miejscowe stosunki i znający je na wylot mogą skutecznie pracować nad zespoleniem swe-go terenu z całością. Mamy tego dowody np. w dziejach Alzacji. Anektując ją, Ludwik XIV potwierdził jej mieszkańcom wszystkie przywileje i odrębności, nie wyłączając językowych; jedynie stanowisko gubernatora oddał rdzennemu Francuzowi. Nominatem został człowiek dwudziestoparoletni, poinformowany przez króla, iż urząd sprawować ma dożywotnio. Gdy umierał po kilkudziesięciu latach namiestnictwa, mógł już uchodzić za autochtona: dwa pokolenia Alzaczyców urodziły się były i wyrosły pod jego rządami. Nigdy by najsilniejsza, najbezwzględniejsza centralizacja nie związała tak owej niemieckiej ziemi z francuską ojczyzną;

---

na ziemiach etnograficznie polskich. Ruch ten jest społecznie radykalny, nieufny wobec inteligencji niechłopskiego pochodzenia, ostro opozycyjny, skłonny do akcji bezpośredniej; swój wyraz polityczny znajduje przede wszystkim w Stronnictwie Ludowym i „Wiciach”. Oczywiście niepodobna całości zjawiska tłumaczyć wyłącznie czynnikami rasowymi, pomijając np. tak doniosłe przyczyny radykalizmu społecznego jak przeludnienie, obecność latyfundiów, tradycje 1846 roku itp.

separatyzm alzacki pojawił się dopiero za naszych czasów jako reakcja przeciwko centralizmowi III Republiki.

Myślę, że namiestnicy dzielnicowi, którzy mogliby zachować nazwę wojewodów, muszą nie tylko reprezentować władzę państwową wobec ludności, ale i ludność wobec władzy państwowej. Najlepszym środkiem do tego byłoby wprowadzenie ich do ciała planującego i prawodawczego, czy nazwiemy je senatem czy wielką radą. Zadaniem ich byłoby czuwanie nad uwzględnianiem odrębności terenowych przy przeprowadzaniu planu gospodarczego i wychowawczego oraz przy uchwalaniu ustaw, które w bardzo wielu wypadkach posiadać powinny charakter ramowy. Wypełnianie tych ram mogłoby być zadaniem samorządu dzielnicowego (sejmu wojewódzkiego). Dopiero bowiem szerokie uprawnienia samorządu terytorialnego wprowadzają w pełni zasadę decentralizacji do życia państwowego.

Ta sama jednak zasada decentralizacji prowadzi do różnorodności uprawnień poszczególnych dzielnic czy województw. Samorząd spełnia w pierwszym rzędzie zadania wychowawcze i aby je spełnić dobrze nie może być standaryzowany. W szczególności inaczej traktowane być muszą dzielnice etnograficznie polskie, inaczej - województwa wschodnie. Sprawa to drażliwa, gdyż nie możemy naszych pobratymców słowiańskich traktować z racji ich pochodzenia jako obywateli drugiej klasy: są oni współwłaścicielami ziemi polskiej i współtwórcami naszej kultury. Musimy jednak uświadamiać sobie jasno, że nasza sympatia do nich jest z reguły jednostronna. Ukraińcy są nam wrodzy (lub co najmniej niechętni) jako Polakom, Białorusini i Poleszycy jako ziemianom i urzędnikom. Doświadczenia sejmu galicyjskiego nie są bynajmniej zachęcające; trzeba zaś pamiętać, że samorząd na terytorium między Sanem, Zbruczem i Czeremoszem oddałby znaczne uprawnienia w ręce większości ukraińskiej. Sztuczne zapewnienie przewagi żywiołowi polskiemu zarówno przez przesuwanie granic dzielnicy daleko na zachód jak przez tworzenie kurii narodowości (nie mówiąc już o fałszowaniu wyborów) należy stanowczo odrzucić: kłamstwo nie jest skutecznym czynnikiem wychowawczym i może tylko pogłębić przedział dwóch narodów; uczciwszą już byłoby rzeczą otwarte odmówienie samorządu Małopolsce Wschodniej. Rozstrzygnięcie tego problemu nie leży jednak w dziedzinie ustrojowej, lecz w takim czy innym rozwiązaniu międzynarodowego problemu ukraińskiego. Problem to zbyt wielki i trudny, aby rozstrzygać go mimochodem z okazji samorządu terytorialnego.

Innego rodzaju trudności wyłaniają się przy opracowywaniu zasad samorządu dla kresów prawosławnych z uwagi na niski poziom kulturalny ludności, która np. na Polesiu dorosła najwyżej do samorządu gminnego. Zupełny brak wyrobienia politycznego ludności czyni ją biernym narzędziem bądź w rękach agentów komunistycznych, bądź w rękach administracji państwowej. Samorząd terytorialny nie może stać się jeszcze jedną okazją do wybierania przez ludność agentów obcego imperializmu, ani też - jak za czasów B.B.W.R. - przedstawicieli ciężkiego przemysłu. Toteż

wprowadzenie samorządu powinno odbywać się etapami, równoległe z pracą wychowawczą nad ludnością, z podnoszeniem jej dobrobytu i poziomu oświaty.

Samorząd dzielnicowy jest oczywiście wyższym szczeblem samorządu. Jednocześnie on powinien zarówno reprezentację mniejszych ośrodków terytorialnych, jak i samorządu gospodarczego. Niższe szczeble samorządu powinny być szkołą i terenem pracy dla tych, którzy nie potrafią wprawdzie myśleć na daleką metę w skali dobra całego narodu i działać dla przyszłych pokoleń, lecz orientują się i odczuwają potrzeby dnia dzisiejszego i potrafią w sposób życiowy rozstrzygać kwestie lokalne lub zawodowe. Jest rzeczą wielkiej wagi, aby ludziom takim państwo polskie przejawiało się nie tylko w postaci policjanta, sekwestratora i urzędu pocztowego, a również aby organizacja narodu nie stała się tyranem, wkraczającym w najdrobniejsze sprawy każdego człowieka. Dlatego zakres spraw samorządowych powinien być szeroki, ustroj samorządu oparty nie na hierarchii i nominacji, lecz na wolnych wyborach, zaś uprawnienia członków organizacji narodu - zrównane na jego terenie z prawami ogółu<sup>40</sup>.

Uzupełnieniem samorządu terytorialnego powinien być szeroko rozbudowany samorząd gospodarczy. Trudno jednak nawet w bardzo ogólnych zarysach szkicować jego zasady, z chwilą gdy się rzuciło postulat gruntownej przebudowy życia gospodarczego i zmiany stosunków socjalnych. Ustrój prawny może być rezultatem przemian, ale nie może ich antycypować: forma nie może poprzedzać treści. Nie sposób przewidzieć wszystkich zmian, wywołanych początkowymi nawet fazami rewolucji gospodarczej; mogą one spowodować wytworzenie form zupełnie dotąd nieznanych. Konkretny program samorządu gospodarczego posiadać może ten tylko, kto budować go pragnie na dzisiejszej strukturze życia ekonomicznego.

Tą drogą idzie przeważna część tzw. „korporacjonistów katolickich”. Nie interesują się oni z reguły przebudową ustroju gospodarczego i technicznego, pragną natomiast w ramach dzisiejszego ustroju uzdrowić stosunki socjalne przez wyeliminowanie walki klas i przepojenie życia społecznego zasadami miłości chrześcijańskiej.

W ten sposób kontynuują oni ewolucję, dokonywaną się od stulecia w Europie Zachodniej. Państwo liberalno - kapitalistyczne w imię wolności jednostki nie uznawało organizacji

---

<sup>40</sup> Na najniższym szczeblu samorządu terytorialnego w zakres jego kompetencji mógłby nawet wchodzić wymiar sprawiedliwości. Myślę o wiejskich sądach ławniczych, rozstrzygających pod przewodnictwem wybranego wójta czy sołtysa drobne zatargi sąsiedzkie, cywilne i karne. Sądy takie, kontrolowane oczywiście w drodze apelacyjnej przez sądownictwo fachowe, wychowałyby z pewnością lepiej element wiejski, niż dzisiejsze sądy starościńskie.

zawodowych i gospodarczych. W praktyce stan ten dawał nieograniczoną przewagę stronie silniejszej, czyli kapitalistom; wszystkie więc kierunki dążące do poprawy bytu robotnika opowiadały się mniej lub więcej zdecydowanie za zorganizowaniem stowarzyszeń zawodowych. Katolicyzm społeczny zrodził się z tej atmosfery. Biskup Ketteler był rówieśnikiem Marxa. Gdy socjalizm zachodnio - europejski nie porzucając frazeologii rewolucyjnej, ograniczył się w praktyce do walki o płace i warunki pracy w ramach ustroju kapitalistycznego, drogi obu ruchów poczęły się stykać, co najdobitniej przejawiało się w Niemczech. Ewolucja wytwórczości kapitalistycznej w kierunku umów kartelowych i rozwój stosunków socjalnych w kierunku ustawodawstwa społecznego wytworzyły ustrój, nazwany przez Sombarta „późnym kapitalizmem”, a będący kompromisem między interesami kapitału i pracy. Ustrój ten nie eliminował walki klas, lecz ją łagodził przez ulegalizowanie, ujęcie w reguły i przepisy. W związku z tym wzrosła rola państwa, które poczęło odgrywać rolę „uczciwego maklera”, a nawet, w pewnych wypadkach, arbitra.

Ustrój ten nie zadawała, rzecz prosta, katolików społecznych, gdyż oparty był o kompromis interesów, daleki od ducha sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Ponawiali więc próby udoskonalenia go przez tworzenie chrześcijańskich związków pracodawczych i pracowniczych i zespalanie ich w organizacjach wyższego rzędu, a chociaż podejmowane próby przeważnie zawodziły, myśl korporacyjna, korzystając z doświadczeń, rozwijała się coraz bardziej, uzyskując wreszcie oficjalne poparcie Stolicy Apostolskiej. Fakt ten, zarówno jak rzetelność wysiłku myśli korporacyjnej nakazuje każdemu katolikowi najgłębszy szacunek dla jej przedstawicieli. Pamiętać jednak trzeba, że koncepcje ustrojowe i społeczne w przeciwieństwie do zasad moralnych związane są ściśle z rzeczywistością warunków gospodarczych. Otóż warunki te są na terenie Polski całkowicie odrębne od zachodnio - europejskich. Stawia to pod znakiem zapytania możliwość reformy społecznej w duchu korporacjonistycznym.

Kwestia socjalna w Polsce, to przede wszystkim kwestia bezrobocia wsi, której korporacjonizm nie rozwiąże, ani nawet nie ulży. Ale i na terenie przemysłowym nie można z myślą korporacyjną wiązać zbyt wielkich nadziei. Nietrudno wyszukać i zorganizować robotników chrześcijańskich, gdzież jednak znajdziemy większą ilość chrześcijańskich właścicieli fabryk? Przemysł, pozostający w rękach zagranicy musi być ze względów polityczno - gospodarczych wyłączone, ten sam los spotkać musi wielką wy-twórczość żydowską, a także wszelki przemysł surowcowy. Z chwilą przeprowadzenia wyłączeń przemysł prywatny znajdzie się w mniejszości w porównaniu z szeroko rozbudowaną wytwórczością państwową, a przecież tylko na terenie produkcji prywatnej mogą powstawać korporacje jednoczące związki pracodawcze i pracownicze. W dodatku - przemysł nie ulegający wyłączeniu, a więc głównie drobny, znajduje się dziś, podobnie jak i wielki, przeważnie w rękach żydowskich i musi być z nich wyrwany na drodze walki ekonomicznej. Nie jest to atmosfera, ułatwiająca wprowadzenie korporacji. Sadzanie polskich robotników przy wspólnym stole obrad z żydowskimi przedsiębiorcami byłoby ubliżeniem dla

naszego narodu. Na terenie zaś fabryk żydowskich, zatrudniających Żydów, korporacjonizm katolicki byłby w ogóle paradoksem. Wyobraźmy sobie katolickie związki zawodowe w fabryce Plutosa lub w jatkach rytualnych!

Katolicy społeczni mają tedy w Polsce zadanie trudniejsze, niż gdziekolwiek: stworzyć nieistniejący dziś program polskiego ustroju zawodowego. Oczywiście, program ten powstawać musi powoli, w miarę wyłaniania się nowych form gospodarstwa narodowego. W konsekwencji tych przemian może stopniowo krystalizować się na terenie naszego kraju samorząd gospodarczy. Będzie on musiał, zapewne, przejść przez fazę eksperymentowania, póki nie osiągnie form właściwych. Dlatego tak trudno mówić o nim konkretnie już dzisiaj. Można tylko widzieć jego załączki w organizacjach spółdzielczych oraz w fachowych zrzeszeniach i syndykatach, dążąc do przepojenia ich duchem ideowym, upatrując dla nich wzoru w wykształconych już organizacjach wolnych zawodów (np. izbach lekarskich, mających za zadanie m.in. pieczę nad przestrzeganiem etyki lekarskiej). W miarę organizowania się samorządu gospodarczego byłoby rzeczą pożądaną wiązanie go z samorządem terytorialnym, szczególnie wojewódzkim.

Najwyższy szczebel obu rodzajów samorządu skłonny jestem widzieć w centralnym przedstawicielstwie ludności, które gwoli tradycji można by nazwać sejmem.

Parlamentaryzm XIX wieku, oparty o deklarację praw człowieka i obywatela, widział w sejmie jedną z władz państwowych, a zarazem - reprezentację narodu. W koncepcji tej tkwi pomieszczenie pojęć bardzo charakterystyczne: identyfikacja narodu z ogółem ludności państwa, współcześnie żyjącym i posiadającym prawa wyborcze. Gdyby tę demokratyczną koncepcję brać na serio, wynikałoby z niej, że np. członkiem narodu francuskiego był Stawisky, nie była nim natomiast św. Teresa z Lisieux, gdyż jako kobieta nie posiadała praw politycznych. Absurdy tego rodzaju przestaną istnieć z chwilą uznania, że władza państwowa jest organem reprezentacji narodu, natomiast sejm - reprezentacją ogółu dojrzałej ludności państwa wobec władzy państwowej<sup>41</sup>.

Z tej zasadniczej zmiany wynikają dalsze konsekwencje. Poseł już nie musi uważać się przez osobliwą fikcję za przedstawiciela całego narodu, co było koniecznością w ustroju „nowożytnym”, wprowadzającym parlamentarną odpowiedzialność rządu i ustawodawcze prawa sejmu. W izbie, pozbawionej tych uprawnień, poseł może stać się reprezentantem terytorialnej lub zawodowej grupy ludności, jej trosk, potrzeb, żądań i poglądów; powinien być bezinteresownym pośrednikiem między

---

<sup>41</sup> Do ogółu ludności państwa nie zaliczam, oczywiście żydów, jako cudzoziemców, skazanych na wysiedlenie.

swymi wyborcami a władzą państwową. Nie bałbym się wskrzeszenia w tym celu instrukcji, które szkodliwe są tylko w parlamencie ustawodawczym i rządzącym poprzez zależne gabinety. Nie myślę zresztą o ścisłym kopiowaniu wzorów z Polski XVII wieku. Lepszym wydaje mi się francuski system zgłaszania przez wyborców piśmiennych życzeń, nie krępujących posła w działaniu na terenie izby, ale dających dokładny obraz poglądów we wszystkich środowiskach społecznych i na terenie całego kraju. Na tej drodze mogliby wyborcy wywierać większy wpływ osobisty na losy kraju, niż przez wrzucanie co lat kilka kartek z cyframi do urny wyborczej według kanonów klasycznego parlamentaryzmu. System instrukcji, lub ściślej mówiąc, dezyderatów może stać się pożyteczną korektywą polityki, prowadzonej przez organizację narodu, gdyby przybierała charakter doktrynerski. Polityka ta kierować się powinna względami na dobro przyszłości, kosztem chwili obecnej. Ale idąc tą drogą nie można przekraczać pewnych granic. Korzenie przyszłości tkwią w chwili obecnej; obciążenie jednego pokolenia wysiłkiem ponad maksymalną jego możliwość wywołuje degenerację pokoleń następnych. Po wielkiej i krwawej epopei Karola XII Szwecja weszła na długie lata w okres marazmu i prywaty, czego klasycznym objawem są tragiczne losy Gustawa III. Katastrofalne zmniejszenie się liczby ludności we współczesnej Rosji sowieckiej świadczy, że nie zawsze na korzyść mających nadzieję pokoleń wychodzi bezlitosne traktowanie pokolenia już żyjącego; ktoś musi przecież zrodzić tych szczęśliwych następców. Dlatego też chwila dzisiejsza musi mieć również pewne prawa. Zbierana co lat kilka ankieta wyborców do sejmu oraz oblicze izby poselskiej powinny spełniać rolę manometru, wykazującego stopień ciśnienia. Sejm powinien odtwarzać możliwie wiernie różnorodność nastrojów na terenie kraju. Troska o zdolność parlamentu do wyłaniania większości staje się zbędna, wobec przeniesienia na inne czynniki zadań uchwalania ustaw i powoływania rządu.

Uprawnienia sejmu, których szczegółowe opracowywanie nie jest zadaniem tej książki, wpływać muszą konsekwentnie z jego charakteru jako reprezentacji bieżących interesów ogółu. Oprócz prawa swobodnej krytyki rządu, interpelacji, dezyderatów (ewentualnie zgłaszania projektów ustaw) - zasadniczą funkcję sejmu widzę w finansowej kontroli całej działalności rządu wraz z gospodarką jego jako przedsiębiorcy. Kontrola ta byłaby, oczywiście, częścią formalnością, gdyby ograniczała się do prawa krytyki. Będąc tedy przeciwnikiem politycznej odpowiedzialności rządu, uważam za rzecz konieczną wprowadzenie odpowiedzialności finansowej; nieprawidłowa gospodarka funduszami publicznymi powinna powodować odmowę przez sejm absolutorium za okres miniony (oczywiście dłuższy, niż roczny) i oddanie winnych tej gospodarki w ręce hierarchii sądowej.

Sądownictwo, jak już wzmiankowałem, stanowić powinna ciało odrębne od władzy państwowej i od samorządu; odrębne i całkowicie niezależne. Przyznając naczelnikowi państwa szeroki zakres uprawnień nie widzę powodu ani potrzeby rozciągania jego zwierzchności na sądownictwo. Sądownictwo podwładne nie jest niezawisłe, sądownictwo niezawisłe nie może być

podwładne. Tylko w chaosie ustroju demoliberalnego, w którym wbrew legitymowaniu się Monteskiuszem samorząd wtrąca się do rządzenia państwem a władza państwowa do jurysdykcji może istnieć podobny paradoks jak ministerstwo sprawiedliwości.

Nikt nie poddał tego stanu krytyce równie przenikliwej, jak Emil Faguet, pisarz, przedstawiający rzadki typ liberała, niepozbawionego jasności i uczciwości myślenia. Krytykując obyczaje ancien regime'u i samowolę „lettres de cachet”, pisze z ironią w swej sławnej książce „Liberalizm”:

„Ponieważ sądownictwo właściwe było niezależne, rząd nie mógł mu ufać, że ludzie, rządowi niemili będą skazywani. A jednak ważną jest rzeczą, aby w społeczeństwie należycie zorganizowanym rząd posiadał możliwość sadzania do więzienia tych, którzy mu się nie podobają. W tym celu stworzył sobie równoległe do sądownictwa właściwego administrację karzącą, zależną już wyłącznie od niego.

„Ta dwoistość ustała oczywiście po roku 1789 wobec tego, że sądownictwo stało się zależne od rządu i temu rządowi podporządkowane, a więc zrównało się samo w tym względzie z policją. Rząd nie potrzebował już drugiej administracji sądowej skoro pierwsza oddała się na jego usługi”.

„W naszych czasach... (sądownictwo)... całkowicie zawisłe od nadziei awansu, który z kolei spoczywa w rękach samego rządu, z drugiej zaś strony żyjące pod strachem ogólnego „oczyszczenia” - ma wszelki interes w posłuszeństwie, toteż przeważnie jest posłuszne. A jeśli nie jest posłuszne, wprowadza to wszystkich (zwolenników rządu) w stan osłupienia i wywołuje ogólne żądanie ponownego „oczyszczenia”.

„Sądownictwo - pisze w innym miejscu Faguet - zmuszone często siłą faktu do rozstrzygania między obywatelem a władzą, nie powinno pochodzenia swego zawdzięczać ani jednej ani drugiej stronie; pozo- staje zatem jedna droga, by swe pochodzenie zawdzięczało samemu sobie”. Droga ta wydaje mi się właściwa nie tylko - jak chciał autor - dla Francji pierwszej ćwierci XX wieku, lecz i dla Polski drugiej lub trzeciej jego ćwierci. Im bardziej autorytatywny jest system władzy państwowej, tym większa musi być niezależność sądownictwa. Jeśli jej nie ma - następuję powolniejsze lub szybsze, ale w każdym wypad-ku głębokie zwyrodnienie ustroju. Najgłębiej ideowa, najbardziej spartańskim duchem przejęta elita nie ustrzeże się nigdy moralnych załamaniań w swych szeregach wobec pokus, jakie stwarza władza, pomna zaś na dawne zasługi wykolejeńców, skłonna będzie wobec nich do pobłażliwości. W ten sposób uczestnictwo w elicie politycznej, nie przestając być dla naj-lepszych z jej grona trudnym obowiązkiem, stanie się uprzywilejowaniem, a co gorsza - bezkarnością dla najmniej wartościowych jej członków. Kto wie o tym lepiej, niż my, Polacy, bogaci doświadczeniem lat minionych i nie minionych!

Dlatego uważam za rzecz słuszną stworzenie z sądownictwa rodzaju państwa w państwie. Skupić się w nim powinny wszystkie agendy, których funkcją jest orzekanie, rozsądzanie i karanie, a więc nie tylko sądownictwo cywilne i karne, ale również dzisiejszy Najwyższy Trybunał Administracyjny. Można by iść jeszcze dalej i włączyć do tego zespołu również kontrolę państwową (dzisiejszą N. I. K.), która przez bliski kontakt i współdziałanie z nią sędziów śledczych uzyskałaby możliwość pracy prawdziwie skutecznej.

Nie wchodząc zbyt w szczegóły łatwo jednak zobrazować znaczenie tych przemian. Zniesienie ministerstwa sprawiedliwości oznacza nie tylko odjęcie cech urzędniczych prokuraturze, ale ogromne podniesienie powagi całego sądownictwa. Wyobraźmy sobie, że zasady Fagueta zostały wcielone u nas w życie z mniejszymi lub większymi wariantami. A więc np. ogół sędziów z całej Polski wybiera sędziów najwyższego stopnia kolejno w miarę wakansu, ci zaś decydują o wszystkich nominacjach niższego stopnia. Lub też sędziowie stopnia najwyższego, wybierani przez sędziów apelacyjnych wybierają z kolei swego kierownika (można by go nazwać prezydentem trybunału), ten zaś mianuje wszystkich sędziów niższego stopnia, awansuje ich itd. Tego rodzaju ustroj zabezpieczałby niezawisłość sądownictwa nie tylko nominalnie, lecz i faktycznie i dawałby gwarancję panowania praworządności w życiu państwowym.

Oczywiście pozycja państwa w państwie posiada również swe ujemne strony. Dla władzy państwowej ów sąd niezależny i dumny ze swej niezależności, sąd, na który nie sposób wpłynąć ani naciskiem rządu, ani rozkazem organizacji narodu - stanowiłby dużą niedogodność i skrzepowanie ruchów, szczególnie w walce politycznej. Ale patrząc na daleką metę, stwierdzić trzeba, że niedogodności te sownie opłacą się narodowi i państwu. Niezależność sądownictwa nie jest przeciwieństwem jednoznaczna z pobłażliwością wobec przestępstw politycznych, lecz tylko ściganiem ich w sposób praworządny, zgodnie z kodeksem, który może i musi być znacznie surowszy, niż dzisiaj.

Zapewne, niezawisłe sądownictwo może również ulec zwyrodnieniu, może przetrwać się w klikę, ulec ambicji wkraczania w dziedzinę polityki, stać się oparciem malkontentów, wyrokować na złość władzy państwowej. Jaskrawym tego przykładem było np. w r. 1786 uniewinnienie przez parlament francuski kardynała de Rohan w głośnej sprawie „naszyjnika królowej”, uniewinnienie, dokonane wbrew prawu, słusności, dobru Francji i powadze władzy. Pamiętać jednak trzeba, że parlamenty francuskie łączyły uprawnienia sądownictwa z prawami ciał politycznych, że były wprawdzie niezależne od króla i rządu, lecz nie od stanu uprzywilejowanego, że były wyrazem egoizmu interesów szlacheckich przeciw Burbonom, a w wieku XVIII opanowane zostały przez masonerię. Podobne skutki wywołałoby i dzisiaj przyznanie sądom praw politycznych, dlatego tak niebezpiecznym pomysłem jest wysuwany tu i ówdzie projekt przyznania Sądowi Najwyższemu praw trybunału konstytucyjnego na wzór amerykański.



Opanowanie sądownictwa przez masonerię byłoby, rzecz prosta, grobem jego niezawisłości, a zarazem groźnym niebezpieczeństwem dla państwa. Jednakże złamanie masonerii współczesnej nie jest rzeczą tak trudną jak przed stu pięćdziesięciu laty. Wówczas sekta ta posiadała wielką siłę dynamiczną: jej ideologia odpowiadała duchowi czasu, jej symbolika wywierała potężne wrażenie, jej kadry obejmowały całą niemal elitę intelektualną. Dziś wolnomularstwo, szczególnie w Polsce, pociąga adeptów przeważnie widokami kariery, a co za tym idzie, grupuje w swych szeregach ludzi o słabych charakterach, niezdolnych do poświęcenia i niesamodzielnych umysłowo. Masoneria polska rozwijać się może tylko w atmosferze przywileju i dobrobytu. Cios, wymierzony w żydostwo i plutokrację pozbawi i ją głównego oparcia, reszty dokonać zdoła zwykła represja policyjna, oparta o ustawę antymasońską. Oczywiście, że wstępem do reformy sądownictwa musi być wyplenienie zeń elementów wolnomularskich: wolność daje się tylko tym, którym się ufa. Ale zagadnienie to jest kwestią czynu, nie teoretycznych rozważań. Wszelkie zresztą koncepcje ustrojowe są schematami, których wartość zależy od włożonej w nie treści. Można dokonać głębokiego przewrotu nie wprowadzając formalnych zmian do konstytucji: Hitler nie raczył nawet znieść konstytucji weimarskiej. Można, przeciwnie, namozolić się ciężko nad opracowaniem zmian ustrojowych i nie dokonać nic poza zaczerpieniem papieru w dzienniku urzędowym.

Istota przemian ustrojowych, koniecznych dla Polski nie tkwi więc w uchwaleniu jeszcze jednej konstytucji, lecz w wytworzeniu się rzeczywistej elity narodowej, zdolnej do odrodzenia narodu i poprowadzenia państwa ku wielkości duchowej i materialnej. Organizacji narodu nie stworzy się dekretem; musi ona narastać od dołu przez podnoszenie poziomu moralnego i ideowego mas narodowych i hartować się w ogniu walki. Organizacja narodu nie może być dziełem i domeną wpływów jednej warstwy społecznej np. inteligencji miejskiej pochodzenia szlacheckiego; musi ona mieć charakter przede wszystkim chłopski, bo chłopskim jest społeczeństwo polskie, musi być organizacją głęboko i bez zastrzeżeń demokratyczną. Organizacja narodu nie może być monopolem jednej partii narodowej, lecz złączyć powinna w duchowej jedności całą różnorodność żywiołów narodowych, świadomie wysuwających na pierwszy plan akcji politycznej to, co łączy, nie to, co dzieli. Organizacja narodu nie może być wreszcie owocem mechanicznego kompromisu, tworem myśli lękliwej i ociężałej, obroną tego, co dziś istnieje w obawie przed niebezpiecznym jutrem; nie może być spółką dla ratowania Polski przed „czynnikami rozkładu”, jak lubiono mówić przed niedawnymi laty – lecz armią, ruszającą na podbój trudności i zgniecenia wszystkiego, co przeszkadza budować wielkość narodu. Pogodzenie tych różnych zadań jest rzeczą niełatwą, wymagającą ze strony każdego z nas wysiłku woli i intelektu, a przede wszystkim zwycięstwa nad własną małością, nad przekleństwem biernego indywidualizmu, który leni się narzucić swoją wolę innym, ale zarazem zazdrośnie strzeże przed poddaniem się cudzej woli. O ile nie zmusimy się do tego wysiłku sami, zostaniemy do niego zmuszeni pod obuchem faktów.

## Zakończenie

*A każdy z was w duszy swej ma ziarno  
przyszłych praw i miarę przyszłych granic.*

*O ile polepszyście duszę waszą, o tyle  
polepszyście prawa wasze i powiększyście  
granice.*

Adam Mickiewicz

Pierwszą część książki mojej poświęciłem rozważaniom nad przeszłością. Wierzę bowiem, że dzieje narodu, zarówno jak dzieje cywilizacji są nieprzerwaną całością, a rozdział na przeszłość i przyszłość - złudzeniem, wynikającym z faktu, że my, współcześnie żyjący, drobna część wielkiego strumienia setek milionów Polaków, żyjemy w tej właśnie a nie innej chwili i z naszych, osobistych odczuwań czynimy miarę wszechrzeczy.

Dłoń Boża postawiła z kolei nas na posterunku. Dusze nasze nie zabłąkały się przypadkiem w świat doczesny: jesteśmy tu z obowiązku. Dostaliśmy Polskę z rąk poprzedników i mamy ją przekazać następcom. Przed Bogiem odpowie z nas każdy osobiście za to, jaką ją oddał: większą czy mniejszą, lepszą czy gorszą, silniejszą czy słabszą. Odpowiemy również i za to, jak przygotowaliśmy następców, czyśmy przysposobili ich do wzięcia ciężaru na barki, czyśmy zazdrością powodowani nie zabijali w nich możliwości twórczych, czyśmy, kuszeni przez pychę nie chcieli fasonować ich na naszą prywatną, osobistą modłę.

Stanęliśmy na posterunku w osobliwym okresie dziejów, gdy kruszy się i rozsypuje w gruzy dawny porządek świata, nowe zaś formy zaczynają dopiero wyłaniać się z chaosu, niewykończone, niejasne, surowe. W przemianach tych rola czynników duchowych jest dużo większa, niż sądzą pięknoduchy, opanowane przerażeniem przed „barbarzyństwem” dzisiejszych czasów. Śmiałość myśli i dzielność charakteru znaczy więcej, niż zasoby materialne. Ważna to i krzepiąca prawda dla kraju, który jak Polska pragnie wydobyć się z sidła międzynarodowego kapitalizmu.

Prawdę tę potwierdza tysiąclecie dziejów naszych. Starłem się wykazać ją w rozdziale „Dziedzictwo pokoleń”. Zaakcentuję ją raz jeszcze. W roku 1334 Polska Kazimierza Wielkiego obejmowała cztery dzisiejsze województwa: Poznańskie bez Bydgoszczy, Łódzkie (rządzone pośrednio, tytułem zwierzchności feudalnej), Kieleckie i Krakowskie oraz zachodnią część Lubelskiego. To „królestwo krakowskie”, któremu odmawiano nawet miana Polski uważane było

przez wielu w Europie za państwo sezonowe, przez wszystkich zaś - za kraj barbarzyński i ubogi. Tylko oparcie o potężne Węgry chroniło nas wówczas od rozbioru.

W sto lat później umierający w Gródku Władysław Jagiełło widział swą władzę rozciągniętą od Międzyrzecza po Brańsk, daleko w głąb dzisiejszego Z.S.S.R. Pogrom grunwaldzki zażegnał śmiertelne niebezpieczeństwo od północy. Wpływ Polski sięgał na Śląsk i Czechy, zwierzchnictwo lenne objęło na czas jakiś całą dzisiejszą Rumunię. Imię Polski rozbrzmiewało głośno na soborze w Konstancji. Jeszcze lat kilka - i na Wawelu ujrzano Węgrów, ofiarujących Jagiellonowi koronę św. Stefana i widoki na diadem cesarstwa wschodniego, zaś Europa w napięciu czekała opowiedzenia się Polski po stronie jednego z dwóch bloków ideologicznych: papieskiego i soborowego.

Inaczej przebiegły dzieje w okresie „wieku złotego”. W 1548 roku małżonek Barbary rozciąga swe dzierżawy na wszystkie ziemie Jagiełłowe, na Prusy Królewskie, na Inflanty, jest suwerenem Prus Książęcych. Polska rozkwita gospodarczo, przoduje kulturalnie w Europie wschodniej, budzi zawiść w cesarzach rzymskich, zainteresowanie we Francji i Anglii. W sto lat później zjednoczona Rzeczpospolita ponosi klęskę za klęską od lekceważonych Kozaków, a po kilku jeszcze latach król-tytułacz ze swego śląskiego wygnania widzi Polskę poddającą się Szwedom od Gdańska po Kraków, Litwę oderwaną przez Radziwiłła; Chmielnickiego i Moskali pod Lwowem. Gdzież jak nie w odmienności walorów duchowych następujących po sobie pokoleń leży odmienność losów naszych: owego wznoszenia się od beziły do mocarstwowości (1334-1434) i runięcia w katastrofę po okresie pozornej świetności!

Dziś przeżywamy część pierwszą nowego polskiego stulecia. Warunki polityczne mamy lepsze, niż królestwo ostatniego Piasta, warunki gospodarcze - niewymownie gorsze. Daleko nam do świetności Zygmunów. Na wschodzie rządzi jak wówczas Iwan Groźny, lecz na Zachodzie odrodzili się Krzyżacy, potężniejsi niż za Kazimierza Wielkiego. Nad Gdańskiem powiewa jak wówczas znak Zakonu, tylko krzyż zakrzywił się w swastykę. Genewa nie stała się dla nas drugą Konstancją, a i sama porównana być może raczej z Bazyleją i jej nieszczęsnym soborem. Jednakże, Polski, mimo wszystko nie uważa się już za państwo sezonowe. Jedną z przyczyn tej korzystnej zmiany jest zjawisko, które skądinąd jest dla nas przedmiotem troski: ogromny nasz przyrost ludności.

Nie jest to zjawisko, właściwe wyłącznie Polsce. Według obliczeń niemieckich sprzed lat kilku - narody słowiańskie, które w początku ubiegłego stulecia stanowiły 1/3 ludności Europy, za lat dwadzieścia stanowiąć będą jej połowę. Przez te same lat 150 narody romańskie cofną się z 1/3 na 1/5, germańskie zaś z 1/3 na 1/4. Środek ciężkości Europy przesunie się zdecydowanie na wschód, co musi mieć swoje skutki również w dziedzinie politycznej. Dynamika narodów może zmienić kierunek z wschodniego na zachodni.

Wprawdzie rozradzanie się Polaków uległo ostatnio znacznym zahamowaniom, zaś Rosja Sowiecka, jeśli obliczenia statystyków są trafne, zmniejszyła już nie przyrost, lecz wprost liczbę ludności, ale zmiany te mają podłoże gospodarcze, nie biologiczne, a przez to łatwiejsze są do odrobienia. Polska musi rozwiązać problem, prawda, że przerażająco trudny, pracy dla ludzi „zbytecznych”, a wówczas to, co jest dziś naszą słabością stanie się naszą siłą. Nie jesteśmy jako naród chorzy; jesteśmy tylko zagłodzeni. Jeśli zdołamy się odkarmić i przetrzymamy - w ten czy inny sposób - przejściową, być może, prężność dynamiczną Niemiec, możemy wejść w wiek XXI z bardzo dużymi perspektywami.

Perspektywy te będzie miała również Rosja, czerwona czy jakakolwiek inna. Czy nie zawróci od Władywostoku na zachód? Nie sposób dziś odpowiedzieć na to pytanie. Ale największe to państwo słowiańskie jest przynajmniej w dziedzinie cywilizacyjnej chwilowo wyeliminowane z Europy. Może być groźne jak Tamerlan, może nawracać mieczem i słowem jak Islam, ale dopóki trwa cywilizacja chrześcijańska i europejska, Rosja Stalinów pozostanie jej obca. W obrębie Chrześcijaństwa Polska jest dziś największym państwem słowiańskim i wschodnio - europejskim. Największym, najludniejszym, najkulturalniejszym.

Kultury tej nie trzeba, co prawda mierzyć ilością spożycia mydła i elektryczności, bo zostaniemy pobici choćby przez Czechów i Estończyków. Ale w dziedzinie kultury duchowej Polska ma znaczne imię. Nie jest to zasługą nas, żyjących, pracującą za nas umarli: Warneńczyk, Kochanowski, Sobieski, Mickiewicz, Chopin, Jeź, Sienkiewicz, Szymanowski. Nie zdajemy sobie sprawy z uroku polskiego imienia od Tallina po Warnę i Dubrownik, od Pilzna po Bukareszt.

Przekucie wpływu kulturalnego na wpływ polityczny zależy od wielu warunków. Najważniejszy polega na tym, czy potrafimy rozwiązać nasze trudności wewnętrzne, czy potrafimy wytworzyć wzór do naśladowania, czy potrafimy promieniować za granicę ideą równie fascynującą jak Rosja i Niemcy. Dziś my sami boimy się wpływu na naszą ludność audycji radiowych z Królewca i Mińska. Mocarstwość nasza objawi się dopiero wówczas, gdy władze w Berlinie i na Kremlu poczną się niepokoić Toruniem i Baranowiczami.

Rzecz oczywista nie chodzi tu o moc stacji. Chodzi o to, co mamy do powiedzenia. Dziś propaganda nasza z natury rzeczy jest słaba. Cóż nam pomoże wspaniały gmach poselstwa w Rydze, jeśli na wsi łotewskiej polski emigrant sezonowy żebrac będzie o pracę za pół darmo? Cóż nam pomoże obwożenie po kraju gości węgierskich, rumuńskich, estońskich, jeśli błoto nie przestanie być w Polsce napoleońskim „piątym żywiołem”. Cóż nam pomoże budowanie wystawowych pawilonów w Paryżu i New Yorku, jeśli genialni polscy muzycy konać będą na gruźlicę, zapomniani przez państwo.

Nasza pozycja od zewnątrz zależy od naszych osiągnięć na wewnątrz. Nasze perspektywy wewnętrzne są wąskie, ale możemy je wysiłkiem naszym otworzyć szeroko.

Wysiłek ten będzie bolesny. Obrazy, które kreślę w mej książce dalekie są od ulubionej przez „Sławian” sielanki. Pragnąłbym, aby rzeczywistość nie musiała być jeszcze twardsza. Przekonanie, że dojdziemy do wielkich rezultatów na drodze małych przemian jest złudzeniem, za które tym drożej zapłacimy im dłużej nas będzie mamiło. Ktokolwiek będzie chciał potępiać wyrażone tu poglądy w imię praw człowieka i obywatela, niech pomyśli, czy najstraszniejszym ich podeptaniem nie jest skazanie ludzi pra-gnących pracy na „zbyteczność”, a dzieci ich od zarania życia na głód, nędzę, kalectwo fizyczne i duchowe? Ktokolwiek krytykować zechce metody tu proponowane jako zbyt ostre i bezwzględne, niech zastanowi się, czy mamy jakikolwiek wybór? Czy wielkie i szybkie zmiany mogą dokonać się drogą łagodnej ewolucji? I czy w ogóle cokolwiek wielkiego dokonało się bez ofiar?

Cóż bardziej sielankowego, niż obraz orki jesiennej, póki patrzeć na nią z oddali okiem malarza lub poety? Kto obserwował ją z bliska, ten wie, jakim przewrotem jest ów na pozór łagodny zabieg. Ostry pług, wrzynając się w glebę, rozrywa brutalnie splątane korzonki roślin, przywala ziemią żywe, zielone łodygi, kraje bezlitośnie bezbronnie ciała dżdżownic. Ale ta coroczna rewolucja pozwala glebie rodzić nowe plony. Błogosławiony zabieg! Grzebie szkodliwe chwasty i obumarłe badyle, obracając je w żyzną próchnię, czyni ziemię zdolną do przyjęcia nowego ziarna.

Lecz istota i sens orki nie leżą w pługu: leżą w nasionach przyszłych plonów. Jeżeli oracz wie, że zasieje ziarna zbóż chlebowych, tedy trud orki słuszny jest i celowy. Ale jeżeli w komorze swej ma plewy tylko lub, co gorsza, nasiona chwastów, niech nie rozpoczyna orania, lub odda swój trud tym, którzy zasiać potrafią na użytek ludzki.



**Jan Mosdorf** – (ur. 1904) Doktor filozofii i działacz narodowy. Z ruchem narodowym związał się w czasie nauki w gimnazjum. W trakcie studiów działał w Związku Akademickim Młodzież Wszechpolska, którego w 1928 r. został prezesem. Członek Obozu Wielkiej Polski, w latach 1932-1933 przewodził Ruchowi Młodych OWP. Po delegalizacji organizacji stał na czele Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego. Mosdorf był również przywódcą powołanego 14 kwietnia 1934 r. Obozu Narodowo-Radykalnego. Po tym jak władze zdelegalizowały ONR, Mosdorf ukrywał się przed zesłaniem do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W późniejszych latach nie uczestniczył w działalności obu odłamów ONR, poświęcając się publicystyce politycznej i filozofii (uczestniczył w seminariach prof. Władysława Tatarkiewicza). Regularnie publikował swoje artykuły m.in. na łamach „Prosto z Mostu”. W 1938 r. wydał głośną książkę „Wczoraj i jutro”. Po wybuchu II wojny światowej zaangażował się w prace konspiracyjnego SN. W czerwcu 1940 r. aresztowało go Gestapo.

Został uwięziony na Pawiaku, a następnie w obozie Auschwitz-Birkenau, gdzie był jednym z animatorów konspiracji. Mosdorf został zamordowany 11 października 1943 roku, za pomoc żydowskim więźniom obozu.

„Wczoraj i jutro” to wydana w 1938 r. książka Mosdorfa. Autor opisał w niej swoje poglądy na szereg zagadnień – od spraw z zakresu ekonomii, gdzie proponował rozwiązania sytuujące się w nurcie tzw. trzeciej drogi, przez sprawy ustrojowe, aż po oryginalny wywód na temat historii Polski, w którym polemizował z poglądami dominującymi w głównym nurcie ruchu narodowego. Praca stanowi jeden z najistotniejszych manifestów narodowego radykalizmu.



**Cyfrowa Biblioteka  
Myśli Narodowej**